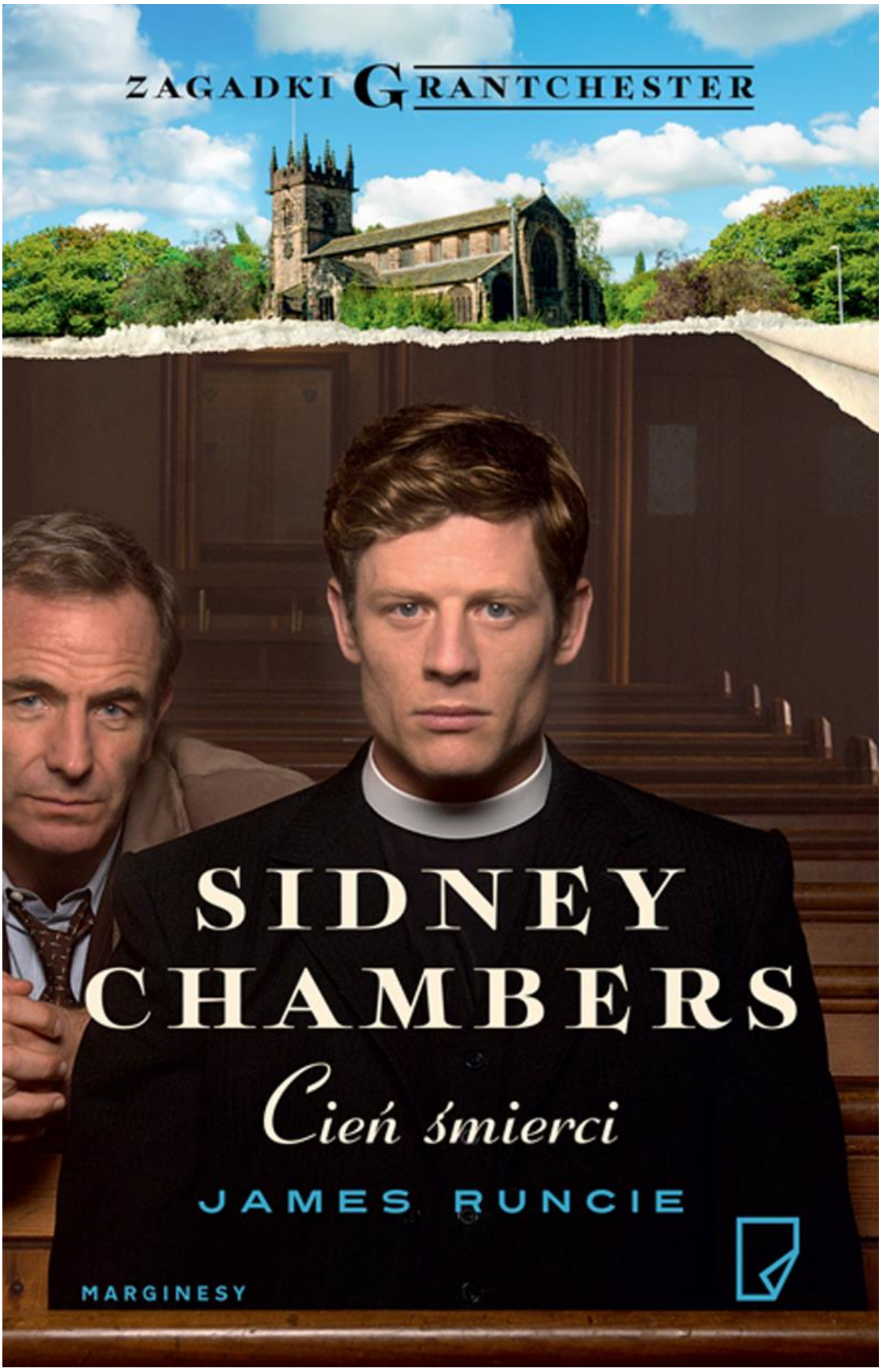
ZAGADKI GRANTCHESTER
SIDNEY CHAMBERS
Cień śmierci
JAMES RUNCIE
MARGINESY

SIDNEY CHAMBERS

Cień śmierci

JAMES RUNCIE

PRZEŁOŻYŁA EWA PENKSYK-KLUCZKOWSKA

MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna Dedykacja Cień śmierci Kwestia zaufania Po pierwsze nie szkodzić Właściwa chwila Zaginiony Holbein Ludzie honoru Przypisy

Tytuł oryginału SIDNEY CHAMBERS AND THE SHADOW OF DEATH Przekład EWA PENKSYK-KLUCZKOWSKA Redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA Redakcja ROMAN HONET Korekta MAŁGORZATA KUŚNIERZ, BEATA WÓJCIK Projekt okładki, opracowanie graficzne ANNA POL Łamanie manufaktura | manufaktu-ar.com Zdjęcia na okładce © Des Willie, © Steve Buckley / Shutterstock *Sidney Chambers and The Shadow of Death*
Copyright © James Runcie 2012
This translation of *Sidney Chambers and The Shadow of Death* (1st edition) is published by Wydawnictwo Marginesy by arrangement with Bloomsbury Publishing Plc.
Copyright © for the translation by Ewa Penksyk-Kluczkowska
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2016 Warszawa 2016
Wydanie pierwsze ISBN 978-83-65586-01-8 Wydawnictwo Marginesy
ul. Forteczna 1a,
01-540 Warszawa
tel. 48 22 839 91 27
e-mail: redakcja@marginesy.com.pl Konwersja: eLitera s.c.

Dla Marilyn

CIEŃ ŚMIERCI

Ksiądz kanonik Sidney Chambers nigdy nie zamierzał zostać detektywem. Doszło do tego dosłownie przypadkiem, zaraz po pewnym pogrzebie – przystojna kobieta w średnim wieku podzieliła się z nim podejrzeniem, że niedawna śmierć notariusza z Cambridge, rzekomo samobójcza, w rzeczywistości była morderstwem.

W powszedni październikowy poranek 1953 roku na miasteczko Grantchester padały blade promienie nisko zawieszonego jesiennego słońca. Żałobnicy, którzy wzięli udział w pogrzebie Stephena Stauntona, zasłaniali przed światłem oczy, zdążając na stypę Pod Czerwonym Lwem. Gdy przyjaciele, znajomi, koledzy i krewni z Irlandii Północnej szli w milczeniu, z wiązów spadały pierwsze migoczące jesienne liście. Ten dzień był za piękny na pogrzeb.

Sidney przebrał się już w garnitur i koloratkę i miał właśnie opuścić kościół, by dołączyć do pozostałych osób, gdy w cieniu kruchty zauważył elegancką damę. Dzięki pokaźnym obcasom wydawała się nienaturalnie wysoka, miała na sobie czarną suknię do pół łydki, etolę z lisa i toczek z woalką w kropeczki. Sidney zwrócił na nią uwagę już w czasie nabożeństwa, a to dlatego, że była najbardziej szykowną osobą w kościele.

– My się chyba nie znamy? – zagaił.

Dama podała mu dłoń w rękawiczce.

– Pamela Morton. Stephen Staunton pracował z moim mężem.

– To dla nas wszystkich bardzo smutne chwile – odrzekł Sidney.

Dama najwyraźniej chciała szybko zakończyć formalności.

– Moglibyśmy gdzieś porozmawiać?

Sidney oglądał niedawno amerykański film *Młody człowiek z trąbką* i zmysłowy głos pani Morton skojarzył mu się z Lauren Bacall.

– Nie oczekują pani na przyjęciu? – spytał. – Mąż?

– Powiedziałam, że chcę zostać na papierosa.

Sidney się zawahał.

– Ja na pewno muszę tam zajrzeć...

– Nie zajmę księdzu dużo czasu.

– A więc chodźmy na plebanię. Zapewne nikt jeszcze za mną nie tęskni.

Sidney był wysokim, smukłym trzydziestolatkiem. Uwielbiał piwo i jazz, chętnie grał w krykieta i gorliwie czytał książki, słynął też z subtelnej księżej elegancji. Twarzy o wysokim czole, orlim nosie i długawym podbródku przydawały łagodności orzechowe oczy i ciepły uśmiech sugerujący, że Sidney zawsze jest gotów myśleć o bliźnich jak najlepiej. Jak na kapłana przystało, urodził się w Dzień Pański. Święcenia przyjął zaraz po wojnie, a po niedługim wikariacie

w Coventry i krótkim okresie służby kapelańskiej u biskupa Ely, w 1952 roku przydzielono mu parafię Świętego Andrzeja i Świętej Marii.

– Pewnie wszyscy księdza pytają... – zaczęła Pamela Morton, szacując wzrokiem nędzne wejście.

– Czy wolałbym mieszkać na starej plebanii z wiersza Ruperta Brooke'a[1]? Tak, niestety tak. Ale i z tej plebanii jestem całkiem zadowolony. Wręcz uważam, że jak na kawalera, mam tu za dużo miejsca.

– Nie jest ksiądz żonaty?

– Jak to mówią: poślubiłem pracę.

– Nie do końca rozumiem, kim jest kanonik.

– To tytuł honorowy przyznany mi przez diecezję z Afryki. Przede wszystkim jestem jednak po prostu księdzem. – Sidney wyczyścił buty o wycieraczkę i nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły, niezamknięte na klucz. – Słowo „kanonik" brzmi po prostu odrobinę lepiej. Proszę do środka.

Zaprowadził gościa do saloniku z sofami pokrytymi chintzem, ze starymi rycinami na ścianach. Pamela Morton omiotła pomieszczenie spojrzeniem ciemnych oczu.

– Przepraszam, że zajmuję księdzu czas.

– Ależ nie ma o czym mówić. Zdążyłem się już zorientować, że po pogrzebie i tak nikt nie wie, o czym rozmawiać z duchownym.

– W obecności księdza nie czują się swobodnie – odparła Pamela Morton. – Sądzą, że powinni się zachowywać, jakby nadal przebywali w kościele.

– Może za bardzo przypominam im o śmierci?

– Nie, nie sądzę, żeby o to chodziło. Raczej przypomina im ksiądz o rozmaitych grzechach i podłościach.

Pamela Morton uśmiechnęła się lekko i przechyliła głowę na bok, tak że pasmo kruczoczarnych włosów przesłoniło jej lewe oko. Sidney zorientował się, że przebywa w obecności niebezpiecznej kobiety czterdziestoparoletniej i że sam ten gest mógłby podziałać na mężczyznę druzgocąco. Wyobrażał sobie, że jego rozmówczyni nie ma wielu przyjaciółek.

Pani Morton zdjęła rękawiczki, etolę i kapelusz, po czym odłożyła je na sofę. Gdy Sidney zaproponował jej filiżankę herbaty, wzdrygnęła się leciutko.

– Przepraszam za śmiałość, ale może ma ksiądz coś mocniejszego?

– Mam sherry, chociaż sam za nim nie przepadam.

– Whisky?

To był ulubiony trunek Sidneya. Trunek, który – jak sam siebie przekonywał – trzymał wyłącznie do celów leczniczych.

– Jak ją pani pije?

– Tak jak pił ją Stephen. Odrobina wody, bez lodu. On oczywiście pił irlandzką, ale ksiądz zapewne pije szkocką.

– W rzeczy samej. Mam znaczną słabość do dobrej single malt, ale niestety, zupełnie mnie na nią nie stać.

– No tak, to oczywiste tu, na plebanii.

– Jak rozumiem, dobrze pani znała pana Stauntona?

– Pozwoli ksiądz, że usiądę? – spytała Pamela, podchodząc do fotela przy kominku. – To będzie chyba trochę niezręczne.

Sidney nalał jej johnniego walkera, a i sobie wziął szklaneczkę dla towarzystwa.

– Najwyraźniej to delikatna kwestia.

– Nie jesteśmy w kościele, księże kanoniku, ale czy mogę uznać, że także do tej sytuacji stosuje się tajemnica spowiedzi?

– Może pani polegać na mojej dyskrecji.

Pamela Morton zastanawiała się chwilę, czy mówić dalej.

– Nie sądziłam, że kiedykolwiek będę o tym rozmawiać z księdzem. Nawet w tej chwili nie jestem pewna, czy chcę to robić.

– Proszę się nie spieszyć.

– Chyba nawet nie mogę.

Sidney podał gościowi szklankę z trunkiem i usiadł. Słońce świeciło mu prosto w oczy, ale skoro już usiadł, uznał, że niegrzecznie byłoby zmienić pozycję.

– Nawykłem do słuchania – rzekł.

– Przyjaźniłam się ze Stephenem od zawsze – zaczęła Pamela Morton. – Wiedziałam, że nie jest już szczęśliwy w małżeństwie. Jego żona jest Niemką. Co prawda to niczego nie tłumaczy...

– Właśnie.

– Aczkolwiek ludzie gadają... Jak na takiego przystojnego mężczyznę to dość osobliwy wybór. Mógł wybrać, kogo chciał. Poślubienie Niemki tak od razu po wojnie było chyba aktem odwagi. – Pamela Morton umilkła na chwilę. – To trudniejsze, niż się spodziewałam...

– Proszę mówić.

– Kilka miesięcy temu przyszłam do kancelarii po męża. Okazało się, że gdzieś go wezwano... Jakiś problem z testamentem. Stephen był sam. Powiedział, że zamierza pracować do późna, ale nagle zaproponował, żebyśmy poszli na drinka. Wydawało się to absolutnie niewinne. Był partnerem mojego męża, znałam go już tyle lat. Zawsze go bardzo lubiłam, a teraz zauważyłam, że coś go trapi. Nie wiedziałam, czy problemy zdrowotne, czy finansowe, czy może małżeńskie. Chyba takie kwestie najczęściej mężczyzn martwią...

– Rzeczywiście.

– Pojechaliśmy do Trumpington. Stephen chyba sądził, że tam nie natkniemy się na kogoś znajomego i nie będziemy musieli nikomu wyjaśniać, dlaczego wyszliśmy razem na miasto. Kiedy więc teraz o tym myślę, wszystko się zaczęło

jednak nie bez czyjegoś udziału.

Sidney czuł się już trochę skrępowany. Jako kapłan nawykł do nieformalnych spowiedzi, ale często zawierały one sporą, jego zdaniem nadmierną, liczbę szczegółów. Niekiedy wolałby, żeby ludzie nie mówili mu aż tyle.

Pamela Morton kontynuowała zwierzenia.

– W pubie usiedliśmy na uboczu, z dala od pozostałych gości. Już wcześniej słyszałam, że Stephen nie stroni od alkoholu, ale i tak jego tempo picia mnie zaskoczyło. Był podenerwowany. Na początku prowadziliśmy zwykłą pogawędkę, aż nagle coś się zmieniło. Powiedział, że ma dość swojego życia. Dziwnie to zabrzmiało. Nagle dostrzegłam intensywność jego emocji. Mówił, że nigdy nie czuł się dobrze w Cambridge. Że oboje z żoną są wygnańcami. Że powinien od razu po wojnie pojechać do Irlandii, ale tu miał pracę. Nie chciałby wyjść na niewdzięcznika wobec mojego męża, który mu tę pracę zapewnił, a poza tym gdyby tej pracy nie miał, nie poznałby mnie. Tymi słowami wprawił mnie w zakłopotanie. Zastanawiałam się, co powiem mężowi, a jednocześnie mówił to wszystko jakoś tak, że nie sposób było mu przerwać. Z żarliwością, desperacją i urokiem. Umiał posługiwać się słowem. Zawsze podziwiałam tę umiejętność. Kiedyś trochę grałam jako aktorka, rozumie ksiądz. Na niewielką skalę. Zanim wyszłam za mąż.

– Rozumiem – rzekł Sidney, zastanawiając się, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Pomimo tego całego czarowania rozumiałam, że próbuje mi powiedzieć, że w jego życiu panuje chaos. Każdy, kto by go posłuchał, doszedłby do wniosku, że Stephen jest w samobójczym nastroju, ale myliłby się bardzo...

Pamela Morton znowu urwała.

– Nie musi pani mówić mi wszystkiego – zauważył Sidney.

– Muszę. To ważne. Stephen mówił, jak bardzo by pragnął uciec i zacząć wszystko od nowa gdzie indziej. Nagle, gdy tak siedzieliśmy w tym pubie, popatrzył mi przeciągle w oczy i wtedy... och... mógłby ksiądz dolać mi jeszcze odrobinę? Dla kurażu, rozumie ksiądz.

– Oczywiście.

– Księdzu to wszystko pewnie wydaje się podejrzane. Wie ksiądz, co powiem, prawda?

Sidney dolał whisky do szklanek.

– Nie. Chyba nie – odrzekł cicho. – Proszę kontynuować. – Zdążył się nauczyć, że nigdy nie należy przerywać płynnej opowieści.

– Stephen wyznał mi, że nie może przestać o mnie myśleć. Że beze mnie każda chwila jego życia jest żałosna. I że mnie kocha. Nie wierzyłam własnym uszom. Mówił, że to wielki cud, że mieliśmy okazję zostać sami, by mógł mi to wszystko powiedzieć. Przy życiu trzymały go tylko te chwile, gdy się widywaliśmy, i jeszcze wyznał, że gdybyśmy mogli być razem, jego życie miałoby

cel i sens i mniej by pił, i byłby szczęśliwy.

Pamela Morton podniosła wzrok, oczekując, że Sidney spyta, co zrobiła.

– Proszę mówić dalej – rzekł.

– Gdy go słuchałam – podjęła kobieta – czułam w środku takie dziwne ciepło. Nie wiem, skąd pochodziło. Myślałam, że zemdleję. Miałam wrażenie, że życie mi umyka. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam, ale on mówił takie rzeczy, które i mnie przychodziły do głowy. Zrozumiałam, że moje życie nie musi być ślepym zaułkiem w prowincjonalnym miasteczku. Mogłam zacząć od nowa. Mogliśmy uciec, uciec od swojej przeszłości, żyć bez historii, udając, że nie było wojny, że nie straciliśmy żadnych przyjaciół i że nie mamy żadnej rodziny. Mogliśmy być dwójką ludzi z przyszłością. Mogliśmy wyjechać w dowolne miejsce, tak mówił Stephen. Miał odłożoną pewną sumę, a ja musiałam jedynie rozważyć jego propozycję. Nie chciał mnie popędzać. Chciał tylko, bym się zgodziła...

– I zgodziła się pani?

– Pomyślałam, że to szalone i niemożliwe. Byłam przerażona i podniecona jednocześnie. Mówił, żebyśmy wsiedli z powrotem do samochodu i odjechali natychmiast, ruszyli wzdłuż wybrzeża i statkiem przepłynęli La Manche. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Mówił, że mam sobie wyobrazić, jak się śmiejemy na myśl o zamęcie, jaki wywołaliśmy. Mogliśmy przejechać całą Francję, mieszkać w romantycznych hotelikach, podczas gdy wszyscy inni dalej by wiedli swoje monotonne życie w Cambridge. Bylibyśmy wolni. Pojechalibyśmy na Riwierę, do Nicei, stroilibyśmy się i tańczyli w ciepłe letnie noce pod gwiazdami. To było szalone i wspaniałe, chociaż wiedzieliśmy, że nie możemy wyjechać tak zaraz. Ale to była tylko kwestia czasu. Wszystko było możliwe. Wszystko mogło się zmienić.

– Kiedy to się działo? – spytał Sidney.

– Niedługo po koronacji. W pubie jeszcze wisiały dekoracje. Cztery miesiące temu.

– Rozumiem.

– Wyobrażam sobie, co ksiądz sobie myśli.

– Nie osądzam pani w żaden sposób – odrzekł Sidney. Wcale nie wiedział, co myśleć. – Słucham.

– Ale na pewno się ksiądz zastanawia... Skoro byliśmy tacy porywczy, dlaczego to trwało tak długo? Moje dzieci już się usamodzielniły, ale i tak się nimi przejmuję. A więc gdy tylko wróciliśmy do domu, przeraziłam się tym wszystkim, co się łączy z taką ucieczką. Zaczęłam tracić głowę. Nie mogłam uwierzyć, co się stało. Może to był sen i Stephen tych wszystkich rzeczy nie powiedział? Zaczęliśmy się spotykać potajemnie i już wiedziałam, że chcę zrobić tylko jedno. Wpadłam w obsesję. Nie mogłam uwierzyć, że ludzie nie widzą, jak bardzo się zmieniłam. „Na pewno widzą”, mówiłam sobie. Nie miałam śmiałości wierzyć, że

ujdzie mi to na sucho. Im dłużej to trwało, tym bardziej nie mogłam się doczekać wyjazdu. Już nie byłam sobą. Wręcz nie wiedziałam, kim jestem, ale powiedziałam Stephenowi, że musimy być pewni, że mamy wszystko ustalone, zanim zrobimy coś tak nierozważnego, i że powinniśmy wyjechać w Nowy Rok.

– I on się zgodził?

– Powiedział, że gdy mnie widzi, wierzy, że wszystko jest możliwe. I byliśmy szczęśliwi.

– I nikt inny nie wiedział o waszych planach?

– Mam w Londynie przyjaciółkę. Ona... to trudno wyjaśnić, proszę księdza. Ona zgodziła się, bym udawała, że nocuję u niej...

– Podczas gdy...?

– Podczas gdy nocowałam w hotelu ze Stephenem. No niestety. Na pewno uważa mnie ksiądz za rozwiązłą.

Sidneya zbiła z tropu jej szczerość.

– Ależ nie mam prawa pani osądzać, pani Morton.

– Pamelo. Proszę mówić mi po imieniu.

Na taką poufałość było za wcześnie. Sidney uznał, że postara się już nie dolewać gościowi.

– Rozumie więc ksiądz, dlaczego przyszłam?

Sidney nie rozumiał absolutnie nic. Dlaczego ta kobieta opowiadała mu to wszystko? Zastanawiał się, czy ma ona ślub kościelny, czy w ogóle traktowała poważnie swoją przysięgę małżeńską i jak jej się układało z dziećmi.

– Czego pani ode mnie oczekuje? – spytał.

– Nie mogę pójść na policję, żeby im wszystko powiedzieć.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Nie mogę im ufać, że zachowają się dyskretnie. Mój mąż się o wszystkim dowie, a ja nie chcę wywoływać skandalu.

– Ale to przecież sprawa osobista? Policja nie ma z nią nic wspólnego.

– Właśnie ma, proszę księdza. Powinna się tą sprawą zająć.

– Ale dlaczego?

– Jeszcze ksiądz nie rozumie? Nie wierzę w samobójstwo Stephena. To zupełnie do niego nie pasuje. Zamierzaliśmy uciec razem.

– Więc co pani sugeruje?

Pamela Morton wyprostowała się na sofie.

– Morderstwo, księże kanoniku. Mówię o morderstwie. – Gorączkowo szukała chusteczki w torebce.

– Ale kto by miał zrobić coś takiego?

– Nie wiem.

Sidneyowi zabrakło tchu. To oczywiście absolutnie zrozumiałe, że ktoś przychodzi wyznać mu swoje grzechy, ale oskarżenie o morderstwo to zupełnie

inna para kaloszy.

– Taka sugestia jest niezwykle poważna, pani Morton. Na pewno tak właśnie pani uważa?

– Jestem pewna.

– I nikomu innemu pani o tym nie mówiła?

– Księdzu pierwszemu. Kiedy usłyszałam, jak mówi ksiądz na nabożeństwie o śmierci i utracie, poczułam pewność, że mogę mu zaufać. Ma ksiądz taki pokrzepiający głos. Szkoda, że nie chodzę do kościoła częściej. Mój brat zginął na wojnie i od tego czasu ciężko mi odnaleźć wiarę.

– To trudne, wiem.

– To, co powiedziałam, jest prawdą, proszę księdza – rzekła Pamela Morton tonem sugerującym, że nie ma już nic do dodania.

Sidney wyobraził sobie, jak jego gość siedzi na nabożeństwie żałobnym, jak zmaga się ze swoim smutkiem. Zastanawiał się, czy rozglądała się po zgromadzonych, szukając podejrzanego. Ale po co by ktoś miał zabijać Stephena Stauntona?

Kobieta zorientowała się, że Sidneya trzeba przekonać.

– Pomysł, że Stephen odebrał sobie życie, jest absurdalny. Mieliśmy takie plany! Czuliśmy, że będziemy znowu młodzi, że możemy być, kimkolwiek zechcemy. Zaczęlibyśmy od początku. Żylibyśmy tak, jak jeszcze nigdy. Tak właśnie brzmiały ostatnie słowa, które usłyszałam z jego ust: „Będziemy żyć, jak jeszcze nigdy”. To nie są słowa człowieka, który zamierza się zastrzelić, prawda?

– Nie, rzeczywiście.

– A teraz wszystko przepadło. Nadzieja. Miłość. – Pamela Morton podniosła do oczu chusteczkę. – Nie mogę tego znieść. Przykro mi. Nie chciałam tu płakać.

Sidney podszedł do okna. Co on niby miał z tym zrobić, u diaska? To nie była jego sprawa... Nagle jednak przypomniał sobie, że skoro jest kapłanem, o żadnej sprawie nie może już tak powiedzieć. Żaden aspekt ludzkiego życia nie wychodził poza zakres jego obowiązków. Co więcej, jeśli Pamela Morton miała rację i jeśli Stephen Staunton nie popełnił samobójstwa postrzeganego przez tylu ludzi jako grzech, to oznaczało, że zamordowano niewinnego człowieka, a morderca przebywa na wolności.

– Czego oczekuje pani ode mnie? – spytał.

– Żeby porozmawiał ksiądz z ludźmi. Nieoficjalnie, jeśli ksiądz może. Nie chcę, by ktokolwiek się dowiedział o moim udziale w tej sprawie.

– Ale z kim mam rozmawiać?

– Z ludźmi, którzy go znali.

– Niezupełnie wiem, o co mogę ich pytać.

– Ludzie mówią księżom różne rzeczy, prawda?

– Prawda.

– I może ksiądz zadać niemal każde pytanie, choćby nie wiadomo jak osobiste?

– No, trzeba zachować ostrożność.

– Ale wie ksiądz, o czym mówię...

– Wiem – odrzekł z jak największą ostrożnością Sidney.

– A więc mając w pamięci wszystko, co powiedziałam, może ksiądz we właściwym momencie zadać pytanie, którego nie zadałby nikt inny?

– Chyba nie mogę niczego obiecać. Nie jestem detektywem.

– Ale zna się ksiądz na ludziach. Rozumie ich.

– Nie zawsze.

– No ale mnie, mam nadzieję, ksiądz rozumie.

– Tak – odrzekł Sidney. – Mówiła pani bardzo jasno. Wyobrażam sobie, że to musiało być straszne. Musiała pani radzić sobie z tym sama...

Pamela Morton odłożyła chusteczkę.

– To prawda. Ale powiedziałam to, co musiałam. Na pewno mogę polegać na dyskrecji księdza? – Spojrzała na niego znowu bezbronna. – Nie wyjawi ksiądz mojego nazwiska?

– Oczywiście, że nie! – zapewnił Sidney, już się martwiąc, jak zdoła dotrzymać tej obietnicy.

– Przykro mi w związku z tym wszystkim – ciągnęła pani Morton. – Wstyd mi, naprawdę. Nie wiedziałam, jak to powiedzieć, jakich słów użyć. Nic nie wiem i muszę siedzieć cicho, zachować spokój. Nie mam z kim porozmawiać. Dziękuję, że mnie ksiądz wysłuchał.

– Od tego jestem – odrzekł Sidney i od razu się zastanowił, czy to prawda. Po raz pierwszy zetknął się z przypadkiem cudzołóstwa, o morderstwie nie wspominając.

Pamela Morton wstała. Sidney zauważył, że pomimo płaczu nie rozmazał się jej tusz do rzęs. Znowu odgarnęła kosmyk włosów i wyciągnęła do niego dłoń.

– Do widzenia, księże Chambers. Wierzy mi ksiądz, prawda?

– Wykazała się pani wielką odwagą, mówiąc mi to wszystko.

– Zdaniem Stephena odwagi akurat mi nie brakuje. Jeśli się dowie ksiądz, co mu się przydarzyło, mam nadzieję, że mnie pierwszej pan o tym powie. – Uśmiechnęła się znowu smutno. – Znajdę księdza.

– Zawsze można mnie znaleźć tutaj, pani Morton.

– Proszę mówić mi po imieniu.

– Do widzenia, Pamelo.

Sidney zamknął drzwi wejściowe i zerknął na zegarek, który ojciec dał mu z okazji święceń. Może jednak zdąży na stypę... Wrócił do saloniku wypełnionego zniszczonymi meblami, które rodzice kupili mu na aukcji w okolicy. „Trzeba by to pomieszczenie trochę rozweselić” – pomyślał. Zebrał szklanki, zaniósł je do zlewu

i odkręcił kran z ciepłą wodą. Lubił zmywać. Proste czynności porządkujące natychmiast przynosiły widoczne rezultaty. Przystanął na chwilę w oknie i patrzył na rudzika skaczącego na sznurze do prania. Niedługo trzeba będzie wysłać kartki bożonarodzeniowe.

Na obrzeżu szklanki po whisky Pameli Morton zauważył ślad szminki i przypomniał sobie przeczytany w „Sunday Timesie" wiersz Edny St. Vincent Millay.

Ust całowanych – czyje były, gdzie i po co –
Już nie pamiętam; czyje pod uśpioną głową
Miałam ramiona, nie wiem; lecz dziś, w tę deszczową
Noc, zjawiają się duchy...[2]

„Ależ ludzie sobie komplikują życie" – pomyślał.

Inspektor Keating, przyjaciel Sidneya, wysłuchał jego rewelacji z ponurą miną.

– Ciężko sobie wyobrazić bardziej jednoznaczną sytuację – westchnął. – Mężczyzna zostaje w biurze po wyjściu wszystkich pracowników. Zasiada do karafki whisky, a potem strzela sobie w głowę. Rano znajduje go sprzątaczka, wzywa policję, my przyjeżdżamy, i to wszystko! Sprawa przejrzysta jak kryształy mojej żony.

Obydwaj siedzieli przy swoim ulubionym stoliku w barze RAF-u w The Eagle, pubie dogodnie umieszczonym niedaleko posterunku przy St Andrews Street. Zaprzyjaźnili się po tym, jak Sidney celebrował pogrzeb poprzednika inspektora, i teraz nieoficjalnie spotykali się co czwartek po południu, by wypić kilka piw, zagrać w tryktraka i podzielić się zwierzeniami. Były to jedne z nielicznych chwil, gdy Sidney mógł zdjąć koloratkę, włożyć sweter i udawać, że nie jest duchownym.

– Niekiedy sprawy są zbyt oczywiste – zauważył.

– To prawda – zgodził się inspektor, wyrzucając piątkę i trójkę – ale ta sprawa jest prosta jak drut. – Mówił z lekkim akcentem northumbryjskim, jedyną pozostałością okolic, które opuścił jako sześciolatek. – Aż nie mogę uwierzyć, że sugerujesz, że jesteśmy na niewłaściwym tropie.

– Nie sugeruję nic takiego. – Sidneya zaniepokoiło założenie przyjaciela, że on oficjalnie się czegoś domaga. – Jedynie daję wyraz zdziwieniu.

Inspektor Keating forsował swoje racje.

– Żona Stephena Stauntona powiedziała, że mąż był przygnębiony. I że za dużo pił. Irlandczycy już po prostu tacy są. Od sekretarki wiemy, że zmarły zaczął co tydzień jeździć do Londynu i że zaniedbywał pracę, za rzadko bywając w kancelarii. Musiała go nawet kryć i wykonywać co prostsze zadania za niego. Drobne czynności notarialne i tym podobne. Pozostaje też poślednia kwestia ostatnich wypłat z konta: duże sumy gotówką, których żona na oczy nie widziała.

Nikt nie wie, co się z nimi stało. To sugeruje...

Sidney wyrzucił dwie piątki i przesunął cztery ze swoich pionków.

– Zapewne uznałeś go za hazardzistę...

– No oczywiście. I jeszcze uznałem, że długi zapewne pokrywał z pieniędzy firmowych. Gdyby żył, niechybnie musiałbym rozpocząć śledztwo w sprawie oszustwa. – Inspektor wyrzucił czwórkę oraz dwójkę i zbił jeden z pionków Sidneya. – Wyobrażam więc sobie, że gdy długi wzrosły, Stauntonowi groziło zdemaskowanie i strzelił sobie w łeb. To dość powszechne, prawda? Rekontra?

– Oczywiście. – Sidney rzucił raz jeszcze. – Ach... Chyba mogę jeszcze raz rozpocząć grę. – Ustawił pionek na linii dwadzieścia trzy. – Zostawił list pożegnalny?

To pytanie zirytowało inspektora Keatinga.

– Nie, Sidneyu, nie zostawił listu.

– Jest więc margines błędu?

Inspektor wychylił się do przodu i pokręcił głową. Już myślał, że ma wygraną w kieszeni, a oto widział, że Sidney niedługo mu się wymknie.

– W tej sprawie nie ma miejsca na wątpliwości. Nie każdy samobójca zostawia list pożegnalny...

– Większość zostawia.

– Mój szwagier pracuje w policji w rejonie Beachy Head. Oni tam nie zostawiają listów pożegnalnych, zapewniam cię. Po prostu skaczą i spadają.

– Wyobrażam sobie.

– Pan Staunton zabił się sam, Sidneyu. Jeśli mi nie wierzysz, złóż wdowie jedną ze swoich wizyt duszpasterskich. Na pewno to doceni. Tylko niczego sobie nie wymyślaj.

– Do głowy by mi nie przyszło – skłamał jego towarzysz, przewidując mało prawdopodobne zwycięstwo na planszy.

Sidney trafił do Grantchester ze względu na swój dawny college Corpus Christi, gdzie kiedyś studiował teologię, a teraz prowadził seminaria. Przysługiwało mu tu prawo do stołowania się w uczelnianych przybytkach. Lubił w swojej pracy połączenie elementu akademickiego z duchownym, ale niekiedy martwił się, że przez zajęcia w college'u brakuje mu czasu na skupienie się na obowiązkach duszpasterskich. Mógł prowadzić parafię, uczyć, odwiedzać chorych, prowadzić klasy bierzmowanych i nauki przedmałżeńskie, ale często miał poczucie winy, że za mało robi dla ludzi. Wręcz niekiedy ujmował to wprost: wolałby być lepszym duszpasterzem.

Wiedział na przykład, że jego obowiązki względem osób w żałobie wykraczają daleko poza samo odprawienie pogrzebu. Ci, którzy stracili ukochaną osobę, często potrzebowali więcej pocieszenia, gdy już ustąpił pierwszy wstrząs wywołany śmiercią, gdy ich przyjaciele powrócili do codziennych obowiązków

i minął oficjalny okres żałoby. To właśnie duszpasterz powinien zapewnić pokrzepienie, powinien kochać swoich parafian i służyć im bez względu na koszty własne. W rezultacie Sidney w drodze do Cambridge następnego ranka bez wahania zaszedł do wdowy po Stephenie Stauntonie.

Mieszkała w środkowej części szeregowca z końca epoki wiktoriańskiej, przy Eltisley Avenue, ulicy znajdującej się na skraju Meadows. Do takich domów przeprowadzają się młode rodziny, gdy ma przyjść na świat ich drugie dziecko. Cała ta okolica sprawiała dość przyzwoite wrażenie, ale Sidney mimowolnie pomyślał sobie, że brakuje jej uroku. Praktyczne budynki uniknęły bombardowania w czasie wojny, ale trudno było dopatrzyć się w nich tchnienia historii czy tożsamości lokalnej. Krótko mówiąc – gdy Sidney szedł ulicą, czuł się, jakby przebywał w dowolnym miejscu w Anglii.

Hildegard Staunton była jeszcze bledsza niż na pogrzebie męża. Miała krótkie kręcone blond włosy i wielkie zielone oczy. Brwi nosiła wyskubane do cieniutkich linii, nie malowała ust. Na skutek tego wszystkiego jej twarz sprawiała wrażenie całkowicie pozbawionej emocji. Miała na sobie ciemnooliwkową podomkę z szalowym kołnierzem i rękawami zakończonymi mankietami, które Sidney zauważył dopiero w chwili, gdy kobieta podniosła dłoń do włosów. Może się zmartwiła, że wymagają mycia i że powinna umówić się na wizytę u fryzjerki, na którą jednak nie miała sił?

Hildegard w czasie uroczystości żałobnych była opanowana, choć spięta, ale teraz nie musiała zachowywać spokoju; wstała zaraz po tym, jak usiadła, nie mogąc się skoncentrować. Gdyby ktoś obserwował ją zza okna, pewnie by uznał, że coś zgubiła. Sidneya zaciekawiło, czy lekarz przepisał jej jakieś medykamenty, dzięki którym lżej znosiłaby ból utraty.

– Przyszedłem spytać, jak pani sobie radzi – zaczął.

– Udaję, że on ciągle tu jest – odpowiedziała Hildegard. – Tylko w ten sposób mam szansę to wytrzymać.

– Te wszystkie uczucia są dla pani nowe, dziwne. – Już sama wiedza o zdradzie Stephena Stauntona wprawiała Sidneya w zakłopotanie, a co dopiero wiedza o ewentualnym morderstwie.

– Zawsze w tym kraju czułam się dziwnie. Czasami wydaje mi się, że żyję cudzym życiem.

– Jak poznała pani męża?

– W Berlinie po wojnie.

– Był żołnierzem?

– Służył w Strzelcach Ulsterskich. Brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych przysyłało ludzi, żeby nas „przewietrzyli”, cokolwiek to znaczyło, i wszyscy chodziliśmy na wykłady o *Abendländische Kultur*. Ale nikt z nas ich za bardzo nie słuchał. Chcieliśmy tylko tańczyć.

Sidney próbował sobie wyobrazić Hildegard Staunton tańczącą w zbombardowanej sali balowej, pośród ruin. Poruszyła się na kanapie i poprawiła połę podomki. Może nie chciała o sobie opowiadać, ale skoro nie spojrzała mu w oczy, zrozumiał, że zamierza mówić dalej. Jej głos, choć łagodny, domagał się uwagi.

– Czasami wyprawialiśmy się na wieś i wieczorami piliśmy białe wino pod jabłoniami. Myśmy uczyli ich śpiewać *Einmal am Rhein*, a oni nas *The Star of County Down*. Podobało mi się, jak Stephen śpiewał tę piosenkę. A gdy opisywał swój dom w Irlandii Północnej, czułam, że to może być moje schronienie po wszystkim, co się wydarzyło w czasie wojny. „Będziemy mieszkali nad morzem – mówił – może w Carrickfergus". Mieliśmy przechadzać się nad brzegami Lough Neagh i słuchać krzyku kulików przelatujących nad wodą. Miał taki urokliwy głos. Wierzyłam we wszystko, co mi mówił. Ale nigdy nie pojechaliśmy do Irlandii. Tutaj trafiła się propozycja pracy. Tak więc nasze wspólne życie zaczęło się dla mnie zupełnie nieoczekiwanie. Nigdy nie sądziłam, że będę mieszkać w angielskim miasteczku. Dla Niemki nie jest to oczywiście łatwe.

– Bardzo dobrze mówi pani po angielsku.

– Bardzo się staram. Ale na Niemców patrzy się podejrzliwie, na pewno ma ksiądz tego świadomość. Rozumiem, dlaczego ciągle tak myślą, od wojny minęło niewiele czasu. Trudno ich winić. Nie mogę mówić każdej napotkanej osobie, że mój ojciec nie był nazistą, że został zastrzelony na manifestacji komunistycznej, gdy miałam sześć lat. Nie uważam, że mam na sumieniu coś złego. Ale ciężko nam żyć po takiej wojnie.

– Każdemu ciężko.

Hildegard zamilkła i przypomniała sobie, że umknęło jej coś ważnego.

– Może napiłby się ksiądz herbaty?

– Z przyjemnością.

– Nie najlepiej parzę. Stephena nieustannie to bawiło. Częściej pił whisky.

– Sam mam raczej słabość do szkockiej.

– Stephen oczywiście pił irlandzką.

– No tak – przypomniał sobie Sidney. – Zupełnie inny smak.

Hildegard Staunton kontynuowała opowieść:

– Pił bushmillsa. Mówił, że to najstarsza whisky na świecie. Kojarzyła mu się z domem. „Whisky protestancka – powtarzał – z hrabstwa Antrim". Brat mu przysyłał dwie skrzynki co roku, jedną na urodziny, drugą na Boże Narodzenie. Wychodziło po dwie butelki na miesiąc. To nie wystarczało. Może dlatego właśnie pojechał do Londynu przed śmiercią. Nie w interesach, tylko odebrać zamówioną whisky. W Cambridge nie mogliśmy dostać bushmillsa, a on nie pijał nic innego.

– Nigdy?

– Mówił, że wolałby już pić wodę. Albo dżin. A gdy już go pił, to i tak jak

wodę. – Hildegard uśmiechnęła się smutno. – Może wolałby ksiądz sherry zamiast herbaty? Duchowni często pijają sherry, prawda?

Sidney nie chciał tłumaczyć, że osobiście nie lubi sherry.

– Z przyjemnością...

Pani Staunton podeszła do barku w kredensie. Sidney stwierdził, że w pomieszczeniu jest niewiele książek, ale zauważył pianino Bechsteina i kilka gustownych reprodukcji pejzaży, a także kolekcję niemieckiej porcelany, w tym skrzypka zalecającego się do tancerki i arlekina bawiącego się ogonem mopsa. Większość figurek przedstawiała dzieci: chłopca w różowej kurteczce grającego na flecie, dziewczynkę w różowej bluzce z koszem kwiatów, maleńką baletnicę, braci i siostry przy stole piknikowym.

Przypomniał sobie, z jakiego powodu tu przyszedł.

– Przepraszam, że się pani narzucam. Ale uważam panią za swoją parafiankę...

– Jak ksiądz wie, jestem luteranką. Nie chodzimy regularnie do kościoła.

– Zawsze jest pani mile widziana.

– *Kinder, Küche, Kirche*. – Hildegard się uśmiechnęła. – Niemiecka tradycja. Ja chyba nie jestem dobra w żadnej z tych konkurencji.

– Pomyślałem, że może przydałaby się pani moja pomoc...

– Odprawił ksiądz pogrzeb mojego męża. To już dużo, zwłaszcza w tych okolicznościach.

– Bardzo trudnych.

– Po tym, jak wojna zabrała tylu ludzi... Trudno zrozumieć, że ktoś rozmyślnie decyduje się odebrać sobie życie, skoro przeżył wojnę. I na pewno ksiądz to potępia.

– Wierzymy, że życie jest święte i dane od Boga.

– I zatem Bóg je odbierze.

– Niestety tak.

– A jeśli Boga nie ma?

– Nie mogę tak myśleć.

– Nie, rzeczywiście ksiądz nie powinien. – Hildegard po raz pierwszy uśmiechnęła się wesoło.

– Zdecydowanie.

Podała Sidneyowi sherry. On zaś się zastanawiał, dlaczego się w to wszystko wplątał.

– Wróci pani do Niemiec? – spytał.

– Niektórzy mówią, że Niemiec już nie ma. Ale moja matka mieszka w Lipsku. Mam też siostrę w Berlinie. Tutaj chyba nie mogę zostać.

– Nie podoba się pani Cambridge?

– Czasami jest posępne. To właściwe słowo? Przez pogodę i wiatr...

Sidney zastanawiał się, czy małżeństwo Stauntonów w ogóle było kiedyś szczęśliwe.

– Tak mi przyszło do głowy... – zaczął niepewnie – czy mąż podzielał pani odczucia?

– Oboje chyba czuliśmy, że jesteśmy tu obcy.

– Był przygnębiony?

– Pochodził z Ulsteru. To jak ksiądz sądzi?

– Nie sądzę, żeby wszyscy pochodzący z Ulsteru byli przygnębieni, pani Staunton.

– Oczywiście, że nie. Ale w połączeniu z alkoholem... – Hildegard zawiesiła głos i nie dokończyła zdania.

– Wiem... alkohol nie pomaga.

– Dlaczego ksiądz o to pyta? – podjęła Hildegard.

– Przepraszam. To było nietaktowne, wiem. Zastanawiałem się po prostu, czy może bała się pani, że do tego dojdzie.

– Nie.

– Więc to był szok?

– Tak. Ale z drugiej strony mnie nic nie zaskoczy, proszę księdza. Kiedy ktoś, tak jak ja, stracił na wojnie większość rodziny, gdy nic mu z życia nie zostało i kiedy wszelka nadzieja obróciła się w pył, to dlaczego coś miałoby mną wstrząsnąć? Walczył ksiądz na wojnie?

– Tak.

– Więc pewnie ksiądz rozumie.

Sidney wiedział, że gdyby był lepszym chrześcijaninem, spróbowałby porozmawiać z Hildegard o szukaniu pociechy w wierze, uważał jednak, że to nie jest odpowiedni moment.

Ta rozmowa wzbudziła w nim niepokój, bo tyle tematów przebiegało mu przez głowę: natura śmierci, obraz małżeństwa i problem zdrady. Skupienie się na którymś z tych zagadnień zapewne zdenerwowałoby Hildegard, starał się więc prowadzić rozmowę neutralnym torem.

– I pochodzi pani z Lipska? – zapytał.

– Tak.

– Tak jak Bach.

– Gram codziennie. Studiowałam w Hochschule w Berlinie u Edwina Fischera[3]. Był dla mnie jak ojciec. Słyszał ksiądz o nim może?

– Moja matka ma chyba jedną z jego płyt.

– Pewnie *Dobrze nastrojony klawesyn*[4]. Jego dzieła wypełniały przestrzeń i radość. To był wspaniały człowiek. Ale w czterdziestym drugim wyjechał do Lucerny, a ja straciłam pewność siebie.

– Pewnie z powodu wojny.

– Wiele rzeczy się na to złożyło.

– Daje pani lekcje?

– W Niemczech miałam wielu uczniów. Wie pan, że praca to nasza broń w walce ze zmęczeniem życiem.

– *Weltschmerz*.

– Zna ksiądz to słowo? – Hildegard znowu się uśmiechnęła. – Jestem pod wrażeniem, księże kanoniku. Ale tutaj niełatwo pracować. Kiedy wrócę do Niemiec, może zdecyduję się pracować. Muszę pracować. Nie wiem, co mój mąż zrobił z pieniędzmi.

– Nie zostawił testamentu?

– Nie sądzę.

– Może wspólnik męża czekał aż do pogrzebu, żeby panią powiadomić o istnieniu tego dokumentu?

– Nie znam go zbyt dobrze. Mąż niechętnie mówił o pracy. Najwyżej tyle, że się w niej nie spełnia. Wiem jedynie, że Clive Morton miał podobne odczucia. Przypuszczam, że bardziej się interesował golfem niż prawem.

– Może bym rozpytał w pani imieniu, jeśli to pani pomoże?

– Nie chciałabym księdzu robić kłopotu.

– To żaden kłopot – zapewnił Sidney.

– Nie spieszy się... – mówiła dalej Hildegard Staunton. – Mam własne konto bankowe i na razie wystarczy mi pieniędzy. Gdybym jeszcze nie czuła się taka zmęczona. Myślę, że to smutek. Zupełnie jakbym patrzyła w szyb windy. Ciemna dziura. Ciągnie się w dół i nie widać jej dna.

Sidney usiadł obok niej.

– Bardzo mi przykro, pani Staunton. Może nie powinienem pani nachodzić.

Hildegard spojrzała mu w oczy.

– Nie, cieszę się, że ksiądz przyszedł. Czuję się nieswojo. Mam nadzieję, że ksiądz mi wybaczy.

– Doznała pani ogromnej straty.

– Nie spodziewałam się, że to będzie tak straszne. Wiedziałam, że Stephen trzyma swój rewolwer z czasów wojny. Mówił, że niekiedy rozmyśla o tym, do czego mu służył. O ludziach, których zabił. Miał takie wyrzuty sumienia. Myślę, że pamięć o walkach go przerastała. Może poślubiając mnie, chciał spróbować naprawić to, co się stało, ale moim zdaniem tylko sobie zaszkodził. Wciąż rozmyślał o tym, że może zabił kogoś, kogo znałam: nauczycieli, przyjaciół, krewnych. Nie wiedziałam, co mu na to odpowiadać. Nic dobrego z tego nie wynikało.

Sidney sam pamiętał, jak walczył w ostatnim roku wojny w Gwardzistach Szkockich: długie okresy czekania, bezsenne noce, a potem szybkie ataki, ryzyko, śmierć. Pamiętał nie tyle zabijanie, ile poczucie winy i straty: takich ludzi jak Jamie

Wilkinson „Wilko”, którego wysłał na zwiad i który nigdy nie wrócił. Przypominał sobie strach na twarzach ludzi; nagłe akcje, a później, po ich zakończeniu, pospieszne, barbarzyńskie grzebanie kolegów. Nikt o tym nie mówił, ale Sidney wiedział, że oni wszyscy wciąż myśleli o tym, co się zdarzyło, i że mieli nadzieję, że ich natrętne myśli i lęki kiedyś ucichną. Resztę życia spędzą w cieniu śmierci i cokolwiek będą robić, nic nie wywrze na nich takiego wpływu jak to, co robili w latach wojny.

– Słucha mnie ksiądz?

Sidney przypomniał sobie, gdzie się znajduje.

– Bardzo panią przepraszam.

Hildegard sprawiała wrażenie wręcz ubawionej jego brakiem uwagi. Sidney dostrzegł zaczątki uśmiechu. Podobały mu się jej usta.

– Chyba się ksiądz rozmarzył. Rozmarzenie to dla mnie coś normalnego, nawet bardziej niż to, co jest prawdziwe.

Sidney przypomniał sobie powód swojej wizyty. To nie będzie łatwe, ale musiał się postarać odkryć prawdę.

– Chciałem zadać pani pewne pytanie. Mam nadzieję, że pani nie urażę.

– Mam nadzieję, że zdołam na nie odpowiedzieć.

– Wiem, że to może zabrzmi dziwnie... – zaczął z wahaniem Sidney – ale jak pani sądzi, czy ktoś chciałby skrzywdzić pani męża?

– Co to za pytanie!

– Bardzo przepraszam...

– A dlaczego ktoś by miał go krzywdzić? On już i tak doskonale sam sobie z tym radził.

– Tak, tak właśnie mi się wydaje.

– Wszyscy mojego męża uwielbiali, proszę księdza. Był uroczym człowiekiem.

Sidney dopił sherry.

– Szkoda, że go nie poznałem.

Już miał przeprosić i wyjść, gdy Hildegard Staunton uzupełniła odpowiedź:

– Oczywiście powinien ksiądz jeszcze porozmawiać z jego sekretarką.

– Dlaczego „oczywiście”?

– Poznał ksiądz pannę Morrison?

– Nie wydaje mi się.

– Była na pogrzebie. Ona odpowiadała za organizację życia służbowego mojego męża i znała wszystkich, którzy się z nim spotykali. Jeśli wybiera się tam ksiądz wypytać o testament, pewnie ona zdoła odpowiedzieć na pańskie pytanie. Cały dzień spędzali razem. Ja siedziałam sama w tym domu... – mówiąc to, Hildegard odwróciła wzrok.

Na obrzeżu kominka Sidney dostrzegł jeszcze jedną porcelanową figurkę,

przedstawiającą dziewczynkę karmiącą kurczęta. *Mädchen füttert Hühner* głosił skreślony gotykiem napis u podstawy. Zastanawiał się, od kogo ją dostali, albo czy należała do rodziny Hildegard, czy została kupiona, gdy była małą dziewczynką. Tylu pytań nie mógł zadać...

– Nie mogliśmy mieć dzieci – usłyszał jakby w odpowiedzi.

– Przepraszam. Nie chciałem pani zdenerwować ani być wścibski.

– Nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Czasami odnoszę wrażenie, że ludzie, którzy mieszkają w Anglii, wolą swoje zwierzęta domowe niż dzieci. Ale już się tym nie przejmuję. Postaram się zajść do kościoła. Miło ze strony księdza, że odprawił ksiądz pogrzeb. Ma ksiądz taką sympatyczną twarz.

– Dziękuję – odrzekł – o ile to prawda.

– Proszę jeszcze mnie odwiedzić – zaproponowała Hildegard – po spotkaniu z panną Morrison. Jeśli się ksiądz z nią umówi, może ona powie księdzu więcej niż ja.

Hildegard Staunton wyciągnęła rękę, a Sidney ją uścisnął. Miała silną dłoń. I patrzyła na swojego gościa pewnym wzrokiem.

– Dziękuję za wizytę. I zapraszam ponownie.

– Będzie to dla mnie zaszczyt.

Sidney wrócił do kościoła i poczuł niewypowiedziany smutek. Coś go niepokoiło. Pomyślał o polach w zagranicznym kraju, o letnim wieczorze, białym winie i jabłoniach, irlandzkim młodzieńcu i niemieckiej ślicznotce na początku wspólnej przygody i o piosence:

From Bantry Bay up to Derry Quay
And from Galway to Dublin town
No maid I've seen like the sweet colleen
That I met in the County Down.[5]

Kiedyś mieli przed sobą całe życie.

Biura kancelarii Morton i Staunton mieściły się na parterze piętrowego budynku stykającego się z żółtą ceglaną loggią dworca kolejowego w Cambridge. Po lewej znajdowała się poczekalnia oraz gabinet panny Morrison. Po prawej gabinety wspólników: Clive'a Mortona i Stephena Stauntona.

Sekretarka zmarłego zaskoczyła Sidneya swoją powierzchownością. Nie przypominał sobie, żeby ją widział na pogrzebie, i w wyobrażeniach posłużył się stereotypem. Spodziewał się szablonowej kobiety w zielonej tweedowej spódnicy o włosach upiętych w schludny kok. Statecznej niewiasty, która kształciła się w Girton, mieszkającej z matką i kilkoma kotami. Tymczasem zastał elegancką, drobną kobietę dobiegającą czterdziestki, o bystrych oczach i szlachetnych rysach twarzy. Miała na sobie czarno-biały strój i srebrną biżuterię doskonale harmonizującą z elegancko uczesanymi siwymi włosami.

– Panno Morrison... my się chyba jeszcze nie poznaliśmy.

– Niestety, wymknęłam się zaraz po nabożeństwie. Bardzo ciężko to wszystko przeżyłam, na pewno ksiądz rozumie.

– Wyobrażam sobie – odrzekł Sidney. Pożałował, że tu przyszedł.

Co on wyprawiał, angażując się w to wszystko? Gdy jeszcze czekał na święcenia, myślał o beztroskim życiu spokojnego prowincjonalnego proboszcza, a oto wtykał nos w sprawy innych ludzi, angażując się w sytuacje, które ewidentnie mu nie odpowiadały. Musiał się skupić na oficjalnym powodzie swojej wizyty: na testamencie Stephena Stauntona.

– Mam nadzieję, że nie przyszedłem nie w porę? – zagaił.

– Jest jeszcze tyle spraw do uporządkowania. Ale pracy mam o połowę mniej niż kiedyś, a nie jestem pewna, czy będziemy szukać nowego wspólnika...

Sidney spojrzał na biurko panny Morton, na kartki rozrzucone obok nie najnowszej maszyny do pisania. Na wierzchu grubej, rosyjskiej bodajże powieści leżały cytrynowe cukierki.

– Czym mogę panu służyć? – spytała.

– Przyszedłem w imieniu pani Staunton – zaczął. To w przybliżeniu była prawda. – Jak zapewne pani rozumie, nie czuje się w tej chwili nadzwyczajnie. Zaproponowałem, że spytam, czy jej mąż zostawił testament.

– Zastanawiałam się nad tym, proszę księdza, i to właśnie jest dziwne. Nie zostawił. Podobnie jak wielu prawników, był świetny w pouczaniu innych, ale własne sprawy traktował po macoszemu.

– Trzeba go było trochę pilnować?

– Mój pracodawca nie należał do osób bardzo metodycznych.

– Ale pani prowadziła jego terminarz, organizowała spotkania, tego typu rzeczy?

– Oczywiście.

– Organizowała pani jego życie?

– Niezupełnie.

– Nie rozumiem.

– Czasami bywał tajemniczy.

– Pewnie większość ludzi lubi zachować jakąś sferę życia wyłącznie dla siebie. Wiem to po sobie.

Panna Morrison zaczęła wyjaśniać.

– Pan Staunton prowadził własny terminarz, więc jeśli ktoś rozmawiał bezpośrednio z nim, mógł zapisać coś właśnie w tym terminarzu i często prowadziło to do zamieszania. Jeśli na przykład umawiał się wieczorem, a rano nie powiedział mi o tym, mieliśmy kilka zdublowanych spotkań. Ale ogólnie doskonale się dogadywaliśmy.

– Więc nie zawsze wszystko pani mówił?

– Lubił swoją prywatność. I nie lubił obciążenia nadmierną liczbą spotkań.

Jej rzeczowy ton wydał się Sidneyowi nieprzekonujący.

– Przepraszam, panno Morrison, ale muszę zadać pani pewne pytanie... Czy pani pracodawca był człowiekiem trudnym?

– Nie był łatwy, ale kiedy się z kimś współpracuje tak długo, można się przyzwyczaić do jego nawyków.

Sidney już miał zadać najważniejsze pytanie – o stan ducha Stephena Stauntona przed śmiercią – ale za oknami przejechał pociąg z takim łoskotem, że aż szyby zadrżały.

– Dobry Boże – rzekł.

– Tylko ekspres powoduje tyle hałasu. Przejeżdża co dwie godziny, więc nie jest tak źle. Człowiek się z czasem przyzwyczaja.

Sidney już zamierzał powrócić do delikatnego, w jego mniemaniu, przesłuchania, gdy do gabinetu zajrzał Clive Morton. Był to wysoki mężczyzna o siwiejących blond włosach zaczesanych do tyłu, utrwalonych lotionem i dawno niestrzyżonych. Nosił granatowy sweter i szare spodnie flanelowe, białą koszulę i krawat Savage Club. Najwyraźniej uważał, że jego wygląd decyduje o wizerunku firmy.

– Ksiądz Chambers – rzekł. – Chyba nie widzieliśmy się od pogrzebu? Mam nadzieję, że moja sekretarka spełnia wszystkie życzenia księdza.

Panna Morton weszła mu w słowo.

– Ksiądz przyszedł w sprawie testamentu.

To zaskoczyło notariusza.

– Nie wiedziałem, że to działka księdza.

– W imieniu pani Staunton.

Clive Morton jakby już zaczął podejrzewać, z jakich powodów Sidney przyszedł.

– Rozumiem.

Tego właśnie człowieka chciała opuścić Pamela Morton. Sidney nie czuł się dobrze z tą wiedzą.

– Właśnie przechodziłem, gdy...

– Nasz Stephen nie był pasjonatem papierkowej roboty. Raczej nazwałbym go niedbałym. Proszę nie sądzić, że zawracał sobie głowę testamentem. Nie był też tak miły, żeby zostawić list z wyjaśnieniem, dlaczego zrobił coś tak potwornego. Biedna pani Hughes...

– Słucham?

– Nasza sprzątaczka. Ona go znalazła.

– A więc jego kroku nie da się w żaden sposób wyjaśnić?

– Nie ma w zasadzie tu czego wyjaśniać. Wypił tyle whisky, że dała mu niezbędną odwagę, i już.

– Długo byli panowie wspólnikami?

– Jakieś pięć lat. Obaj studiowaliśmy prawo w Trinity, a po wojnie nawiązaliśmy kontakt.

– Przyjaźniliście się więc?

– Można tak to ująć. Miewaliśmy oczywiście sprzeczki, ale nic poważnego. Chociaż trzeba zaznaczyć, że Stephen potrafił mieć humory co się zowie. Uroczy ulsterczyk, który pije za dużo, a potem opowiada, jakie wszystko jest beznadziejne... Zna ksiądz ten typ.

Clive Morton swoją obecnością dominował w gabinecie. Panna Morrison skinęła lekko głową i ruszyła do drzwi. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej.

– Przepraszam panów...

Sidney drążył.

– Był porywczy?

– Och, i to jak. Pamiętam, kiedyś rzuciłem żartem, że to dość zabawne, że człowiek, który pojął za żonę Niemkę, musi podpisywać dokumenty inicjałami SS. Ależ go to rozwścieczyło!

– No, wyobrażam sobie.

– O tak, nasz Stephen to raczej nie umiał śmiać się z siebie. – Clive Morton ruszył do stolika z trunkami i zaczął otwierać butelkę sherry. – Napije się ksiądz? Już prawie południe, a ostatnio nie jest nam tu łatwo, jak ksiądz pewnie się domyśla.

– Nie powinienem...

– Śmiało...

– Może odrobinę whisky.

– Och. – Clive Morton urwał. – O ile wiem, księża piją sherry.

– Większość ludzi tak uważa... ale ja wolałbym whisky, jeśli można.

– Jak ksiądz ją pije?

– Czystą poproszę, z butelki.

– Stephen miał wielką słabość do whisky, irlandzkiej. Ja akurat wolę dżin z tonikiem. Panna Morrison na pewno przyniesie nam lodu. Wie, że przed lunchem muszę się trochę wzmocnić.

Sidney upił łyk trunku, którego notariusz nalał mu z karafki. Smakowała dokładnie jak w domu.

– To z zapasów Stephena Stauntona?

– Nie mam pojęcia. Panna Morrison zawiaduje kredensem. Normalnie proponujemy klientom dżin albo sherry. Jeśli ktoś jest bardzo zdenerwowany, odrobinę brandy dla kurażu. Stephen jednak pijał wyłącznie whisky.

Sidney nie należał do entuzjastów tego trunku, ale spędził dość czasu ze swoimi kolegami ze Strzelców Ulsterskich, by teraz się zorientować, że nie ma do czynienia z ulubioną whisky Stephena Stauntona. Nie miała dymnego aromatu, nie pachniała owocową słodyczą wanilii ani gorzkim toffi. Krótko mówiąc: nie był to

bushmills.

– Oczywiście Stephen pił zdecydowanie za dużo – opowiadał dalej Clive Morton. – A z tego nigdy nie wynika nic dobrego. Widziałem to już u wielu kolegów, zwłaszcza tych, którzy nie umieli się odnaleźć po wojnie. Wrócili do domu i nie potrafili opowiedzieć, przez co przeszli. Więc pili, żeby się podnieść na duchu, alkohol ich przygnębiał, więc pili jeszcze więcej, żeby sobie poradzić z przygnębieniem. Ksiądz walczył czy był kapelanem?

– Walczyłem, panie Morton. W Gwardzistach Szkockich... – odpowiedział dobitnie, choć wcale tego nie chciał, bo przecież nie zamierzał być protekcjonalny.

– I świetnie! – odrzekł gospodarz.

Sidney przypomniał sobie ćwiczenia na Meadows, wbijanie bagnetów w worki z piaskiem, gdy im powtarzano, jakie to ważne nienawidzić wroga. W tym nigdy nie był dobry, ale domyślał się, że częściej oglądał śmierć niż Clive Morton.

– To wszystko, co zostało? – spytał. – W tej karafce?

– Dlaczego ksiądz pyta? Chce ksiądz dolewkę? – Notariusz się zaśmiał.

Sidney przypomniał sobie słowa Hildegard Staunton: „W Cambridge nie mogliśmy dostać bushmillsa, a on nie pijał nic innego”.

– Ależ skąd – zapewnił. – To w zupełności wystarczy.

Zapadła cisza. Sidney wiedział, że powinien już pójść, ale pomyślał, że jeśli cisza potrwa jeszcze chwilę, to Clive Morton może coś doda.

– Sądzi pan, że sprawy pana Stauntona trudno będzie uporządkować? – spytał Sidney i natychmiast zrobiło mu się głupio, bo przypomniał sobie, że do tych spraw należał romans z Pamelą Morton. Zastanawiał się, czy z jej strony ta zdrada miała charakter osobistej zemsty.

– Adwokaci są trochę jak lekarze, proszę księdza. Zaniedbujemy własne życie, może uważamy się za nieśmiertelnych. Ryzyko zawodowe.

– Ale w wypadku Stephena Stauntona...

– No, to pewnie było nieuniknione...

– Tak pan sądzi?

– Proszę mnie źle nie zrozumieć – powiedział Clive Morton. – Lubiłem go. Kiedyś wiele nas łączyło, ale jak już sugerowałem, ostatnio stał się chłodniejszy: daleki, a do tego humorzasty. I nie da się pracować ze wspólnikiem, który już po lunchu jest wcięty.

– Zastanawiam się, czy panna Morrison nie musiała go kryć.

– Dobra uwaga, proszę księdza. To przybierało absurdalne rozmiary. Powiedziałem Stephenowi, że popołudniami jestem skłonny przymknąć oko, ale nie da się zatrudniać człowieka, który się upija dwa razy dziennie.

– Aż tak to wyglądało?

– Czasami. Nie mówię, że był alkoholikiem. Po prostu nie skupiał się na pracy. Musiałem go ostrzec, oczywiście.

– Że może stracić pracę?

– Tak. Mimo że byliśmy wspólnikami, coś trzeba było zrobić.

– I on wiedział, że grozi mu utrata pracy?

– Oczywiście. Sam mu powiedziałem.

– A sądzi pan, że myśl o utracie tego wszystkiego mogła go przywieść do desperackiego kroku?

– Nie czuję się odpowiedzialny za śmierć Stephena, jeśli to ksiądz sugeruje. Miał mnóstwo okazji, żeby uporządkować swoje życie. Nie będę udawał, że było to łatwe, ale zawsze dobrze się z nim obchodziłem; choćby nie wiadomo ile razy jeździł do Londynu czy znikał bez słowa. Przynajmniej panna Morrison miała go na oku. Zawsze można było polegać, że dokończy papierkową robotę i powie nam w razie potrzeby, gdzie go szukać. On chyba nie miał z nią żadnych problemów. To reszta firmy cierpiała na skutek jego raczej niefrasobliwego podejścia. Teraz muszę księdza przeprosić, w środy gram w golfa.

– W golfa?

– W każdą środę. To pomaga mi przetrwać tydzień. Czasami łączę to z interesami. Poza biurem o wiele łatwiej...

– I grał pan w golfa tego popołudnia, gdy pański wspólnik zmarł?

– Popołudnia? On umarł po pracy, prawda? W środy zawsze zamykamy biuro wcześniej. Stephen miał więc pewność, że nikt go nie powstrzyma. Straszna sprawa, straszna. Kiedy człowiek podejmuje decyzję, że zrobi coś tak drastycznego, nie można go powstrzymać, prawda?

– Pewnie nie. I nie zauważył pan żadnych większych sporów z klientami ani nic w tym rodzaju? Nikt się na niego nie skarżył?

– Nie, o ile wiem. Notariuszom czasami się obrywa, ale ja zawsze sądziłem, że Stephen urokiem osobistym wyplącze się z każdej trudnej sytuacji. Do czego ksiądz zmierza?

– Do niczego, absolutnie – zapewnił pospiesznie Sidney. – Przepraszam, że zająłem panu tyle czasu.

– Ależ nie ma o czym mówić. Nie chcę księdza popędzać, ale przyszedł ksiądz niezapowiedziany. Tu, w kancelarii osoba duchowna niezbyt jest nam potrzebna.

– A ja przyznam, że u nas, w kościele niezbyt jest nam potrzebny prawnik... – odrzekł z niezamierzoną irytacją Sidney.

Jeszcze nigdy nie poczuł tak silnej antypatii do żadnego człowieka, co od razu wzbudziło w nim poczucie winy. Przypomniał sobie, co powtarzał mu stary nauczyciel w college'u teologicznym: „W każdym z nas jest element, którego z natury nie da się pokochać. Musimy pamiętać o tym elemencie w odniesieniu do siebie, zanim zacznie nam przeszkadzać u innych".

Sidney wyszedł, zawstydzony swoją nieuprzejmością. Martwiło go, że taki

się staje. Musi wrócić do swoich oficjalnych obowiązków.

Podjechał rowerem do Corpus Christi i dotarł tam w samą porę, by poprowadzić pierwsze seminarium w tym semestrze. Dotyczyło ewangelii synoptycznych, badania, jak bardzo relacja z życia Chrystusa zawarta w ewangeliach Mateusza, Marka i Łukasza zdawała się na wspólne wcześniejsze źródło, znane jako Q.

Sidney mocno się przykładał do swojej pracy dydaktycznej. Wyjaśnił, że chociaż źródło Q się nie zachowało, a najwcześniejsze zachowane relacje ewangeliczne mogły zostać zapisane jakieś sześćdziesiąt pięć lat po śmierci Jezusa, to ten okres niekoniecznie uznaje się za długi. Można by ten czas porównać do sytuacji, gdy któryś z jego studentów pisze relację o swoim pradziadku żyjącym u schyłku poprzedniego wieku. Zbierając dowody i przepytując tych, którzy owego pradziadka znali, można by stworzyć rzetelne sprawozdanie z życia człowieka nieznanego osobiście studentowi. Wystarczyło tylko dokładnie zbadać fakty.

Sidney nieco się spoufalał ze studentami, ponieważ odkrył, że kiedy młodzi ludzie przybywają do Cambridge, potrzebują nie tylko nauki, lecz także zachęty. Ci, którzy w szkole do tej pory czuli się wybitni, tu ku swemu zaskoczeniu trafiali do grupy studentów równie inteligentnych jak oni sami, a może i bardziej. To w połączeniu z wyniosłością wykładowców, którzy w gruncie rzeczy nie lubili uczyć, powodowało, że studenci pierwszych lat często z zawrotną prędkością tracili pewność siebie. Pomiędzy oczekiwaniami studentów wobec życia akademickiego a późniejszym doświadczeniem istniała luka tak duża, że mogła podziałać zniechęcająco. Jednocześnie uniwersytet jako taki nie przejmował się zagubieniem młodych ludzi, zakładając, że muszą się szybko dostosować albo z płaczem wrócić do mamusi. Sidney zatem uważał za jeden ze swoich obowiązków popatrzeć na co wrażliwszych studentów z większą empatią niż okazywana przez jego kolegów; odnosiło się to zwłaszcza do studentów teologii, dla których wnikliwe badanie mniej pewnych źródeł biblijnych okazywało się wyzwaniem dla wiary. Tak jak w wielu innych dziedzinach życia, Sidney musiał się upewnić, że jego podopieczni spojrzą dalekowzrocznie na życie i powściągną nerwy. Powtarzał sobie, że to nie chyżym bieg się udaje i nie waleczni w walce zwyciężają. Bo czas i przypadek rządzą wszystkim[6] – i najważniejsze to utrzymać pewny kurs.

Tę lekcję sam wciąż musiał sobie powtarzać.

Chociaż Sidney wiedział, że już następnego dnia spotka się z inspektorem George'em Keatingiem na tradycyjną partyjkę tryktraka, uznał, że musi, naprawdę musi zadzwonić do przyjaciela, choćby miał wywołać jego gniew. Rzeczywiście wywołał – inspektor dawno temu zadeklarował, że nie znosi grzebania w zamkniętych sprawach, i wciąż cierpiał po klęsce Anglii w meczu z Węgrami poprzedniego wieczoru.

– Sześć do trzech! A przecież to myśmy tę grę wymyślili! Stadion Wembley

to ojczyzna piłki nożnej, a nikomu nieznana drużyna wbija nam sześć goli. Niewiarygodne!

– Nie wiem, dlaczego tak lubisz piłkę nożną – odrzekł jego przyjaciel. – Zawsze wywołuje nieporozumienia. Krykiet to jest gra...

– Nie zimą...

– No to rugby. Może nawet hokej.

– Hokej! – wykrzyknął inspektor Keating. – Twoim zdaniem powinienem interesować się hokejem?! Może jeszcze kometką?! Dlaczego do mnie dzwonisz?

– Chciałbym coś z tobą omówić.

– Nie może to zaczekać do jutra?

– Mogłoby, ale nie chcę psuć naszej partyjki tryktraka...

Inspektor westchnął przeciągle.

– No to lepiej już do mnie przyjdź. Jeśli znajdziesz czas pomiędzy nabożeństwami...

– Myślę, że ty jesteś bardziej zajęty ode mnie.

– A więc przyjedź na St Andrews Street.

Sidney po raz pierwszy został zaproszony do komisariatu policji i oczekiwał czegoś lepiej zorganizowanego i bardziej nowoczesnego niż to, co zastał. Okazało się, że gabinet inspektora George'a Keatinga nie jest metodycznie zarządzanym ośrodkiem zorganizowanych sił walczących ze zbrodnią, lecz kłębowiskiem szarych teczek, dokumentów, kartek, wykresów, papierowych toreb i filiżanek po herbacie zajmujących każdą możliwą powierzchnię: biurka, krzesła i półki. W ogrzewanym promiennikiem pomieszczeniu okna były lekko zaparowane, popielniczka pełna, a lampka na biurku przepalona. Całe wnętrze można by omyłkowo uznać za pokój nauczyciela akademickiego, a inspektor na pewno nie zamierzał osiągnąć takiego efektu.

Sidney często się zastanawiał, czy powinien coś napomknąć na temat wyglądu przyjaciela. Był on mężczyzną o pięć centymetrów niższym, niżby chciał, i nie miał na to wpływu, a jego garnitur wymagał odprasowania, i na to wpływ już miał. Krawat nosił przekrzywiony, buty zdarte, a rzednące rudoblond włosy zdecydowanie zbyt rzadko widywały się z grzebieniem. Może to obowiązki służbowe, trójka dzieci w domu i żona, która ściśle kontrolowała rodzinne finanse, składały się na ten rezultat. Niekiedy Sidney cieszył się, że sam jest wciąż kawalerem.

Wiedział, że składając tu wizytę, niejako nadużywa uprzejmości przyjaciela i z tego powodu czuł coraz większe wyrzuty sumienia, ale tak ciążyły mu powzięte podejrzenia, że musiał się nimi podzielić. Teraz przedstawił swoje odkrycia, w tym również te dotyczące whisky.

– Wdowa po Stephenie Stauntonie wyraźnie zaznaczyła, że pił on wyłącznie bushmillsa, który jak może wiesz, ma charakterystyczny smak dymu, wanilii

i gorzkich toffi. Tymczasem whisky w kancelarii należała do pospolitych. Podejrzewam, że był to jakiś johnnie walker...

– I co z tego wywnioskowałeś?

– Że tę whisky podstawiono, by wywołać wrażenie, że Stephen Staunton dodał sobie odwagi alkoholem. On sam jednak jej nie pił...

– I pewnie chcesz mi też powiedzieć, że nie wsadził do ust lufy rewolweru i się nie zastrzelił?

– Czy ja dobrze pamiętam, inspektorze, że na rewolwerze nie znaleziono odcisków palców?

Sidney ani myślał odezwać się do przyjaciela po imieniu w jego gabinecie.

– Rzeczywiście. Sprawdziliśmy.

– I nie sądzisz, że to też jest podejrzane?

– Sugerujesz, że ktoś te odciski palców usunął z broni?

– Niewykluczone. Sprawdziliście karafkę?

Teraz, skoro padło takie przypuszczenie, George Keating jeszcze bardziej się zirytował.

– Niezbyt dokładnie. Nie widzieliśmy potrzeby. Będziesz musiał dostarczyć więcej dowodów, Sidneyu. To, co powiedziałeś, nie wystarczy. Kto by zresztą miał zabijać Stephena Stauntona? Jaki miałby motyw? Na ile ustaliliśmy, ten człowiek nie miał żadnych wrogów. Był po prostu przygnębionym notariuszem z Ulsteru nadużywającym alkoholu. Nic ponadto.

– Owszem, inspektorze, tylko że moim zdaniem jest tu coś więcej.

– No to jeśli chcesz, bym coś w tej sprawie jeszcze zrobił, musisz znaleźć więcej informacji...

– Ale jeśli znajdę, będziesz kontynuował śledztwo?

– Jeśli wyjdą na jaw nowe dowody, to oczywiście, że tak. Tymczasem jednak muszę się zająć nastolatkiem, który uciekł z domu, kilkoma włamaniami i bardzo brzydkim szantażem.

– W takim razie przepraszam, że ci przeszkodziłem.

– Nie bądź śmieszny, Sidneyu. Jeśli pojawi się coś nowego, na pewno będziemy kontynuować śledztwo. Musisz pamiętać, że to za mało. Jezus nie zadowolił się jakimiś dwoma cudami, prawda? Robił kolejne, aż ludzie w niego uwierzyli. I to był dowód.

– Myślę, że do Jezusa nam bardzo daleko, inspektorze.

Sidney opuścił komisariat, wsiadł na swój rower szosowy marki Raleigh i ruszył Downing Street. Minął kościół Świętego Benedykta. Bał się myśleć, jak odebrałby jego aktualne zajęcia Isaiah Shaw, obecny proboszcz. Sidney wyczuwał jego dezaprobatę nie tylko w trakcie bezpośrednich spotkań, lecz także mijając jego kościół. Isaiah zasłynął już bowiem z tego, że nie pochwala szybkiego awansu kolegi w strukturach Kościoła Anglii.

Sidney musiał przyznać Isaiahowi rację. Rzeczywiście był szczęściarzem. W efekcie przedwczesnego zgonu poprzednika nowy biskup Ely, powiązany z Corpus Christi, chciał obsadzić własnego kapelana na miejscu Sidneya, a zatem tego ostatniego tak awansował, aż umieścił go na akurat wolnej parafii Grantchester. Ten awans na świetną posadę w stosunkowo młodym wieku trzydziestu lat, a już dwa lata później kanonia zostały odebrane ze sporą zazdrością przez kolegów w podobnym wieku, uznających zażyłą przyjaźń Sidneya z hierarchami co najmniej za zniewagę wobec ich pobożności i ciężkiej pracy. Nie tyle chodziło o kapłaństwo, twierdzili, ile o urok osobisty rywala.

Wskutek tego wszystkiego Sidney uważał, że musi się wykazać nie tylko przed parafianami, lecz także przed kolegami. Musiał *ex post facto* zasłużyć sobie na posadę proboszcza Grantchester. To zaś nie zawsze okazywało się łatwe, starał się więc wykazywać się zaangażowaniem na każdym kroku, robiąc wszystko, co się da, by na codzienne wydarzenia patrzeć okiem chrześcijanina.

Skręcił w Trumpington Street. Tam, chociaż wiedział, że może nieodwracalnie stracić apetyt na lunch, postanowił zatrzymać się w Fitzbillies i znaleźć pokrzepienie w bułeczce z Chelsea. Zastanawiał się, co pani Maguire, jego gospodyni, zostawiła mu na plebanii. W środy zwykle były to kiełbaski. Nie wiedzieć czemu, kiełbaski nie budziły w nim szalonego entuzjazmu, ale też w połowie jedzenia bułeczki stwierdził, że i na coś słodkiego nie ma zbytniej ochoty. Był nie w sosie.

Wsiadł znów na rower i ruszył Mill Lane w stronę Grantchester Meadows. Miał nadzieję, że wiatr wiejący prosto w twarz odrobinę go orzeźwi, tymczasem niewiele się zmieniło. Grupka studentów w budrysówkach i długich uczelnianych szalikach szła na zajęcia, rozmawiając głośno. Schodzili z chodnika na jezdnię, nie zważając na rowerzystów. Szyldziarz odświeżał fasadę rzeźnika, a czyściciel szyb mył okna nad nowym bankiem. Dwie jego drabiny zajmowały cały chodnik, więc co bardziej przesądni, nie chcąc przechodzić pod drabiną, przesuwali się na jezdnię pomiędzy pojazdy. „Jakże to wszystko dalekie od rozpaczliwej rzeczywistości samobójstwa albo i morderstwa” – pomyślał Sidney.

Minął dom Hildegard Staunton i przez pola ruszył do Grantchester. W domu zastał wszystko zgodnie z oczekiwaniami. Pani Maguire najwyraźniej zrobiła swoje słynne porządki i aby poodkurzać, zebrała papiery, które Sidney wcześniej starannie posegregował w osobne i przemyślane stosy na podłodze, i złożyła je w jeden stos na jego biurku. W naczyniu żaroodpornym w kuchni znalazł kiełbaski, obrane ziemniaki czekały w zimnej wodzie. I jeszcze był liścik: „Proszę dokupić vima. I harpica. Jutro ryba, nie w piątek”.

Sidneyowi jakoś trudno było się przejąć tymi sprawami. Włączył radio i słuchał wiadomości. Królowa, odbywająca właśnie podróż po Zjednoczonym Królestwie, przybyła do Kanady. Człowiek z Piltdown okazał się mistyfikacją.

Armia Zbawienia miała otworzyć stołówkę w Korei. Sidney słuchał, jadł kiełbaski i zastanawiał się, jaki wpływ te wszystkie wiadomości wywierają na mieszkańców Cambridge.

Gdy skończył już lunch i zastanawiał się, czy zrobić sobie kawę i dokończyć bułeczkę – może nawet by znalazł kilka minut spokoju na posłuchanie ukochanej muzyki jazzowej – rozległo się pukanie do drzwi.

Sidney otworzył i ujrzał na progu pannę Morrison.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – zaczęła skruszonym tonem. Miała na sobie elegancki ciemny płaszcz przeciwdeszczowy, mokre włosy potargał jej wiatr. – Zobaczyłam autobus do Grantchester i po prostu do niego wsiadłam.

Sidney nie zauważył, że padało.

– A to niespodzianka – odrzekł.

– Mam nadzieję, że nie niemiła.

– Ależ skąd. Proszę wejść...

– Jeśli ksiądz chce, pójdę sobie. Chodzi o to... mam coś, co ksiądz chyba powinien zobaczyć...

– Co to takiego?

Panna Morrison wyjęła z torebki kartkę papieru, ale jakoś nie chciała jej podać Sidneyowi.

– Bardzo przepraszam. To dowód. Powinnam powiedzieć księdzu o nim wcześniej. Powinnam, prawdę mówiąc, przekazać go policji, ale to osobiste. Mam nadzieję, że nie będę miała kłopotów.

– Co to jest?

– List. Krótki...

– Do pani?

– Tak. Został napisany do mnie. Pan Staunton go napisał.

– Mogę go zobaczyć?

– Tak. Ale gdyby ksiądz mógł go tylko przeczytać i oddać mnie, byłabym bardzo wdzięczna. To wszystko sprawia mi naprawdę wielką przykrość.

– Rozumiem... – Sidney wziął list do ręki. – Gdzie go pani znalazła?

– Pan Staunton zostawił mi go na biurku. Jest bardzo krótki. Ale nie pozostawia wątpliwości co do przebiegu wydarzeń.

– Na pewno nie chce pani wejść?

– Wolałabym nie, jeśli ksiądz pozwoli.

Stojąc więc w drzwiach, Sidney zaczął czytać:

A,

nie umiem wyrazić, jak bardzo mi przykro, że tak to się kończy. Wiem, że nie będzie Ci łatwo, i żałuję, że nie umiem tej sytuacji naprawić. Dłużej nie dam rady. Przepraszam, bardzo przepraszam. Sama wiesz, jak ciężko było, i wiesz, że ten koniec był nieunikniony.

Wybacz mi

S

Znowu zaczęło padać, stanie w progu zakrawało teraz na absurd, ale sekretarka Stephena Stauntona się nie ugięła.

– Rozumiem, że jest pani bardzo zdenerwowana, panno Morrison, ale niezmiernie by pomogło, gdyby pokazała pani ten list policji. Widzę, że pan Staunton zwraca się do pani pierwszą literą imienia: A. Zawsze tak robił?

– Oboje używaliśmy inicjału do oznaczania wszystkiego, z czym się zapoznaliśmy. On używał jednego S w komunikacji ze mną, a podwójnego w dokumentach wymienianych z panem Mortonem. Dopóki pan Morton sobie z tego nie zażartował. Ich relacje się popsuły...

– A co oznacza „A”?

– Mam na imię Annabel, proszę księdza.

Czekała, aż Sidney odda jej list. On zaś tego nie robił.

– Panno Morrison, policja zainteresowała się pewnymi kwestiami związanymi ze śmiercią pani pracodawcy.

Sidney wiedział, że wyolbrzymia poziom zainteresowania inspektora Keatinga, ale uznał, że to jedyny sposób, by panna Morrison spełniła prośbę, z którą zamierzał się do niej zwrócić.

– Naprawdę? – Ta wiadomość najwyraźniej wstrząsnęła panną Morrison. – Nie rozumiem.

– Moim zdaniem nie ma się czym martwić, ale mam wielką nadzieję, że pozwoli mi pani zatrzymać ten list, bym mógł go pokazać w zaufaniu mojemu koledze inspektorowi Keatingowi, żeby go uspokoić. Gdy tylko to uczynię, zwrócę pani list. Zgodzi się pani na to? Ze swojej strony zapewniam, że wszelkie informacje na temat tego listu pozostaną tajemnicą.

– Nie będę miała kłopotów?

– Myślę, że to mało prawdopodobne. Policja jest przekonana, że pan Staunton zabił się sam, a ten list chyba to potwierdza.

– Chyba? Nie pozostawia wątpliwości.

– Rzeczywiście – przyznał Sidney. – Tak więc jestem pewien, że wkrótce do pani wróci. Jedyne, co zastanawia, to dlaczego wypłynął dopiero w tej chwili.

– Już to wyjaśniłam. To sprawa osobista. Byłam wytrącona z równowagi. I to mój list. Napisany wyłącznie do mnie.

Sidney uświadomił sobie, że będzie musiał dać list inspektorowi Keatingowi i zaakceptować rzeczywistość – Stephen Staunton rzeczywiście popełnił samobójstwo, on zaś tylko próbował skomplikować prostą sprawę i zasiać wątpliwości. W ogóle nie powinien słuchać podejrzeń Pameli Morton, ulegać jej urokowi. Najwyraźniej brzemię niewierności przerosło Stephena Stauntona i uciekł jedyną drogą, jaka mu przyszła do głowy.

Niemniej z powodów dla Sidneya niezgłębionych wątpliwości nie chciały się rozwiać. Dlaczego na przykład Stephen Staunton zostawił list do sekretarki, a do żony już nie? Dlaczego panna Morrison wahała się przed dostarczeniem policji informacji o tym liście? I kto podmienił whisky w gabinecie?

Annabel Morrison spojrzała mu w oczy.

– Proszę zwrócić mi list, gdy tylko będzie ksiądz mógł.

– Oczywiście.

– Mam nadzieję, że ksiądz rozumie, jakie to było dla mnie przygnębiające...

– Oczywiście, panno Morrison. To było przygnębiające dla wszystkich.

– Cieszę się, że ksiądz to rozumie. Do widzenia.

Sidney zamknął drzwi i wrócił do środka. Wciąż trzymał w ręku list. Spojrzał na niego, ale nie mógł się skupić na tekście. I nagle mimowolnie wyświetlił mu się w głowie obraz wdowy po Stephenie Stauntonie, Hildegard, siedzącej samotnie ze swoimi figurkami porcelanowymi, jak odbiera kartki bożonarodzeniowe od ludzi, którzy jeszcze nie wiedzą, że jej mąż nie żyje.

W najbliższą niedzielę Pamela Morton wzięła udział w ostatnim i najkrótszym nabożeństwie eucharystycznym przed lunchem, a potem zapukała do drzwi plebanii. Miała na sobie granatowy płaszcz i płaski kapelusz z szerokim rondem, nawet w kościele sprawiający wrażenie nadzwyczajnie oficjalnego. Oświadczyła, że wypije odrobinę whisky, ale nie zostanie długo. Spodziewano się jej na lunchu w Peterhouse. Kierowca już czekał.

Zaraz gdy usiadła, podzieliła się swoim zniecierpliwieniem.

– Muszę wyznać, że mnie ksiądz rozczarował – zaczęła głosem zaskakująco piskliwym. Z pierwszej wizyty Sidney inaczej go zapamiętał. – Miałam nadzieję, że coś już ksiądz będzie dla mnie miał. Dowiedział się ksiądz czegoś w ogóle?

– Co nieco. – Choć jego gość i dziś emanował oszałamiającym urokiem, od spotkania z Hildegard Staunton Sidney zdecydowanie mniej współczuł pani Morton. Jeśli w tej żałosnej sprawie ktoś potrzebował jego czasu i współczucia, to na pewno wdowa, nie kochanka.

– Co w takim razie ksiądz odkrył? – spytała Pamela.

– Obawiam się, że pomimo moich podjętych wysiłków pani podejrzenia co do morderstwa będą trudne do udowodnienia. Stephen Staunton zostawił list pożegnalny.

– Ma go ksiądz?

– Mam.

– Mogę go zobaczyć?

Sidney podszedł do swojego biurka i podał kartkę kochance zmarłego prawnika. Wiedział, że tym samym narusza intymność panny Morrison i że powinien zanieść dowód prosto na policję, tak jak obiecał, ale chciał sprawdzić, co ma do powiedzenia Pamela Morton.

Tymczasem ona okazała zadziwiająco niewielkie zainteresowanie. List nie zrobił na niej wrażenia.

– Widzę, że nie ma daty.

Sidneya niemal zirytowało jej lekceważące podejście do jego jedynego odkrycia.

– Czy to pismo Stephena Stauntona?

– Tak...

– Niechętnie to pani przyznaje.

Pamela Morton zamyśliła się.

– Sekretarka mogła sama to napisać. Na pewno wie, jak podrobić jego podpis.

– Skąd pani to wie?

– Stephen mi powiedział. Mieli taką cichą umowę. W środy wypuszczał ją wcześnie do domu, chyba spotykała się wówczas z matką, a w inne dni, jeśli on musiał wyjść, zanim ona skończyła przepisywać jego pisma, miała je sprawdzić i podpisać. Dzięki temu miał więcej czasu na spotkanie ze mną, jak mówił, a potem mógł wrócić wcześniej do domu, nie wzbudzając podejrzeń zaniedbanej żony.

– Pani zdaniem ona jest zaniedbana?

– Nie określiłabym jej mianem szykownej. I nikt by jej nie uznał za chudą.

Sidney poczuł nagle wielki smutek. Pamela Morton nie miała powodu tak mówić. Wizyta u wdowy po Stephenie Stauntonie głęboko go poruszyła i nie dawała mu spokoju. Wciąż ją wspominał: jej uniesiony profil, gdy wyglądała za okno; jak zawieszała głos w połowie zdania, jakby sobie coś nagle przypomniała; jak szukała pocieszenia w muzyce Bacha. Lekceważący ton Pameli Morton wytrącił go z równowagi.

– Odnoszę wrażenie, że nie przejmuje się pani obecnością innych kobiet w życiu pana Stauntona – stwierdził.

– A dlaczego miałabym się nimi przejmować? One nie dały mu szczęścia. Wręcz przyczyniły się do nieszczęścia.

– Nie jestem pewien, czy pannę Morrison można uważać za winną tego, że...

– Ona jest nieistotna, proszę pana.

– Chociaż wydaje się wiedzieć dość dużo o swoim pracodawcy. Wiedziała, dokąd jeździ, i na pewno go usprawiedliwiała, gdy znajdował się w miejscach, w których nie powinien być. Jest pani pewna, że wasz związek był tajemnicą?

– Nie sądzę, by śmieszna panna Morrison o czymkolwiek wiedziała. Wie tylko moja przyjaciółka Helen z Londynu. Może jeszcze domyślił się ten dziwny barman z miną „niejedno już widziałem”, ale na pewno nikt inny.

– I jest pani przekonana, że pani mąż niczego nie podejrzewał?

– Nie jestem głupia, proszę księdza. Umiem dopilnować tajemnicy. Słyszał ksiądz o Tupperware?

Sidneya zaskoczyła ta nagła zmiana tematu. Przypomniało mu się, że pani Maguire kiedyś coś o tym wspomniała, gdy uzupełniała jego spiżarnię.

– Czy to nie oni robią takie amerykańskie przyjęcia dla gospodyń domowych?

– Nie chodzi mi o przyjęcia. Firma produkuje plastikowe pudełka, w których przechowuje się żywność, każdy produkt osobno. Dzięki temu dłużej zachowuje świeżość. Poszczególne składniki nie szkodzą sobie nawzajem. Nic się nie dostaje do środka i nic się ze środka nie wydostaje.

– I pani podzieliła swoje życie na pojemniki?

– Właśnie. Oddzielam poszczególne sfery. Zupełnie jakbym robiła bezy...

Sidney rozumiał aluzję, ale nie był pewien, czy oddzielanie białka od żółtka można porównać do cudzołóstwa.

– Musi ksiądz dopilnować, księże Sidneyu, by poszczególne składniki nie straciły świeżości – kontynuowała swoją jajkową metaforę Pamela – i zachować dyskrecję. Odrębność i dyskrecję. Wówczas nikomu nie stanie się krzywda.

Sidney nie pamiętał, by pozwolił Pameli Morton mówić do siebie po imieniu, ale jej sposób widzenia ludzkich zachowań tak go zaskoczył, że nie zdobył się na żadną uwagę. Postanowił rzucić jej wyzwanie.

– Oczywiście ta metoda też ma wadę.

– A mianowicie?

– Jeśli jest was dwoje, to oboje musicie pilnować swoich Tupperware, czy też swoich białek. Najmniejsza odrobina żółtka...

– To prawda. Ale Stephen był bardzo ostrożny. Wie ksiądz o jego osobistym terminarzu?

– Wspomniała o nim sekretarka.

– No, już on na pewno dopilnował, żeby ona tego terminarza nie zobaczyła. Trzymał go w kieszeni marynarki. Tylko z niego można było się dowiedzieć, co się naprawdę dzieje.

– Ale jego sekretarka prowadziła terminarz służbowy...

– Ten był na pokaz. To, co naprawdę myślał i co robił, znajdowało się w osobistym. Panna Morrison nie znała Stephena tak dobrze, jak jej się wydaje.

– Co do tego nie jestem taki pewien. Ale dziwi mnie, że pani chyba nie uważa tego listu pożegnalnego za prawdziwy.

Pamela Morton się zawahała.

– Pokazywał go ksiądz policji?

– Jeszcze nie.

– Ale go ksiądz pokaże.

– Oczywiście.

– Mam nadzieję, że potraktuje go ksiądz równie sceptycznie.

– Jeszcze nie zdecydowałem, co myśleć – odrzekł Sidney, ale wiedział, że

będzie musiał ponownie spotkać się z wdową po Stephenie Stauntonie.

Każdemu duszpasterzowi najtrudniej zdecydować, kiedy odwiedzić parafian. Tradycyjnie przyjmowało się za właściwe godziny pomiędzy piętnastą a siedemnastą, przed nabożeństwem wieczornym i przygotowaniami do podwieczorku czy kolacji; ta pora była jednak na pewno nieodpowiednia dla ludzi, którzy chodzili do pracy, a Sidney wiedział, że Hildegard Staunton czasami daje po południu dzieciom prywatne lekcje gry na pianinie. Uznał zatem, że zaryzykuje wizytę o osiemnastej trzydzieści – założył, że wdowa będzie wówczas w domu, a mało prawdopodobne, by jadła albo przyjmowała gości. To założenie okazało się słuszne.

Gdy dotarł do jej domu, w radiu leciało *I'll Take You Home Again, Kathleen* Josefa Locke'a. Hildegard wyłączyła aparat i zaproponowała gościowi herbatę.

Miała na sobie tę samą co poprzednio zieloną podomkę i sprawiała wrażenie zdenerwowanej. Może nawet zakłopotanej.

– Przepraszam, gdy ksiądz przyszedł ostatnio, byłam nieprzytomna. Tak się niedogodnie złożyło. Zaraz po pogrzebie mogłam rozmawiać z ludźmi, bo było jeszcze wcześnie i wiedziałam, że muszę. A potem... a potem chyba nadszedł czas na wstrząs.

– Nie odniosłem wrażenia, że była pani nieprzytomna.

– Na pewno byłam niegrzeczna. I czasami, gdy jest mi smutno, zawodzi mój angielski. Ksiądz mówi po niemiecku?

– *Nur ein wenig... Können Sie mir den Weg zur nächsten Stadt zeigen?*[7]

Hildegard się roześmiała.

– Z wojny, sama pani rozumie. *Sie sind eine sehr anziehende junge Dame. Spielen Sie Fußball?*[8]

– Nie, proszę księdza. Nie gram w piłkę nożną. *Würden Sie gerne tanzen?*[9]

– *Ach, ich bin kein Tänzer*[10]. Nie tańczę, niestety.

– *Was für eine Schande*[11]. Wywiedział się ksiądz o testament? – spytała.

– Obawiam się, że nie ma żadnego testamentu. Ale jako żona zmarłego niewątpliwie pani wszystko dziedziczy. Ten dom, oszczędności...

– Chyba raczej długi. Panna Morrison na pewno powie mi wszystko.

– Rozumiem, że niezbyt przepada pani za panną Morrison.

– Nie znam jej na tyle, żeby mieć jakieś zdanie na jej temat. Żyła chyba w przekonaniu, że bardziej dba o dobre samopoczucie mojego męża niż ja sama. Niezbyt mi to przeszkadzało. Zazdrość zawsze wydawała mi się uczuciem niepotrzebnym...

– Ale ona oczywiście mogła być zazdrosna o panią? – zaczął Sidney.

– Nie wydaje mi się prawdopodobne, by panna Morrison kochała się w moim mężu, jeśli to ma ksiądz na myśli. Ale na pewno lubiła wiedzieć o wszystkim, co się dzieje.

– Rozumiem. Z tego, co wiem jednak, mąż miał swój osobny terminarz. Więc nie o wszystkim panna Morrison wiedziała...

– Skąd ksiądz o tym wie?

– Ona mi powiedziała.

– Niewiele jest w tym terminarzu. Policja zwróciła mi go z rzeczami osobistymi.

– Schowała je pani?

– Są tutaj – odrzekła Hildegard. – Chciałby je ksiądz zobaczyć?

– Nie muszę.

Hildegard wzięła z kredensu pudełko.

– Teraz to się wydaje bardzo dziwne. Jakby eksponat w muzeum: kilka rzeczy osobistych. Portfel, terminarz, papierosy i ołówek z gumką. Czasami wydaje mi się, że mąż wciąż może wrócić do domu, że dom będzie taki jak w chwilę po jego wyjściu. Udaję, że nie umarł. Któregoś ranka nalałam herbaty do dwóch filiżanek i dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że potrzebna mi tylko jedna.

– Przykro mi... – rzekł Sidney.

Hildegard otworzyła pudełko.

– Policja pytała też, czy chcę zatrzymać broń. Co ja bym miała robić z pistoletem? – Podała Sidneyowi terminarz męża. – Czym jest życie, jeśli nie minionymi dniami? – spytała. – Mąż zapisywał to, co musiał zapamiętać, ołówkiem, a gdy dzień dobiegał końca, wymazywał wszystko.

– Nietypowy zwyczaj...

– Gdy kiedyś to zobaczyłam, uśmiechnął się i wyjaśnił, że wykreśla kolejny dzień. Słyszałam w jego głosie ulgę. Wymazywał swoje życie. Czasami wychodził z domu późnym wieczorem i szedł na spacer. Nie było go całymi godzinami. Nigdy nie wiedziałam, dokąd chodzi. Znikał rankiem czy wieczorem, a gdy go o to pytałam, mówił, że musiał podnieść się na duchu. Myślę, że wolał wieczory, gdy nikt nie zawracał mu głowy. Dlatego właśnie sypiał w ciągu dnia – kolejna godzina, którą można było zgubić.

– Sypiał w ciągu dnia?

– Po lunchu. Spał dokładnie godzinę, nawet w pracy. Zostawał do późna, by to nadrobić, i zawsze wychodził jako ostatni, więc zamykał kancelarię. Często się spóźniał na obiad, wydawał się rozproszony, a ja nie zawsze wiedziałam, co mam zrobić czy powiedzieć, by mu pomóc. Pytałam go, czy może na jego samopoczucie źle wpływa taka dwukrotna pobudka...

Sidney otworzył terminarz. Był niewielki, oprawiony w skórę; kartki z cieniutkiego papieru, w spirali zatknięty ołówek z gumką. Kartki okazały się tak cieniutkie, że przy wymazywaniu gumką na pewno łatwo je było rozedrzeć. Na drugiej stronie okładki pochyłym pismem podano nazwisko właściciela: S. Staunton. Na jednej stronie przeczytał słowo „rocznica”, a pod datą pierwszy

sierpnia: „urodziny H”. Jedyne poza tym oznaczenia to ślady zakreślonego ołówkiem podziału pomiędzy rankiem a popołudniem – A.M. i P.M. Sidney pomyślał, że może były to niewymazane resztki spotkań przed drzemką i po niej.

– I spał w dowolnym miejscu? – spytał Sidney.

– Taki miał nawyk. Codziennie o czternastej. Spotkania kończył zawsze o dwunastej trzydzieści. Potem lunch i drzemka. Następne spotkanie dopiero o piętnastej piętnaście. Był jak maszyna. Nic by go nie obudziło. Mogła wybuchnąć bomba, a on by nie zauważył. Wszystko by przespał. Martwiłam się niekiedy, że jeśli będzie o czternastej prowadził samochód, zaśnie, rozbije wóz i zginie. A koniec końców, wcale nie potrzebował do tego samochodu...

Sidney wertował terminarz. Wyglądało na to, że nie znajdzie tu żadnych notatek, ale pomyślał, że jeśli przyjrzy mu się uważniej w domu, mając więcej czasu, wówczas może odcyfruje to, co zostało wymazane.

– Mógłbym to pożyczyć? – spytał.

– Tam nie ma co oglądać.

– Chciałbym się nad nim jeszcze pozastanawiać. Może by mi posłużył za natchnienie do kazania. Znikające dni...

– Bo są jak trawa.

Sidneyowi coś się przypomniało.

– *Denn alles Fleisch, es ist wie Gras*. Każde bowiem ciało jak trawa[12]. *Niemieckie requiem* Brahmsa.

– Zna je ksiądz?

– Słyszałem je w Heidelbergu, zaraz po wojnie. Bardzo poruszające. Śpiew chóru na początku drugiej części, przejście od bólu do pocieszenia...

– To requiem było w Niemczech dobrze znane. Było jak marsz żałobny.

Sidney ciągle trzymał w ręku terminarz.

– Ten kalendarz na pewno ma dla pani wartość sentymentalną.

– Nie byliśmy sentymentalni.

– Chyba nie mogę się z panią zgodzić. Mąż pamiętał o pani urodzinach i o rocznicy ślubu.

– W tym był dobry. Z łatwością zapamiętywał. Wówczas czuł się pewnie. Był miłym człowiekiem, który chciał podobać się ludziom, lubił sprawiać im przyjemność. Nie umiałam mu w tym pomóc tak, jak chciałam. Powinnam być lepszą żoną.

– Nie może pani się winić.

– Jak mogę się nie winić? Mój mąż odebrał sobie życie.

– Ale przecież miał jakichś przyjaciół?

– Był ksiądz na pogrzebie. Oni też tam byli. Ale myśmy się nie udzielali towarzysko. Mąż nie przepadał za grzecznymi proszonymi obiadami. Nie lubił być zmuszany do dobrego zachowania. Wolał spotykać się z ludźmi takimi jak on...

– A poza pracą?

– Nie dociekałam, z kim mój mąż się spotyka. Nie zadawałam pytań. Był dla mnie dobry. Mieliśmy ten dom. Mieliśmy co jeść. Nie marzłam. I mogłam grać na pianinie, ile chciałam, i nikt mi w tym nie przeszkadzał. Wszystko było proste. Jedyne, czego w życiu chciałam, to ktoś, kto byłby dla mnie dobry. I znalazłam jego. Nie zawsze byliśmy szczęśliwi, ale chyba nigdy się nie smuciliśmy. Teraz oczywiście już tego nie mam...

Sidney zastanawiał się, czy Hildegard się rozpłacze, aż nagle stwierdził, że sam jest bliski łez. Czuł ogromną żałość, a jednocześnie nie miał pojęcia, jak ją wyrazić albo jak dać wdowie pocieszenie.

– Ma pani wspomnienia – powiedział cicho.

– Tak, oczywiście. – Hildegard Staunton starała się potraktować życzliwie komunał Sidneya. – Mam wspomnienia. Nie wszystkie są dobre. A teraz muszę zacząć od początku.

– Mogę coś dla pani zrobić?

Sidney wiedział, że jego propozycja jest nieprzekonująca, ale Hildegard Staunton zareagowała na nią zadziwiająco.

– Może się ksiądz za mnie modlić. To pomoże. I może się ksiądz również modlić za mojego męża. Chciałabym wiedzieć, że ksiądz to zrobi. Że ktoś się o nas zatroszczy. Ludzie uważają, że jeśli ktoś sobie odbiera życie, nie może trafić do nieba. Wiedział ksiądz o tym?

– Ja do tych osób nie należę – odrzekł Sidney. – I nie mnie wydawać sądy. Każdy z nas żyje tak, jak umie. Jeśli nie dajemy rady zrealizować swoich nadziei czy sprostać oczekiwaniom, to czegoś nam brak. Na tym polega, pozwolę sobie to tak ująć, bycie chrześcijaninem. Nie jesteśmy tacy, jacy moglibyśmy być...

Hildegard uśmiechnęła się do Sidneya bledziutko.

– To prawie jak powiedzenie „nikt nie jest doskonały”?

– Rzeczywiście. Może pani powinna być duchownym.

– Och, to chyba niedozwolone.

– Mogłaby pani być diakonisą...

– Teraz ksiądz sobie ze mnie drwi...

– Podoba mi się pani uśmiech – oznajmił śmiało Sidney.

– A mnie się podoba, że ksiądz ten uśmiech wywołuje – odrzekła Hildegard.

Do zalet życia kapłańskiego Sidney zaliczał możliwość rozpłynięcia się w powietrzu. W zasadzie nikt nie wiedział, gdzie taki duchowny przebywa, kto go odwiedza ani co robi pomiędzy jednym nabożeństwem a drugim. Tak więc na ogół w poniedziałek, w swój wyznaczony dzień wolny, Sidney wsiadał na rower i jechał kilka mil poza miasto, przez uliczki Trumpington i Shelford w rejon Gog Magog Hills, do Wandlebury Ring i grodziska z epoki żelaza, i dalej do drogi rzymskiej. W tym płaskim krajobrazie hrabstwa Cambridge Sidney lubił łagodne wyniesienia

wzgórz, prehistoryczne szlaki, poczucie, że stanowi element większej, dawniejszej historii, kurhanów, wirów energetycznych i linii geomantycznych. Ten przedchrześcijański krajobraz łączył się z tradycją pradawnego ludu z jego zmorami, sforami widmowych psów i wielkimi postaciami wyrytymi w kredowym podłożu.

Tu Sidney zazwyczaj siadał na ziemi, wyjmował kanapkę z szynką i termos herbaty, które przygotowała mu pani Maguire, i oddawał się rozmyślaniom. Uważał to za formę modlitwy. Żadnego stawiania pytań, żadnych rozmów, tylko czekanie i słuchanie.

Tutejszym widokom z pewnością daleko było do spektakularnych wzgórz hrabstwa Antrim, które Stephen Staunton musiał poznać jako dziecko, ale Sidneyowi wystarczało to pomniejsze angielskie piękno; odsłaniające się kolejno obrazy zmieniające się nieustannie, w miarę jak słońce przesuwało się za chmurami. Sycił się i pokrzepiał tymi widokami, o których zwykł mawiać „widoki lecznicze". Nikt mu nie przeszkadzał. Żadnych telefonów, niechcianych listów, żadnego pukania do drzwi.

Jesień była jego ulubioną porą roku, nie tylko ze względu na swoje barwy, lecz także ze względu na rześkość powietrza, ostrość światła. Gdy opadały liście, ukazywał się krajobraz, który kojarzył mu się z oczyszczonym obrazem albo wyremontowanym budynkiem. Widział wówczas rzeczywisty kształt rzeczy. Tego właśnie chciał: chwil przejrzystości i ciszy.

Dzisiaj trawa i pola były wilgotne po porannym deszczu, więc Sidney nie mógł usiąść na ziemi. Oparł się jedynie o bramę, zjadł kanapkę, wypił herbatę i rozmyślał swobodnie. Posiliwszy się, postanowił wspiąć się na bramę, usiąść na górnej ramie, jakby był chłopcem, który ma cały długi dzień przed sobą i może go roztrwonić. Rozglądał się po okolicy i zastanawiał, ilu ludzi przed nim patrzyło na ten sam widok, i pomyślał, że to jest jego miejsce na ziemi. Anglia.

Zaczął się zastanawiać nad sprawą, w którą został wciągnięty. Był pewien, że Pamela Morton ma rację, nie wierząc w samobójczą śmierć Stephena Stauntona, i że wszystko rozegrało się inaczej, niż wskazują pozory, ale jak miał jej wątpliwościom nadać wagę i moc? Dlaczego człowiek, w którym tylu ludzi usilnie starało się widzieć samobójcę, nie miałby odebrać sobie życia? A jeśli został zamordowany – kto to zrobił? Clive Morton miałby motyw finansowy, a Hildegard Staunton znalazłaby powód do niechęci.

Sidneya niepokoiły własne uczucia. Zbliżając się do domu Stauntonów, czuł przygnębienie i niepokój, ale gdy tylko siadał u boku Hildegard, niespieszno mu było wychodzić. Czy jej tragiczne losy budziły w nim współczucie, czy też w jego emocjach było coś więcej niż żałość? Może wręcz tak bardzo ją polubił, że w jego odczuciu nie mogłaby uczynić mężczyzny tak nieszczęśliwym, by chciał się zabić?

Sidney patrzył, jak niskie ostre światło dnia zaczyna gasnąć za drzewami,

i przypomniał sobie, że jego rower nie ma lampki.

Musiał ruszać.

Wrócił do domu, nalał sobie odrobinę johnniego walkera, by zaradzić chłodom nocy, i raz jeszcze spojrzał na list pożegnalny Stephena Stauntona. I nagle, gdy już whisky poradziła sobie z jego niepokojami, w głowie Sidneya zakiełkował zaczątek jakiegoś pomysłu.

Wziął do ręki terminarz i spojrzał na przypadkowe z pozoru spotkania poranne i popołudniowe dopisane ołówkiem.

Jak mógł być taki tępy?! Zaniepokoiło go to ponad miarę. Żeby tak naiwnie zakładać prawdziwość informacji! Przyjąć za prawdę to, co mu podetknięto? Jakim cudem dał się tak oszukać?!

Uświadomił sobie, że musi raz jeszcze spotkać się z Pamelą Morton, i to pilnie, ale gdy do niej zadzwonił, odebrał jej mąż. Sidney zdenerwowany odłożył słuchawkę.

Nazajutrz posłał jej list, ale Pamela stawiła się u niego osobiście dopiero pod wieczór kolejnego dnia. Sidney nalał jej oraz sobie herbaty, pochylił się do przodu na swoim krześle i rzekł:

– Myślę, że nareszcie odnotowałem jakieś postępy.

Pamela Morton, o dziwo, nie okazała jednak wdzięczności.

– No, to byłaby miła odmiana.

– Nie było mi łatwo, pani Morton, i nadal uważam, że może sprawę by uprościło, gdyby poszła pani na policję zamiast do księdza, który nie dysponuje odpowiednimi środkami, by radzić sobie z takimi sprawami...

– Nie musi się ksiądz czuć urażony. Wiem, że nie wezwałby mnie ksiądz do siebie, gdyby nie miał mi czegoś do powiedzenia. Czy jest cień szansy, że zacznie mi ksiądz wierzyć?

– Zawsze pani wierzyłem, pani Morton...

– Już prosiłam, żeby mówił mi ksiądz po imieniu: Pamela.

Sidney puścił mimo uszu jej prośbę.

– Chociaż muszę poprosić, by mi pani opowiedziała, co robiła...

– W dniu morderstwa? Nie uważa mnie ksiądz chyba za podejrzaną? To by dopiero było!

– Nie, tego nie mówię.

– Ale może ksiądz to sugeruje.

– No, byłby to dobry sposób na zamącenie w głowie śledczym. Sugerować morderstwo w sprawie, którą wszyscy uważają za samobójstwo. Otwierać sprawę, która nigdy nie miała być otwarta. Miałoby to sens jedynie w wypadku, gdyby człowiek chciał kogoś wrobić.

– I mną miałyby kierować akurat takie pobudki?

– Nie chciałbym pani obrazić, pani Morton...

– Na razie bardzo ksiądz stara się to właśnie zrobić...

– Muszę przeanalizować wszystkie ewentualności. Na przykład taką, że mordercą był pani mąż.

– Tak, rozumiem, dlaczego miałby być podejrzany, ale mogę księdza zapewnić, że on o niczym nie wie. Za bardzo go pochłania gra w golfa. Ma obsesję na jej punkcie. Hobby to coś gorszego niż hazard.

– Niewykluczone. Ale muszę panią prosić o konkrety i szczerość jednocześnie.

– Zawsze byłam konkretna i szczera.

– W takim razie muszę spytać, czy pamięta pani, gdzie była wieczorem pierwszego, drugiego, ósmego, piętnastego i dwudziestego drugiego września, a także w nocy piątego i szóstego października.

– Miałabym to wszystko pamiętać?

– To bardzo ważne... Pamelo...

– I chce ksiądz to wiedzieć teraz, w tej chwili?

– W tych datach interesuje mnie tylko jedna rzecz...

– Szósty października to wieczór przed śmiercią Stephena. Na pewno się z nim wtedy widziałam. Nigdy tego nie zapomnę. Powiedziałam mu, że musimy tylko przetrzymać zimę. Jeśli doczekamy Bożego Narodzenia, wszystko będzie dobrze.

– A pozostałe daty?

– Nie muszę relacjonować wszystkich swoich poczynań, prawda?

– Musi mi pani jedynie powiedzieć, czy są to daty spotkań ze Stephenem Stauntonem. Pierwszy, drugi, ósmy, piętnasty i dwudziesty drugi września. I noce piątego oraz szóstego października.

Pamela Morton zastanawiała się chwilę.

– Bez własnego terminarza nie mam szans na dokładność, ale mogę powiedzieć, że rzeczywiście widzieliśmy się dwa dni z rzędu, ponieważ mój mąż wyjechał i pewnie były to wspomniane przez księdza wieczory. Jeśli te pozostałe dni wypadły we wtorki, to tak. W każdy wtorek wsiadałam w pociąg o dziesiątej cztery do Londynu. Stephen dołączał do mnie później. Jechaliśmy osobnymi pociągami. Byliśmy bardzo ostrożni, Sidneyu. Chcę, żeby ksiądz to zrozumiał. Po co ksiądz o to pyta?

– To wszystko wyjaśnia, pani Morton. Wszystko...

Wiele razy w czasie śledztwa ksiądz Sidney Chambers wyrzucał sobie, że bardzo zaniedbuje swoje obowiązki. Modlitwa, Pismo Święte, sakrament i wspólnota – to powinno być nienaruszalne sedno życia kapłana, a jednak on ewidentnie wszystkie te czynności zaniedbywał. Zajmowały go natomiast inne rzeczy. Uczestniczył w spotkaniach Związku Matek, Instytutu Kobiet i Rady Parafialnej. Organizował grafik kwiatowy i przepisywał na maszynie grafik

dyżurów dla kościelnych, pomocników oraz wolontariuszy, którzy polerowali mosiężne płyty w posadzce i sprzątali całą świątynię. Redagował comiesięczne wydanie gazetki parafialnej, prowadził cotygodniową grupę badań biblijnych i klasy konfirmacyjne. Zabrał nawet grupę skautów na wycieczkę pieszą, nadzorował budowę żłóbka, organizował kolędników i poszukiwania zaginionego kota. Jednocześnie kontynuował pracę wykładowcy w Corpus Christi. Żaden archidiakon, który przybyłby na kontrolę, nie znalazłby powodów do narzekań, ale Sidney wiedział, że nie daje z siebie wszystkiego. Nie odwiedzał chorych z zadowalającą regularnością, z korespondencją zalegał trzy tygodnie i nawet nie zaczął pisać długiego kazania adwentowego, które miał wygłosić w kaplicy King's College.

A jeszcze trzeba było pamiętać o rodzicach. Jego ojciec, lekarz w północnym Londynie, nieustannie skarżył się na wymagania nakładane na medyków przez Narodową Służbę Zdrowia. Matka niedawno dzwoniła podzielić się zatroskaniem o brata i siostrę Sidneya. Otóż Jennifer podobno spotykała się z mężczyzną nieco zbyt pospolitym, Matthew zaś dołączył do grupy skifflowej, do której należała „hołota wszelkiej maści". Zastanawiała się, czy może starszy brat nie zechciałby przemówić rodzeństwu trochę do rozumu. Sidney uważał, że to zupełnie nie jego sprawa, zresztą jeszcze przed zaangażowaniem się w to śledztwo miał za wiele na głowie. Obniżał sobie wymagania, a codzienną pracę nad wiarą odkładał na później. Myślał o spowiedzi powszechnej: „Zaniechaliśmy tego, co powinniśmy zrobić, i zrobiliśmy to, czego powinniśmy zaniechać...".

Zaczął sporządzać listę zadań, a na samym jej szczycie, tak jak go uczono w college'u teologicznym, umieścił to, na co miał najmniejszą ochotę. „Zawsze zaczynaj od tego, przed czym najbardziej się wzdragasz – wpajano mu. – Wtedy cała reszta wyda się mniej zniechęcająca". „Łatwo się mówi" – pomyślał Sidney, gdy spojrzał na pierwszą pozycję na liście zadań.

„Powiedzieć wszystko inspektorowi Keatingowi".

Był środowy poranek, wiedział, że na posterunku St Andrews nikt go nie powita entuzjastycznie, ale głęboko przekonany o trafności swoich dedukcji uznał, że prawda jest ważniejsza od niecierpliwości Geordiego Keatinga.

– Mam nadzieję, że nie wejdzie ci to w krew – ostrzegł go przyjaciel, odstawiając na stos poplamionych papierów pustą filiżankę po herbacie, by napić się z nowej.

– Zdecydowanie nie, inspektorze. Mam informację moim zdaniem bardzo ważną.

– Moje życie to rzeka „bardzo ważnych informacji", Sidneyu. Czasami chciałbym, by ktoś postawił na niej tamę. Domyślam się, że mówisz o samobójstwie notariusza.

– W rzeczy samej.

– No to lepiej usiądź.

Sidney zastanawiał się, czy powinien był przećwiczyć to, co zamierzał powiedzieć, może nawet to zapisać, ale na takie przygotowania nie miał czasu. W efekcie zwerbalizował swoje myśli w pośpiechu.

– Myślałem o okolicznościach zbrodni, o wplątanych w nią ludziach i naturze miłości.

– O mój Boże...

– I po prostu nie mogę uwierzyć, że Stephen Staunton chciał się zabić. Wiem, że wszystko na to wskazuje, ale nie wierzę w to. Podobnie jak nie wierzę, że wypił choćby kroplę tej whisky, która stała na jego biurku...

– Co więc tam ona robiła?

– Fałszywy trop, inspektorze. Może nawet w ten sposób ktoś chciał wskazać konkretnie Clive'a Mortona, człowieka, który nie wie o whisky tyle, ile pewnie powinien...

– To jeszcze nie czyni go mordercą...

– Nie sądzę, żeby on był mordercą...

– No, co za ulga... tyle że każdy inny mieszkaniec Cambridge nadal jest podejrzany. Pewnie wykluczasz możliwość, by Stephen Staunton popełnił samobójstwo?

– Pamiętasz, jak podczas pierwszej naszej rozmowy na ten temat sugerowałem, że to wszystko wydaje się aż za proste?

– No oczywiście, że pamiętam. To było dość bezczelne z twojej strony, że tak to ujmę.

– Nie krępuj się. Ale to był błąd mordercy. Na wieść, że badam sprawę, wpadł w panikę. Wpadła. Wręcz spanikowała tak bardzo, że musiała znaleźć kartę atutową: list pożegnalny.

– Spanikowała? Kobieta?

– Tak. Kobieta.

– Sugerujesz, że nasza ofiara kazała napisać sekretarce własny list samobójczy? Zbzikowałeś.

– To nie tak, inspektorze.

– Więc co sugerujesz?

– Sugeruję, że ten list nie jest listem pożegnalnym samobójcy...

– Och, Sidneyu...

– Spójrz jeszcze raz, Geordie.

Gdy inspektor Keating przyglądał się uważnie kartce, Sidney z pamięci przytaczał jej treść.

A,

nie umiem wyrazić, jak bardzo mi przykro, że tak to się kończy. Wiem, że nie będzie Ci łatwo, i żałuję, że nie umiem tej sytuacji naprawić. Dłużej nie dam

rady. Przepraszam, bardzo przepraszam. Sama wiesz, jak ciężko było, i wiesz, że ten koniec był nieunikniony.

Wybacz mi

S

– Mnie się to wydaje oczywiste – orzekł inspektor Keating.

– Za bardzo oczywiste, a z drugiej strony wcale nieoczywiste. Bo to nie jest list człowieka, który zaraz się zabije. To list człowieka, który kończy związek.

– Tak, rzeczywiście, tak może być...

– A pamiętasz terminarz osobisty, ten, w którym pan Staunton wpisywał wszystko ołówkiem, a na koniec dnia to wymazywał?

– Ten z oznaczeniami przedpołudnia i popołudnia? Ten, który może sugerował jakieś spotkania, które chciał utrzymać w tajemnicy? Rozumiem, co chcesz powiedzieć.

– Ale to nie wszystko. Popatrz. – Sidney wyjął terminarz.

– A.M. i P.M. Przedpołudnie i popołudnie. O co ci chodzi?

– Nigdy nie wypadają tego samego dnia. I zauważ, że A.M. pojawia się tym rzadziej, im P.M. częściej.

– Co to znaczy?

– Annabel Morrison i Pamela Morton. To są ich inicjały. To są zapiski schadzek.

– Więc sugerujesz, że nasz notariusz miał nie jedną, lecz dwie kochanki?

– Tego się obawiam.

– Jakim cudem znalazłby na to siłę?

– To nie nasze zmartwienie, Geordie...

– Ale żeby dwie naraz?! A do tego żona... Bóg mi świadkiem, że sama żona po pewnym czasie jest już znacznym obciążeniem. Jak sądzisz, na czym polegał sekret Stephena Stauntona?

– Urok osobisty.

– I to wszystko?

– Urok osobisty i umiejętność słuchania. Słuchał. Był uważny. Ze słów Pameli Morton wynika, że Stephen Staunton dawał ludziom poczucie, że są najważniejsi na świecie.

– I tego chcą kobiety?

– Najwyraźniej. Chociaż jako człowiek żonaty wiesz na ten temat więcej niż ja.

– Nie mam takiej pewności.

– Ale do naszych celów...

Inspektor się wahał.

– Ciągle nie do końca to wszystko rozumiem. Staunton był zaangażowany w związek z trzema kobietami, jeśli policzyć również jego żonę. Nic dziwnego, że

to za dużo. Sugerujesz, jak rozumiem, że kiedy związek z panią Morton stał się poważniejszy, Staunton postanowił skończyć związek z panną Morrison?

– Właśnie.

– I sądzisz, że ona...

– Tego się obawiam.

– To szaleństwo.

Sidney kontynuował:

– Pamiętasz, że pan Staunton codziennie po lunchu ucinał sobie drzemkę? Może pamiętasz również, że w każdą środę po południu pan Morton gra w golfa, co oznacza, że w dniu morderstwa w kancelarii pozostały tylko dwie osoby...

– Annabel Morrison i Stephen Staunton.

– Panna Morrison dostaje od Stephena Stauntona list kończący ich romans. Co więcej, podejrzewa, że on zaczął nowy romans. Nie ma pewności, oczywiście, ale czuje się tak odrzucona, tak wielka wzbiera w niej furia, że postanawia, że nikt inny nie będzie się cieszył względami jej ukochanego. Wiemy, że pan Staunton sypiał kamiennym snem. Jego żona powiedziała mi, że nic nie zdołało go obudzić. Może nawet łoskot pociągu o czternastej trzydzieści pięć do Norwich. Bo w tym właśnie momencie panna Morrison wsuwa mu do ust rewolwer wzięty z biurka i pociąga za spust. Huk wystrzału zostaje zagłuszony przez łoskot pociągu. Następnie panna Morrison stawia na biurku częściowo opróżnioną karafkę whisky, nie przejmując się, że jej pracodawca tej whisky nawet kijem by nie tknął, bo wszystkie pozory przekonująco wskazują na samobójstwo. Dopiero gdy rodzą się w nas wątpliwości, panna Morrison przynosi list. Uświadomiła sobie, że z listu kończącego romans może się przemienić w list samobójczy. To bardzo sprytne.

Inspektor Keating nie dał przyjacielowi odczuć, że uważa takie rozumowanie za uzasadnione.

– Wszystko świetnie, Sidneyu, ale to tylko domysły. Jakim cudem to udowodnimy?

– Nie sądzisz, że to wystarczy?

– Nie zapewni to wyroku skazującego.

– W takim razie złożę pannie Morrison wizytę.

– Pod jakim pretekstem?

– Zwrotu listu.

– I nie powiesz mi chyba potem, że spróbujesz udowodnić swoją teorię, aranżując przyznanie się do winy?

– Jeszcze nie wiem, co zrobię – odrzekł Sidney. – Ale prawda wyjdzie na jaw.

– Na pewno chcesz to wszystko robić?

– Nie mam wyboru.

– I nie zdołam cię powstrzymać?

– Na pewno nie, inspektorze.

Gdy Sidney wszedł do kancelarii Morton & Staunton, z ulgą stwierdził, że Annabel Morrison jest sama. Ona z kolei z wdzięcznością przyjęła zwrot listu.

– Mam nadzieję, że policja jest usatysfakcjonowana? – spytała.

– Rzeczywiście, panno Morrison. Niezwykle im pani pomogła. Przykro mi, że ta cała sprawa jest taka trudna. Na pewno bardzo to pani przeżywa.

– Rzeczywiście. Nie będę ukrywać.

– Musiała pani naprawdę lubić pana Stauntona.

– To prawda.

– Na pewno spędzaliście razem dużo czasu. Może nawet więcej, niż pan Staunton spędzał z żoną?

– Faktycznie tak było. Nie chciałabym wychodzić przed szereg, proszę księdza, ale nie jestem pewna, czy pan Staunton był z żoną szczęśliwy. Jak pewnie wielebnemu wiadomo, ona jest Niemką. – Annabel Morrison spojrzała na Sidneya porozumiewawczo, co miało znaczyć, że atmosfera jest teraz wolna od uprzedzeń. – Moim zdaniem nie zajmowała się nim należycie.

– To na pewno wymagało mnóstwa ciężkiej pracy, i to niekiedy poza kancelarią.

– Rzeczywiście. Ale nie jestem pewna, co wielebny sugeruje.

– Niczego nie sugeruję, panno Morrison, absolutnie niczego. Podkreślam jedynie, że musiała pani niejednokrotnie towarzyszyć swojemu przełożonemu, oczywiście w sprawach służbowych. Nie sugeruję, że było w tym cokolwiek niewłaściwego.

– Zdarzało się, że podróżowaliśmy razem, ale to naprawdę rzadko.

– Czy potem pan Staunton podróżował również z innymi kobietami?

– Co wielebny ma na myśli?

Sidney spojrzał na Annabel Morrison i postanowił nadzwyczajnie zaryzykować.

– Na przykład podróże z panią Morton.

– A podróżował z panią Morton?

– O ile wiem, pani Morton jeździła do Londynu zawsze we wtorki przed południem. – Sidney postanowił dorzucić do ryzyka drobne kłamstwo. – Czasami pewnie jeździli razem?

Najwyraźniej skonsternował Annabel Morrison tym pytaniem.

– W terminarzu, który prowadził, nic takiego się nie znalazło.

– Może pan Staunton nie chciał pani o tym mówić?

– Ale gdyby podróżował z panią Morton, ja bym o tym wiedziała.

– Rozumiem, że darzyli się wielką sympatią.

– Co wielebny sugeruje, na miłość boską?

– Jestem pewien, że nie było to nic kompromitującego ani niewłaściwego –

odrzekł Sidney na tyle nieprzekonująco, na ile się dało.

Właśnie skłamał po raz drugi.

Zdziwił się, że przyszło mu to z taką łatwością.

Dworzec kolejowy w Cambridge zbudowano w latach czterdziestych XIX wieku, w układzie symetrycznym, z ciepłego miejscowego kamienia. Stanowił centralny węzeł regularnego ruchu pomiędzy Londynem a Kings Lynn. W godzinach szczytu perony były zatłoczone, a ten wtorkowy ranek niczym się nie różnił od pozostałych. Garbiący się starszy wiekiem nauczyciel akademicki wciąż upuszczał książki, które związał sobie sznurkiem, trzy dziewczyny szykowały się do wstawienia rowerów do wagonu służbowego, a Pamela Morton czekała na ekspres do Londynu o 10.04. Miała na sobie ciemnobordowy płaszcz i beret w tym samym kolorze, niosła niedużą walizeczkę. Po jej prawej stronie stał niebywale gruby mężczyzna w prążkowanym dwurzędowym garniturze. Bardzo się starał wyglądać jak człowiek, który jedzie dopinać interesy w City, ale nie miał przy sobie ani teczki, ani dokumentów, ani parasola.

Gdy nadjechał ekspres, przez tłum zaczęła się przedzierać drobna, ale zdecydowana kobieta o siwych włosach upiętych w koczek, cała w czerni. Nosiła ciemne okulary, choć był listopad, i skórzane rękawiczki. Wyglądało na to, że doskonale wie, w jakim punkcie peronu powinna się znaleźć, i stanęła dokładnie za Pamelą Morton.

Rozległ się gwizd lokomotywy. Kobieta w czerni postąpiła krok do przodu i wyciągnęła ręce dłońmi od siebie. Gdy odchyliła się do tyłu, by z większą siłą zepchnąć Pamelę Morton z peronu prosto pod koła pociągu, pojawił się przed nią jakiś mężczyzna, drugi złapał ją za ramię, a biznesmen stojący obok Pameli Morton chwycił ją mocno w pasie.

– Co pan wyprawia?! – krzyknęła notariuszowa, wyrywając mu się. – Proszę mnie puścić!

Pociąg zaczął hamować, zwolnił i się zatrzymał. Biznesmen puścił Pamelę Morton i gdy ta już miała się poskarżyć zawiadowcy, zobaczyła, że dwaj mężczyźni za nią trzymają Annabel Morrison o twarzy wykrzywionej wściekłością.

– Ty dziwko! Nie wystarczy ci jeden mężczyzna?

– Co pani mówi? Co pani tu robi?

– To wszystko twoja wina.

– Moja wina?

– Był ze mną szczęśliwy. W ogóle o tym nie wiedziałaś, co? Nie powiedział ci?

Pamela Morton patrzyła na sekretarkę swojego kochanka.

– Mój Boże – wydusiła wreszcie. – To ty.

– O niczym nie masz pojęcia – mówiła dalej Annabel Morrison. – W ogóle go nie znałaś. Nie wiedziałaś, co on czuje, przez co przechodzi, jak cierpi. Mnie się

ze wszystkiego zwierzał.

– Próbowałaś mnie zabić.

– Wszystkich was mogłabym pozabijać.

Otworzyły się drzwi pociągu, jedni pasażerowie wysiedli, inni wsiedli. Inspektor Keating podszedł dokonać aresztowania.

– Nic się pani nie stało, pani Morton?

– Nie rozumiem. Co ta kobieta wyprawia?

Keating dał znak swoim ludziom.

– Zabierzcie pannę Morrison.

– Nie miałaś szansy go poznać – warknęła jeszcze. – Nikt go nie znał.

Keating odwrócił się do Pameli Morton.

– Przepraszam bardzo. Niekiedy desperackie zbrodnie wymagają desperackich środków...

Pamela Morton spojrzała na niego zimnym wzrokiem.

– Narażał pan moje życie.

– Dwaj moi ludzie śledzili pannę Morrison, a jeden pilnował pani od chwili wejścia na dworzec. Dziwne, że pani go nie zauważyła.

– A skąd wiedzieliście, że ktoś będzie próbował mnie zabić?

– Nie wiedzieliśmy. To ksiądz Chambers zasugerował, że ktoś może podjąć próbę morderstwa i że powinniśmy się do tego przygotować. Chyba go pani zresztą zna.

– Oczywiście.

– W takim razie może pani sama z nim zamienić słowo. Wezwaliśmy go tutaj.

– Słowo mi nie wystarczy.

– Proszę go potraktować łagodnie.

– Niedoczekanie – odparła Pamela Morton. Następnie spojrzała na oddalającą się postać panny Morrison. – Zazdrosna mordercza suka.

Kiedy Sidney wreszcie przybył na peron, z daleka widział, że czeka go bura.

– Co wielebny sobie, na miłość boską, myślał, nasyłając ludzi, żeby mnie śledzili? – krzyknęła.

Sidney wyciągnął rękę na powitanie, ale nie doczekał się odwzajemnienia gestu. Opuścił ramię.

– Obawiam się, że było to zło konieczne.

– Nie było innego wyjścia? I skąd wielebny wiedział, że to się stanie tutaj?

– Jeździ pani tym pociągiem w każdy wtorek, prawda?

– Prawie każdy...

– Panna Morrison zawsze bardzo szczególnie traktowała rozkład jazdy. Zauważyłem również, że lubi czytać rosyjskie powieści...

– Fascynujące. Ale jakoś nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną –

odrzekła lodowato Pamela Morton.

– Gdy rozmawiałem z nią po raz pierwszy, zauważyłem, że czyta *Annę Kareninę*. Zna pani tę powieść?

– Widziałam film. Na mnie Greta Garbo nie zrobiła tak wielkiego wrażenia, jak chyba na wszystkich innych...

– Historia cudzołóstwa zaczynająca się i kończąca na peronie dworca. Podzieliłem się podejrzeniami z inspektorem Keatingiem i chociaż nie do końca mi uwierzył, zaufał mi na tyle, że zorganizował ludzi, którzy mieli panią chronić...

– A jak ta kobieta się o mnie dowiedziała?

– Tego nie mogę ujawnić...

– Wielebny jej powiedział, prawda?

– Nic jej nie powiedziałem. Pozwoliłem jej przyjąć założenie.

– Równie dobrze mógł jej wielebny powiedzieć. Obiecał wielebny, że dochowa mojej tajemnicy. Mogłam zginąć. Dlaczego mnie wielebny nie ostrzegł?

– Czasami to, co człowiek wie, nie jest najważniejsze. Liczy się to, co zataja. Gdyby wiedziała pani o grożącym jej niebezpieczeństwie, mogłaby pani zachować się w sposób nieprzewidywalny. Ważne było, by o niczym pani nie wiedziała.

– Trochę to ryzykowne, jeśli wielebny chce znać moje zdanie.

– Skalkulowane ryzyko. Podjęte przez kogoś, komu może pani ufać.

– Łatwo wielebnemu tak mówić...

– Ale ostatecznie odkryliśmy prawdę, czyż nie? A pani podejrzenia okazały się słuszne.

Pamela Morton doszła do nieuniknionego wniosku.

– Więc to wszystko dzieło tej nadętej kwoki?

– Na to wygląda.

– Czyli miałam rację.

– Nie wskazała pani nikogo palcem...

– To prawda. Ale na pewno podniosłam alarm. Pewnie odbędzie się proces?

– Oczywiście.

Pamela Morton wyraźnie się zaniepokoiła.

– Wybuchnie skandal, jak sądzę. Jak głośna stanie się ta sprawa? Co ja powiem mężowi? Jak wyjaśnię, dlaczego jego sekretarka próbowała mnie zabić?

Sidney się zawahał.

– Może mu chyba pani powiedzieć, że panna Morrison ma urojenia i coś sobie wymyśliła. Może nawet pani powiedzieć, że panna Morrison się w nim zakochała i że chciała usunąć panią z drogi. Większości mężczyzn schlebia świadomość, że mają tajemniczą wielbicielkę. Jeśli przekona go pani do tego, na resztę nie zwróci uwagi.

– Mam nadzieję, że wielebny się nie myli. Interesujące, że akurat osoba duchowna nakłania mnie do mówienia nieprawdy.

Sidney podał ramię swojej mimowolnej wspólniczce, by odprowadzić ją do wyjścia.

– Niewinne kłamstewka są uzasadnione.

– Pewnie łatwiej przechodzą przez gardło niż poważne kłamstwa.

– Ja wolę te pierwsze – zastrzegł Sidney, zanim dorzucił kąśliwe pytanie: – Ale w pani wypadku nie będzie to przecież żadne nowe wyzwanie?

– Ale jednak wyzwanie.

– Na pewno mąż uwierzy w każde pani słowo.

– Całe szczęście, że kiedyś byłam aktorką. Myśli wielebny, że przystanie na kolejne kłamstwa?

– Może mi pani zaufać...

Pamela Morton zasłoniła oczy przed promieniami niskiego listopadowego słońca i spojrzała na Sidneya surowo.

– Nie jestem pewna. Myślę, że jak na jeden dzień, okazałam już dość zaufania Sidneyowi Chambersowi.

Wieczorem Sidney stanął pod drzwiami Hildegard Staunton. Już miał zadzwonić, gdy usłyszał dobiegające ze środka dźwięki pianina. Muzyka, surowa, kanciasta, dramatyczna i tajemnicza, balansowała niemal na skraju atonalności, za pomocą wszystkich dwunastu dźwięków skali chromatycznej, wzmagając się przed finałem równie naturalnym, co nieuniknionym. Była to fuga Bacha b-moll; ostatni utwór pierwszego tomu *Dobrze nastrojonego klawesynu*.

Ostatni akord Hildegard przytrzymała bardzo długo i pozwoliła muzyce wybrzmieć. Gdy już Sidney nabrał pewności, że jej gra dobiegła końca, sięgnął do dzwonka.

Inspektor Keating uznał, że lepiej, by wdowa wiadomość o aresztowaniu Annabel Morrison usłyszała z ust duchownego niż policjanta, ale Sidney jeszcze nie zdecydował, ile jej powiedzieć o tym, co się stało, ile szczegółów zdradzić.

Włączyło się światło na ganku, otworzyły się drzwi, ukazała się uśmiechnięta twarz Hildegard.

– Proszę wejść – powiedziała, gdy do niej podszedł. – Zapomniałam już, jaki ksiądz jest wysoki.

– Często się zdarza, że jestem za wysoki w jakimś pomieszczeniu – odparł. – Staram się siadać jak najszybciej, gdy tylko mam szansę nie wyjść na gbura.

– Mam nadzieję, że nie zacznie się ksiądz garbić. Zawsze uważałam, że wysoki wzrost to dla mężczyzny powód do dumy.

– Staram się unikać takich uczuć jak duma czy pycha – odrzekł Sidney. Wbrew jego intencjom zabrzmiało to pompatycznie.

– Przyszedł mi ksiądz coś powiedzieć?

– Przyszedłem zwrócić pani terminarz męża, ale owszem, mam też do przekazania pewne informacje.

– Już widzę, że jest ksiądz zdenerwowany.

– To nie jest łatwe.

– Nie boję się trudnych spraw...

– Chodzi o pannę Morrison...

– Ach... ona chyba kochała się w moim mężu...

– Wiedziała pani?

– Kobiety często wiedzą więcej, niż się wydaje mężczyznom.

– Niestety...

– Och... – przerwała mu. – Już rozumiem. Ale to chyba niemożliwe?

– Tak... – Sidney się zawahał. Zastanawiał się, ile rzeczywiście Hildegard rozumie.

– Mąż mnie kochał, ale pragnął innej kobiety. Co ona zrobiła?

– Pani mąż nie popełnił samobójstwa. Został zamordowany przez swoją sekretarkę. Przykro mi, że muszę pani to przekazać.

– Dlaczego miałaby coś takiego zrobić? – Hildegard mówiła powoli, jakby usiłowała przyswoić sobie słowa Sidneya.

– Chyba dlatego, że przestał się z nią spotykać.

– Chciał wrócić do mnie? Kiedyś powiedział mi, że nigdy mnie nie opuści.

Sidney zastanawiał się nad odpowiedzią. Nie musiał mówić Hildegard o Pameli Morton. Co by to jej dało oprócz bólu? Prawda, że fakty te mogą wyjść na jaw w trakcie procesu Annabel Morrison, ale Hildegard pewnie do tego czasu wróci już do Niemiec. Zresztą to nie był dobry moment na kolejne rewelacje. Grzech niedomówienia na pewno był tym razem mniejszym złem niż powiedzenie prawdy.

– Nie – odrzekł cicho Sidney. – I nigdy pani nie opuścił.

Hildegard wstała i przeszła się po pokoju. Zatrzymała się przy oknie, wyjrzała na zewnątrz. Prawie zapadł już mrok. Sidney słyszał, jak na dworze wzmaga się wiatr. Zaczęło padać.

– Cieszę się, że mi ksiądz powiedział.

– Policja chciała się tym zająć. Pomyślałem jednak, że lepiej będzie...

– Jeśli sam się ksiądz tym zajmie? Bardzo dziękuję. Dzięki księdzu jest to choć trochę mniej straszne.

– Jeśli wolałaby pani teraz zostać sama, po prostu proszę powiedzieć.

– Nie – odparła. – Niech ksiądz nie wychodzi. Nie musimy rozmawiać. Powinnam teraz inaczej pomyśleć o śmierci. Szkoda, że muszę o niej myśleć tak często.

– Zostanę, jak długo pani zechce.

– Hildegard. Mówmy sobie na ty.

– Oczywiście. Jak długo zechcesz, Hildegard.

– Możesz usiąść koło mnie? Postaram się nie płakać.

Sidney przysunął się do niej. Wziął ją za rękę i tak trzymał. Hildegard zaczęła mówić, zacieśniając chwyt.

– Może nie wiem, co mówię, więc nie bierz tego do serca, ale teraz, gdy to wszystko wiem, odczuwam ulgę. Że nie był tak smutny, by się zabić. Że to nie ja doprowadziłam go do takiego kroku.

Podniosła wzrok na Sidneya i z jej oczu popłynęły łzy.

– Czy to strasznie samolubne?

Sidney pomacał się po kieszeni w poszukiwaniu chustki, ale nie zdążył. Łzy Hildegard spadły mu na dłoń.

– Na pewno nikt tak nie myślał.

– Nieważne, co myśleli inni. Ja tak myślałam. – Wstała i się odsunęła.

Sidney słyszał ból w jej głosie.

– Wolałbym, żebyś tak nie myślała.

– Nic nie możemy poradzić na swoje myśli...

– Ale może czasami powinniśmy nie rozpamiętywać za bardzo...

– Nie. – Hildegard usiłowała wziąć się w garść. – Masz rację. Dlatego gram na pianinie. Dzięki temu nie myślę. – Z powrotem usiadła obok niego. – Ty grasz?

– Niestety nie.

– Może cię nauczę?

Sidney się uśmiechnął. Jego lekcje w szkole nie należały do udanych. Nigdy nie pojął, jak sprawić, by każda z rąk robiła coś innego.

– Myślę, że dojazd na lekcje w Niemczech zająłby mi dużo czasu.

– To prawda – Hildegard uśmiechnęła się smutno. – Pewnie tak. Czy ta kobieta zostanie powieszona za to, co zrobiła?

– Najpewniej.

– Nie popieram kary śmierci.

– Ja też nie. Ale takie mamy tu prawo.

– Powinniście je zmienić. *Rache trägt keine Frucht*...[13]

– Nie mam na to wpływu. Ale mam nadzieję, że doczekam takiej zmiany.

Wciąż siedzieli obok siebie i żadne z nich nie chciało się ruszyć. Hildegard Staunton żartobliwie poklepała go po kolanie.

– A ty, Sidneyu? – spytała. Gdy wymawiała jego imię, słychać było, że bawi się jego angielskim brzmieniem. – Co z twoim życiem?

– Jest bardzo proste. Mam pracę. Mam obowiązki.

Uśmiechnęła się.

– Nie masz chyba żony?

– Jakoś sobie nie wyobrażam... – zaczął.

– Cóż, w odpowiednim momencie... – powiedziała Hildegard łagodnie, a potem się uśmiechnęła. – Skąd imię Sidney?

– Tak miał na imię mój dziadek.

– Ono nie jest popularne, prawda? Nie znam nikogo innego, kto by je nosił.

– Był taki wiktoriański duchowny Sidney Smith. To dopiero był aparat. Kiedyś powiedział, że dla niego niebo to jedzenie pasztetu z gęsich wątróbek do dźwięku trąbek.

– Ja bym się chyba z nim nie zgodziła. Tak czy owak, wolę Sidneya dzisiejszego niż jakąś postać z przeszłości.

– Myślę, że oboje chętnie byśmy się z nim poznali, gdyby żył w naszych czasach.

Hildegard wstała.

– Chyba nie lubisz sherry, ale nie mam nic innego. Whisky jeszcze nie przyjechała. Brat Stephena powiadomił mnie, że ostatnia skrzynka jest w drodze. Co prawda wcale jej nie potrzebuję. Napijesz się?

– Dlaczego nie?

Hildegard przyniosła tacę.

– Co mam zrobić twoim zdaniem? – spytała. – Może jednak nie powinnam wracać do Niemiec?

– Oczywiście dobrze by było, gdybyś tu została. Z mojego punktu widzenia...

Hildegard podała gościowi kieliszek.

– To dziwne uczucie o nikogo się już nie troszczyć.

– Musisz bardzo się postarać, żeby ta tragedia nie rzuciła cienia na resztę twojego życia.

– Ciężko teraz o tym myśleć. – Hildegard spojrzała na niego ze smutnym uśmiechem. – Nie wyobrażam sobie przyszłości.

– Nie wszystko stracone. Nigdy nie zapomnisz o tym, co się wydarzyło. Ale mam nadzieję, jeśli mogę tak powiedzieć, że trochę bardziej pomyślisz o sobie. Możemy się poświęcić tylko na tyle...

Ubawił ją.

– W życiu bym nie sądziła, że usłyszę, jak ksiądz namawia mnie do egoizmu. Myślisz, że poświęciłam swoje życie?

– Nie. Mam po prostu nadzieję, że znajdziesz jeszcze szczęście.

– Ale wie ksiądz, że szczęście to złudzenie?

– Chyba już przeszliśmy na ty...

– Nic trwałego na tym świecie. *Zeit gibt und nimmt alles.*

– Czas daje i bierze wszystko?

– Znasz niemiecki lepiej, niż się przyznajesz. Jeśli przyjedziesz do mnie w odwiedziny, może nawet poczujesz się jak u siebie.

– Och, nie jestem pewien – odrzekł. – Wracasz?

– Za dziesięć dni. Spędzę niemieckie Boże Narodzenie z matką i siostrą.

– Jak mają na imię?

– Siostra Trudi. A moja mama Sibilla. To są bardzo niemieckie imiona.

– Podobnie jak Hildegard.

– Dostałam imię po Hildegardzie z Bingen. Wizjonerce. Na szczęście nie mam żadnych wizji. Ale Hildegarda z Bingen była też kompozytorką, a bez muzyki pewnie nie umiałabym żyć.

– Bardzo żałuję, że nie weźmiesz udziału w naszym kolędowaniu.

– Będę z siostrą w Berlinie. Znowu posłucham *Stille Nacht* po niemiecku. Kiedy będą ją śpiewać, wspomnę, ile okazałeś mi życzliwości.

– Przykro mi też, że nie wszyscy byli dla ciebie dobrzy.

– Ale ty byłeś. I to twoją dobroć zapamiętam...

Hildegard wstała i zdjęła z kominka porcelanową figurkę. Tę przedstawiającą dziewczynkę karmiącą kurczaki.

– Weź to – powiedziała. – W podziękowaniu za dobroć.

– Och – żachnął się zaskoczony Sidney. – Chyba nie mogę tego przyjąć.

– Stephen kupił mi ją, gdy sądził, że będziemy mieli dziecko. Zawsze chciał dziewczynkę. Może ty będziesz miał szczęśliwsze życie niż my. Chciałabym ci ją podarować.

– Twoje życie jeszcze się nie skończyło.

– Proszę, weź to, żeby ci mnie przypominało.

Następne dni były dla Sidneya bardzo trudne. Nie mógł się skupić na pracy, a już zdecydowanie nie na adwentowym kazaniu, które miał wygłosić w King's College. Nawet myśl o kolejnym wieczorze w The Eagle z inspektorem Keatingiem nie wydawała się kusząca. Ich spotkania coraz częściej poświęcone były pracy, a nie przyjemnościom. Sidney wiedział, że to jego wina, ale z drugiej strony – jak miał postąpić? Ujawniono haniebny postępek, a sumienie nie dawało Sidneyowi wyboru.

Teraz musiał wrócić do życia duchownego. Pamiętał, jak w college'u teologicznym przełożony mówił mu: „O duchownym świadczy nie to, co robi, lecz to, kim jest". Musiał żyć przykładnie. A przykładne życie nie obejmowało szukania morderców ani siedzenia na wdowiej kanapie z lampką sherry w dłoni.

Łatwiej jednak było to powiedzieć, niż zrobić. Sidney musiał przyznać, że jest w rozterce. Hildegard przysłała mu list z przypomnieniem daty wyjazdu, ale do tego stopnia nie wiedział, co jej powiedzieć, jak poprosić ją o nowy adres, że mało tego dnia nie przegapił.

Ciężarówka od przeprowadzek stała przed domem, a Hildegard czekała na taksówkę, która miała ją zabrać na dworzec. Ubrana była w granatowy płaszcz, rękawiczki przewiesiła przez torebkę w odpowiednim kolorze.

– Cieszę się, że zdążyłem – powiedział.

– Poprosiłabym taksówkarza, żeby stanął przy kościele. To niedaleko.

– Mogłoby mnie tam nie być.

– Ale jesteś tu teraz. – Uśmiechnęła się. – A ja się cieszę. Mam nadzieję, że odwiedzisz mnie w Niemczech...

– Tak...

Hildegard dostrzegła jego zakłopotanie.

– Nie przepadam za pożegnaniami...

– No tak. Cóż... Tylko że to może nie być takie proste...

– Bzdura! Pomogę ci.

Sidney zupełnie nie rozumiał, dlaczego brakuje mu słów.

– Nigdy nie byłem w Berlinie. Ani w Lipsku... – rzekł.

Podjechała taksówka i Hildegard zatrzymała się w pół ruchu, jakby się zastanawiała, czy w ogóle wsiąść.

– Napiszę do ciebie. I przyślę ci mój adres.

– Oczywiście.

Podała mu rękę.

– Dziękuję. Jesteś dobrym człowiekiem.

– Nie mam takiego przekonania.

Gdy uścisnął jej dłoń, wychyliła się i pocałowała go w policzek.

– Nigdy cię nie zapomnę – powiedziała.

– Ja ciebie też nie...

Sidney odprowadzał wzrokiem oddalającą się taksówkę. Dotknął swojego policzka. A potem wsiadł na rower i wrócił na plebanię. Przed drzwiami stała wielka brązowa skrzynka. Hildegard poleciła tragarzom od przeprowadzki, by zostawili tu skrzynkę bushmillsa przysłaną z hrabstwa Antrim na Gwiazdkę. Dołączyła bilecik: „Dla mojego przyjaciela Sidneya. Wiem, że docenisz to, co jest w środku. Z wyrazami miłości i wdzięczności. Twoja Hildegard”.

Sidney wszedł do swojego gabinetu i usiadł w milczeniu.

Próbował napisać kazanie. Zdecydował, że poruszy w nim temat nadziei i łaski. Przypomniał sobie cieniutkie kartki terminarza Stephena Stauntona. „Nie da się wymazać przeszłości – pomyślał – bez względu na to, co robimy. Musi ona natomiast nieść nas w przyszłość”.

Gdy skończył pisać, zamyślił się nad kolejnymi etapami podróży Hildegard do domu. Wyobrażał sobie, jak wsiada do pociągu, jak wychyla się przez okno, by mu pomachać. Widział ją, jeszcze teraz, taką blond i bladą, ubraną w granatowy płaszcz, stojącą na rufie promu z mewami krzyczącymi nad kilwaterem w gasnącym świetle dnia. Widział, jak idzie zimowymi niemieckimi ulicami, jak chodzi po jarmarku bożonarodzeniowym, gdzie pod kołyszącymi się lampami ludzie piją grzane wino. Zastanawiał się, co Hildegard powie rodzinie, gdy już się z nią zobaczy, swojej siostrze Trudi, mamie Sibilli, czy opowie o tym wszystkim, co przeżyła. Czy te wydarzenia okażą się jak wojna, która tylu ludzi uczyniła

milczącymi. Czy w ogóle o nim wspomni? A skoro już postawił sobie to pytanie, postawił i następne: czy on kiedykolwiek będzie o niej rozmawiać?

Następnego wieczoru udał się do kaplicy King's College. Gdy migoczące światło świec padało na rzeźbione drewniane stalle w prezbiterium, Sidney raz jeszcze zamyślił się nad nadzieją, nad delikatnością Bożego Narodzenia, niepewnością dni naszego życia pośród bezkresu czasu, dzień po dniu, rok po roku.

Po mszy smutek wypływający z rozstania z Hildegard jeszcze przybrał na sile. Kończył się kolejny dzień, znowu mógł rozmyślać nad śmiertelnością i wiecznością, gdy kapłan recytował responsorium:

– Panie, pospiesz nas zbawić.

A chórzyści odpowiadali:

– Panie, spiesz nas ocalić.

„Śpiew to głos duszy" – pomyślał Sidney. Te słowa ludzie recytowali od wieków. Taka ciągłość dawała Sidneyowi nadzieję. Stanowił element czegoś większego – nie tylko historii, lecz także piękna, trwałości, a także prawdy, przynajmniej taką miał nadzieję.

Modlił się za duszę Stephena Stauntona. „Będziemy żyć jak jeszcze nigdy" – to były jego ostatnie słowa skierowane do Pameli Morton. Może mówiły też o życiu czekającym nas poza światem doczesnym?

Podniósł wzrok na pociemniały witraż. W ciągu kilku ostatnich tygodni nauczył się o miłości więcej niż przez całe lata. Rozumiał teraz jej właściwości: że może być namiętna, zazdrosna, tolerancyjna, wyrozumiała i trwała. Widział, jak gaśnie, i widział, jak zamienia się w nienawiść. Była to najbardziej nieprzewidywalna i zmienna z emocji, niekiedy gwałtowna i niestabilna, w jednej chwili mogła buchnąć płomieniem, w drugiej zgasnąć. Innym razem była lojalna i stała niczym płomień lampki przed tabernakulum.

Sidney złączył dłonie do modlitwy i pogrążył się w milczeniu. „Żyjemy tak, jak kochamy" – pomyślał.

KWESTIA ZAUFANIA

Po południu 31 grudnia 1953 roku pola i miasteczka Hertfordshire zasnuwał drobny śnieg, który za nic nie chciał ustać. Sidney, zmęczony, ale zadowolony po wyczerpujących obowiązkach okresu Bożego Narodzenia, siedział w pociągu jadącym do Londynu. Święta upłynęły mu w równowadze pomiędzy sacrum a profanum, a teraz nie mógł się już doczekać kilku dni wolnego z rodziną i przyjaciółmi.

Gdy pociąg pędził ku stolicy, Sidney patrzył przez okno na tyły niewielkich podmiejskich domów i nowe miasta satelickie. Powojenny krajobraz wypełniony przemysłem, obietnicami i betonem. Jakże ten świat różnił się od miasteczka, w którym Sidney obecnie mieszkał. Zamienił się w człowieka niemal wiejskiego, prowincjonalnego odludka, który stał się obcy w swoim mieście rodzinnym.

Rozważał kwestię przynależności i tożsamości: na ile człowieka określa geografia, a na ile wychowanie, wykształcenie, zawód, wiara, dobór przyjaciół.

„Na ile człowiek może się zmienić w ciągu swojego życia?" – zastanawiał się.

Idea rozwoju leżała u podstaw chrześcijaństwa, a jednak wielu ludzi z upływem lat nie zmieniało zasadniczej części swojej natury. Na pewno nie spodziewał się zbyt radykalnego zwrotu w usposobieniu przyjaciół, z którymi miał się spotkać wieczorem.

Gdy pociąg wjechał na King's Cross, Sidney postanowił, że przez cały nadchodzący rok będzie radosny. Wierzył, że aby być szczęśliwym, musi się skupić na kwestiach niedotyczących bezpośrednio jego osoby. Introspekcja i autoanaliza to wrogowie zadowolenia, więc jeśli może wygłosić przekonujące kazanie na temat dobroczynnych skutków bezinteresowności, tak by nie wypadło zbyt świętoszkowato, postara się to zrobić w najbliższą niedzielę.

Włożył filcowy kapelusz, wziął trzeci już w tym roku parasol – poprzednie dwa zgubił podczas wcześniejszych podróży – i wysiadł szukać autobusu, który go dowiezie na przyjęcie w St John's Wood.

Gospodarzem kolacji sylwestrowej był jego stary przyjaciel Nigel Thompson. Wykształcony w Eton i Magdalene College w Cambridge, Nigel był typowany na przyszłego premiera jeszcze na uniwersytecie, a zaraz po wojnie został przewodniczącym Młodych Konserwatystów. W wyborach powszechnych w 1951 roku dostał się do Parlamentu jako poseł z St Marylebone, zaczął wspinaczkę po szczeblach kariery jako PPS, asystent ministra sir Anthony'ego Edena (którego ojciec Nigela znał z Korpusu Strzelców Królewskich). Obecnie pracował jako podsekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Sidney przygotowywał się więc do kilku konkretnych rozmów na temat roli Wielkiej

Brytanii na arenie międzynarodowej z jednym z najbardziej obiecujących parlamentarzystów w kraju.

Jego żona, Juliette – Zulejka Dobson[14] ich pokolenia – miała porcelanową cerę, tycjanowskie włosy i eteryczną urodę, którą podkreślał nieco senny sposób bycia. Na ich ślubie Sydney martwił się, czy Juliette wytrzyma trudy życia żony deputowanego, ale odrzucił te mizogińskie myśli jako oznaki zazdrości.

Mieszkali w dziewiętnastowiecznym domu na północ od parku Regenta. Wcześniej w budynku tym funkcjonował przybytek, w którym możni panowie epoki wiktoriańskiej trzymali swoje imponująco piękne kochanki. Sidney dostrzegał pewną analogię pomiędzy dawnymi a obecnymi mieszkańcami, ponieważ Juliette zdecydowanie miała w sobie coś prerafaelickiego. Swoją urodą sprawiała wrażenie jednocześnie skazanej na zagładę i nietykalnej – chyba że byłeś deputowanym Nigelem Thompsonem, oczywiście.

Sidney wysiadł z autobusu na przystanku Lord's Cricket Ground i ruszył ku Cavendish Avenue. Nie należał do wielbicieli Londynu zimowego, z jego mokrymi ulicami, cuchnącym powietrzem i gęstym smogiem, ale uznawał, że skoro tu właśnie jego rodzina i przyjaciele zarabiają na swoje utrzymanie, to jeśli chce zaznać przyjaznej i sympatycznej atmosfery ich domostw czy też ciepła ich kominków, musi znieść wszelkie niedogodności.

Przypomniał sobie, że na kolacji będzie też jego młodsza siostra Jennifer. Z natury dobroduszna, miała twarz okrąglejszą niż pozostali członkowie rodziny, płomienne brązowe oczy i fryzurę bob, dzięki której jej twarz zdaniem Sidneya wyglądała jak krąg życzliwości. Zawsze cieszyła się na widok brata. On także czuł, że serce mu się raduje za każdym razem, kiedy siostra wchodziła do pokoju.

Tradycyjnie Jennifer uważano za najbardziej odpowiedzialnego członka rodziny, ale akurat tego wieczoru przyprowadziła na kolację dość podejrzanego partnera: Johnny'ego Johnsona.

W czasie rozmowy telefonicznej w Boże Narodzenie już wprowadziła brata w temat i miała nadzieję, że Sidney zaakceptuje jej chłopaka, zwłaszcza że prowadził on wraz z ojcem klub jazzowy. Jeśli wierzyć jej słowom, młodzieniec był „tchnieniem świeżego powietrza" i robił „miliony cudownych rzeczy". Sidney miał tylko nadzieję, że jego siostra nie zauroczy się zbyt szybko. Myśląc o ludziach jak najlepiej – cecha rodzinna – w przeszłości Jennifer zbyt optymistycznie wyobrażała sobie zdolność mężczyzn do angażowania się w trwałe związki, a to w sposób nieunikniony prowadziło do rozczarowania.

Miała do nich dołączyć przyjaciółka i współlokatorka Jennifer, Amanda Kendall, która właśnie podjęła pracę na stanowisku młodszego kuratora w londyńskiej National Gallery.

Gdy Sidney poznał Amandę, zaraz po jej dwudziestych pierwszych urodzinach, był wręcz oczarowany. Wysoka i energiczna córka zamożnego

dyplomaty, który kiedyś pracował z jego ojcem, w przeciwieństwie do Juliette Thompson nie należała do gatunku określanego przez magazyny mody jako „angielska róża” – odznaczała się ciemną cerą, była zdecydowana i otwarta. Miała wyrazistą osobowość i chociaż własna matka określała jej nos mianem „rozczarowująco rzymskiego”, w całym Londynie ceniono na salonach błyskotliwość i elokwencję tej dziewczyny. Powszechnie uważano, że chociaż Amanda może powodować problematyczne sytuacje, mówiąc otwarcie, co myśli, to ożywi każde przyjęcie i będzie świetną partią dla każdego mężczyzny, który ośmieli się z nią zmierzyć. Sidney kiedyś żywił nieśmiałą nadzieję że on będzie tym mężczyzną, ale gdy postanowił zostać duchownym, te aspiracje obróciły się w proch i pył. Byłoby absurdem, gdyby ustosunkowana debiutantka, przebierająca w najlepszych partiach w mieście, wyszła za księdza.

Po kilku latach niespiesznych poszukiwań Amanda najwyraźniej znalazła swojego wybranka. Podczas jednej z ostatnich delegacji służbowych, gdy miała oszacować ewentualny podatek spadkowy od kolekcji obrazów w rezydencji Wiltshire, poznała podobno uroczego, niewątpliwie bogatego, nadzwyczaj atrakcyjnego fizycznie i niestety słabo wykształconego Guya Hopkinsa. Z tym właśnie człowiekiem miała się zaręczyć, może nawet – jak sugerowano – dzisiejszego wieczoru.

Oficjalną parą Sidneya przy kolacji była sławna bywalczyni salonów Daphne Young, przerażająco chuda kobieta słynąca zarówno z błyskotliwej inteligencji, jak i liczby odrzuconych propozycji małżeńskich. Sidney bał się więc trochę, że na wieść o połączeniu w parę z duchownym nawet ktoś tak dobrze wychowany nie zdoła ukryć zawodu.

Przynajmniej pozostali dwaj goście na kolacji byli stosunkowo weseli: a mianowicie Mark Dowland, wydawca, zachwycająco niedyskretny w odniesieniu do swoich autorów, oraz jego drobna wybuchowa żona Mary, zoolog o przenikliwych niebieskich oczach i niezwykle ciętym języku. Jak to kiedyś ujął Mark: jego żona miała język tak ostry, że zębów zgoła nie potrzebowała.

Sylwester nigdy nie budził w Sidneyu szalonego entuzjazmu. Może to przez refleksje, że przeminął kolejny rok, że tyle czasu roztrwonił w ciągu dwunastu miesięcy, może nie cieszyła go cała ta laicka rozrywkowość tak zaraz po Bożym Narodzeniu. Nieraz się zastanawiał, jak by to było, gdyby przeczekał w łóżku ten wieczór. Przypominał sobie pewnego kapłana, który czując nadejście czarnych chwil depresji, zaszywał się w najposępniejszym pensjonacie w najbardziej przygnębiającym mieście, jakie zdołał znaleźć, aby tam sięgnąć najgłębszych otchłani apatii. Kierowało nim założenie, że gdy odbije się od dna, wynurzy się na świat, w którym wszystko będzie się wydawało lepsze niż poprzednie doświadczenia. Sidney pamiętał, że miastem, które kolega wybrał, by zmierzyć się ze wszystkimi demonami świata, było Ipswich. Dość osobliwy wybór.

Koktajle podano w salonie na piętrze, gdzie Mark Dowland zaczął recytować utwór Johna Betjemana, obiecującego nowego poety:

Normanie, dzwoń po noże do ryb niezwłocznie,

Gdyż bowiem kucharka bulwersuje się widocznie...[15]

Goście nagrodzili śmiechem jego występ, ale Sidney nie podzielał ich wesołości. Uświadomił sobie, że przyjęcie może się zakończyć szaradami, a bał się tej zabawy, odkąd przy ostatniej wizycie u Thompsonów nie zdołał pokazać na migi tytułu powieści Dickensa *Marcin Chuzzlewit*.

Postanowił napić się dżinu z tonikiem, by wzmocnić się przed czekającymi go wyzwaniami – ewentualnymi zaręczynami Amandy i poznaniem nowego ukochanego siostry.

Johnny Johnson okazał się ciemnoskórym przystojnym mężczyzną, ubranym w niebywale świetnie skrojony czarny garnitur o wąskiej marynarce. Swoim strojem wzbudził w Sidneyu spory podziw. Zaczął od pytania:

– Jak tam?

– Dobrze – odrzekł Sidney.

– Jennifer dużo mi o tobie mówiła.

– Mam nadzieję, że nic mocno kompromitującego.

– Absolutnie, Sidneyu. Chociaż nieźle się zdziwiłem, że jej brat jest proboszczem. Podejrzewałbym cię raczej o zawód nauczyciela albo lekarza.

– Chyba właśnie takich wyborów po mnie oczekiwano.

– Nieczęsto chodzę do kościoła, Sidneyu, jeśli mam być szczery. Czuję się tam, jakbym zrobił coś złego.

– Może to efekt zamierzony.

– Musicie trochę uatrakcyjnić te msze – ciągnął Johnny. – Dosłownie. Można by niedzielne msze wieczorne urządzić jako wieczorki jazzowe. Jak już załatwicie te wszystkie poważne sprawy.

Sidney się ożywił. Zawsze chciał przyciągnąć więcej ludzi do kościoła, a powstrzymać odpływ nastolatków uciekających od przydługich ceremoniałów mocno trącących epoką wiktoriańską. Czasami myślał sobie, że Kościół niewiele się zmienił od czasów Trollope'a.

– To nie jest zły pomysł – odrzekł.

– Mógłbym pomóc, gdybyś chciał. Skontaktować cię z paroma osobami na początek?

– Byłoby wspaniale!

Dołączyła do nich Mary Dowland.

– Chyba nie myśli wielebny poważnie o jazzie w kościele?

– Dlaczego nie?

– Cóż, w wypadku jazzu nigdy nie wiadomo, czy nuty są odgrywane we właściwym porządku.

– Na tym właśnie polega cudowność jazzu, Mary – wyjaśnił Johnny. – Nie ma właściwego sposobu i nie ma właściwego porządku.

– Ludzie się w tym nie gubią?

– Jak ma pani rytm, Mary, nie może się pani pogubić.

Sidneya szczerze bawiło, że Johnny Johnson bez zahamowań zwraca się do nich po imieniu. Podziwiał jego bezpośredniość.

Edna, służąca Thompsonów, przybyła z kolejną tacą napojów. Johnny odmówił.

– Nie pijasz koktajli? – spytał Sidney.

– Nie piję alkoholu.

– Imponujące – zauważyła pani Dowland.

– Lubię zachować przytomność umysłu, Mary.

– Możemy przejść do jadalni? – spytała Juliette Thompson, wstając i poprawiając włosy. Była ubrana w suknię bez rękawów, która spływała wachlarzem z jej smukłej talii. Sidney zauważył, że Guy Hopkins taksuje ją pospiesznym spojrzeniem. Wolałby, aby przyszły partner Amandy zachowywał się powściągliwiej.

Jadalnię urządzono w stylu georgiańskim, ściany pomalowano na czerwień palarni, sufit zdobiły stiuki, a także gzyms z motywem jajownika. Na kredensie pomocniczym stały dwie chińskie wazy oraz komplet srebrnych sztućców.

– Jak rozumiem, miejsca są przyporządkowane? – spytała Daphne Young, zwracając się do gospodyni. Suknia bez pleców, wiązana na szyi, przyciągała uwagę do jej niemal kościstej sylwetki. – Mam nadzieję, że zajmę miejsce po twojej prawej stronie.

– W takim razie twoje oczekiwania się spełnią – odrzekł Nigel Thompson.

Sidney obawiał się tej zwykle upokarzającej chwili. Na wielu przyjęciach był umieszczany obok „trudnego krewniaka”: kuzynki, której czegoś brakuje, córki, którą właśnie rzucił narzeczony, syna, który przehulał majątek w kasynie i wrócił do domu, by dojść ze sobą do ładu. Od początku wiedział, że najpewniej nie zostanie posadzony w pobliżu Amandy Kendall, ale oto ze zdziwieniem i radością stwierdził, że wyznaczono mu miejsce obok gospodyni. Przestudiował plan.

Dep. Nigel Thompson

Panna Daphne Young
Sz. P. Amanda Kendall
Pan Guy Hopkins
Pan Mark Dowland
Pani Mary Dowland
Panna Jennifer Chambers
Ksiądz Sidney Chambers

Pan Jonathan Johnson
Pani Juliette Thompson

– Doskonałe rozmieszczenie – powiedział do gospodarza.

Nigel Thompson pragnął, by wszyscy docenili jego rozumowanie.

– Guy – zawołał, ignorując wyrazy wdzięczności Sidneya – nie posadziłem cię obok Amandy, bo na pewno ostatnio widujecie się wystarczająco często. A poza tym chciałem ją dla siebie.

– Możesz ją dostać za wypożyczeniem – odkrzyknął Guy. – Jak obrazy w National Gallery, którymi ona się opiekuje. O północy proszę zwrócić.

– Nie jestem Kopciuszkiem – zaoponowała Amanda.

– Ani ja nie jestem Brzydką Siostrą – dorzuciła Mary Dowland. – Księże kanoniku, jak rozumiem, siedzę obok księdza?

Sidney podał jej plan.

– Widzę, że Jennifer i Johnny siedzą obok siebie – zauważyła Mary. – Może powinniśmy się zamienić?

– Ale to by oznaczało, że obok siebie siądą brat i siostra – wyjaśniła Jennifer.

– No tak – Mary Dowland stanęła za swoim krzesłem. – Nie żebym miała coś przeciwko zajęciu miejsca obok księdza Chambersa....

– Nie brnij w to – przerwała jej Jennifer – bo Sidney pomyśli, że rzeczywiście masz coś przeciwko. Mój brat jest niezmiernie wrażliwy pod tym względem. Zawsze się skarży, jaką rozczarowaną minę mają ludzie na wieść, że usadzono ich obok duchownego.

– Ale to nie jest jakiś tam stary duchowny – wyjaśniła Jennifer Thompson. – Sidney to jeden z najbardziej czarujących znanych mi mężczyzn. Dlatego właśnie siedzi obok mnie.

– No, no, spokojnie – wtrącił się Nigel. – Wprawiasz go w zakłopotanie. Sidneyu, zapewne możemy cię prosić o odmówienie modlitwy?

– A niech to, Jenny – mruknął pod nosem Johnny Johnson. – Dawno się nie modliłem.

– Musisz tylko powiedzieć „amen”, kochanie.

Sidney zaczął:

– *Benedic, Domine, nobis et donis tuis, quae de tua largitate sumus sumpturi, et concede ut illis salubriter nutriti, tibi debitum obsequium praestare valeamus, per Christum Dominum nostrum. Amen*.[16]

– Amen – powtórzyli wszyscy.

Johnny przysunął się do stołu.

– I nie spodziewałem się łaciny, Sidneyu.

Na kolację podano francuską zupę cebulową, a potem dwa bażanty, które Guy Hopkins przywiózł w podarunku po bożonarodzeniowym polowaniu.

Towarzyszyły im pieczony pasternak, marchewki, kapusta i smażone ziemniaki. Na deser podano placek cytrynowy z bezami. Nigel Thompson zapewnił kilka zacnych butelek beaujolais. Obiecał też szampana, gdy wybije północ.

Goście toczyli niezobowiązujące rozmowy o najlepszym rodzaju przyjęć domowych, zaletach domu w Londynie w porównaniu z domem na wsi i o najlepszym dywanie do jadalni. Thompsonowie najwyraźniej właśnie byli „w trakcie wymiany dywanu", bo w tej chwili na podłodze jadalni widniały nagie deski.

Sidney odczuwał lekkie rozczarowanie. Oczekiwał wysokiego poziomu debaty politycznej i kulturalnej. W pędzącym międzynarodowym wyścigu zbrojnym po raz pierwszy uzyskano środki mogące doprowadzić do zagłady całej ludzkości. Napięcia pomiędzy Eisenhowerem a Chruszczowem przybierały na sile; pozostawały kwestie remilitaryzacji Niemiec, ratowania Paktu Północnoatlantyckiego i budowania podstaw wspólnej obrony Europy Zachodniej. A oni tu rozmawiali o dywanach.

Sidney szczerze się dziwił, że ludzie traktują rozmowę tak poważnie, ale cieszył się, że nie musi znosić zagajeń sugerujących, że Boże Narodzenie to dla niego na pewno najbardziej pracowity okres w roku. Mary Dowland chciała mu natomiast opowiedzieć o pandzie oczekiwanej w londyńskim zoo, a Daphne Young poinformowała go, że w chwili obecnej ma w domu sublokatora i jest to poszukujący posady duchowny, któremu przyda się mądra porada.

– Cokolwiek powiem, na niewiele chyba mu się przyda.

– Nonsens! – odrzekła Daphne. – Nigel mówi, że wielebny jest jednym z najinteligentniejszych duchownych w Kościele.

– Myślę, że mówi tak, bo jest moim przyjacielem.

– Jest dobrym przyjacielem. I wyobrażam sobie, że w Grantchester mieszka się doskonale. Może wielebny potrzebuje wikarego?

– Zastanawiałem się nad tym.

– W takim razie proszę przyjść poznać Leonarda. Jest wstrząsająco inteligentny. W tej chwili uczy się rosyjskiego. Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Myślę, że uważa mnie za impertynentkę.

– Nie sądzę.

– Ale to prawda, niestety.

Guy Hopkins oparł rękę na jej krześle.

– Jestem zaskoczony, że nikogo nie przyprowadziłaś, Daphne. Nie towarzyszy ci żaden mężczyzna?

Mary Dowland zachichotała.

– Normalnie masz kilku, prawda? Jestem pewna, że widniejesz w adresowniku każdego londyńskiego kawalera.

Mąż dolał jej czerwonego wina.

– Ciekawe, co się dzieje, gdy w końcu się żenią. Wykreślają cię ich żony?

– Zdarzały się takie przypadki – przyznała Daphne Young, świadoma, że jest obiektem żartów. – Pewnie obecnie jestem uważana za dość niebezpieczną. Po związku ze mną mężczyzna dość długo dochodzi do siebie.

– Zapewne całe życie – rzucił wspaniałomyślnie Sidney.

– Och, ależ ksiądz jest miły.

Tuż przed północą, gdy pokojówka i kucharka wyszły świętować nadejście nowego roku na Piccadilly Circus, gdy już porto krążyło pomiędzy biesiadnikami, Guy oznajmił, że ma niespodziankę. Wstał i położył przed Amandą puzderko.

– Pewnie się domyślasz, co jest w środku.

– Cóż za niespodzianka! – zawołał Nigel. – Zasługuje chyba na coś więcej niż porto.

– Zaczekaj chwilę – doradziła mu żona. – Jeszcze nie wiemy, co jest w środku.

Mary Dowland nie czekała na szampana i dolała sobie wina.

– Chyba jednak wszyscy się domyślamy.

– Nie wiem, co powiedzieć... – zaczęła Amanda.

Guy położył jej dłoń na ramieniu w opiekuńczym geście.

– Otwórz.

W puzderku leżał złoty pierścionek z wielkim rubinem w otoczeniu maleńkich brylantów.

– Piękny – powiedziała Amanda.

– Przymierz.

W pomieszczeniu panowała cisza, świece migotały. Sidney miał nadzieję, że Amanda tego właśnie pragnie. Uśmiechnęła się nerwowo, niemal zakłopotana tą publiczną demonstracją miłości i bogactwa.

– W życiu nie widziałam czegoś tak pięknego.

– Mogę zobaczyć? – spytała Daphne.

– Oczywiście. Piękny, prawda?

Pierścionek krążył po zebranych, żeby wszyscy mogli go podziwiać. Wrócił Nigel z szampanem.

– W lodówce jest zapas. Czekałem, aż wybije północ, ale jak się okazuje, musimy po prostu wypić więcej. Pozwolę sobie tu się przecisnąć...

Johnny Johnson podniósł swoje krzesło i już miał je postawić za sobą, gdy Nigel Thompson potknął się o nogę mebla i zatoczył.

– A niech to cholera!

Butelka szampana wypadła mu z ręki i roztrzaskała się na podłodze.

– Och... – krzyknęła jego żona. – Wszystko zalane.

– Ależ ze mnie niezdara, jasny gwint... – rzekł Nigel, wpatrując się w podłogę.

– Nie przeklinaj! – przerwała mu żona, osuszając zalaną suknię. – Wiesz, jak mnie to denerwuje.

– Ja bez dwóch zdań zadowolę się porto – rzekł Mark Dowland. – Jest doskonałe.

Daphne wstała.

– Przyniosę z kuchni ścierkę.

Mary dołączyła do niej.

– A ja szufelkę i zmiotkę.

– Cała jestem poplamiona – skarżyła się Juliette. – Będę musiała się przebrać.

– No więc idź i zrób to – warknął jej mąż.

– Nie chcę wszystkich zostawiać. Nie wiem, co zrobić.

– Ja pójdę z tobą – zaproponowała Amanda. – Nie ma co robić problemu. Możemy iść na górę. Wszystko w porządku, kochanie.

– Taki bałagan...

– Niedługo wybije północ – powiedział cicho Johnny do Jennifer. – Nie chcemy przegapić dzwonów. Możemy wyjść na dwór?

– Chyba musimy zostać tutaj. Przykro mi.

– Miałem nadzieję na chwilę na osobności.

– To później.

Uśmiechnęli się, a gdy podnieśli wzrok, stwierdzili, że Sidney ich słucha. Guy wycofał się na próg, gdy Daphne z Mary sprzątały szkło i rozlany szampan. Nigel ruszył po kolejną butelkę.

Mark Dowland napił się jeszcze porto.

– Sytuacja rozwija się interesująco... – rzekł, oczekując, że zebrani docenią jego ironię. Nie docenili.

Sidney martwił się, jak wróci do domu rodziców w Highgate. Oczywiście mógł skorzystać z taksówki, ale było to kosztowne rozwiązanie. Wcześniej zakładał, że zrzuci się z Jennifer i Johnnym, ale oni najwyraźniej wybierali się gdzie indziej, a nie wyobrażał sobie, że Amanda i Guy życzą sobie jego towarzystwa w wieczór swoich zaręczyn. Ciekawe jednak, że w rzeczywistości Amanda nie przyjęła oświadczyn. Po prostu podziwiała pierścionek. On na miejscu Guya oczekiwałby jednak bardziej konkretnej odpowiedzi.

Wreszcie goście zajęli ponownie swoje miejsca, racząc się stiltonem i czekając na powrót Juliette oraz Amandy. Nigel zasugerował przeniesienie przyjęcia do salonu, gdzie mogliby w większej wygodzie powitać nowy rok i oddać się szaradom, ale przerwała mu żona w czarnym jedwabnym peniuarze i Amanda, która odezwała się do wszystkich z uśmiechem:

– Mam nadzieję, że byliście grzeczni. Nie mogę się doczekać szampana. Kto ma mój pierścionek?

Zapadła cisza.

– Ja nie mam – odezwała się Mary Dowland. – Przekazałam go Sidneyowi.

– Ja go podałem Juliette....

– Ja nie pamiętam, co się stało – odparła Juliette. – Niczego nie pamiętam. Wydaje mi się, że leżał przede mną.

– Cóż, ja go nie mam – dodała Jennifer.

– Ani ja – dołączyła Daphne.

– Więc gdzie on jest, do cholery? – spytał Nigel.

Żona spojrzała na niego z przerażeniem.

– Nie przeklinaj...

– Może spadł na podłogę – zasugerował Sidney.

– Nie widziałam go – odparła Mary. – A sprzątnęłyśmy bardzo dokładnie, prawda, Daphne?

– Nie wyrzuciłyście go do śmietnika? – spytał żonę Mark Dowland. Przez cały wieczór nie ruszył się ze swojego krzesła.

– Nie, oczywiście, że nie. Myślisz, że to zabawne?

– A może wpadł w szparę w podłodze? – rzucił Sidney.

– Z takim wielkim kamieniem to niemożliwe – odrzekł szybko Guy.

Nigel Thompson znalazł się na czworakach.

– Nie mógł tak po prostu zniknąć.

Sidney starał się znaleźć rozwiązanie.

– Poszukajmy wszyscy. Musi gdzieś być.

Goście wstali i krążyli po pokoju, zaglądając pod zastawę, pod talerze i podkładki, szukali na kredensie, na podłodze i w oparciach krzeseł. Pierścionka nigdzie nie było.

Guy Hopkins tracił cierpliwość.

– To niedorzeczne.

Amanda próbowała go uspokoić.

– Musi gdzieś być, kochanie.

– Ale gdzie?

Zadzwonił dzwonek.

– To moja taksówka – oznajmiła Daphne Young.

– Wychodzisz? – spytał zdumiony gospodarz.

– Jeszcze wcześnie...

– Przegapiliśmy dzwony? – spytał Mark Dowland.

– Zamówiłam ją kwadrans po północy – wyjaśniła Daphne. – Za pół godziny muszę być w pewnym miejscu.

Mary Dowland nie mogła się oprzeć okazji do sarkazmu.

– Miło, że wytrzymałaś z nami tak długo.

Guy nacisnął mocniej.

– I jesteś pewna, że nie masz pierścionka mojej narzeczonej? – spytał.

– Oczywiście, że nie! Za kogo ty mnie uważasz? Możesz przeszukać moją torebkę, jeśli chcesz.

– To nie będzie konieczne – wtrącił Nigel.

– Owszem, będzie – odparł Guy. – Musimy znaleźć to cholerstwo.

Daphne bez słowa otworzyła torebkę i opróżniła ją na stół jadalni. W środku miała puderniczkę, chusteczkę do nosa, klucze, notesik, adresownik i niewielką portmonetkę, którą otworzyła na oczach wszystkich. Na stół wysypały się sześciopensówki, trzypensówki i banknot dziesięcioszylingowy.

– Możecie wszyscy sprawdzić – powiedziała. – Tu go nie znajdziecie.

– Niesamowite, Daphne – odezwał się Johnny Johnson. – Jeszcze nigdy nie zaglądałem do damskiej torebki.

Gdy Guy rozrzucał po stole wysypane przedmioty, sprawdzając je i odkładając po kolei, Daphne wróciła na swoje miejsce, wzięła szal i dopiła kieliszek porto.

– Zadowolony? – spytała.

– Tu go nie ma – stwierdził z żalem Guy.

– To bardzo niedobry sposób zaglądania do damskiej torebki.

– Przepraszam za kłopot. Byłem zdenerwowany.

– To było zdecydowanie ordynarne – podsumowała Daphne. – A teraz, jeśli pozwolisz, pożegnam się z gospodarzami.

Johnny Johnson podniósł w górę swój kieliszek z wodą.

– Szczęśliwego nowego roku, Daphne.

– Pierścionek na pewno znajdzie się gdzieś rano – rzekł Sidney.

– Rano?! – krzyknął Guy. – Przeszukam całe to pomieszczenie i wszystkich obecnych.

– Przepraszam cię bardzo – Daphne przesunęła się obok niego. – Podwieźć wielebnego? – spytała Sidneya. – Chyba jadę w tę samą stronę.

– Chyba powinienem zostać, Jennifer...

– Wszystko w porządku – zapewniła go siostra. – Thompsonowie na pewno nie będą mieli nic przeciwko temu...

– Nie chcę, żeby przeze mnie nadkładała pani drogi, panno Young. Już i tak na pewno jest pani spóźniona.

Daphne ochoczo przyjęła jego odmowę.

– Rzeczywiście. A więc życzę wielebnemu szczęśliwego nowego roku.

Nigel i Juliette Thompson odprowadzili Daphne do wyjścia, gdzie się wszyscy pożegnali. Wszczęto kolejne, równie bezowocne przeszukanie pokoju, a gdy już wszyscy ostentacyjnie opróżnili kieszenie i usatysfakcjonowali Guya, że nie są złodziejami, Jennifer i Johnny też wyszli. Spytali Sidneya, czy chce z nimi jechać do klubu jazzowego, a chociaż go kusiło, uznał, że lepiej będzie, jeśli

wszyscy się uspokoją i pojadą do domu.

– Pewnie ja prowadzę – powiedziała Mary Dowland do swojego pijanego męża.

– Pomimo świątecznego spożycia jestem bezdyskusyjnie zdolny do prowadzenia samochodu – odrzekł Mark. – Nie ma w tym nic trudnego. A co jeszcze może się stać złego w taką noc jak dziś?

Jak na swoje uposażenie Sidney wydał bez mała majątek na taksówkę i został na noc u rodziców. Dziwnie się czuł, wracając do domu dzieciństwa. Choćby nie wiadomo jak próbował wyjaśnić istotę swojego powołania i codzienny porządek swojej pracy, Alec i Iris Chambersowie patrzyli na syna ze zmieszaniem i rozbawieniem. Jakby nie rozumieli, jakim cudem sprowadzili na świat dziecko, które zostało księdzem.

Łatwiej było im rozmawiać z nim, gdy traktowali go, jakby był wciąż pracowitym siedemnastolatkiem, nad którym mieli jeszcze jakąś kontrolę. Ilekroć Sidney u nich nocował, oczekiwali, że dostosuje się do ich codziennego życia, jakby nie dorósł ani się nie wyprowadził. Miał pomagać ojcu w rozwiązywaniu krzyżówek w „Timesie", a mamie z przygotowaniem jarzynki. Iris Chambers nie raz i nie dwa sugerowała, że czas już, by została babcią, ale ponieważ ani Sidney, ani Jennifer, ani ich brat Matthew nie robili żadnych postępów w tej dziedzinie, przy każdej wizycie w domu rodzinnym byli traktowani jak dzieci.

Matthew miał opinię nocnego marka i zawsze się wymawiał od rodzinnego lunchu, ale spodziewano się Jennifer i rzeczywiście przybyła – spóźniona i roztrzęsiona. Rzuciła rzeczy w holu i wymieniła niedbałe noworoczne życzenia z matką.

Alec wyszedł ze swojego gabinetu, by się przywitać z córką. Włożył swój nowy bożonarodzeniowy sweter, w prawej dłoni trzymał fajkę.

– Co się dzieje, u diaska? – spytał.

– Sidney nie opowiadał wam o wczorajszej nocy?

– O czym dokładnie?

– W moim rozumieniu – odrzekł Sidney – nie ma o czym opowiadać. Zagubiony pierścionek na pewno się pojawi.

– No, na razie się nie pojawił – odparowała dobitnie Jennifer, po czym padła na kanapę. – Straszna katastrofa...

Matka usiadła w fotelu obok.

– Musisz mówić jaśniej, moja droga.

– Niech Sidney to zrobi. Ja jestem za bardzo zdenerwowana.

Nastała chwila ciszy, w trakcie której matka wstała ponownie i ruszyła do kuchni.

– Może, Sidneyu, skończysz nakrywać do stołu i wyjaśnisz mi, co się stało?

Alec Chambers zaprotestował.

– W takim razie ja nic nie usłyszę!

Jennifer ucięła te spory.

– To proste. Amanda dostała wczoraj pierścionek zaręczynowy.

– Od kogo? – spytał ojciec.

– Od Guya Hopkinsa.

– A od kogóż by?

– Więc Amanda jest zaręczona? – wtrąciła się matka.

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

– Nie o to chodzi.

– Można by sądzić, że zdecydowanie o to.

– Nie dajesz mi dokończyć – poskarżyła się Jennifer.

Alec Chambers próbował zrozumieć opowieść córki.

– Czy to ten pierścionek, który zaginął?

– Jak wyglądał? – spytała Iris.

– W sumie nieważne, jak wyglądał. Ważne, że zginął. Amanda puściła go wokół stołu, żeby wszyscy mogli go podziwiać. I nigdy do niej nie wrócił. Wszystko zakończyło się katastrofą. Wszędzie szampan...

– Był bardzo drogi? – spytała matka.

Ojciec nie rozumiał odpowiedzi Jennifer.

– Chcesz powiedzieć, że pierścionek zaginął w zalewie szampana?

Sidney usiłował wszystkich uspokoić.

– Na pewno istnieje jakieś absolutnie niewinne wyjaśnienie całej sprawy. Albo pierścionek wpadł w szparę w podłodze, albo ktoś bezwiednie gdzieś go położył, gdy roztrzaskała się butelka z szampanem.

– Jakaż rozrzutność i marnotrawstwo – cmoknęła z dezaprobatą Iris.

– Mam nadzieję, że to był wypadek? – spytał Alec.

Jennifer walczyła dalej.

– Johnny uważa, że ktoś go ukradł.

– Doprawdy?

– Ale przecież znajdowaliście się w towarzystwie przyjaciół – zauważyła matka. – To chyba wyklucza kradzież?

– Zapewne wszystkich przeszukano – powiedział Alec. – Łazienkę również? Może Amanda go zabrała w roztargnieniu?

– Ona go w ogóle prawie nie dotknęła – wyjaśniła Jennifer. – Szukaliśmy wszędzie. Chociaż część obecnych nie była w szczytowej formie.

– Ach! Przypuszczam, że spożywano alkohol?

– Był sylwester, tato!

– Ta opowieść jest koszmarna – powiedziała Iris. – Ale na pewno wszystko się wyjaśni. Alec, myślę, że czas pokroić mięso. Gdy już zjemy, może oboje

pomożecie mi w pisaniu kartek z podziękowaniami. Niektórzy pacjenci waszego ojca wykazali się nadzwyczajną wielkodusznością.

Jennifer ruszyła do stołu.

– No, szkoda, że tej wielkoduszności zabrakło wczorajszego wieczoru.

Matka podała pieczeń wołową, podczas gdy jej mąż nalewał klaretu z butelki.

– A przy okazji, Sidneyu, mam tu ostatnie hasło do krzyżówki: „Bliski krewny szczekającego przyjaciela".

– Psubrat?

– Odmówisz modlitwę?

– Tak – odrzekł Sidney. Ważne było, by rodzina utrzymywała standardy, chociaż ojciec ostatnio był absolutnym agnostykiem.

– *Mensae caelestis participes faciat nos Rex gloriae aeternae*.

Po „amen" ojciec zwrócił się do Jennifer:

– Kiedy poznamy tego twojego chłopaka?

– Nie jestem pewna, czy po tej nocy będzie chciał mnie jeszcze oglądać. To było takie żenujące.

– Żona Nigela Thompsona dobrze się ostatnio miewa? – spytała córkę Iris.

– Juliette? Nie jestem pewna. Wszyscy sądzimy, że właśnie ona jako ostatnia trzymała pierścionek, ale to niemożliwe, żeby go ukradła. Przecież była gospodynią, na Boga.

– Zawsze miała nerwowe usposobienie.

– Uważaj, Iris – ostrzegł żonę Alec. – Nie wyciągajmy pochopnych wniosków.

– Przepraszam, kochanie, ale biedna droga Juliette często jest swoim najgorszym wrogiem. Pamiętam chyba...

Alec Chambers rozlał resztę klaretu.

– Mam nadzieję, że nikt nie rzucał oszczerstw.

– Czy Thompsonowie wezwali policję? – spytał Sidney.

Jennifer odłożyła nóż i widelec na talerz i spojrzała na brata swoim spokojnym siostrzanym wzrokiem.

– Woleliby uniknąć rozgłosu. Nigel dopiero od niedawna jest deputowanym i nie chce przez skandal zaprzepaścić swoich szans na karierę. Wiesz, jaki jest ambitny.

– Nasz przyszły premier – rzekł z uśmiechem Alec. – Podejrzewam, że jeszcze Churchill ma tu coś do powiedzenia.

– Churchill nie jest wieczny, tato.

– Wiesz, że Gladstone stworzył swój ostatni gabinet w wieku trzydziestu ośmiu lat?

– Ale to nie był sukces.

Sidney odnosił wrażenie, że odbiegli od tematu.

– Więc zamierzają wyjaśnić sprawę pierścionka między sobą?

– Doskonały pomysł.

– A jak zamierzają to zrobić, Jennifer?

– Powiedziałam, że ty przyjedziesz im pomóc.

– Ja?

– Tak, mój najdroższy braciszku. Ty.

– Nie rozumiem, jakim cudem miałbym się okazać w czymkolwiek pomocny.

Jennifer spojrzała na brata, jakby był ociężały umysłowo. Odkąd miała dziesięć lat, mówiła do niego o poważnych sprawach tonem kategorycznym, kładąc nacisk na niektóre frazy, jakby nie do końca wierzyła, że poświęca jej uwagę. I tym razem zastosowała tę taktykę.

– Możesz pomóc w szukaniu pierścionka, a następnie, jeśli nie uda się go znaleźć, możesz się dowiedzieć, co się stało, nie robiąc scen.

– Sceny już zrobiono, o ile pamiętam.

– Nigel chciał do ciebie zadzwonić...

– Ty to zasugerowałaś?

– Powiedziałam mu, że przede wszystkim porozmawiałabym z tobą. Juliette poszła do łóżka, Amanda zaś, jak widać, sama nie wie, czy się złościć, czy płakać. Nigel należy do twoich najlepszych przyjaciół. Obiecałam, że podrzucę cię tam dzisiaj. Byłeś na miejscu w chwili zdarzenia i tobie jako jedynemu ufają wszyscy.

– Ależ ja muszę wracać do Grantchester...

– Dzisiaj ani jutro nie masz żadnej mszy, prawda?

– Nie, Jennifer, ale to nie jedyne moje zajęcie. Moje życie jest zdecydowanie wypełnione zajęciami i jutro wieczorem muszę być na miejscu. Tak naprawdę nigdy nie mam wolnego, nigdy nie przestaję pełnić posługi.

– I dlatego właśnie możesz pełnić ją teraz.

– To nawet nie jest moja parafia. To St John’s Wood, na miłość boską. Czy oni tutaj nie mają swojego księdza?

– Oczywiście, że mają.

– Więc dlaczego jego nie poproszą?

– Ponieważ w tej chwili jest on nieobecny, no i ten ksiądz nie jest detektywem.

– Ja też nie jestem.

– Będziesz musiał nim zostać. Mam samochód.

Sidney spojrzał na ojca, szukając u niego wsparcia, ale na próżno.

– Chyba nie masz wyboru, synu.

Sidney z najwyższym trudem udawał pogodę ducha. Oto w okolicznościach ewentualnego kłamstwa, kradzieży i zdrady został zmuszony do niechętnego

udziału w śledztwie wokół wydarzeń na przyjęciu, na którym i tak nie był powitany entuzjastycznie. Czuł, że godzi się na kompromis etyczny. Zawsze rozstrzygał wątpliwości na korzyść ludzi, a teraz czekało go rozpytywanie w sprawie życia i moralności jego przyjaciół i znajomych.

Rozumiał już, że jeśli rzeczywiście dopuszczono się kradzieży, będzie musiał spojrzeć obiektywnie na każdą obecną na spotkaniu osobę, nawet na własną siostrę, która mogła zapewne – jeśli pomyśleć obiektywnie – ukraść pierścionek choćby z nieopatrznej zazdrości. A jednak na samą myśl o takiej podejrzliwości robiło mu się niedobrze.

Na dźwięk dzwonka drzwi otworzył Nigel. Miał na sobie tweedową marynarkę i wymiętą koszulę marki Viyella niezapiętą pod szyją. Wyglądała, jakby ją wyciągnął z kosza na pranie.

– Chwała Bogu, że jesteście – powiedział na powitanie. – Tu wszyscy są w proszku.

Sidney się trochę wzdragał.

– Nie jestem pewien, czy się na cokolwiek przydam.

– Na dobry początek wystarczy twoja kojąca obecność.

Juliette zeszła na dół w tym samym peniuarze, który miała na sobie poprzedniego wieczoru. Sądząc po jej wyglądzie – w ogóle nie spała.

– Edna ma wychodne – zaczęła. – Ale może zrobić ci herbaty?

Zdaniem Sidneya takie pytanie osobom duchownym zadawano o wiele częściej niż przedstawicielom pozostałych zawodów.

– Zgódź się – wyszeptał jej mąż. – Musimy pilnować, by miała jakieś zajęcie.

– Napiję się z przyjemnością.

Mężczyźni przeszli do pomieszczenia, które Sidney musiał chyba traktować jako miejsce popełnienia przestępstwa.

– Od czego chcesz zacząć? – spytał Nigel Thompson. – Przeczesaliśmy pokój, jak się tylko dało, a potem przywróciliśmy tu porządek. Juliette za bardzo się denerwowała myślą, że ma zostawić taki bałagan. Wszędzie było jeszcze pełno okruchów szkła. Nie mam pojęcia, jakim cudem je przeoczyliśmy.

Ze stołu zniknął obrus, pojawiły się na nim natomiast dwa srebrne świeczniki i taca obrotowa. Sidney zauważył też, że stół wydaje się mniejszy niż poprzedniego wieczoru.

– Widzę tu miejsce dla sześciu osób – powiedział. – A wczoraj było nas dziesięcioro.

– Stół się rozkłada – wyjaśniła Juliette, wchodząc do pomieszczenia z dzbankiem herbaty. – Z każdej strony można wyciągnąć blat. Od biedy zmieści się nawet dwanaście osób...

– Orzech późnogeorgiański – kontynuował jej mąż – wyposażony w dość

nieprzewidywalny mechanizm. Trochę jest korowodów z wchodzeniem pod stół, żeby go rozłożyć, a potem rano złożyć, ale to pamiątka rodzinna. No ale nie przyszedłeś tu przecież rozmawiać o meblach.

– Rzeczywiście.

Do jadalni weszła Amanda. Miała na sobie czarny sweterek bliźniak i wyglądała na zdenerwowaną. Sidney zastanawiał się, czym się zakończył wczorajszy wieczór i czy Amanda jest zaręczona z Guyem Hopkinsem czy nie. Musi znaleźć odpowiednią chwilę, żeby o to spytać.

Juliette odwróciła się do męża i wybuchnęła płaczem.

– Wszyscy sądzą, że ja to zrobiłam. Wiem o tym.

– Nie, kochanie, wcale tak nie sądzą.

– Każdy pamięta, że ja ostatnia oglądałam ten pierścionek. Ale ja wiem, że bym go nie zabrała. Nie przyszłoby mi do głowy, żeby zdradzić jedną z moich najbliższych przyjaciółek.

Amanda objęła ją ramieniem, patrząc twardo na jej męża.

– Wierz mi, Juliette, nikomu z nas nie przyszłoby do głowy podejrzewać cię o coś takiego.

– A innych? – spytał Sidney.

– Tego się obawiam – odrzekł Nigel. – Juliette, może byś się na trochę położyła, kochanie? Wiesz, jak bardzo te rozmowy cię denerwują.

– Ale ja nie chcę się kłaść.

– Zaprowadzę cię na górę – zaproponowała Amanda. – Zostawmy panów, żeby sobie pogadali.

Juliette spojrzała przerażonym wzrokiem na męża.

– Zajrzysz do mnie niedługo, Nigelu? Wiesz, jak nie lubię być sama.

– Oczywiście, kochanie. Musimy z Sidneyem zamienić słowo na osobności. Amanda dotrzyma ci towarzystwa.

Obaj mężczyźni odprowadzili kobiety wzrokiem. Następnie Nigel Thompson zamknął drzwi.

– Mogę ci podać coś mocniejszego, skoro już mamy herbatę?

– Nie, dziękuję. Przykro mi, że Juliette jest taka zdenerwowana.

– Ta kradzież to dramat. Oczywiście wszyscy sądzą, że ona ukradła pierścionek, bo miewała w przeszłości trudne momenty.

– Opowiadałeś mi, pamiętam. To był smutny okres.

– Nie jestem pewien, czy wyznałem ci wszystko, Sidneyu. Otóż kiedy straciliśmy pierwsze dziecko, doszło, niestety, do incydentów. Kradzieże sklepowe. Głównie ubranka dla dzieci. Gdy została złapana, zdołałem dogadać się z policją, żeby przymknęli oko. Chwała Bogu. Nie mógłbym ich raczej prosić, by zrobili to ponownie. Obiecałem, że będę miał ją pod kontrolą. Teraz oczywiście ona za bardzo się boi, by beze mnie wyjść z domu. Gdy braliśmy ślub, wiedziałem, że jest

delikatna. Daphne nawet mnie ostrzegała. Mówiła, że Juliette będzie wymagała opieki, i to niemałej, ale tego się nie spodziewałem.

– Jesteś pewien, że nie mogła wziąć pierścionka bezwiednie, nieświadomie?

– Przeszukaliśmy dom. Ostrożnie przepytałem Juliette i jeszcze nigdy nie widziałem jej tak przerażonej. Zastanawiam się nawet, czy może widziała coś albo czy ktoś jej groził, bo z ręką na sercu nie wierzę, żeby ona to zrobiła. Kiedyś tak się nie denerwowała. Nie mogła przyjąć do wiadomości, że zrobiła coś złego. Tym razem jest aż zbyt świadoma, co się stało, i nie może myśleć o niczym innym. I to właśnie teraz, gdy wydawało się, że jej nerwy są w jako takim stanie. Nie rozumiem tego i doprowadza mnie to do szału. Ci wszyscy ludzie to nasi przyjaciele, na miłość boską.

– I nie masz żadnych podejrzeń?

– Cóż, niestety mam, ale nie chciałbym niczego ci sugerować.

– Masz na myśli Johnny'ego Johnsona?

– Trudno, żebym podejrzewał kogoś innego, prawda?

– Mimo że to przyjaciel mojej siostry?

– Wybierał się później do klubu jazzowego. Mógł tam komuś przekazać pierścionek...

– Nie uwierzę w to – odrzekł Sidney. – Nie wyobrażam sobie, że ktoś przybywa jako gość po raz pierwszy do jakiegoś domu i robi coś takiego. Zresztą Jennifer wypowiada się o nim w samych superlatywach.

Nigel zastanawiał się chwilę.

– Niezła zagadka, co? Trudno podejrzewać Guya o to, że ukradł pierścionek, który dopiero co podarował przyszłej narzeczonej, trudno też podejrzewać o to Amandę. Mam nadzieję, że nie podejrzewasz mnie, a o Juliette już ci powiedziałem. Poza Johnnym Johnsonem i twoją siostrą zostają jeszcze Dowlandowie, którzy są ponad takie rzeczy.

– Opowiedz mi o Daphne Young.

– Chodziła do szkoły z Juliette. Były najładniejszymi dziewczętami na roku. Gdy miała piętnaście lat, umarła jej matka, a potem ojciec zszedł na złą drogę, niestety. Nie lubi o tym mówić, ale chodziło o hazard. W rezultacie ona pracuje w służbie zdrowia. Wykonuje bardzo nowoczesną pracę: zbiera materiały na temat czynników psychologicznych przyczyniających się do uzależnień, aczkolwiek mając wiedzę na ten temat, bez problemu sama od czasu do czasu ulega słabościom. Mówi, że to badania. Jak wiesz, jest jedną z najpopularniejszych dziewcząt w Londynie.

– Nie ma problemów finansowych?

– Nie wyobrażam sobie, by miała. Myślę, że zalotnicy płacą za wszystko, co ona zechce. I wynajmuje pokój. Teraz ma chyba jakiegoś kapelana. Nie mówiła ci o tym?

– Mówiła.

– Oczywiście ona nie mogła wziąć pierścionka. Przed wyjściem opróżniła torebkę na oczach nas wszystkich. A potem, gdy już każdego przeszukaliśmy i ty pojechałeś, Guy się wściekł. Zarzucił Amandzie, że jest zbyt roztrzepana, gada jak najęta, jest nieuważna, nieodpowiedzialna, niesolidna, bez pojęcia, żenująca i głupia.

– Na pewno nie jest głupia.

– Dowlandowie próbowali go powstrzymać, ale Guy zarzucił im, że o niczym nie mają pojęcia, a się wtrącają. To też nie zostało dobrze przyjęte. Dodał, że gdyby naprawdę chcieli się zaangażować, powinni w porę zauważyć złodzieja. Potem nalał sobie wielki kieliszek porto i oznajmił, że jeśli pierścionek się nie znajdzie, on pójdzie na policję i oskarży nas wszystkich. Próbowałem go uspokoić, bo to ostatnie, czego bym chciał, ale wtedy Juliette wpadła w histerię, więc musiałem ją zaprowadzić do łóżka. Dowlandowie pojechali do domu. W ten sposób Guy i Amanda zostali sami i krzyczeli na siebie.

– Amanda się kłóciła?

– Tak bym to ujął. Nie pozostawała dłużna. Nie słyszeliśmy całej ich rozmowy, bo szliśmy już po schodach do sypialni, ale to była piekielna awantura. Guy krzyczał „trzysta dwadzieścia pięć gwinei!”, a Amanda na to, że nie jest koniem do kupienia na targu i że jeśli on myśli tylko o pieniądzach, to może zapomnieć o zaręczynach, wracać do Wiltshire i poślubić dziewkę ze stajni.

– Aż tyle słyszałeś?

– Nie dało się nie słyszeć. Juliette prosiła, bym zszedł ich powstrzymać, ale nie mogłem jej zostawić w tym stanie, a potem słyszeliśmy tylko, jak trzaskają drzwi, Guy wypadł z butelką mojego najlepszego porto w ręku, a Amanda osunęła się na podłogę. Słowo daję, Sidneyu, to nie jest miłe uczucie, gdy nagle się okazuje, że zostałeś z żoną dygocącą ze strachu w sypialni i gościem płaczącym na kanapie w salonie. A Juliette w ogóle nie może spać. W kółko krąży i przeszukuje pokój, próbując sobie przypomnieć, gdzie położyła pierścionek.

Otworzyły się drzwi. Weszła Amanda. Sidney zauważył, że zmieniła uczesanie, spinając włosy z tyłu.

– Mam nadzieję, że nie mówisz mu o mojej kłótni z Guyem. To poufne.

– Jeśli możemy uniknąć zgłoszenia sprawy policji, to nic nie jest poufne.

– Mogę z nim porozmawiać o policji. Na pewno mu przejdzie. A mnie na pewno nie.

Sidney spojrzał Amandzie w oczy.

– Nie wybaczysz mu?

– Może nie podpisałabym się pod twierdzeniem *in vino veritas*, ale nie mogę wyjść za mężczyznę, który mnie obraża w domu moich przyjaciół.

– Przeprosił?

– Dzwonił i bardzo się starał, ale potem w kółko powtarzał „trzysta dwadzieścia pięć gwinei, Amando”, czyli właśnie tę frazę, która mnie doprowadziła do szału. Myśli chyba, że wartością pierścionka usprawiedliwi swoje zachowanie.

W tym momencie zadzwonił telefon.

– Przepraszam – rzekł Nigel. – Chyba powinienem odebrać.

Amanda spojrzała na Sidneya.

– Chcesz, żebym została?

– Jeśli możesz rzucić jakieś światło na wczorajsze wydarzenia, to będę bardzo wdzięczny.

Usiadła obok niego i niemal bezwiednie spojrzała na swoją lewą dłoń – bez pierścionka. Sądził, że zajmie miejsce naprzeciwko niego, i jej bliskość, tak intymna, wprawiła go w zakłopotanie. Miała wybuchowy, wyzywający charakter, czuł zapach jej perfum. Tego samego zapachu używała dziewczyna, którą poznał w Paryżu na koniec wojny: voile d’arpège.

Położyła dłoń na siedzisku.

– Chciałabym myśleć, że pierścionek się po prostu zgubił. Staram się myśleć o ludziach jak najlepiej i naprawdę nie chcę nikogo winić, oczywiście oprócz Guya.

– Nie sądzę, żeby on to zrobił.

– Kiedy naprawdę go nienawidzę, myślę, że mógłby to zrobić w ramach jakiegoś oszustwa ubezpieczeniowego. Ale nie sądzę, by był do tego zdolny. Jest za głupi.

– Nie powiedziałbym, że jest głupi. Wybrał ciebie.

– Każdy może to zrobić – odparła Amanda. – Pewnie chodziło mu o mój majątek.

– A jesteś bardzo zamożna?

– Bardzo, naprawdę. Ale staram się, żeby ludzie o tym nie wiedzieli. Doprowadza to do sytuacji, w której mimowolnie stajesz się podejrzliwy co do kierujących nimi motywów. Dlatego łatwiej zadawać się z bogatymi. Nie czuję się z tego dumna. Chociaż, prawdę mówiąc, sama mogłabym kupić ten cholerny pierścionek...

Stojący zegar szafkowy w holu wybił pełną godzinę. Szesnastą.

Sidney próbował sobie wyobrazić, jakie to musi być uczucie, gdy w ciągu jednego wieczoru dochodzi do oświadczyn i odwołania zaręczyn, gdy ktoś kradnie pierścionek zaręczynowy i wybucha taka kłótnia. Wiele kobiet wobec takiego rozwoju wydarzeń poszłoby do łóżka albo uciekłoby do rodziców.

– Odnoszę wrażenie, że jesteś raczej wściekła niż zdenerwowana.

– Jestem wściekła na siebie, że nie zorientowałam się, jaki jest Guy. Zawrócił mi w głowie swoim przystojnym wyglądem i zalotami, ale jest okropny.

I jeszcze mnie oskarżył, że rozmyślnie ten pierścionek zgubiłam! Teraz żałuję, że tego nie zrobiłam. Miałby za swoje.

– Jak sądzisz, kto go zabrał? – spytał Sidney.

– Będziesz rozmawiał z Johnnym Johnsonem?

– Mam nadzieję, że ze wszystkimi będę rozmawiał.

– Dowlandowie wyjechali na kilka dni do Kornwalii, więc w ich wypadku masz pecha. Pewnie większość ludzi myśli, że to Johnny, bo nikt, w tym i ja, nie potrafi uznać, że to Juliette. Właśnie w jej rękach pierścionek był widziany po raz ostatni. Ale to straszne tak myśleć. U podstaw przyjaźni powinna leżeć lojalność, nie sądzisz?

– Myślę, że bez lojalności przyjaźń jest niewiele warta. To kwestia zaufania.

Amanda spojrzała mu w oczy i nie odwróciła spojrzenia.

– A więc co zrobisz, Sidneyu?

– Jennifer zabiera mnie chyba dzisiaj na spotkanie z Johnnym w klubie jazzowym. To dobry pretekst, by z nim porozmawiać, bo jestem wielbicielem jazzu i chciałbym posłuchać trochę muzyki, zanim wrócę do Grantchester.

– A kiedy wracasz?

– Muszę być na miejscu w niedzielę, Amando.

– Ale dopiero co mieliście Boże Narodzenie. Nie możesz sobie zrobić wolnego? Na pewno jesteś wykończony.

– To prawda. Obawiam się, że to wszystko ma na mnie przygnębiający wpływ.

Amanda dalej przyglądała się jego twarzy.

– Zdrada, gniew i nieufność – powiedziała. – To nie jest dobry początek roku.

Do jadalni wrócił Nigel.

– Dzwoniła Daphne. Pytała, czy są jakieś wieści w sprawie pierścionka i czy może w czymś pomóc. Przydałoby się chyba, żebyś do niej pojechał, Sidneyu.

– Na pewno nie ucieszy się na mój widok.

– Mówiła, że zaproponowałeś, że się spotkasz z jej lokatorem, choć użyła chyba terminu „sublokatorem". On szuka posady wikariusza czy jakoś tak?

– Nie planowałem tego tak szybko.

– No to teraz oboje są gotowi na twoją wizytę. Mogę cię podwieźć.

– Nie odkładaj na jutro tego, co możesz zrobić dziś – dodała Amanda.

Nigel już wkładał płaszcz.

– To dwadzieścia minut samochodem, przy Hereford Square. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

„To dopiero nadzwyczajne – pomyślał Sidney – gdy ktoś przejmuje kontrolę nad twoim życiem z tak niezachwianą swobodą".

Minęła siedemnasta, zanim Sidney zadzwonił do drzwi mieszkania Daphne

Young w South Kensington. Cały czas się zastanawiał, kiedy jego życie wróci do normalności. Powinien teraz siedzieć w swoim gabinecie i przygotowywać się do święta Objawienia Pańskiego, tymczasem jedyne objawienie w jego życiu miało wymiar zdecydowanie ludzki i przyziemny. Doszedł do wniosku, że to śledztwo tak wytrąca go z równowagi, bo każe mu myśleć o życiu w sposób, który stoi w sprzeczności z jego charakterem i z jego wiarą. Jako kapłan miał być wyrozumiały, miał myśleć o ludziach jak najlepiej, tolerować ich zachowania i wybaczać im grzechy. Ale jako detektyw amator musiał spełniać wymagania wręcz przeciwne. Teraz miał być nieufny, myśleć o wszystkich gorzej, podejrzliwie traktować ich zachowania i nie ufać nikomu. Uważał, że to nie po chrześcijańsku.

Daphne Young miała na sobie bladoróżową sukienkę obszytą tasiemkami w czerwone groszki i kremową koronką.

– Wezmę płaszcz wielebnego – powiedziała. – Moim zdaniem w tych płaszczach księża wyglądają jak wampiry.

– Mogę panią zapewnić, że to nie jest efekt zamierzony.

– Pan Graham właśnie wyszedł po ciasteczka. Pamięta wielebny? To ten duchowny, który chętnie się z księdzem spotka. Napije się ksiądz herbaty?

– Nie chciałbym pani robić kłopotu.

– Miałam nadzieję pojechać dziś wieczorem do Brighton, żeby się zobaczyć z ojcem. Jest sam. W takim razie czeka mnie niedzielny lunch na prowincji. Zna ksiądz Longstaffów?

– Pytała mnie pani wczoraj.

– To znajomi Quickmainów. Często tam bywa lord Teversham. Cudowni ludzie.

– Wspomniała pani o ojcu.

– To mój obowiązek – odpowiedziała Daphne Young. – Ale ja lubię się udzielać towarzysko. Nieczęsto bywam w mieście w weekendy. Teraz oczywiście pomysł z kolacją w Londynie wydaje się jeszcze mniej atrakcyjny.

– Wczorajszy wieczór był bardzo trudny.

– To prawda, proszę księdza. Aczkolwiek zupełnie nie pojmuję, dlaczego Thompsonowie nie mogą wezwać policji. Podejrzewam, że wszystko wiąże się z troską Nigela o reputację. Nie chce trafić do „Timesa” z niekorzystnych powodów.

– Myślę, że chodzi o dyskrecję.

– Nawet jeśli przestępstwo jest oczywiste?

– Sądzi pani, że to Johnny Johnson ukradł pierścionek?

– Nie wyobrażam sobie, że zrobił to ktokolwiek inny.

– Ale dlaczego miałby to robić? Dopiero co wszystkich poznał.

– Dlaczego ludzie kradną, jak ksiądz uważa? Myślę, że to pytanie właśnie do osoby duchownej. Czy to z potrzeby wzbogacenia, czy nie chodzi też o dreszczyk

emocji? Mogłoby to nawet być postrzegane jako swoista zemsta, akt polityczny przeciwko bogatym, próba przywrócenia równowagi społecznej.

– Widzę, że już ma pani za sobą rozważania na ten temat.

– Jestem psychologiem, proszę księdza. Myślałam, że ksiądz wie. Ale ta sprawa wydaje się bardzo prosta. Na pewno daje do myślenia pochodzenie pana Johnsona.

– Co pani ma na myśli?

– A ksiądz nie wie?

Sidney pokręcił głową

– Jego ojcem jest Phil „Kot" Johnson, znany złodziej biżuterii.

– Skąd pani wie?

– Mój ojciec był kiedyś jubilerem. Johnson jest słynny. Oczywiście gdyby Thompsonowie wezwali policję, oni by przejrzeli kartoteki, dodali dwa do dwóch i cała ta paskudna sprawa by się skończyła.

– Nie miałem pojęcia.

– Jennifer księdzu nie powiedziała?

– Niewykluczone, że o tym nie wie. Jego syn jest bardzo ujmujący, jak pani miała okazję się przekonać.

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni. – Daphne uśmiechnęła się pod nosem. – Stary Johnson też wzbudzał zaufanie. A potem okradał. Jeśli się zastanowić, to bardzo prosta sprawa. Niech się ksiądz zgłosi na policję. Wiem, że siostra księdza znajdzie się w niezręcznej sytuacji, ale prędzej czy później księdzu podziękuje.

– Myślę, że muszę to zrobić po swojemu.

– Jeśli to się rozniesie, będziemy spaleni w towarzystwie. Natychmiast przestaną nadsyłać zaproszenia. Gdybym wiedziała, że Thompsonowie nie wezwą policji, w życiu bym nie wsiadła do tej taksówki. Powinniśmy wszyscy zostać i przeszukać pokój, pozdejmować ubrania w razie konieczności. Wówczas byśmy się dowiedzieli, gdzie Johnny Johnson go ukrył. Pierścionek nie może tak po prostu zniknąć.

– Niemniej wygląda na to, że tak się właśnie stało.

Do pokoju wszedł Leonard Graham, cały w przeprosinach. Niski, zadbany mężczyzna o nienagannych manierach. Miał na sobie sutannę. Było to nietypowe w wypadku duchownego bez posady, niemal równie nietypowe jak jego cieniusieńki wąsik. „Błąd" – pomyślał Sidney. Duchowny, przynajmniej jego zdaniem, powinien albo zapuścić wąsy i brodę, albo gładko się golić. Wąsik to wybór fatalny, ni to, ni śmo.

– Wiedziałem, że możemy się minąć – zaczął Leonard – ale poszedłem po ciasteczka, bo nie chcieliśmy księdza podejmować samą herbatą. Niestety, sklepy są zamknięte.

– Jak wiesz, ksiądz Chambers był tak miły, że zgodził się z tobą

porozmawiać o twoich perspektywach – oznajmiła Daphne.

– A ja jestem bardzo wdzięczny.

– Mam was zostawić samych? – spytała.

– To nie będzie konieczne – odrzekł Sidney. – Myślę, że najlepiej, jeśli zabiorę księdza Grahama do pubu. Jest pięć po piątej i sądzę, że chociaż jeden będzie otwarty.

Leonard Graham wyraźnie się zaniepokoił.

– Czy to aby nie za wcześnie?

– Może się tak wydawać – odpowiedział Sidney – ale ja chyba sobie zasłużyłem na piwo. Pani też oczywiście jest mile widziana, panno Young.

– To rozbrajająco grzeczne. Zaprasza mnie wielebny, wiedząc, że muszę odmówić. Mam pociąg. Ojciec czeka na mnie w Brighton.

– W takim razie nie zatrzymuję pani. – Sidney wstał.

– Bardzo miło – odparła Daphne Young. – Aczkolwiek mam nadzieję, że nie sprowadzi ksiądz mojego lokatora na manowce.

– Będę go wiódł uczciwą drogą, panno Young, proszę się nie martwić. I będę miał w pamięci pani uwagi.

– Lepiej, gdyby się ksiądz nimi pokierował.

– Może tak uczynię, ale na razie będę się trzymał swojej zasady. *Non liquet*. Nic jeszcze nie jest udowodnione.

– W takim razie będzie musiał pan zachować stateczny umysł w niedoli. *Aequam memento rebus in arduis.*[17]

Pub Hereford Arms był zachwycającym przybytkiem przy południowym krańcu Gloucester Road. Obaj mężczyźni usiedli przy kominku i cieszyli się swoim krzepiącym towarzystwem. Leonard niedawno ukończył studia teologiczne. Przydzielono go do parafii, w której większość czasu spędzał w prywatnej szkole dla dziewcząt, i teraz uznał, że gotów jest objąć posadę wikariusza. Nie przewidział jednak krętej drogi, która doprowadzi go do Sidneya, ani swobodnej interpretacji „obowiązków duszpasterskich", którą zdawał się realizować jego nowy towarzysz.

Leonarda uczono, że proboszcz powinien przyciągać wiernych do Boga swoim przewodnictwem, przykładem i poświęceniem. Ta poważna i uświęcona rola wymagała pełnego oddania Kościołowi i jego społeczności. Nigdy jeszcze nie spotkał się z księdzem, który by swoje rozumienie odpowiedzialności społecznej rozciągał na angażowanie się w śledztwo kryminalne w rejonie odległym o całe mile od własnej parafii.

Leonard znalazł się zatem w osobliwej sytuacji. Wcześniej miał nadzieję, że wykorzysta okazję do spotkania z ustosunkowanym wiejskim księdzem, by porozmawiać o nowościach kościelnych, jak również o własnych widokach, a tymczasem Sidney chciał rozmawiać wyłącznie o złożonościach bieżącej sprawy.

Po krótkim „na zdrowie" i grzecznym „szczęśliwego nowego roku" oraz

przy paru kuflach piwa na stole powrócił temat śledztwa. Sidney ruszył do ataku.

– Od kiedy mieszkasz u panny Young? – spytał.

– Od czterech czy pięciu miesięcy.

– I dobrze ją znasz?

– Na ile pozwalają okoliczności. Codziennie wieczorem i w każdy weekend jest nieobecna.

– Ma jakiegoś konkretnego przyjaciela?

– Na ile mogę się zorientować, jest samotna. Pojawia się kilku stałych wielbicieli. Jeden przysyła jej codziennie sonet.

– Dobry Boże.

– Było ich już tyle, że przestała je czytać. Na kominku leży stos chyba ze trzydziestu.

– A są przynajmniej dobre?

– Nie. Są okropne. Chociaż imię Daphne chyba trudno zrymować.

Sidney zastanowił się chwilę.

– Czy aby Swift nie napisał wiersza dla Daphne? – spytał. – Zdaje się, że pisał o niej „bardzo przyjemna młoda dama, choć niebywale szczupła".

Leonard Graham uśmiechnął się zgoła figlarnie, wąsik podążył za łukiem wargi. „Naprawdę powinien go zgolić" – pomyślał Sidney.

– To by pasowało – rzekł Leonard. – Daphne Young kojarzy mi się z chartem. Chyba w ogóle nic nie je.

Sidney przypomniał sobie wiersz:

Ach, jakaż duma w sercu damy płonie,
Podniebnych celów sięgają jej dłonie.
Stój, nimfo wzniosła; Los zawyrokował:
Pan śmierci tobie nie będzie ślubował.

Napił się piwa.

– Ktoś powinien napisać książkę o osobach, które były obiektami westchnień wielkich poetów.

– Albo o ich upadku – odrzekł z uśmiechem Leonard Graham.

Sidney się zastanowił.

– Śmierć poetów. Mowa pożegnalna.

– Zawsze wydawało mi się dziwne, że większość z nich spotkała się ze Stwórcą w niecodziennych okolicznościach. Na przykład Matthew Arnold. Zmarł, przeskakując przez żywopłot...

– Chyba tak. A czy chiński poeta Li Po nie utopił się aby, gdy próbował pocałować odbicie księżyca w wodzie?

– Puszkin i Lermontow zginęli w pojedynkach...

Sidney sięgnął do zasobów nabytych przez lata klasycznej edukacji.

– Ajschylos został zabity przez spadającego żółwia.

– Eurypidesa rozszarpały psy...

– Co prawda oni nie byli poetami w sensie dosłownym... – zastrzegł Sidney.

– Niemniej jeśli poszerzyć kryteria do pisarzy w ogóle, to możemy mieć używanie – zastrzegł Leonard Graham. – Edgar Allan Poe został znaleziony w cudzych ubraniach.

– A Sherwood Anderson połknął wykałaczkę. Odbiegamy jednak od tematu, przyjacielu. Opowiedz mi o ojcu swojej gospodyni. Zdaje się, że ona właśnie do niego jedzie.

– Ojciec mieszka w Brighton, jak już wiesz. Panna Young bardzo regularnie jeździ z tymi wizytami. Myślę, że zajmuje się jego finansami i daje mu kieszonkowe; takie odwrócenie ról u kresu życia.

– Interesujące, że kiedyś był jubilerem.

– Chyba nie podejrzewasz mojej gospodyni o kradzież? Jest dość znanym psychologiem.

– Źle to odbieram, jeśli ludzie tak chętnie przypisują komuś winę. Zgadzam się jednak, że to mało prawdopodobne. Co więcej, Daphne Young siedziała na niewłaściwym końcu stołu. Mówiła ci, co się wczoraj stało?

– Nie podając szczegółów.

– W takim razie, jeśli pozwolisz, ja cię wprowadzę.

– To chyba dziwne, że osoba duchowna tak się angażuje w podobną sprawę.

– W rzeczy samej, ale bardzo by mi pomogło, gdybym omówił to z kimś, kto ma obiektywne spojrzenie na to wszystko.

– Nie jestem detektywem.

– Ani ja, Leonardzie, ale w obecnych okolicznościach muszę się starać, ile się da. Zacznę więc...

Opisawszy wydarzenia poprzedniego wieczoru, Sidney wrócił do tematu gorliwości, z jaką Daphne Young rzucała oskarżenie na Johnny'ego Johnsona.

– Po stłuczeniu butelki szampana zapanowało spore zamieszanie. Myślę, że niemal każda z obecnych osób mogła ukraść pierścionek w tym momencie, bo niewielu z nas było trzeźwych, oprócz oczywiście Johnny'ego Johnsona...

– Skąd to „oczywiście"?

– On nie pije alkoholu. Co ciekawe, to stawia go w niekorzystnym położeniu. Siedział obok Juliette Thompson, a ona miała pierścionek. Obok nich jej mąż upuścił butelkę szampana. Johnsonowi łatwo byłoby w tym zamęcie działać z zimną krwią.

– Chyba że, oczywiście, butelka została upuszczona rozmyślnie.

– To niewykluczone.

– Żona mogła mieć pierścionek?

– Mogła, jak najbardziej...

– Wiedząc, że Johnny Johnson będzie naszym głównym podejrzanym?

– W moim odczuciu to działanie byłoby zbyt wyrachowane. Myślę, że to występek podyktowany okazją.

– Jesteś przekonany, że to się stało w zamęcie po stłuczeniu butelki?

Sidney usiłował uporządkować myśli, ale ostatecznie myślał na głos.

– Chyba że Nigel Thompson upuścił butelkę, by przestrzec żonę. Chciał odwrócić jej uwagę, żeby nie zabrała pierścionka. Próbował ją przywołać do porządku. I wówczas, zupełnie bez ich wiedzy, Johnny Johnson wykorzystał sytuację. To trudna sprawa. Ktoś zabrał pierścionek i go ukrył. Ale gdzie? Muszę przyznać, że nie mam pojęcia.

– Czy ja mogę w czymś pomóc?

Sidney dopił piwo i wreszcie coś mu przyszło do głowy

– Może coś by się znalazło... – zaczął.

W South Kensington panował nienaturalny spokój. Paliły się londyńskie latarnie gazowe, smog ustępował, ostatni mieszkańcy wracali z parków po spacerze z psem. Sidney ruszył do metra, wsiadł w pociąg linii Piccadilly i dojechał do Leicester Square. Stamtąd zamierzał dotrzeć do Soho i spotkać się z Johnnym Johnsonem. I później wsiadłby w późny pociąg do Cambridge.

Przyglądał się współpasażerom w metrze. Starsza pani w futrze siedziała z pekińczykiem na kolanach. Dwóch młodzieńców, pomimo wolnych miejsc, stało i paliło skręty. Mężczyzna w zniszczonym kapeluszu czytał „Timesa": „Wyznaczony przez Rosjan termin konferencji berlińskiej został zaakceptowany" – głosił nagłówek. Nikt z nich nie musiał pewnie się martwić żadną kradzieżą ani zdradą, ale niewątpliwie nękały ich jakieś inne demony. Sidney spojrzał na dłonie starszej pani. Miała na nich pełno pierścionków.

Wysiadł z windy na Leicester Square i ruszył przez Chinatown. Zauważył, że ulice wypełniają się ludźmi. Tu ściągali wszyscy: wielbiciele muzyki skifflowej, jazzowej i rockowej; polityczni dysydenci, wolne duchy, filozofowie, wichrzyciele i buntownicy. Uszy rozsadzał hałas, rozgardiasz, krzyki i piosenki pośród straganiarzy, sklepikarzy, barów mlecznych i stoisk muzycznych.

Zdaniem Sidneya w Soho czas płynął swobodniej. Tutaj życie nie było rozdzielone na wyszukane przyjęcia, spotkania i schadzki, które musiały się odbywać w określonych godzinach. Wręcz jedne się mieszały z drugimi. Ludzie się nie spieszyli. Nieważne, czy przybywali za wcześnie, czy się spóźniali. Przychodzili i wychodzili, jakby wydarzenia, w których brali udział, nie miały początku ani końca. Może była to świecka wersja tego, co ojcowie Kościoła nazywali „przebłyskiem nieskończoności".

Przypomniał sobie, że dzisiejszego wieczoru występuje jego brat Matt ze swoim nowym zespołem The Bottlemen. W zasadzie obiecał się tam pojawić, ale Jennifer powiedziała mu, że gdyby chciał pogadać z Johnnym, to znajdzie go w klubie Flamingo, a Sidney uznał, że najlepiej będzie, jeśli jak najszybciej załatwi

całą tę żałosną sprawę ze skradzionym pierścionkiem.

Znalazł Johnny'ego w głębi baru – palił papierosa i pił coca-colę. Miał na sobie czarny garnitur o wąskich klapach, już podziwiany przez Sidneya w sylwestra, i wąski krawat.

– Czego się wielebny napije? – spytał.

– Chyba lepiej coś bez alkoholu. Wypiłem już dzisiaj dwa piwa – wyjaśnił Sidney. – Bitter lemon?

– Niech wielebny doda sobie do tego dżinu.

– To nie byłoby rozsądne.

Johnny gestem poprosił barmana o napoje.

– Po co się wielebny w to angażuje, Sidneyu? Nie mógłby wielebny ich z tym zostawić?

– Myślę, że w ten sposób unikamy zaangażowania policji.

– No, to jedno dobre. Pewnie ktoś wielebnemu powiedział o moim tacie?

– No niestety, przykro mi.

– Nie musi wielebny przepraszać. To musiało wypłynąć. To lokal taty, rzeczywiście, ale ja prowadzę inne życie. Pracuję w nieruchomościach. Głównie zajmuję się mieszkaniami. Kupuję je i wynajmuję. Zawyżamy ceny, ale to i tak bardziej legalne niż to, co robił ojciec. Chociaż dzisiaj nawet on rozumie, że popełniał błędy.

– Trzeźwo pan patrzy, panie Johnson, i na kwestię interesów, i na kwestię przestępstwa.

– Nie mam co wielebnego okłamywać. Skoro pierścionka nadal nie ma, to oni wszyscy na pewno sądzą, że ja go ukradłem.

– Wymagałoby to zimnej krwi.

– Niech mi wielebny wierzy, nie jestem taki durny, żeby wychodzić z jego siostrą na przyjęcie i okradać jej najlepszą przyjaciółkę, którą dopiero co poznałem.

– W ogóle mi nic takiego nie przyszło do głowy. Niestety, najwyraźniej tylko mnie.

– No i Jennifer.

– No tak, i Jenny. Więc jedyny sposób, żeby nie mieszać do tego policji i oczyścić pana z podejrzeń, to ustalić, co się faktycznie stało. Pytam pana, bo niemal na pewno był pan najbardziej trzeźwą osobą na tym spotkaniu i kradzieży zapewne dokonano na pańskich oczach.

– Cóż, niestety, niczego nie widziałem. Oczywiście to nie było zaplanowane, bo nikt nie mógł wiedzieć, że w ogóle się pojawi jakiś pierścionek.

– Jak pan sądzi, w jaki sposób dokonano kradzieży?

Johnny uśmiechnął się zagadkowo.

– Musiałby wielebny o to spytać mojego tatę.

– Na pewno ma pan własne pomysły.

Johnny upił łyk coca-coli.

– Złodziej musiałby go zabrać bardzo szybko. A potem ukryć, zapewne w miejscu, w którym jego obecność można by jakoś wyjaśnić, gdyby został później znaleziony. W jakiejś dobrej kryjówce.

– A kogo pan sugeruje?

– Nikogo, wielebny Sidneyu. Nie rzucam oskarżeń. Powiem tylko, że to musiał być pewnie ktoś, kto dobrze znał ten pokój.

– No i umiał dokonać tego wprawnym ruchem.

– Może kieliszek porto i chusteczka. Wrzucasz pierścionek do kieliszka. Pijesz porto, osuszasz usta chusteczką, wypluwasz do niej pierścionek i oba te przedmioty wsadzasz do kieszeni.

– A jak pan sądzi, dlaczego go skradziono?

– Dla pieniędzy, oczywiście. Ale jeśli mnie wielebny pyta o wczoraj, to powiedziałbym, że może chodzić o utarcie nosa. Amanda Kendall ma wszystko, prawda? Dobrą prezencję, karierę, mnóstwo chłopaków, jak sądzę – chociaż ten, z którym teraz się spotyka, to poruta – więc powiedziałbym, skoro wielebny pyta, że człowiek, który ukradł jej pierścionek, chciał jej przytrzeć nosa. Nie chodziło o kradzież, a raczej o satysfakcję.

– Intrygujące.

– Niewykluczone, że całkowicie się mylę. Ale powiedziałbym też, że to była kobieta. Guy to narzeczony, deputowany był gospodarzem, wielebny jest księdzem, a wydawca był pijany. Napije się wielebny jeszcze?

– Nie, dziękuję. Powinienem już iść. Ale słucham dalej.

– Proszę zostać, jeśli wielebny chce. Później gra tu świetny kwartet i zajrzy do nas Johnny Dankworth. Za chwilę przyjdzie tu siostra wielebnego.

– Prawdę mówiąc, chciałbym już wrócić do pracy, do tej właściwej, która jest moim obowiązkiem.

– Moim zdaniem oni wielebnego do tego zmusili. Pewnie myślą, że wielebny może więcej od ludzi wyciągnąć. Czasami powiedzą coś prędzej księdzu, a gdyby ktokolwiek z tego towarzystwa wypytywał mnie, trzymałbym gębę na kłódkę. Mam tylko nadzieję, że wielebnego nie wykorzystują.

– Mogę panu postawić drinka na pożegnanie? – spytał Sidney.

– Nie ma o czym mówić.

Sidney czekał, patrząc Johnny’emu w oczy.

– Chciałbym podkreślić, że moim zdaniem nie ma pan z tym nic wspólnego. I chcę, by pan o tym wiedział.

– Doceniam to, Sidneyu. – Johnny uśmiechnął się, gasząc papierosa. – Tak sobie myślę, że zabawnie by było, gdyby wielebny stwierdził, że jako detektyw jest lepszy niż jako ksiądz.

– Lubię myśleć, że mam poczucie humoru, ale wyznam, że to by mnie ani

trochę nie ubawiło.

– A mnie i Jenny pewnie tak.

Sidneya zalała fala niepewności.

– Prawdę mówiąc, Johnny, w tym dokładnie momencie mogę z ręką na sercu powiedzieć, że nie uważam się za dobrego absolutnie w niczym.

– Bzdura. Wielebny jest bardzo dobry w byciu porządnym człowiekiem. – Wyciągnął rękę. – Miło było wielebnego poznać. Jeśli kiedykolwiek by wielebny chciał wpaść do klubu albo potrzebowałby mieszkania, albo damskiego towarzystwa, służę pomocą.

– Dziękuję, ale chyba czas, bym się zmierzył z własnym życiem. Ostatnio trochę wymknęło mi się z rąk. Niech cię Bóg błogosławi, Johnny.

– Ciebie również, Sidneyu.

Chambers uświadomił sobie, że od chwili uzyskania święceń kapłańskich po raz pierwszy słyszy, żeby ktoś mu tak odpowiedział.

Zanim wrócił do Grantchester, minęła północ. Chociaż szkic kazania przygotował sobie przed wyjazdem do Londynu, wiedział, że będzie musiał wstać o szóstej rano, żeby je dokończyć. Cóż za ironia losu, że pisząc kazanie na Epifanię, Objawienie Chrystusa Mędrcom ze Wschodu, czuł tak wielki brak mądrości na temat swojej osoby.

Ukląkł przy łóżku i odmówił pacierz, kończąc prośbą, której nie mógł spełnić ani on, ani Stwórca.

– Panie, spraw, bym nigdy, ani przez chwilę, nie dopuścił do mojej duszy ani jednej myśli niezgodnej z twoją miłością.

Był rozpaczliwie zmęczony i po nocy częściowo bezsennej, a częściowo wypełnionej niespokojnymi snami, na ogół o jakichś przestępstwach, przygotował sobie dzbanek kawy i zaczął się zastanawiać, o czym dzisiaj powinien powiedzieć. Będzie mówił o prezentach gwiazdkowych w porównaniu z darami przywiezionymi przez Trzech Króli, o gestach, które wymieniają członkowie rodzin i przyjaciele. Zaimprowizuje kilka myśli o duchu darowania i wykorzysta kolędę *W środku mroznej zimy* z wersem „Co mogę mu dać, ja, taki ubogi?”. Powie, jakie to ważne dawać od serca. Wtedy przypomniał sobie mimowolnie, że akurat Guy Hopkins o tym nie pamiętał.

Na chwilę oddał się wspomnieniom o sylwestrze, aż nagle się zdenerwował, że nie może się skupić. Wolałby przestać rozmyślać o kradzieży, a w pełni zająć się inkarnacją Chrystusa. Była to kwestia o wiele ważniejsza niż kradzież pierścionka w czasie przyjęcia.

Gdy nastał – jak zazwyczaj – smętny poranek, Sidney poczuł jeszcze większe zniechęcenie, bo okazało się, że w kościele jest o połowę mniej wiernych niż w Boże Narodzenie. To jednak nie zwalniało go z obowiązku wygłoszenia kazania na odpowiednim poziomie, zwłaszcza że ku swemu zdumieniu ujrzał

wśród zgromadzonych inspektora Keatinga z rodziną.

– W Boże Narodzenie nie poszliśmy do kościoła, bo nasze najmłodsze ma ospę wietrzną – wyjaśnił mu później przyjaciel. – I szukaliśmy jakiejś odmiany. Nasz proboszcz lubi się rozgadać, więc chcieliśmy sprawdzić, czy spełniasz oczekiwania.

– Nie byłem w formie.

– Zmusiłeś nas do myślenia i wzbudziłeś w nas poczucie winy. Nie o to ci chodziło?

– Idziemy do stołu w miłosierdziu i skrusze...

– Sprawiasz wrażenie zmęczonego, Sidneyu. To przemęczenie okresem Bożego Narodzenia?

– Obawiam się, że nie tylko.

– To nie wróży nic dobrego...

– Też się tego obawiam. Co robisz wieczorem? Musieliśmy zrezygnować ze swoich nawyków na czas świąteczny i czuję, że mi ich brakuje...

– Nie możesz poczekać do czwartku?

– Obawiam się, że nie.

– Co więc powiesz na małe piwo o ósmej w The Eagle? Chciałbyś mi podrzucić coś do przemyśleń nad lunchem?

– Widzę, że żona i dzieci na ciebie czekają. Sprawa dotyczy paczki przyjaciół, skradzionego pierścionka zaręczynowego i mojej siostry.

– Ale siostra nie jest ani ofiarą, ani sprawcą?

– Nie, ale to niewiele pomaga. Nie mogę spać, Geordie.

– No, nie możemy tak tego zostawić. Nie pamiętam, żebym cię kiedyś widział w takim stanie.

– Myślę, że to przez nowy rok. To dla mnie zawsze przygnębiający okres. Uświadamiam sobie, że ucieka mi czas.

– Kufel dobrego piwa ci pomoże.

Tego wieczoru gęsta mgła spowiła Cambridge. Światła samochodów i rowerów przebijały blado przez mrok mokrych ulic. Deszcz ustał, ale w powietrzu wisiała wilgoć, wydawało się, że to raczej koniec starego roku niż początek czegoś nowego. Sidney zastanawiał się, gdzie tak naprawdę jest jego miejsce, skoro pracuje i w parafii, i w college'u, i jeszcze jeździ do Londynu, gdzie angażuje się w śledztwa policyjne. Pomiędzy jednym miejscem a drugim nigdy się nie zatrzymując. „Ale może tak wyglądają kapłańskie obowiązki" – pomyślał. „Może trzeba wieść życie pielgrzyma, tułać się gdzieś po świecie, być człowiekiem mężnym, podążającym wszędzie tam, gdzie Pan postanowi go posłać".

Choć wiara dawała pocieszenie, pobożnemu życiu nieustannie towarzyszyły wątpliwości i samotność; i w taki zatęchły zimowy wieczór Sidney potrzebował przyjaciela do towarzystwa.

W pubie stwierdził, że inspektor Keating zdążył już zamówić napoje, i szybko stało się jasne, iż nie poprzestaną na jednej kolejce, bo przy pierwszym piwie Sidney zdążył przedstawić jedynie najistotniejsze fakty. Sformułował właśnie pytanie, czy ludzie czasami współpracują, by rzucić podejrzenia na jedną osobę.

– To raczej element fikcji niż rzeczywistości – odrzekł inspektor Keating. – Chociaż niekiedy się tak zdarza, to prawda.

– Wydaje się, że istnieje wiele możliwych rozwiązań, a tu wszyscy oprócz mojej siostry myślą, że zrobił to Johnny Johnson.

– W takim razie albo mają rację, albo wszyscy w tym siedzą, albo coś ukrywają.

– To podsumowanie nie wydaje mi się jakoś bardzo pomocne.

– Więc musisz zacząć od nowa, sprawdzić wszystkie dowody, jakbyś to robił po raz pierwszy. Zapomnij o tym, co już ustaliłeś, odrzuć uprzedzenia. Potrzebujesz detektywa.

– Nie chcą w to angażować policji. Gospodarz jest deputowanym z ambicjami, nie chce, by cała sprawa przedostała się do gazet.

– No widzisz, już samo to jest jakimś dowodem. Gdyby wszyscy byli tacy pewni winy Johnny'ego Johnsona, wezwaliby odpowiednie służby. Skoro tego nie zrobili, to albo wiedzą, że dowody wskazujące na niego są nieprzekonujące, albo podejrzewają kogoś innego i nie chcą ci o tym powiedzieć. Możesz im zaufać? Z opisu wydają mi się podejrzaną paczką.

– Myślę, że mogę ufać mojej siostrze.

– Co ona sądzi?

– Żona kradła już wcześniej.

– W takim razie to również trzeba wziąć pod uwagę.

– Nie sądzę, żeby ona to zrobiła. Przeszukaliśmy pomieszczenie, a potem mąż przejrzał jej rzeczy, tak żeby mogli w szczególności ją wyeliminować z dochodzenia.

– Ale nikt z was nie może być obiektywny. Niektórzy za dużo wypili, inni byli zmęczeni, a gdy kradzież wyszła na jaw, każdy pewnie chciał jak najszybciej się stamtąd wynieść. To nie są najlepsze warunki do poszukiwań.

– Co to oznacza?

– Musisz przeprowadzić wnikliwsze śledztwo.

– Na to chyba za późno?

– Pierścionek może ciągle tam być. A nawet jeśli go nie ma, samo przeszukanie może podsunąć ci jakieś pomysły. Zaglądaliście pod stół? Pomiędzy deski podłogi?

– No, nie zerwaliśmy parkietu...

– Musisz odtworzyć tę scenę.

– A potem?

– Musisz wezwać wszystkich do tego samego pomieszczenia. Musisz przeprowadzić rekonstrukcję i przyglądać się wszystkim uważnie.

– Nie jestem pewien, czy się na to zgodzą. I skąd będę wiedział, czy któreś z nich nie zachowuje się inaczej niż wtedy?

– Sidneyu, czy ty rozumiesz, że to naprawdę sprawa dla policji?

– Myślę, że oni wszyscy oczekują, że moja siostra zamieni słowo z Johnnym Johnsonem, on zwróci pierścionek, a wtedy będzie po sprawie. Problem jedynie w tym...

– ...że on nie ma z tym nic wspólnego.

– Moim zdaniem. I zdaniem mojej siostry.

– Cóż, Sidneyu, musisz zachować ostrożność. Wiesz, do czego są zdolni bogacze.

– Wiem?

Inspektor Keating dopił swoje piwo.

– Jeśli nie wiesz, to niedługo się dowiesz.

W czwartek siódmego stycznia, dzień po święcie Objawienia Pańskiego, Sidney wsiadał znowu w pociąg do Londynu, a potem znowu gramolił się do autobusu jadącego do Lord's Cricket Ground (wysiadanie tam zimą, gdy nikt nie grał w krykieta, było bardzo przygnębiające), a potem znowu przeszedł na Cavendish Avenue. Zamierzał przeszukać jadalnię Thompsonów. Miał nadzieję, że jeśli poświęci się sprawie bezwzględnie i mocno się skoncentruje na miejscu przestępstwa, w końcu wpadnie na jakiś pomysł.

Wczesnym popołudniem dotarł na miejsce. Widok Juliette Thompson w białej koszuli nocnej może niezupełnie go zaskoczył, ale poczuł zaniepokojenie wobec faktu, że gospodyni najwyraźniej go nie poznaje. Aż się zastanowił, jakie środki przepisuje jej lekarz.

Samego Nigela najwyraźniej irytowała wizyta Sidneya. Nie zaproszono go na lunch, a gospodarz był co prawda grzeczny, ale wyraźnie zniecierpliwiony.

– Od razu przeszukaliśmy jadalnię bardzo dokładnie – rzekł. – Przejrzeliśmy całą podłogę i krzesła, jak może sobie przypominasz.

– Możecie rozsunąć stół na całą długość i przynieść wszystko, czego tamtego wieczoru używaliśmy?

– Poproszę Ednę, żeby ci pomogła.

– Masz latarkę i drabinę?

– Nie rozumiem, na co by ci się miała przydać drabina, Sidneyu. Przecież nikt nie zdołałby ukryć pierścionka na gzymsie.

– Muszę spojrzeć na pokój z każdej perspektywy, jeśli nie masz nic przeciwko – odrzekł Sidney. – Juliette dobrze się czuje?

– Obawiam się, że musimy poszukać profesjonalnej pomocy. Nie sądzę,

żebyśmy ten akurat problem mogli rozwiązać sami. Przez to tylko jeszcze bardziej nienawidzę tego złodzieja. Nie za to konkretne zajście, nie za ból, który sprawił Amandzie, zwłaszcza że ona chyba szybko dochodzi do siebie, ale za to, że ta sprawa spowodowała tak ostre pogorszenie stanu Juliette. Czasami myślę, że ten, kto to zrobił, wiedział, jak ona zareaguje.

– Co by wykluczało Johnny'ego Johnsona. On nigdy wcześniej nie widział jej na oczy.

– To prawda. Tak więc musiałby to być ktoś z naszych najbliższych przyjaciół, ale ja w coś takiego po prostu nie mogę uwierzyć. To byłoby straszne nadużycie naszego zaufania. Może jednak należałoby wezwać policję, ale ja nie mogę tak ryzykować. Gdy Churchill ustąpi, a Eden przejmie urząd, otrzymam stanowisko w gabinecie. Nie mogę dopuścić, by cokolwiek zniweczyło moje szanse, a zwłaszcza coś tak trywialnego jak czyjś pierścionek zaręczynowy. Ta cała sprawa pochłania za dużo czasu i sprawia zbyt wiele problemów.

– Zrobię wszystko, żeby wam pomóc.

– Wiem, Sidneyu, i doceniam to, ale naprawdę sądzisz, że te twoje poszukiwania na coś się zdadzą? Pierścionek już dawno zniknął.

– Prawdopodobnie. Ale chcę w tym pomieszczeniu spędzić tyle czasu, żeby przemyśleć gruntownie wszystkie kombinacje. Trzeba zachować resztki wiary.

Sidney wyobraził sobie pokój jako zestaw kostek i trójwymiarową siatkę. Przemieszczał się z północnego zachodu na południowy wschód wzdłuż poziomych linii od lewej do prawej, a potem od prawej do lewej, posługując się latarką i szkłem powiększającym. Oglądał drewno, stół, ściany i podłogę. Otworzył kredens i opróżnił pudełko ze sztućcami. Siadał na kilka chwil co dziesięć, piętnaście minut z planem usadzenia gości w notatniku, rozmyślając i modląc się, i czekając, aż z jego obserwacji wypłynie jakieś natchnienie.

Po trzech godzinach doczekał się wreszcie swojego małego objawienia.

Propozycja odtworzenia ostatnich chwil imprezy sylwestrowej nie została przyjęta z entuzjazmem. Zorganizowano to spotkanie o innej godzinie, bo o siedemnastej, ponieważ goście, czy też podejrzani, zgodzili się przyjść wyłącznie pod warunkiem, że to nie zniweczy ich planów na wieczór. Daphne wybierała się z kimś do Covent Garden na *Madame Butterfly*, Jennifer i Amanda umówiły się już, że zobaczą Richarda Attenborough w *Pułapce na myszy*, a Dowlandowie co prawda nie mieli planów na wieczór, ale musieli skrócić swoją coroczną wizytę na Narodowej Wystawie Ptaków Ozdobnych w Olympii. W efekcie, gdy wszyscy już zajęli przydzielone miejsca i czekali na odtworzenie pod wodzą Sidneya wydarzeń sprzed tygodnia, w powietrzu dawało się wyczuć znaczne napięcie.

Nigel zaniepokoił się jeszcze bardziej, gdy usłyszał, że ma zmarnować kolejną butelkę szampana, rozmyślnie upuszczając ją tak, jak to zrobił w sylwestra. Sidney zapewniał go, że może to wydarzenie zamarkować, o ile wszyscy powtórzą

dokładnie swoje poczynania.

– Następnie zapewne – narzekał Nigel – zasugerujesz, że upuściłem to cholerstwo rozmyślnie, żeby wywołać zamieszanie.

– Już to wykluczyłem – odrzekł z przesadną szczerością Sidney.

– Mamy też prowadzić rozmowy? – spytał Guy.

– Możecie parafrazować. Chciałbym zrekonstruować nasze ruchy wokół stołu od momentu wręczenia pierścionka.

– Do którego momentu?

– Do chwili, gdy został pan sam z panną Kendall i naszymi gospodarzami, panie Hopkins. Późniejsza rozmowa nie ma znaczenia dla losów pierścionka, chociaż na pewno była ważna dla osób, które wzięły w niej udział.

– No raczej – prychnęła Amanda.

– Nie ma potrzeby tego przywoływać – warknął Guy.

– Przypominam ci – Amanda się zjeżyła – że nie rozmawiamy ze sobą.

– Więc dlaczego do mnie mówisz?

– Nie rozmawiam z tobą. Rozmawiam z księdzem Chambersem.

Sidney usiłował uspokoić nastroje.

– Zaczynajmy. Oczywiście potrzebny nam pierścionek. Przyniosłem jeden w tym oto pudełku z Woolwortha. Mam nadzieję, że skutecznie zastąpi właściwy. Panie Hopkins, czy zechciałby pan ofiarować go pannie Kendall?

– Oczywiście.

Guy wstał i podszedł. Postawił puzderko przed Amandą, a ona je otworzyła.

– Och, bardziej mi się podoba niż ten od ciebie.

– No, na miłość boską.

– Panie Hopkins – powiedział Sidney – zechce pan wrócić na swoje miejsce.

Amanda podała pierścionek przez stół Daphne Young, ta podała go Mary Dowland, a ona z kolei Sidneyowi. On zaś położył pierścionek przed Juliette.

– Słabo mi – powiedziała gospodyni.

– A teraz – rzekł Sidney – panie Thompson, czy zechce pan upuścić butelkę szampana?

– Znalazłem jakieś niezbyt wyrafinowane wino musujące – rzekł Nigel. – Przepraszam za marnotrawstwo, ale myślę, że mogę powtórzyć ten cały huk.

Gdy to zrobił, jego żona krzyknęła i upuściła pierścionek, Johnny Johnson odepchnął krzesło i strząsnął wino ze spodni z okrzykiem: „Drugi raz w ciągu tygodnia!”.

– Proszę dalej – nakazał Sidney.

Amanda wyprowadziła Juliette z pokoju, podczas gdy Daphne przyniosła ściereczkę, a Mary Dowland zmiotkę i szufelkę.

Gdy bałagan po raz drugi został uprzątnięty, pierścionek z Woolwortha nadal leżał przy miejscu Juliette Thompson.

– Ciężko się spodziewać, że ktoś go tym razem ukradnie – zauważył Mark Dowland.

– Proszę kontynuować – nalegał Sidney. – Powtórzmy poszukiwania.

Goście chodzili po pokoju, zerkając po kątach i pod stół.

Pokojówka zadzwoniła do drzwi.

– Panno Young, pani w tym momencie musi się chyba pożegnać – wyjaśnił Sidney.

– No, na pewno. – Daphne Young otworzyła torebkę i raz jeszcze wysypała jej zawartość na stół: wypadły te same puder, perfumy, chusteczka, klucze, notesik, adresownik i portmonetka. Po blacie potoczyły się drobne monety.

– Obyśmy nie dostali zawrotów głowy od tego kręcenia się w kółko... – rzuciła kąśliwie.

– Niesamowite – odezwał się Johnny Johnson. – Dokładnie tak samo to wyglądało poprzednim razem.

Obok niego pojawiła się Mary Dowland.

– W tym momencie ja chyba stanęłam obok pana.

– A pan Hopkins przejrzał zawartość torebki – wyjaśnił Sidney. – Zechce pan to zrobić ponownie?

– To chyba trochę bezcelowe, prawda?

– Wręcz przeciwnie – rzekł cicho Sidney. – Panno Young, pani, zdaje się, wróciła do swojego krzesła po szal?

– Rzeczywiście.

– I wtedy się pani pożegnała.

– Zgadza się. Mogę już iść?

– Niezupełnie. Musimy kontynuować, więc jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, proszę poczekać. Pan Hopkins musi podać pani torebkę...

– Dziękuję.

– A niedługo później wychodzą Dowlandowie. Jak również ja, oczywiście. Więc tylko zrekonstruujemy te ruchy, a zamiast wyjść, wrócimy na miejsca.

– Mam wrażenie, że to się na nic nie przyda – rzekł Mark Dowland, gdy zakończył się ten domowy balet.

– Wręcz przeciwnie – rzekł Sidney – wiele mi państwo pokazali. A teraz mam niespodziankę.

– Nie lubię niespodzianek – odezwała się Juliette Thompson, wracając na swoje miejsce. – Budzą we mnie niepokój.

– Ta jednak, mam nadzieję, jest miła. Zauważcie, że pierścionek z Woolwortha zniknął.

– Gdzie on jest? – krzyknął Guy Hopkins.

Sidney sięgnął pod stół.

– Mam natomiast coś innego. *Quae amissa salva*. Co zagubione, ocalone. –

Położył przed Amandą Kendall jej prawdziwy pierścionek zaręczynowy.

– Skąd go wielebny wziął? – spytała Daphne Young.

– Pani lokator był tak miły, że odzyskał go z The Lanes w Brighton.

– To nie jest lokator, to sublokator.

Sidney puścił mimo uszu tę korektę.

– W Brighton znajduje się sklep jubilerski zajmujący się skupem i sprzedażą klejnotów, obok pensjonatu dla dżentelmenów znajdujących się w trudnej sytuacji finansowej. Mieszka tam niejaki Hector Young, obecnie mocno zdezorientowany, niegdyś pracujący w firmie jubilerskiej Braithwaite i Young.

– Ty łajdaku.

– Pierścionek został odebrany od pani ojca, panno Young – mówił dalej Sidney. – Jak wszedł w jego posiadanie, możemy snuć tylko domysły, aczkolwiek mój kolega uzyskał dość wyczerpujące wyjaśnienie.

– Wysłał wielebny podstępnie księdza, wiedząc, że mój ojciec jest w takim stanie?

– Wręcz przeciwnie, jego misja była całkowicie jawna. Wysłałem go z jednoznacznym poleceniem, by porozmawiał z pani ojcem i odzyskał pierścionek. Wydaje mi się, że często wozi pani biżuterię do Brighton...

– Nie ma w tym nic złego.

– Większość to przedmioty wypożyczone, które można zwrócić. Paru dawnych kolegów również mu pomaga...

Daphne Young spuściła wzrok.

– Tylko dzięki temu utrzymuje się przy zdrowych zmysłach. Pamięta kosztowności, które stracił. Czasami wierzy, że nadal ma sklep.

– Nie wątpię, panno Young.

– Stracił wszystko.

– Jak? – spytała Juliette.

– Przyjmował kosztowności w depozyt, tak żeby kobiety mogły sobie błysnąć wieczorem, a rano zwrócić biżuterię. Niestety... niestety...

– Hazard – dokończył cicho Sidney.

Daphne miętosiła chusteczkę trzymaną w dłoniach.

– Sądził, że wykaraska się z długów i odda wszystko z nawiązką. Szedł do Epsoma i Goodwooda i obstawiał jak najwyżej handicapy. Pochlebiał sobie, że umie wyłonić niedocenianego konia, ale się mylił. Nie chciał być stratny, więc pożyczał, żeby spłacić klientów. Myślał, że wszystko w końcu się obróci na jego korzyść. Potem zaczął chodzić do lombardów z towarem i nie mówił o tym wspólnikowi. A teraz został z niego wrak człowieka...

– Była pani dobrą córką – powiedział Sidney.

– Dzięki biżuterii, którą mu pokazywałam, wracał do początków lat trzydziestych, gdy ja byłam małą dziewczynką, a moja matka jeszcze żyła. Wtedy

sklep prosperował znakomicie. Więc próbowałam go zatrzymać w tamtych wspomnieniach, żeby mógł umrzeć zadowolony. W obecnej rzeczywistości byłoby to niemożliwe.

Mary Dowland najwyraźniej nie wzruszyła się opowieścią.

– Chcesz nam powiedzieć, że ukradłaś pierścionek powodowana miłosierdziem?

– Zabrałam go bez namysłu. Leżał dokładnie przede mną. – Daphne zerknęła na Juliette. – Po prostu leżał. Nie mogłam się oprzeć.

– Mój Boże! – krzyknął Nigel. – Ukradłaś pierścionek w domu jednej z twoich najlepszych przyjaciółek. Masz świadomość, jak to się odbiło na zdrowiu Juliette?

– Musiałam wybrać pomiędzy nią a moim ojcem.

– Jak to pani zrobiła, Daphne? – spytał Johnny.

– Wielebny Chambers na pewno to wyjaśni.

– Rzeczywiście wszystko wskazywało na to, że pan ponosi winę, panie Johnson – zaczął Sidney. – Panna Young wiedziała o przeszłości pańskiego ojca i miała wręcz pewność, że wszystko spadnie na pana. Nawet sama usiłowała przyspieszyć taki rozwój wydarzeń. A gdyby to nie poskutkowało, zawsze pozostawała pani Thompson.

– Ale ona nigdy niczego nie ukradła – przerwała Mary Dowland.

– Nie – skłamał Sidney. To nie był czas na kolejne rewelacje. – Ale była zdenerwowana i rozkojarzona i nietrudno byłoby podsunąć jej myśl, że zabrała pierścionek, mimo że tego nie zrobiła.

Juliette Thompson spojrzała na Sidneya.

– Więc miałam rację? Nie dostałam tego pierścionka?

– W chwili gdy został skradziony, leżał przed panią. Dla przestępcy taka okoliczność, że istnieje dwóch podejrzanych podanych na tacy, była nieodparcie kusząca...

– Nie jestem przestępcą – przerwała mu Daphne. – Nie myślałam o tym w ten sposób.

– To musiało się stać, gdy Nigel upuścił butelkę – powiedział Johnny. – Daphne zbierała kawałki szkła...

– Dla ciebie panna Young.

– Ale ja ją cały czas widziałam – dodała Mary Dowland. – Miałam miotełkę i szufelkę.

– A panna Young miała ściereczkę – wyjaśnił Sidney. – Łatwo było zgarnąć pierścionek w trakcie wycierania stołu. Gdyby ktokolwiek to zauważył, mogłaby powiedzieć, że zrobiła to nieświadomie, i go odłożyć. Gdyby jednak nikt nie zauważył...

– Ale jak ukryła pierścionek? – spytał Johnny Johnson. – Przecież opróżniła

torebkę na stół i wysypała zawartość portmonetki. Nic tam nie było.

– To był majstersztyk. Ukryć pierścionek w przedmiocie, który już został przeszukany, i spokojnie się oddalić...

– Ale jak? – spytała Amanda.

Sidney ruszył wokół stołu.

– Ten pomysł przyszedł mi do głowy, gdy sam przeszukiwałem jadalnię. Wówczas po raz pierwszy pozwolono mi pobyć samemu w tym domu i mogłem przemyśleć sprawę w absolutnym spokoju. Wtedy przypomniałem sobie pierwsze pytanie, które zadał mi mój przyjaciel inspektor Keating: „Zaglądaliście pod stół?”.

– Oczywiście, że zaglądaliśmy – odrzekł Nigel.

– Chyba nie rozumiesz. Kiedy mówię „pod stół”, mam na myśli coś innego niż ty. Panno Kendall, panie Johnson, przypomnijcie sobie, jak siedzieliście podczas kolacji.

– Ja siedziałam obok gospodarza, a Johnny obok gospodyni – odpowiedziała Amanda.

– Mój Boże – rzekł Johnny Johnson – już chyba rozumiem.

– Siedzieliście również, podobnie jak panna Young, na skraju stołu, tam gdzie się on rozkłada. Oczywiście pod obrusem tego nie widać, ale to dość częste rozwiązanie. Przy miejscu panny Young znajduje się niewielka szczelina i właśnie tam ukryła pierścionek.

– Chcesz powiedzieć, że został on wciśnięty w krawędź pod stołem? – spytał Nigel.

– Właśnie tak. I następnie wyjęty, gdy panna Young cofnęła się po szal. My oczywiście wszyscy się skupiliśmy na zawartości jej torebki. Cała akcja wymagała jedynie zręcznego ruchu ręki.

Daphne Young wstała z krzesła.

– Doskonale, księże kanoniku. Możemy wszyscy pochwalić pańską wytrwałość. Gdyby tylko równie żarliwie oddawał się ksiądz obowiązkom kapłańskim. Zapewne wezwał już ksiądz policję.

– Jeśli chodzi o ścisłość, to nie. Myślę, że o tym musi zdecydować panna Kendall. To jej pierścionek.

– Raczej mój – poprawił go Guy Hopkins.

– Dałeś mi go – odparła Amanda Kendall.

– Ale ty mnie odrzuciłaś. Chyba zwyczajowo zwraca się w takich sytuacjach pierścionek.

Sidney nie przewidział wszystkich skutków swojego odkrycia. Daphne Young wykorzystała przerwę i ruszyła do drzwi.

– Zostawię was z tym. Jestem oczekiwana w operze. Macie mój adres.

– Daphne – oznajmił Nigel Thompson, zanim wyszła – w tym domu nie będziesz już mile widziana.

Jego były gość odparł bez emocji:

– Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

Zebrane towarzystwo słuchało, jak jej kroki cichną na schodach, jak otwierają się, a potem zamykają drzwi wejściowe. Potem usłyszeli jeszcze przenikliwy gwizd wzywający taksówkę.

– Niesamowita kobieta – powiedziała Mary Dowland. – Nawet nie przeprosiła.

– Nie mogę zapomnieć o jej ojcu – dodał Johnny. – Nie wyobrażam sobie, że to był jej pierwszy raz. Musiała już wcześniej kraść.

– Nie jestem taki pewien – rzekł Sidney.

Mark Dowland podsunął inne wyjaśnienie.

– Może uważała, że zasługuje na ten pierścionek bardziej niż Amanda. To lepszy powód...

– Zawsze miałem ją za sukę – dodał Guy.

– Twoje opinie na temat kobiet są skandaliczne – odparła Amanda. Po raz pierwszy tego wieczoru rzeczywiście na niego popatrzyła. Pierścionek wciąż leżał przed nią. Spojrzała na Sidneya. – Co mam teraz z tym zrobić? – spytała.

W 1954 roku walentynki wypadały w niedzielę. Również tego dnia Sidney obchodził urodziny. Kończył trzydzieści trzy lata. Ponieważ nie mógł zostawić swoich duszpasterskich obowiązków, do Grantchester z tej okazji przyjechała jego siostra Jennifer, która zabrała ze sobą Amandę. Przywiozły kartki od pozostałych członków rodziny i ciasto czekoladowe, które same przygotowały. W ramach świętowania odbyli wycieczkę po rzece Cam i zrobili zimowy piknik.

W rześki, ale pogodny lutowy dzień Jennifer i Amanda siedziały na dziobie łódki z kolanami nakrytymi kocem. Przed nimi stał koszyk z dwiema butelkami herbaty z mlekiem i odrobiną brandy, kanapkami z szynką i musztardą, pudełkiem smakołyków z Fitzbillies i ciastem czekoladowym ze świeczką, którą zamierzali zapalić o zmroku.

Sidney w swoim kapłańskim płaszczu i kapeluszu o szerokim rondzie, w którym wyglądał jak dziewiętnastowieczny ekscentryk, odpychał łódkę miarowymi ruchami kija. Czuł się jak w raju: wolny od trosk świata z uroczą siostrą i jej piękną przyjaciółką obchodził urodziny. Spędzą godzinę, dwie na pogawędkach, a potem dziewczęta wrócą do Londynu, Sidney odprawi nabożeństwo wieczorne, po czym w spokoju porozkoszuje się darami niebios.

– Jeszcze nigdy nie przeżyłam czegoś tak osobliwego jak zimowy piknik na rzece – powiedziała Amanda – i ogromnie mi się to podoba. Gdzie zacumujemy?

– Jeszcze kawałek w górę rzeki – odrzekł Sidney. – Za Sadzawką Byrona. Znam odpowiednie miejsce.

Zanurzył kij w wodzie, pchnął, a gdy łódź sunęła siłą rozpędu, zaczął recytować: „Dla nas kobiety, wino, śmiech, śpiewanie, jutro sodowa woda

i kazanie!”[18].

– Och, Byron – powiedziała Amanda. – Mój ulubiony poeta. „Wzdycham tym, co mnie kochają, dla niechętnych uśmiech mam; różne losy mnie czekają, które dzielnie zniosę sam”.

Sidney się uśmiechnął.

– Bardzo się cieszę, że doszłaś do siebie po tej przykrej sprawie sylwestrowej.

– Wielka szkoda, że nie mogliśmy winy za całą sprawę z pierścionkiem zrzucić na Guya – odparła Amanda. – Chętnie bym zobaczyła, jak się wścieka, idąc do więzienia.

– To nie jest życzliwa postawa.

– W wypadku wszystkich innych osób okazaliśmy dość wyrozumiałości.

– Postanowiliście darować winy Daphne? – spytał.

– To byłby jej koniec – wyjaśniła Jennifer. – Nigel też wolał uniknąć rozgłosu.

– Tak więc występek pójdzie w zapomnienie? To bardzo wielkodusznie z waszej strony.

– Musimy tylko wierzyć, że ona więcej tego nie zrobi.

Amanda wyraźnie w to powątpiewała.

– Chyba nie będziemy mieli jak się o tym przekonać. Nie sądzę, by ktokolwiek z nas ją jeszcze kiedyś do siebie zaprosił. Ale pewnie wyświadczyła mi przysługę. Oczywiście jej tego nie powiem.

Sidney manewrował łodzią na zakręcie, gdy mijali oszronione wierzby.

– I pozwoliłaś Guyowi zatrzymać pierścionek?

– O tak! Może go ofiarować jakiejś innej idiotce zwiedzionej jego tak zwaną urodą. Ja go nie chcę. Przypominałby mi tylko ten cały koszmarny wieczór. Bardzo dobrze, że twój kolega pojechał aż do Brighton i odzyskał klejnot. Przyjmiesz go?

– Powinien do mnie dołączyć na Wielkanoc.

– Johnny mówi, że on może być ciotą. A ty jak uważasz?

– Nie przyszłoby mi do głowy dociekać – odrzekł Sidney, schylając się pod niską gałęzią wiązu.

– Ale to chyba nie w twoim stylu, prawda? – drążyła Amanda. – Masz taki dociekliwy umysł.

Pchnięta przez Sidneya łódź dopłynęła do brzegu, a on zacumował i zaczął szykować się na piknik.

– Moim zdaniem każdy ma prawo do prywatności. I pewne kwestie muszą pozostać w sferze prywatnej. Jeśli Leonard Graham ma mi coś do powiedzenia, na pewno to powie. Poprosiłem go, w formie raczej nieoficjalnej, by zgolił wąsik. Wygląda z nim jak jakiś niebieski ptak i moim zdaniem zupełnie mu on nie pasuje. Poza tym nie zamierzam wścibiać nosa w jego sprawy.

– Nawet jeśli wzbudzają twoją ciekawość? – spytała go siostra, rozpakowując jedzenie.

– Myślę, że moja ciekawość się wzbudza wtedy, gdy leży to w interesie bliźnich – odrzekł Sidney. – Zresztą staram się nie marnować za dużo czasu na plotki, choćby nie wiadomo, jak miłe się to wydawało. Plotki nigdy nikomu nie przyniosły żadnego pożytku, a pozostawiają po sobie niesmak.

– Przepraszam, że w ogóle pytałam – powiedziała Jennifer.

– Możesz pytać, o co chcesz, nie mam nic przeciwko, moja droga siostro, dopóki jesteś gotowa zaakceptować, że na niektóre pytania nie odpowiem.

– Ale przecież musisz się nad tym zastanawiać.

– Staram się nie myśleć o takich rzeczach. To niczemu nie służy. Dyskrecja to bardzo niedoceniana cnota, prawda, Amando?

– Pewnie tak. Ale nie można być cały czas poważnym. Plotki bywają naprawdę zabawne.

– Nie wątpię. I rozumiem pokusę. Ale dla księdza są zbyt niebezpieczne.

Amanda popatrzyła na Sidneya zagadkowym spojrzeniem, nie po raz pierwszy zresztą.

– Chyba nie znam nikogo o tak niezłomnej moralności – powiedziała. – Przy tobie się czuję jak jakaś pleciuga.

– Nie ma nic złego w pleciugach – odrzekł Sidney. – Wręcz moim zdaniem światu potrzebne są wszystkie pleciugi.

– W takim razie chętnie służę pomocą.

– Pleć, pleciugo, byle długo?

– Chciałbyś tyle słuchać?

– Pani zawsze, panno Kendall.

Jennifer podała im kubki z herbatą.

– Czy wy aby nie flirtujecie? – spytała.

– Myślę, że to musi pozostać w sferze prywatnej. – Amanda zachichotała. – Słyszałam, że dyskrecja to niedoceniana cnota.

– Ja tylko pytałam – powiedziała Jennifer, która zaczęła odnosić wrażenie, że staje się przyzwoitką. – Mój brat w tej dziedzinie robi za czarnego konia.

Amanda musnęła wodę dłonią w rękawiczce.

– Ach, lubię wyścigi konne. Co prawda ojcu Daphne się one nie przysłużyły.

– W ostatecznym rozrachunku jest mi jej żal – dodał Sidney.

– Bardzo mi się podoba, że tak dobrze myślisz o ludziach. Ona była dla ciebie niemiła, prawda? Gdy powiedziała – tu Amanda zaczęła naśladować głęboki głos byłej przyjaciółki – „Gdyby tylko równie żarliwie oddawał się pan obowiązkom kapłańskim”, pomyślałam, że mogłaby sobie darować ten docinek.

– Nie mam nic przeciwko docinkom.

– Sidneyu, ty naprawdę jesteś nierzeczywisty. Chyba ci nie wierzę.

– Lubi tworzyć wokół siebie atmosferę tajemniczości – wyjaśniła Jennifer. – Chociaż jeszcze sobie nie uświadamia, jaki to skuteczny fortel.

Amanda przypomniała sobie, co chciała powiedzieć.

– Może pewnego dnia zabierzesz mnie do Newmarket, Sidneyu. Moglibyśmy się zabawić.

Uśmiechnął się.

– Fajnie by było. O, a może poszlibyśmy na koncert jazzowy. W tym roku przyjeżdża z Ameryki bardzo dobra śpiewaczka, Gloria Dee...

– Może niekoniecznie – odrzekła szybko Amanda. – Do jazzu się nie posunę.

– Och – jęknęła Jennifer. – A tak dobrze szło.

Cała trójka wybuchnęła śmiechem. Sidney nie pamiętał, żeby kiedykolwiek czuł się szczęśliwszy. Zapalili świeczkę na cieście, a dziewczęta zgodnym duetem zaśpiewały *Sto lat*. Potem on zdmuchnął płomień i pomyślał życzenie – żeby miał więcej takich chwil z dala od ziemskich trosk. Siedzieli w łodzi, śpiewając i żartując z siebie przez dobre pół godziny, aż wreszcie uznali, że zrobiło się za zimno i czas wracać do domu.

Nocą spodziewano się przymrozków i obydwie kobiety chciały wrócić do Londynu jak najszybciej po mszy wieczornej, by uniknąć opóźnień na kolei. Jennifer rano zaczynała pracę na nowej posadzie sekretarki, Amanda zaś przygotowywała się do ekspozycji podwójnego portretu Van Dycka po renowacji w National Gallery. Sidney czuł się, jakby spędził niedzielny wieczór w gronie rodziny, pośród osób na co dzień zajętych normalną pracą. Niepokoje poniedziałkowego poranka już docierały do ich świadomości.

Na dworcu w Cambridge Amanda oddaliła się w poszukiwaniu papierosów, Jennifer zaś wykorzystała chwilę sam na sam ze swoim bratem.

– Cieszę się, że się tak dobrze dogadujecie – powiedziała.

– O tak – odrzekł niemal bezwiednie Sidney. – Znamy się już jak łyse konie.

Jennifer pchnęła brata pięścią w ramię.

– Uważaj.

– Myślę, że to nie moja liga.

– Może to dlatego, mój drogi Sidneyu, że ty grasz we własnej lidze. Jeszcze raz wszystkiego najlepszego.

Dała się bratu delikatnie pocałować i zaczęła się rozglądać za przyjaciółką. Zamykano już drzwi wagonów. Zawiadowca zerknął na zegarek i wsunął gwizdek do ust. Wróciła Amanda.

– Musimy się spieszyć – powiedziała, choć najwyraźniej sama się nie spieszyła. – Aczkolwiek prosiłam zawiadowcę, żeby poczekał.

Oburącz ujęła dłoń Sidneya.

– Wszystkiego dobrego. Mam nadzieję, że jeszcze przyjadę. Znajomość z tobą to wielka przygoda.

– Zawsze jesteś mile widziana – odrzekł z uśmiechem Sidney.

Amanda wspięła się na palce, by go pocałować. Przypadkiem musnęła go wargami w usta.

– Jesteś wspaniały – powiedziała, patrząc mu w oczy.

– Idziemy – zawołała Jennifer.

Sidney patrzył, jak kobiety wchodzą do londyńskiego pociągu, i pomachał im na pożegnanie. Potem wsiadł na rower i ciemnymi, oblodzonymi drogami pojechał do Grantchester, oddając się rozmarzeniu. W drodze powrotnej przydarzyło mu się jedynie kilka niefortunnych zdarzeń: przednie koło wpadło w poślizg, o włos minął się z kotem i stracił równowagę, machając znajomemu – zwyczajne, nieprzewidywalne wypadki, dzięki którym człowiek docenia, że dotarł bezpiecznie do domu.

Następnego ranka Sidney znalazł na progu list. Wyglądał jak kartka z życzeniami i został nadany w Niemczech. Rozpoznał pismo Hildegard.

Przyjemność z otrzymania przesyłki starła się z poczuciem winy wywołanym zażyłością z Amandą. Przekładał kartkę z jednej ręki do drugiej, nie mogąc zdecydować, czy otworzyć kopertę czy nie.

„Może zostawię to na później” – pomyślał. „Na razie mam chyba dość mocnych przeżyć”.

PO PIERWSZE NIE SZKODZIĆ

Do obowiązków duchownego budzących najmniejszy entuzjazm Sidneya zaliczała się wielkopostna abstynencja. Rezygnacja z alkoholu od środy popielcowej do wielkanocnego poranka od zawsze należała do tradycji kleru w Cambridge, ale Sidney zauważył, że nie wpływa dobrze ani na duchowość, ani na cierpliwość. Wręcz niektórzy księża nabierali cech zgoła morderczych.

Zima zapanowała iście syberyjska. Drogi stały się nieprzejezdne od zasp, w głębi lasów zamilkły gawrony, a bernikle przelatywały nad polami, na których owce przymarzały do ziemi. Dla starców był to fatalny okres. Sidney już za dużo czasu spędził przy łożu dziadków, którzy padli ofiarą grypy, hipotermii, zapalenia płuc, którym to chorobom nadano przydomek „przyjaciel starego człowieka", choć rzadko wydawały się nań zasługiwać. Zarówno w spowitym ciemnością miasteczku, jak i mieście odczuwało się niepokój, a nawet nieszczęście. Był to świat, w którym ludzie z rzadka podnoszą wzrok, bo sprawdzają grunt pod nogami, bojąc się przewrócić, nie ufając ani pogodzie, ani losowi.

Sidneyowi trzeba było albo single malt, albo kufla ciepłego piwa – może wręcz jednego i drugiego – ale wiedział, że musi się oprzeć.

Ograniczenia tej podjętej dobrowolnie wstrzemięźliwości bawiły inspektora George'a Keatinga, który trzymał się swoich przepisowych dwóch piw w regularne tryktrakowe wieczory z Sidneyem w The Eagle, w barze RAF-u.

– Ty nadal raczysz się tonikiem, przyjacielu? Nie chcesz, bym ci go ożywił odrobiną dżinu? Zimno dzisiaj.

– Muszę, niestety, odmówić.

– Jaka szkoda. Niemniej jeśli się rozchorujesz, zawsze mogę ci przemycić trochę brandy.

– To nie będzie konieczne. Jesteśmy przygotowani – kontynuował przygnębionym głosem Sidney, jakby słów tych nauczył się na pamięć, ale stracił w nie wiarę – do opierania się takim pokusom, byśmy mogli przestrzegać okresu postu, modlitwy i wyciszenia.

Inspektor Keating próbował trochę rozweselić przyjaciela.

– Mógłbyś wypić chociaż jedną kolejkę. Nikt by nie zauważył. Jesteśmy sami.

– Ale ja bym wiedział. Miałbym to na sumieniu.

– Niektórzy obywatele mogliby być tak samokrytyczni jak ty. W tym mieście panowałby o wiele większy porządek.

– Kościół Anglii ma być sumieniem narodu – zażartował Sidney. – Staramy się wpoić ludziom przekonanie, że moralne życie jest życiem szczęśliwszym.

– Ludzie powinni być dobrzy z powodów egoistycznych?

– Właśnie. Zaczynamy?

Sidney rozłożył tryktraka na starym dębowym stole i rozpoczęli swoją ulubioną grę, obstawiając powściągliwie po pensie. Dla Sidneya były to jedne z nielicznych chwil pocieszenia w tygodniu, ucieczka od trosk doczesnych i udręk posługi. Wyrzucił piątkę i czwórkę i wyprowadził pionki z domu.

Inspektor Keating z radością stwierdził, że wyrzucił na początek dwie szóstki.

– Dzisiaj chyba ja rządzę...

Sidney się uśmiechnął.

– Lubię, kiedy masz dobry początek. Zatracasz się wówczas w złudnym poczuciu bezpieczeństwa.

– Chyba nie musisz się o to martwić. Jestem w szczytowej formie...

Sidney wyrzucił dwójkę i jedynkę i uświadomił sobie, że może przegrać.

– A skoro rozmawiamy o sumieniu – podjął inspektor Keating, tonem świetnie znanym Sidneyowi. Tego tonu należało się obawiać. – Chyba mam problem, który nazwałbyś dylematem moralnym. – Wyrzucił trójkę i szóstkę i przesunął swoje pionki o dziewięć pól.

– Doprawdy? – Teraz rzucił Sidney: czwórkę i trójkę. – Ostrzegałem cię, żebyś uważał.

– Zgłosił się do mnie koroner. Podwajamy stawkę?

– Oczywiście. Nie boję się. Co się stało?

– Wygląda na to, że pewna dama trochę nazbyt pospiesznie zleciła kremację zwłok swojej matki.

– Pewna dama?

– To sprawa poufna.

– Możesz mi zaufać.

– Isabel Livingstone.

– Znam ją, Geordie.

– Wiem, że ją znasz. – Inspektor wsadził kości do kubeczka i wyrzucił je: piątka i szóstka. Uśmiechnął się na myśl, że szczęście do niego powróciło.

– Widziałem się z nią w zeszłym tygodniu – przypomniał sobie Sidney. – Przyszła z moim lekarzem Michaelem Robinsonem. Zamierzali się pobrać. Miła para i dobrze dobrana, powiedziałbym. – Upił łyk rozczarowującego toniku i próbował odtworzyć w pamięci rozmowę. – Mówili, że postanowili zaczekać z uroczystością do śmierci jej matki.

– Nie wydaje ci się to osobliwe? Większość córek życzyłaby sobie obecności matki na ślubie.

– Planowali go na Wielkanoc...

Inspektor zagrzechotał kośćmi.

– No to teraz mogą go brać już, jeśli chcą...

– Zwykle nie udziela się ślubów w czasie Wielkiego Postu. Ale o ile pamiętam, matka pani Livingstone była w ogóle przeciwna związkom małżeńskim. Jej własny mąż opuścił ją, gdy Isabel była niemowlęciem. Od tego czasu żywiła silną niechęć do mężczyzn.

– Musiał być to niezły zawodnik, skoro dokonał takiego spustoszenia.

– Wielka szkoda, że ta niechęć tak się jątrzyła.

– No to już przestała się jątrzyć.

– A więc umarła? Dziwne, że mnie o tym nie powiadomiono.

– Właśnie, dziwne – przyznał rzeczowym tonem inspektor Keating. – Ale może stało się tak nie bez powodu...

Sidney widział, że za dużo pionków jego przeciwnika zajmuje korzystną pozycję. Już przewidywał przegraną.

– Wahasz się, inspektorze...

– Przepraszam...

– Wahasz się w sposób, który mnie niepokoi.

George Keating wyrzucił kości i zaczął wygrywać, ale nie miał już serca do gry.

– Problem w tym, Sidneyu – rzekł, nie patrząc na przyjaciela – że nie jestem pewien, czy pani Livingstone zmarła śmiercią całkiem naturalną...

– Bałem się, że to właśnie powiesz. Co masz na myśli?

– Że kochankowie może pomogli naturze... Niestety...

– Ale mamy zimę, a pani Livingstone od długiego czasu ciężko chorowała – zauważył Sidney. – Ja bym raczej sądził, że miała umówione pilne spotkanie ze swoim Stwórcą.

– No, niestety, koroner chyba tego zdania nie podziela. Zgłosiła się do niego przyjaciółka pani Livingstone. On poprosił nas, byśmy się przyjrzeli sprawie, i teraz to się robi bardziej skomplikowane. – Inspektor wyrzucił jedynkę i szóstkę i zaczął przesuwać pionki. – Pamiętasz sprawę Dorothei Waddingham?

– Morderczyni z domu opieki? Nie sugerujesz chyba...?

– W sprawie Waddingham znaleziono śmiertelną dawkę morfiny w pierwszym zbadanym ciele, a następnie w drugim. Czasami lekarze i pielęgniarki dają się ponieść emocjom i śmierć przychodzi odrobinę za łatwo.

Sidney rzucił kośćmi raz jeszcze, choć wiedział, że to bezsensowne.

– Czy pani Livingstone była zamożna?

– Umiarkowanie... ale można by sądzić, że lekarz ma wystarczające dochody. Motywem nie musiały być pieniądze.

– A dlaczego mi o tym mówisz? – spytał Sidney.

Inspektor rozparł się wygodnie, ramię położył na oparciu sąsiedniego krzesła.

– Kiedy zgłaszają się do ciebie ludzie, którzy chcą wziąć ślub, sprawdzasz

ich najpierw, tak?

– Udzielam im porady przedmałżeńskiej.

– Mówisz im, o co chodzi w małżeństwie. Ostrzegasz, że to nie tylko czułości i że gdy urodzą się dzieci, zacznie się zupełnie inna historia...

Wiedząc, że inspektor Keating ma trójkę dzieci w wieku poniżej siedmiu lat, Sidney rozumiał, że musi udzielić ostrożnej odpowiedzi.

– No cóż...

– Że trzeba się martwić o pieniądze, o pracę i że człowiek się zaczyna starzeć. Potem uświadamia sobie, że ożenił się z kimś, z kim nic go nie łączy. Że nie mają już sobie nic do powiedzenia. Takie rzeczy im mówisz, tak?

– Nie ujmuję tego dokładnie w ten sposób...

– Ale takie jest sedno?

– Lubię to ująć w sposób bardziej optymistyczny, Geordie. Że przyjaźń niekiedy jest ważniejsza niż namiętność. Mówię o znaczeniu dobroci i życzliwości...

– Tak, tak, ale wiesz, do czego zmierzam.

Sidney widział, że inspektor nie może się doczekać kolejnego drinka.

– Chyba wiem, o co chcesz mnie poprosić.

Keating wstał.

– Stawiam, chociaż to twoja kolej...

– Nie ma takiej potrzeby...

– I tak nie pijesz. Proszę tylko, żebyś trochę podrążył. Gdy przyjdą z tobą rozmawiać, zadaj im kilka trudnych pytań. Zapytaj narzeczoną o jej matkę. Przyglądaj się twarzy doktora. Nie chciałbym, żebyś udzielał ślubu dwójce morderców...

– Nie sądzę, by to wchodziło w rachubę... To bardzo życzliwi ludzie...

Inspektor Keating zamówił już trzecie piwo tego wieczoru.

– No, jeśli są tacy mili, jak mówisz, to chyba nie mamy się czym martwić, prawda? Jeszcze jedna partyjka?

Zima roku 1954 była bezlitosna. Sidney po przebudzeniu widział złowrogi szron na parapetach, za dnia w ogóle nie robiło się jasno, a na drzewach cały dzień utrzymywała się szadź. Gdy Sidney wstał następnego ranka, czuł, że o czymś zapomniał. I nagle wrócił strach.

„Ach, tak – pomyślał. – Keating. Znowu mam się czymś zająć. Kolejna śmierć”.

Włożył szlafrok i wyjrzał za okno. Przyszło mu do głowy, że może w innym życiu zostałby naturalistą. Czytał gdzieś, że w Kościele poniekąd zawsze była taka tradycja. Gilbert White, ksiądz z Selborne, zauważył na przykład, jak zimą gawrony spadają z drzew ze skrzydłami zespolonymi mrozem. Badał różne techniki, którymi wiewiórki, myszy polne i kowaliki jadły wyłożone dla nich

orzechy laskowe, i odkrył, że sowy w jego okolicy pohukują w tonacji B. Może tej zimy Sidney mógłby pójść w ślady wielebnego White'a. W życiu tyle zależało od zauważania różnych rzeczy. Od obserwacji. Spróbowałby być człowiekiem, któremu nic nie umyka.

Uznał, że jazda na rowerze do domu pani Livingstone byłaby zbyt niebezpieczna. Nawet spacer wymagał ostrożności. Włożył kalosze, na ramiona zarzucił kapłańską pelerynę i ruszył przez śnieg. Hector Kirby, rzeźnik i kościelny w jednej osobie, odśnieżał właśnie ścieżkę do swojego sklepu. Miał żonę z depresją i zawsze w pogotowiu ciętą ripostę. Veronica Hodge, starsza wiekiem spirytualistka, która powiedziała kiedyś Sidneyowi, że „miłosiernie oszczędzono jej zainteresowania mężczyzn", niepewnym krokiem zdążała po sprawunki, a Gary Bell, miejscowy mechanik, który jakoś zdołał uniknąć służby wojskowej, uruchamiał ciągnik, w którym najwyraźniej zawiódł akumulator.

Sidney mijał zmrożone łąki, gdzie jego rodzice spotykali się przed wojną, ślizgając się na łyżwach za sześć pensów za cały wieczór, i przystanął, by popatrzeć na chłopców rzucających się śnieżkami.

Gdy wszedł do miasta, uświadomił sobie, że jeszcze nigdy nie widział tak spokojnego Cambridge. Budynki wyglądały jak ilustracje z dziewiętnastowiecznej bajki. Śnieg stłumił donośne zwykle krzyki świata. Zupełnie jakby w ciągu nocy w milczeniu i nieoczekiwanie zstąpiła na ziemię łaska albo miłość Boża.

Z zadumy wyrwało go poślizgnięcie, które omal nie zakończyło się upadkiem. „Może powinienem jednak mniej oddawać się dumaniom" – pomyślał, idąc w stronę niewielkiego szeregowego domu przy Chedworth Street. „Nie wszystko w życiu można postrzegać jako materiał na kazanie – przeszło mu przez myśl – i śnieg może zakrywać grzech tak samo jak cierpienie".

Zadzwonił do drzwi. Czekając, przypomniał sobie Isabel Livingstone – niewielką, zgrabną niewiastę o żywych brązowych oczach. Krótkie włosy zaczęły jej już siwieć, może dlatego, że od tak dawna zajmowała się matką. Ubierała się praktycznie: biała bluzka, zielony sweter, spódnica w kratę. Ten mundurek pozostawał niezmienny i trudno było określić, ile panna Livingstone ma lat: może czterdzieści? Jej późna miłość dawała Sidneyowi nadzieję na odmianę losu. W końcu skoro Isabel Livingstone mogła w wieku czterdziestu lat oczarować lekarza, to niewykluczone, że Sidneyowi się kiedyś poszczęści w podobny sposób. Przypomniał sobie niespodziewany dreszcz, który poczuł, gdy Amanda Kendall pocałowała go na pożegnanie na dworcu, i spokój, który na niego spływał, gdy siedział u boku Hildegard Staunton. Jak dobrze się czuł, gdy tak oboje milczeli. Zdecydowanie powinien do niej znowu napisać.

Drzwi otworzył doktor Robinson. Okazał zaskoczenie wizytą Sidneya.

– Sądziłem, że mamy się spotkać pod koniec tygodnia?

– Przechodziłem i pomyślałem sobie, że może wpadnę – odrzekł Sidney – bo

wydaje mi się, że w tej chwili mamy do omówienia nie tylko ślub.

– Rzeczywiście. Isabel jest w kuchni. Ja właśnie wychodziłem...

– Przyszedłem złożyć kondolencje, jak również zapewnić, że kościół oczywiście jest do dyspozycji, gdybyście chcieli państwo urządzić tam pogrzeb.

– Matka Isabel nie należała do osób gorliwie praktykujących, proszę księdza. Obawiam się, że kazała się skremować w najtańszym zakładzie.

Z kuchni wyszła Isabel Livingstone. Sprawiała wrażenie zmieszanej. Sidney przeprosił za najście.

– Przepraszam, że nie zaszliśmy księdza powiadomić – kajała się gospodyni. – Tyle było do zrobienia... Myślałam, że lada chwila będziemy planować wesele, ale pewnie zawsze wiedziałam, że najpierw trzeba będzie urządzić pogrzeb.

– Podwójnie mi przykro – rzekł Sidney – z powodu pani straty i niefortunnego zbiegu wydarzeń.

– Ale spodziewaliśmy się tego, prawda, kochanie? – Doktor wziął Isabel w ramiona, a ona uśmiechnęła się do niego.

Sidney pomyślał, że dobrze razem wyglądają.

– Wiem, doktorze Robinson, że równie często jak ja ma pan do czynienia na przemian z narodzinami i chorobami...

Isabel uwolniła się z jego objęć.

– Nastawię wodę.

– Dzięki temu człowiek uczy się doceniać nieoczekiwane radości życia codziennego – odrzekł doktor. – Każdego ranka staram się być wdzięczny, że noc minęła mi spokojnie, i staram się patrzeć na wszystko świeżym okiem. Co prawda nie chciałbym za bardzo filozofować. Proszę wejść i się rozgościć...

– Na pewno pacjenci na pana czekają. Nie chciałbym pana zatrzymywać...

– Mogą poczekać. Widzę, że Isabel mnie potrzebuje. I oczywiście ja potrzebuję Isabel.

Sidney starał się podtrzymywać rozmowę, gdy szli razem przez niewielki salonik ogrzewany grzejnikiem elektrycznym.

– To niebywałe, że gdy zestawić ze sobą szczęście i smutek, jedno na tle drugiego zawsze wydaje się większe. Dlatego właśnie jestem zawsze tak niechętny konfetti.

– Konfetti?

– To przygnębiające dla żałobników, jeśli widzą konfetti pozostałe po ślubie, który odbył się przed ich uroczystością. Osieroconym przypomina to, jaką stratę ponieśli.

– Nie sądzę, by moja matka miała coś przeciwko – przerwała Isabel Livingstone, wchodząc z herbatą na tacy. – Jak ksiądz wie, była zdecydowanie przeciwna małżeństwom. Ilekroć słyszała dzwony kościelne, zatykała uszy. Śluby spotykały się z jej gwałtowną reakcją, prawda, Michaelu?

– Dlatego nie omawialiśmy z nią swoich planów małżeńskich, proszę księdza.

– Czasami myślę, że matka żyła tylko nam na złość – mówiła dalej jego narzeczona. Sidney zauważył na jej palcu pierścionek ze szmaragdem. – Głupio obiecałam jej, że nie wyjdę za mąż, dopóki ona żyje, więc chyba próbowała mnie przeżyć. „Nawet jeśli umrę pierwsza – mówiła – będę wszystko widziała".

– Może nie musiała pani dotrzymywać obietnicy? – zauważył Sidney.

– Ksiądz, osoba duchowna, sugeruje, że mogłam ją złamać? – spytała Isabel, nalewając herbaty. – Cukru?

– Nie, dziękuję. Jeśli tę obietnicę złożyła pani pod przymusem, to oczywiście, że tak.

– No, koniec końców, nie trzeba było czekać tak długo – włączył się doktor. – Tak naprawdę znamy się dopiero od siedmiu miesięcy. Ale ksiądz przecież o tym wszystkim wie. Oczywiście do chwili kremacji nie będziemy nagłaśniać swoich zaręczyn.

– Mimo że pani, panno Livingstone, nosi pierścionek...

– Wyłącznie w domu. Zdejmuję go przed wyjściem. To wydaje się niemądre, bo do tej pory już chyba wszyscy się zorientowali, ale jeśli ludzie oczekują od ciebie żałoby...

– Oczekują?

– Przykro mi, proszę księdza, ale moja matka nie była miłą osobą. Ani pod koniec swoich dni, ani wcześniej. Mogę jej być wdzięczna za to, że dała mi życie i że o mnie dbała, ale ostatnio, jeśli nie liczyć Michaela, moje życie było straszne. Ciężko się zajmować kimś, kto nienawidzi cię za to, że jesteś młoda, gdy on jest stary.

Sidney postanowił zaryzykować.

– Wiem, że czasami, gdy umiera ktoś nam bliski, czujemy wręcz ulgę.

– To prawda. Ale nie wolno o tym głośno mówić.

– Księdzu można powiedzieć wszystko.

– Albo lekarzowi – zauważył Michael.

– Nie do końca wszystko – odparła Isabel Livingstone.

Zapadła cisza.

– Skoro mowa o kremacji – zaczął wreszcie doktor Robinson – planowaliśmy ją na przyszły weekend, ale podobno musimy to przełożyć. Ksiądz pewnie nie wie, z czego wynika ta zwłoka?

– Wiem – odrzekł Sidney. – Myślę, że to bardzo delikatna kwestia.

– Nie rozumiem, o co chodzi. Co ksiądz wie?

– Och, Michaelu... – zaczęła Isabel, ale narzeczony jej przerwał.

– Pani Livingstone umarła śmiercią całkowicie naturalną. Serce przestało pracować. Osobiście wypisałem świadectwo zgonu.

Sidney pomyślał, że doktor Robinson dość gorliwie się usprawiedliwia.

– A pani, panno Livingstone, była obecna w chwili śmierci matki?

– Oczywiście. Opiekowałam się nią do samego końca. Podawałam jej wodę łyżeczką. Ocierałam jej czoło. Pilnowałam, żeby się nie odwodniła, jak przestrzegł mnie Michael. Robiłam wszystko, co kazał narzeczony.

– I niezwłocznie zamówili państwo kremację?

– Działaliśmy sprawnie – odrzekł doktor. – Nie widzę w tym nic nadzwyczajnego. Kremacji życzyła sobie matka Isabel.

– Bardzo się bała, że zostanie pochowana żywcem – wyjaśniła Isabel. – Nie cierpiała robaków. Mówiła: „Nie pozwól, by zżarły mnie robaki”. Umiała być naprawdę makabryczna.

Doktor Robinson zrobił się podejrzliwy.

– Dlaczego ksiądz o to wszystko pyta?

– Wygląda na to, że koroner nie za bardzo chce wydać ciało pani matki, panno Livingstone. Niewykluczone, że wystąpi o przeprowadzenie sekcji zwłok.

– A dlaczegóż miałby to robić, wielebny? – spytała Isabel tonem, który brzmiał zdecydowanie zbyt niewinnie.

– Myślę, że narzeczony wyjaśni pani medyczne powody takiej prośby.

Doktor Michael Robinson wstał z krzesła i wyjrzał za okno.

– Wścibski drań – warknął.

Następnego dnia przybył z Londynu Leonard Graham, by podjąć obowiązki wikariusza Sidneya. Nie mógł się doczekać pracy w parafii, a także w mieście uniwersyteckim, co pozwoli mu na kontynuowanie studiów nad dziełami wielkich pisarzy rosyjskich, zwłaszcza Dostojewskiego.

Niestety, inspektor Keating wysłał Sidneya na spotkanie z koronerem, więc pierwszą osobą, z którą Leonard zetknął się w Grantchester, była gospodyni. Sylvia Maguire – zawzięta, uparta niewiasta, niecałe metr sześćdziesiąt wzrostu, osiemdziesiąt kilogramów wagi – oznajmiła Leonardowi Grahamowi, że nic nie szkodzi, iż nie ma księdza Chambersa, bo nie jest on osobą praktyczną, i lepiej będzie, jeśli to ona osobiście mu wyjaśni, w jaki sposób funkcjonuje parafia, ze szczególnym uwzględnieniem plebanii.

Zaprowadziła Leonarda do jego pokoju i zaproponowała, że zrobi mu herbatę, podczas gdy on zaczął rozpakowywać walizkę i pudła z książkami. Po sześciu czy siedmiu minutach zawołała, że wszystko już gotowe. Leonard zszedł na dół, spojrzał na swoją herbatę i biszkopt i przygotował się na wprowadzenie. Już pojął, że zamiast spodziewanej rozmowy z wielebnym Sidneyem Chambersem o statusie kapłaństwa w Kościele czy o zjawisku jurodiwego w rosyjskiej literaturze, czeka go historia życia pani Maguire. Nie mylił się.

Pani Maguire zaczęła swoją opowieść od faktu, że urodziła się 21 stycznia 1901 roku, w dniu śmierci królowej Wiktorii, a jednak pomimo tej historycznej

daty Sidney nigdy nie pamiętał o jej urodzinach, bo zanadto pochłaniały go rozmyślania o przestępcach. Opowiedziała, że straciła trzech braci w pierwszej wojnie światowej i że jej mąż Ronnie zniknął „nie wiedzieć czemu" w drugiej wojnie światowej. Wyjaśniła wreszcie, że jej siostra Gladys, spirytualistka, nie zdołała skontaktować się z Ronniem, więc on na pewno żyje, a ona wciąż czeka na jego powrót. Wyjaśniła też Leonardowi, że w związku z odejściem męża ona potrafi „robić" u obcych ludzi, ale że jednak, ma się rozumieć, toalety w domu, jak i łazienkę przy kuchni plebanii uważa za „niehigieniczne". Może dbać o wyżywienie obu duchownych, ale nie chce przygotowywać za często ryby, bo niepokoi ją kwestia ości i w zasadzie nigdy nie doszła do siebie po kłopotliwym incydencie z zadławieniem, który jej się przydarzył podczas miesiąca miodowego w Skegness.

Zapewnia proste potrawy, jak oznajmiła: zapiekankę pasterską, grzanki z serem, kiełbaski w cieście, smażone ziemniaki z kapustą, pudding wołowo-cynaderkowy – i teraz, kiedy już nie ma tych kartek żywnościowych, jest o wiele łatwiej. Ale pranie i prasowanie jest płatne dodatkowo, zwłaszcza jeśli Leonard życzy sobie krochmalenia koloratek, a także byłaby wdzięczna, gdyby porządkował pokój, zanim ona się zabierze do odkurzania, oraz by opróżniał po sobie popielniczki.

Gdy Leonard Graham uznał, że pani Maguire skończyła swoją przemowę, pospieszył z zapewnieniami:

– Na pewno wszystko będzie funkcjonować bez zarzutu, pani Maguire.

Wtedy zaniepokoiła go jej riposta:

– Tak wielebny sądzi? Był już wielebny wikarym?

– Nie.

– A więc wszystko będzie dla wielebnego nowe.

Leonard bardzo chciał, by Sidney już wrócił.

– Na pewno dam radę – odrzekł. – Będę tu pełnił funkcję raczej duchową niż materialną.

– Każdy musi jeść, wielebny.

– W rzeczy samej. Bodajże dramaturg Bertold Brecht powiadał wręcz, że jedzenie jest ważniejsze niż moralność...

Pani Maguire chyba go nie słuchała.

– Nie rozumiem, dlaczego ksiądz Chambers nie może pisać swoich kazań, odprawiać nabożeństw i odwiedzać chorych jak każdy inny proboszcz – narzekała. – Musi łazić i wścibiać nos w nie swoje sprawy, a z tego są same kłopoty. Przed Bożym Narodzeniem mieliśmy tu piekło na ziemi, powiem wielebnemu szczerze.

Leonard Graham bronił kolegi.

– Nie sądzę, żeby ksiądz Chambers zaniedbywał obowiązki, by zaangażować się w sprawy innych ludzi, pani Maguire. To ci ludzie przychodzą do niego. On

tylko reaguje na ich potrzeby.

– Cóż, jest za miękki. I musi uważać, zapamięta wielebny moje słowa. Jeden występek przyciąga następny, tak mawiał mój Ronnie.

– Będę przypominał księdzowi Chambersowi o jego podstawowych obowiązkach – odrzekł Leonard Graham.

– I niech wielebny sam się w to nie wciągnie – doradziła pani Maguire. – Wystarczy już, że jeden ksiądz się bawi w Sherlocka Holmesa. Nie trzeba nam tu dwóch Sherlocków.

– Będę księdzu Chambersowi pomagał, ilekroć zdołam, pani Maguire, ale nie pozwolę, by mnie odrywał od obowiązków. Kościół i parafia będą moją jedyną troską.

– Niestety – odrzekła pani Maguire – to może przysporzyć wielebnemu kłopotów. Niech sobie Grantchester wygląda na zwyczajne angielskie miasteczko, ale mówię wielebnemu, że tak naprawdę to gniazdo perfidnych żmij.

– Dołożę wszelkich starań, by zachować najwyższą ostrożność, pani Maguire.

– To nie wystarczy, wielebny. Niech czujność stanie się dla wielebnego chlebem powszednim, tyle tylko powiem. A ja nie strzępię języka po próżnicy.

– Co do tego nie mam już wątpliwości – odrzekł Leonard Graham.

Koroner z Cambridge, Derek Jarvis, słynął ze swojej wydajności. Nie należał do tych, którzy by mitrężyli z robotą. Każde spotkanie, jakkolwiek przyjemne, rozumiał jako wydarzenie, które musi się zamknąć w wydzielonym czasie. Wysoki, szczupły i ubrany w jednorzędowy garnitur oraz stary krawat z Harrow, charakteryzował się naturalną pewnością siebie, której człowiek nabywa dzięki wychowaniu w uprzywilejowanym środowisku.

Sidney miał już okazję go poznać po amatorskim meczu krykieta, w którym koroner uzyskał dziarsko czterdzieści trzy runy w zaskakującej wygranej z Royston.

– Nie chciałbym być niegrzeczny, proszę księdza, ale nie rozumiem chyba, w jaki sposób ta sprawa w ogóle księdza dotyczy. To rzecz między mną a policją.

Sidney rozumiał, że Derek Jarvis postrzega jego wizytę jako coś, co zajmie więcej czasu niż to konieczne. Musiał więc być czarujący, a jednocześnie rzeczowy.

– Inspektor Keating zasugerował, bym tu przyszedł, ponieważ Isabel Livingstone i Michael Robinson są moimi parafianami. Obecnie są w żałobie, a jednocześnie szykują się do ślubu w moim kościele. Przyszedłem tu, by dyskretnie się zorientować, jak niepewna jest ich sytuacja i czy może nie należałoby przełożyć ślubu. Przepraszam za wszelkie problemy, które może wywołać moja wizyta...

– To żaden problem, oczywiście. Wręcz cieszę się, że mamy okazję się

spotkać. Tylko że o wiele milej byłoby spotkać się z wielebnym na meczu krykieta niż w mniej przyjemnym otoczeniu.

– Niestety, wiosna dopiero przed nami – odrzekł Sidney. – Czekam z utęsknieniem na długie letnie dni i wydłużające się wieczorne cienie, ale do tego czasu musimy się skupić na codziennych zadaniach. Wyobrażam sobie, że w takich sprawach obowiązują jakieś wytyczne.

– Niewątpliwie. Pani Livingstone chyba zmarła kilka miesięcy wcześniej, niż można by się spodziewać. Jeśli jej śmierć została przyspieszona w podejrzanych okolicznościach, trzeba przeprowadzić postępowanie...

– Jest środek zimy, a pani Livingstone była już w bardzo podeszłym wieku...

– W rzeczy samej, proszę księdza, ale jak zapewne ksiądz wie, może nawet lepiej ode mnie, wszyscy jesteśmy stworzeniami Bożymi, zarówno młodzi, jak i starzy...

– Nie mówię...

– Wiem, że wielebny nie mówi. „Wszystko ma swój czas”. Ale człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi.

– Rozumiem.

– Wszystko się sprowadza do kwestii zamiaru – mówił dalej Derek Jarvis. – Czy lekarz wstrzymał leczenie lub nawet w ogóle go zaniechał? Czy pozwolił pani Livingstone umrzeć, a jeśli tak, to czy leżało to w interesie pacjentki i było zgodne z jej życzeniami?

– Pani Livingstone była naprawdę słaba. Jej córka niewątpliwie może zapewnić ze swojej strony...

– Obawiam się, że to nie to samo. Zupełnie nie to samo...

– Tak, rozumiem – odrzekł szybko Sidney – ale jeśli pani Livingstone bardzo cierpiała...

– W takim razie oczywiście można było zaordynować podanie morfiny. Wysokość konkretnej dawki trzeba jednak zawsze sprawdzić.

– Na pewno doktor Robinson wiedział, co robi.

– Nie mam co do tego wątpliwości. Pytanie, co robił, a co zamierzał zrobić. To jego zamiar jest w tej sprawie kwestią kluczową. Morfina oprócz zmniejszenia bólu daje takie skutki uboczne, o czym pewnie ksiądz wie, jak spłycenie i spowolnienie oddechu, a zatem może skrócić życie pacjenta.

– Efekt uboczny złagodzenia bólu...

– Właśnie, proszę księdza. Proszę mi wybaczyć, że mówię oczywistości, ale kwestie moralne muszą być jednoznaczne. I jestem pewien, że ksiądz się ze mną zgodzi.

Sidney podziwiał metodyczny sposób rozumowania koronera, ale martwił się, że może mu brakować współczucia.

Derek Jarvis mówił dalej:

– Śmierć, która zdarza się po podaniu morfiny, jest skutkiem przewidywalnym, i w takich przypadkach lekarz, który podaje morfinę śmiertelnie choremu pacjentowi, by ulżyć mu w cierpieniu i przewidując wcześniejszą śmierć pacjenta, ale jej nie zamierzając, nie łamie prawa.

– Świetnie – odpowiedział szybko Sidney. Poczuł ulgę, że została jakaś nadzieja.

– Dawka morfiny, jak mówię, musi być określona i oczywiście musimy być pewni, że podano tylko morfinę, nie zaś coś poważniejszego...

– Na przykład?

– Na przykład chlorek potasu. To zupełnie inna substancja. W takim wypadku mielibyśmy do czynienia nie z założeniem śmierci, lecz z jej zamierzeniem. Tu znowu kluczową kwestią jest zamiar. W wypadku takiej interwencji zamierzona jest raczej śmierć niż ulga w cierpieniu...

Sidney z trudem nadążał.

– Wydaje się jednak, że zamiar można ocenić jedynie, pytając samego lekarza.

– Może tak być, ale w wypadku podania chlorku potasu lekarz, niestety, najpewniej przekonywałby mnie o swojej niewinności.

– I w tym wypadku mogło nim jednak powodować miłosierdzie dla pacjentki.

– Mieściłoby się to w pojęciu eutanazji, która, oczywiście, zasadniczo rzecz biorąc, jest morderstwem – odrzekł koroner, jakby Sidney o tym nie pomyślał. – I jeśli istnieje jakiekolwiek podejrzenie, że właśnie takie okoliczności wystąpiły, trzeba będzie przeprowadzić sekcję zwłok.

– To naprawdę konieczne?

– Obawiam się, że tak. Tak bardzo, że już ją zleciłem. Wyniki będą znane w środę. Podsumowując: ja bym do środy się wstrzymał z przygotowaniami do ślubu.

Niewzruszona rzeczowość koronera niepokoiła Sidneya. Jednocześnie wiedział, że jeśli jeszcze cokolwiek powie, może zaryzykuje szczęście ludzi, którzy zamierzali się pobrać w jego kościele.

– A po sekcji zwłok? – spytał.

– Wydaje mi się, że już nakreśliłem możliwości, proszę księdza. Jeśli zostaną znalezione ślady morfiny, zdołamy zapewne przejść do porządku dziennego nad wcześniejszym niż spodziewany terminem zgonu pani Livingstone. Ale jeśli zostanie znaleziony chlorek potasu...

– Wówczas lekarz będzie musiał stanąć przed sądem...

Koroner zawahał się chwilę.

– I nie tylko lekarz, oczywiście...

– Jak to?

– Na Isabel Livingstone spoczywał obowiązek opieki nad chorą. Przebywała w domu swojej matki i mogła interweniować, by zapobiec niewłaściwym działaniom, jeśli do takowych doszło. Byłaby współwinna przestępstwa, a w efekcie groziłby jej taki sam wyrok.

Derek Jarvis przemawiał, jakby już siedział w sądzie na miejscu dla świadków.

– Taki sam?

– W pewnych okolicznościach mogłoby to ujść jako nieumyślne spowodowanie śmierci, ale w tym wypadku, obawiam się, obojgu najpewniej postawiono by zarzut morderstwa. A zatem oboje zostaliby powieszeni.

– Dobry Boże – rzekł Sidney. – To straszne. Jestem pewien, że cokolwiek uczynili, to w najlepszym interesie pani Livingstone...

– Niewykluczone, wielebny, ale nie takie prawo obowiązuje w tym kraju.

– Wobec tego prawo należałoby zmienić...

– Ja się nie spieram o etykę, ale dopóki prawo nie zostanie faktycznie zmienione, jeśli istnieje podejrzenie działania przestępczego, moim obowiązkiem jest powiadomienie policji.

– Nic nie można zrobić?

– Sugeruje ksiądz, że mam utrudniać śledztwo? – spytał koroner.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Przykro mi, że muszę się wyrażać tak jednoznacznie. Każde śledztwo musi przebiegać bez przeszkód. Ksiądz powinien się po prostu modlić.

Jedynym wydarzeniem, które podnosiło Sidneya na duchu pośród śmierci i mroku Wielkiego Postu, była wizyta jego przyjaciółki Amandy Kendall. „Przynajmniej ona mnie rozweseli” – myślał, jadąc rowerem ostrożnie przez śnieg i czekając na nią na dworcu.

Dotarcie na miejsce zajęło mu pół godziny, a zatem miał mnóstwo czasu na rozważania. Tak dawno nie był w innym miejscu poza Cambridge czy Londynem... Naprawdę powinien poszerzać horyzonty. Przypomniał sobie słowa Roberta Louisa Stevensona: „Przemieszczanie się to wielka sprawa”. A jednak od czasu wojny w zasadzie w ogóle nie podróżował. Może by zrobił sobie wycieczkę do Francji? Albo do Niemiec, oczywiście...

Hildegard zapraszała go do siebie i wyobrażał sobie, że spotkanie z nią dałoby mu sporo pocieszenia. Z drugiej strony jednak martwił się, że nieco wyolbrzymił pociechę, którą czerpał z jej towarzystwa, i że przez jej nieobecność za mocno ją polubił.

Z Amandą przynajmniej wiedział, na czym stoi. Bo pomimo wzajemnego przywiązania nie było między nimi żadnych dwuznaczności ani podejrzeń o romantyczną miłość czy namiętność. Łączyła ich serdeczna przyjaźń, z której czerpał radość i niezbędną dawkę ożywienia. Miał tylko nadzieję, że sprosta

oczekiwaniom Amandy i że jej nie zanudzi.

– Jak zawsze elegancka – powiedział, gdy wysiadła z pociągu. Miała na sobie szyty na miarę żółtobrązowy płaszcz, w ręku trzymała torebkę Gladstone w kolorze kasztanowym.

– Postanowiłam uprościć garderobę – powiedziała. – Liliowy w mieście, brązowy na wsi. To szalenie ułatwia życie.

– Teraz raczej nie znajdujesz się na wsi...

– Och, Sidneyu, Cambridge to nie Londyn. Możesz mnie pocałować. – Wyciągnęła szyję. – Gdzie jemy lunch?

– Pójdziemy do Garden House Hotel. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

– A więc prowadź.

W drodze do restauracji Sidney szedł przy zewnętrznej krawędzi chodnika i prowadził rower. Amanda opowiadała mu, jakie to nadzwyczajne, że w ogóle przedarła się przez śniegi. Rozmawiała w pociągu z niejakim Hardingiem Redmondem, farmerem, który narzekał całą drogę, jak to przegniła mu rzepa na polach, a owce mają tak mało mleka, że jagnięta umierają. „To było takie przykre” – mówiła. Jego żona hodowała labradory i tak się martwiła ostatnim miotem, że nie wychodziła z domu, dopóki nie nabrała pewności, że szczeniętom nie stanie się krzywda w tym zimnie.

Sidney spytał o National Gallery, a Amanda powiedziała, że zaczyna zbierać materiały do monografii o malarstwie Hansa Holbeina Młodszego. Mówiła, że jest jeszcze tyle do odkrycia w życiu kulturalnym dworu Henryka VIII: dramat, sztuka, muzyka; że czuje, jak otwiera się przed nią cały świat. Może latem wybiorą się razem do Hampton Court?

Sidney zapewnił, że uczyni to z przyjemnością, i odwzajemnił się nowinkami parafialnymi, plotkami z Corpus Christi i wieścią o przybyciu Leonarda Grahama.

– Zgolił już wąsik? – spytała Amanda.

– Zgolił. I zdecydowanie lepiej mu bez niego.

– Ta sprawa u Thompsonów – powiedziała Amanda. – Biedna Daphne...

– I biedna Amanda.

– Nigdy sobie nie wybaczę tego okropnego zamieszania z Guyem Hopkinsem.

– To był bardzo atrakcyjny mężczyzna.

– I bardzo nieokrzesany.

Dotarli do hotelu, oddali płaszcze i kapelusze i zostali doprowadzeni do stolika.

– Pomyśleć, że tyle czasu trwało, zanim zauważyłam, jaki Guy jest okropny – kontynuowała Amanda. – Zupełnie straciłam zdolność osądu. Tak mnie rozproszył przystojny mężczyzna o znakomitych perspektywach, że zapomniałam

pomyśleć, jak może wyglądać małżeństwo z nim. Czy ty się zorientowałeś przy pierwszym spotkaniu?

– Nie chciałbym się wypowiadać.

– Czyli się zorientowałeś...

– Niekoniecznie, Amando. Nigdy nie rozmawiałem z nim na osobności ani nawet z waszą dwójką.

– Ale przecież tym się zajmujesz przed udzieleniem ślubu, prawda? I po części dlatego przyjechałam. Chciałam cię spytać, czy gdyby się jeszcze kiedykolwiek zdarzyło, że się zaręczę, to czy mogę przyjść do ciebie i porozmawiać o kandydacie?

– Oczywiście. Masz kogoś konkretnego na myśli?

– Jeszcze nie. Ale są pewne możliwości.

– I ja się pierwszy dowiem?

– Zaraz po Jennifer, oczywiście. Przed swoją współlokatorką raczej nie mogę mieć tajemnic.

– Co u niej?

– Pytasz o Johnny'ego Johnsona? Oni się tylko przyjaźnią, rozumiesz.

– Podziwiam Johnny'ego Johnsona.

– Ja również, Sidneyu. W dzisiejszych czasach i będąc w tym wieku, na pewno możemy zawierać przyjaźnie z przedstawicielami płci przeciwnej, nie zastanawiając się, co to wszystko znaczy. Jestem pewna, że ty też masz mnóstwo przyjaciółek...

– Nie takich jak ty.

– No mam nadzieję. Nie chciałabym być niczyją kopią.

– Na całym świecie nie ma nikogo takiego jak ty, Amando, mogę cię zapewnić.

– Och, w czasie rewolucji radzieckiej, albo i francuskiej, skoro o tym mowa, na pewno zostałabym zabita wraz z innymi pannami z wyższych sfer. Ale teraz muszę uważać. Martwię się, że kiedy zwracają się do mnie mężczyźni, kierują nimi jakieś ukryte pobudki.

– Na pewno jesteś niezłą partią.

– Och, Sidneyu, mówisz takie słodkie rzeczy. Ale czasami po prostu nie mogę być pewna motywów mężczyzn, którzy mi się podobają.

– Ryzyko zawodowe, powiedziałbym.

Kelnerka podała im śledzie smażone w płatkach owsianych, ale Amanda już zdążyła się rozpędzić.

– Przecież księża zajmują się doradzaniem ludziom, którzy planują małżeństwo, prawda? Co ty im mówisz? I czy możesz im czasami powiedzieć, że ich związek od samego początku będzie katastrofą? Założę się, że tak.

– Zadajesz dużo pytań, Amando.

– A mam ich więcej. Chcę wiedzieć wszystko. Na przykład jak bardzo trzeba być zakochanym? Umiesz powiedzieć, że ktoś jest wystarczająco zakochany, i czy możesz udzielić ślubu, jeśli masz wątpliwości? Czy liczy się aprobata rodziców? Czy to ważne, czy twój mąż ma pieniądze? Czy narzeczeni muszą zajmować taką samą pozycję społeczną? Co zrobić, jeśli nie znosisz jednej cechy swojego przyszłego męża? Czy ludzie się zmieniają, gdy już wezmą ślub? I tak dalej.

– Nie wiem – odrzekł Sidney, zabierając się do jedzenia swojego śledzia. – Nie da się wszystkiego przewidzieć. Ale myślę, że we właściwym momencie musisz odczuć, że nie wyobrażasz sobie innego wyjścia. Musisz mieć przekonanie, że życie bez tego kogoś byłoby niemożliwe.

– Ale ty żyjesz sam.

– W moim wypadku jest inaczej. Ja żyję z moją wiarą. Miałem na myśli to, że nie wyobrażasz sobie życia bez tej ukochanej osoby.

– Ale jeśli nie możesz znaleźć tej właściwej osoby? Znam bardzo wielu ludzi, którzy sprawiają wrażenie, że zadowolili się namiastką.

– Ty tego nie wiesz, Amando. Może oni tylko tobie wydają się namiastką. A w miłości chodzi o coś więcej niż uroda. Czasami myślę, że to bardziej kwestia sanktuarium, niezłomnej przyjaźni.

– Zaznałeś czegoś takiego?

– Nie do końca – odrzekł. – Jeszcze nie...

Kelnerka zabrała ich talerze ze stolika, a po chwili podała kotlet wieprzowy z sosem jabłkowym. Sidney nie spodziewał się takiego drążenia tematu, odnosił też wrażenie, że Amanda zadaje swoje pytania wyzywającym tonem. Ciężko było udzielić na nie przemyślanych odpowiedzi.

– Życie kapłana jest samotne? – Nie ustawała.

– Czasami...

– A kiedy jest najgorsze?

– Chyba teraz.

– Teraz przy tym stoliku?

– Nie, oczywiście, że nie, zupełnie nie to miałem na myśli. – Sidney się zarumienił, chociaż rzeczywiście w tej właśnie chwili czuł się bardzo zagubiony. – Myślę, że na przykład wtedy, gdy w zimny lutowy dzień w Wielkim Poście przychodzi niewielu wiernych. Czuję, jak dopadają mnie fale przygnębienia. Liczba wiernych ciągle maleje, Amando, a niekiedy zupełnie nie mam jak ich zachęcić. Całkiem jak we wspaniałym wierszu Matthew Arnolda *Wybrzeże w Dover*. „Słyszę jedynie smętny szum cofających się morskich odmętów...”[19].

– W takim razie mam tylko nadzieję, że nie zanurzasz się już w mętnych wodach...

– Czasami te mętne wody same do mnie przychodzą...

Amanda odłożyła nóż i widelec.

– Przykro mi. Tyle mówiłam o sobie, że dopiero teraz się zorientowałam. Wybacz mi. Widzę przecież, że coś cię męczy.

Sidney westchnął. Zastanawiał się, czy powinien mówić otwarcie, ale był zbyt zaabsorbowany, żeby tego nie zrobić.

– Obawiam się, że rzeczywiście tak jest.

– Powiedz mi o tym...

– To chyba nie jest miejsce na tę rozmowę.

– Nikt nie słucha.

– Umarła pewna starsza kobieta.

– To chyba nic nadzwyczajnego.

– Jak najbardziej.

– Więc raczej nie masz się czym martwić?

– To absolutnie poufna sprawa, Amando. Nie powinienem ci w ogóle nic mówić.

– Ale ta sprawa cię niepokoi?

– Tak. Na mojego lekarza padł cień podejrzenia.

– O co?

– To bardzo delikatna kwestia.

– Ja go nie znam, prawda?

– Nie, Amando, nie znasz.

– No to nie mów mi, jak się nazywa. Dopuścił się zaniedbania?

Sidney zamilkł. Wiedział, że nie powinien wtajemniczać Amandy, ale nie mógł się powstrzymać.

– Uważa się, że może przyspieszył jej śmierć.

– A dlaczego miałby to robić?

– Żeby się ożenić z jej córką bez zgody matki.

– Nie mogli po prostu poczekać?

– Najwyraźniej nie. To była twarda sztuka.

Amanda wróciła do swojego posiłku.

– Zapewne tak twarda jak ten kotlet. Sprawą się zajmuje twój kolega inspektor?

– Tak. Obaj czujemy się z tym niezręcznie.

– Chodzi o eutanazję czy coś jeszcze bardziej zbrodniczego?

Sidney zaczął żałować, że poruszył temat, ale było już za późno.

– Nie jestem pewien, czy nie jest w to zamieszana jej córka.

– Cóż, istnieje jeden powód, dla którego matka mogła nie aprobować tego związku – powiedziała Amanda. – Chociaż nie rozumiem, jakie to ma znaczenie w dzisiejszych czasach...

– A mianowicie?

– Och, Sidneyu, jak możesz być taki niedomyślny? Ona oczekuje dziecka,

oczywiście.

„Oczywiście” – pomyślał Sidney. „Jak mogłem być taki tępy?”

– Gdyby matka zmarła, zanim ciąża stanie się widoczna, nie byłoby problemu. Co prawda mogliby też w ogóle się tym nie przejmować. Chyba nic innego nie mogło ich powstrzymać od małżeństwa...

– Myślę, że Isabel chciała się zachować właściwie wobec matki...

– Isabel? Jesteś po imieniu z ewentualną morderczynią?

– Ona nie jest morderczynią, Amando. To kobieta, która całe życie była tyranizowana, a teraz, choć późno, znalazła wreszcie miłość.

– Więc jej marzenia się spełniły.

– Miłość to powód do radości, Amando.

– Nie przyszło ci nigdy do głowy, żeby samemu się z nią ożenić?

– A teraz sobie ze mnie żartujesz...

– Jest atrakcyjna?

– Owszem. Ale oczywiście nie jest tak atrakcyjna jak ty.

– Och, Sidneyu. – Amanda wychyliła się do przodu i położyła dłoń na jego ręce. – Mogę polegać na tobie, że zawsze wiesz, co powiedzieć. I masz takie doskonałe maniery. Chciałabym, żeby moi londyńscy zalotnicy szli za twoim przykładem.

Kelnerka wróciła z roladą z dżemem, Amanda cofnęła dłoń.

– Myślę, że musimy uważać, czego sobie życzymy – odrzekł Sidney, siląc się na spokój. – Czasami nawet jeśli nasze modlitwy zostają wysłuchane, los wykonuje ironiczną woltę, która w ogóle nie przyszłaby nam do głowy.

– No dobrze. Pozwól mi zapłacić za lunch, Sidneyu. Może od takiej wolty zaczniemy.

– Nie sądzę, bym mógł się na to zgodzić, Amando.

– Bzdura. Myślę, że zawsze będę płacić. To wszystko uprości.

– Amando...

– Nie bądź niemądry. Pomyśl, że to zaliczka na poczet przyszłych porad przedmałżeńskich. Będzie ich zapewne całe mnóstwo.

Na początku marca śnieg zaczął topnieć i zsuwać się z dachów, zaskakując przechodniów i rowerzystów. Jastrzębie krążyły nad Meadows i dalej od miasta, nad łąkami wokół Grantchester, a rolnicy wreszcie mogli orać i siać.

Wszyscy czuli rychłe nadejście wiosny. Studenci porozpinali swoje budrysówki i poluzowali uczelniane szaliki, dzieci grały w piłkę nad rzeką, a w oknach domów pojawiły się pierwsze zimowe hiacynty.

Leonard Graham zadomowił się w jednym z pokojów na piętrze plebanii. Sidney cieszył się, że dzieli się obowiązkami, uczył go powinności duszpasterza i pozwalał mu dowolnie często wygłaszać kazania o napięciach pomiędzy etyką kantowską a utylitariańską – musiał tylko być miły dla pani Maguire i nie

okazywać niecierpliwości wobec tych parafian, którym brakowało uniwersyteckiego wykształcenia.

– Mądrość życiową – powiedział młodszemu koledze – nie zawsze można znaleźć w księgach.

– Zgadzam się – odrzekł wikariusz – ale jeśli ktoś ma mądrość życiową i czyta księgi, to daje mu to jeszcze większą przewagę.

– Nad czym?

– Myślisz, że powiem „nad innymi ludźmi", prawda? Ale zupełnie nie to mam na myśli. Czytanie daje ci przewagę nad życiem i czasem.

– Mam tego świadomość – odrzekł zdawkowo Sidney.

– Możesz podróżować przez historię, obcować ze śmiercią i żyć wieloma życiami...

Sidney pomyślał, że to może być męczące, ale jego wikariusz był niepowstrzymany.

– Tak właśnie spędzam swój czas wolny – ciągnął – patrzę na tych, którzy żyli przede mną, by więcej się dowiedzieć o tych, którzy żyją teraz.

– Chciałbym i ja mieć do tego okazję – odrzekł Sidney. – Ale niestety, nie mam.

Wiedział, że jego słowa brzmią pompatycznie, ale był roztargniony. Czekał na wyniki śledztwa koronera. Nadal nie zdołał ustalić, dlaczego Derek Jarvis wzbudził w nim taki niepokój. Sądził, że chodzi tu o czarno-biały charakter jego moralności i pełną werwy sprawność działania. Ale niewykluczone, że chodziło również o to, że Sidney był zazdrosny. Poświęcał swoim parafianom tyle czasu, tyle z nimi rozmawiał, gdy przedstawiali swoje problemy i swoje lęki – koroner badanym zwłokom tyle czasu nie poświęcał. Nie to, że żałował tego czasu, ale niekiedy wolałby skrócić te spotkania i z większą jasnością rozwiązać problemy, z którymi przychodzili ludzie. Niewykluczone nawet, że mógłby się czegoś nauczyć z zachowania koronera...

Ale nie. Kapłan, tak jak lekarz, musi czekać, aż sprawy potoczą się swoim torem.

Sidney się zawahał. Czy to właśnie zrobił doktor Michael Robinson? Czy zaczekał, aż życie Dorothy Livingstone potoczy się swoim torem? Czy też przyspieszył bieg spraw? A jeśli to uczynił, to czy z wyłącznie szlachetnych pobudek, z miłosierdzia? Krótko mówiąc – czy zachował się jak na chrześcijanina przystało?

Jako duchowny i Anglik Sidney lubił rozstrzygać wątpliwości na korzyść ludzi, ale wiedział, że będzie musiał znaleźć pretekst, by spotkać się z lekarzem w cztery oczy i zadać mu kilka pytań.

Postanowił umówić się na wizytę w gabinecie, choć nic konkretnego mu nie dolegało. Wręcz nigdy nie czuł się tak dobrze jak teraz, i to pod wieloma

względami. Mógł pewnie pójść do gabinetu doktora przy Trumpington Road i poopowiadać o bólach głowy, może nawet migrenach, ale nie chciał sugerować niczego, co by doprowadziło do wnikliwego badania czy wręcz do skierowania na badania w szpitalu.

„Podagra?" – zastanawiał się niezobowiązująco. Nękała Miltona, Cromwella i Henryka VIII, ale czy Sidney aby na pewno chciał być powiązany z chorobą bogaczy? Poza tym jego obecna wielkopostna abstynencja niewątpliwie wykluczała atak.

W chwili gdy doktor Robinson zadał pytanie „Czym mogę panu służyć?", Sidney nadal nie miał przekonującego pretekstu.

– Chciałbym zmierzyć ciśnienie krwi.

– Z jakiegoś konkretnego powodu?

– Odnoszę wrażenie, że moje serce bije nierówno o różnych porach dnia. Odczuwam to silniej niż zwykle.

– Proszę podwinąć rękaw. Jakieś bóle?

– Nie, chyba nie. Czasami jednak czuję się odrobinę słaby...

– To normalne. – Doktor Robinson zawinął rękaw ciśnieniomierza wokół lewego ramienia Sidneya.

– Naprawdę?

– W trudnych momentach wszyscy czujemy się delikatniejsi, proszę księdza.

– Właśnie. W tej chwili musi być panu bardzo ciężko.

Michael Robinson zaczął pompować powietrze do rękawa, aż zamknął przepływ krwi w arterii Sidneya. Następnie stetoskopem słuchał tętnicy ramiennej, po czym powoli uwolnił powietrze z rękawa.

Sidney nie odzywał się w czasie tego badania, ale zastanawiał się, czy rzeczywiście ludziom rośnie ciśnienie w gabinecie lekarskim. Jakby sam fakt obecności w tym miejscu budził w nich napięcie, które z kolei przyspieszało bicie serca.

– Koroner nie za bardzo pomaga... – zauważył doktor Robinson.

– Wyobrażam sobie...

– Czasami te sprawy lepiej zostawić.

– Zapewne wykonuje po prostu swoją pracę.

Lekarz zerknął na zegarek i następnie na tarczę.

– No, nic nie znajdzie. Nic złego nie zrobiłem.

– W takim razie nie ma pan się czego obawiać.

Doktor odwinął rękaw z ramienia Sidneya.

– Ciśnienie ma wielebny całkowicie w normie. Coś jeszcze?

– W zasadzie nie. Czasami mam problemy ze snem...

– Zachowuje wielebny stałe pory snu?

– Nie do końca chodzi o zasypianie, a raczej o budzenie się w środku nocy...

– wyjaśnił Sidney, zastanawiając się, jak szybko może przejść w rozmowie do leków usypiających, uspokajających i przeciwbólowych.

– Próbował wielebny z napojami mlecznymi?

– Tak...

– A jak długo to trwa?

– Od kilku miesięcy.

– Moim zdaniem pomagają również ćwiczenia fizyczne. I unikanie późnych posiłków...

– Nie przepisze mi pan tabletek na sen?

– Nie, jeśli potrafię pomóc w inny sposób.

– Nie jest pan ich zwolennikiem?

– Proszę mi wybaczyć obcesowość, ale czy ksiądz przyszedł do mnie z jakimś rzeczywistym problemem?

– Nie, chyba nie.

– Wydaje mi się, że nie sprowadziła tu wielebnego choroba.

– W rzeczy samej chciałem spokojnie porozmawiać.

– O czymś konkretnym?

– To delikatna sprawa.

– Jestem lekarzem, proszę księdza. Z mojego punktu widzenia nie ma czegoś takiego jak delikatne sprawy. Może ksiądz poruszyć dowolny temat.

– Panna Livingstone...

– Co z nią?

– Dobrze się czuje? – Sidney uświadomił sobie, że traci zimną krew. Na miłość boską, co on tu wyrabiał?

– No cóż, jest smutna, może trochę nerwowa, ale nic takiego się nie dzieje, o co sam nie mógłby ksiądz jej zapytać...

Sidney poczuł się wręcz zawstydzony.

– Nie podejrzewa jej ksiądz o nic, prawda?

– Nie, oczywiście, że nie.

Doktor popatrzył za okno, jego pewność siebie uleciała. Sprawiał wrażenie wyczerpanego. Może był zmęczony zachowywaniem zawodowej fasady.

– Nie wątpię, że wiele razy siedział ksiądz przy łożu umierających. Człowiek myśli, że można się do tego przyzwyczaić, ale za każdym razem jest inaczej. Niektórzy są gotowi, a inni trzymają się życia, nie chcą odejść, chociaż nadszedł ich czas. Są uparci, i to jest trudne, ale są niezłomni. Matka Isabel nie była taka. Ona chciała odejść, ale śmierć nie była na nią gotowa.

– Wie pan, że chciała odejść?

– Powiedziała mi, że ma dość, że nie może się doczekać wiecznego odpoczynku, jak to ujęła.

– I...

– Ulżyłem jej w bólu.

– A ona była spokojna?

– Zauważyłem coś niesamowitego, proszę księdza. Mam nadzieję, że nie pogniewa się ksiądz, że to mówię, ale w tych ostatnich chwilach wiara chyba niewiele zmienia. Ludzie albo się boją śmierci, albo nie. Dzielą się wyraźnie. Nawet wierzący potrafią być przerażeni.

– Wiem. To wielka zagadka. Ale może nie tyle boją się śmierci, ile umierania.

– Tak, różnie to bywa. Czy zdarzyło się księdzu przymknąć oko na występek?

– Kiedy nie skutkowało to niczyją krzywdą.

– No właśnie, tak mówi moja przysięga Hipokratesa: po pierwsze nie szkodzić. Pewnie byłaby równie przydatna w wypadku księży.

– To dobra dewiza – przyznał Sidney. – Mamy bardzo jasne zalecenia Kościoła Anglii, wskazówki, jak należy żyć. Ale ludzie oczywiście nie zawsze je rozumieją. Moralnie poruszają się we wszystkich możliwych kierunkach, jak samochodziki w wesołym miasteczku, a ich drogi wcale a wcale nie są proste.

– Zgadzam się. Ludzie nie żyją życiem uporządkowanym.

Po chwili milczenia Sidney powrócił do swoich pytań.

– Ale pan był przekonany, że działa w najlepszym interesie pani Livingstone? Że nie szkodzi pan?

– Tak. I mówię to, chociaż to nie jest sprawa księdza.

– Czasami nie jestem pewien, co jest moją sprawą, a co nie, doktorze. Wszystko i nic, życie jako całość, a jednak moim obowiązkiem są nie tyle karty ludzkiego żywota, ile marginesy tych kart.

– Jest ksiądz za skromny...

– Nie, to prawda. Takie są, oczywiście, wyroki boskie. Pan jest wierzący?

– Pytał mnie już ksiądz o to.

– Wtedy gdy przyszliście państwo rozmawiać o swoim ślubie?

– Udzieli nam ksiądz ślubu? Pomimo tego, co powiedziałem?

– Kapłan pyta, czy są jakieś przeszkody do zawarcia małżeństwa. To nie wymaga dyplomu z teologii.

– Wychowano mnie w głębokiej wierze. Znam liturgię. Podziwiam język i muzykę w kościele. Wciąż mam nadzieję na objawienie. Ale obawiam się, że widziałem w życiu tyle cierpienia, że nie wierzę już w Bożą dobroć. Wojna, wie ksiądz. Zakładam, że ksiądz był pacyfistą?

– Niestety, błędnie pan zakłada – rzucił Sidney, może zbyt agresywnie. – Walczyłem za to, w co wierzyłem.

– Mimo że to oznaczało zabijanie ludzi?

– Mniejsze zło.

– Ach tak – odrzekł doktor. W ściągnięciu brwi, pod którymi kryły się oczy ciemniejsze niż włosy, Sidney dostrzegł kruchość. – Mniejsze zło. Chyba obaj je znamy...

Po powrocie do domu Sidney stwierdził, że Leonard Graham wyszedł już z komunią do chorych, a pod jego nieobecność pani Maguire postanowiła podnieść znowu wszystkie jego książki z podłogi, by odkurzyć cały dom. Choć nieustannie prosił ją, żeby tego nie robiła, wszelkie jego prośby były jak grochem o ścianę. Jeszcze nigdy nie widział, żeby tak niewysoka niewiasta działała z takim wigorem. W jej odkurzaniu widział agresję, gwałtowność, która najwyraźniej była jakimś przeniesieniem. Widział ją taką do tej pory tylko raz, gdy otrzymała niepotwierdzony raport, że jej mąż, który zniknął w 1944 roku pośród sprzecznych plotek o dezercji i bigamii, prawdopodobnie mieszka w zachodnim Londynie. Domyślał się, że to nie jest właściwy moment na wciąganie jej w rozmowę, ale się mylił. Pani Maguire zdecydowanie była w nastroju do rozmów.

Wyłączyła odkurzacz i zdjęła fartuch. Najwyraźniej czekała na tę chwilę i Sidney obawiał się najgorszego. Oznajmiła, że po miasteczku krążą plotki, niedobre plotki.

– Co ma pani na myśli, pani Maguire?

– Oszczędzę księdzu rozmów dotyczących jego osoby – zaczęła, jakby takie przemilczenie oznaczało wielką trudność.

Sidney poczuł niepokój. Chciał, by ludzie mieli o nim dobre zdanie.

– O czym pani mówi?

– Moja siostra nie chce iść do lekarza – oznajmiła pani Maguire.

– A to dlaczego?

Pani Maguire skrzyżowała ramiona na piersi w geście, który Sidney odczytał jako wyraz buntu.

– Boi się, że doktor ją zabije.

Sidney własnym uszom nie dowierzał. Ktoś musiał się wygadać. On miał czyste sumienie i pewnie mógł też ufać inspektorowi Keatingowi. Czy możliwe, że to koroner albo może jakaś wzgardzona wielbicielka doktora Robinsona? Będzie musiał złożyć jeszcze jedną wizytę Derekowi Jarvisowi.

– To absurd.

– Plotki, jak sądzę – mówiła dalej pani Maguire. – Ale wie ksiądz, co mówią? Nie ma dymu bez ognia... – Popatrzyła na Sidneya tak, jakby właśnie wypowiedziała słowa, których on nigdy wcześniej nie słyszał.

– Zawsze uważałem, że to absolutnie nieprzydatne powiedzonko.

Pani Maguire postawiła krok do przodu.

– Ksiądz pewnie nic o tym nie wie?

– Nie wiem – odrzekł Sidney bez przekonania. Doprawdy to nadzwyczajne, ile kłamstw musiał wypowiedzieć, odkąd się wplątał w to śledztwo.

– Ale pewnie chciałby ksiądz wiedzieć, co mówią o nim?

– Nieszczególnie, pani Maguire. – Sidney silił się na niedbały ton. – Wolałbym, żeby ludzie w oczy mówili mi, co myślą.

– Doskonale. W takim razie powiem księdzu. Ludzie sądzą, że ksiądz poślubi pannę Kendall.

– To jest absolutnie nieprawdopodobne.

– Tak właśnie powiedziałam panu Grahamowi.

– Omawiała pani z nim tę sprawę? Co odpowiedział?

– Że nie jemu to komentować.

– Nie sposób odmówić mu słuszności.

– Ale wszyscy o tym gadają – ciągnęła pani Maguire. – Widziano, jak się trzymaliście za ręce w restauracji...

– Tylko przez sekundę...

– Na tyle długo, żeby kelnerka powiedziała kucharzowi, a on swojej siostrze, która jest kelnerką w pubie The Green Man. Teraz już te wieści krążą po całym Grantchester, a jutro będą o tym gadać wszyscy wykładowcy w Cambridge.

– Szczerze wątpię, czy wykładowcy w Cambridge interesują się moim ewentualnym życiem małżeńskim, pani Maguire...

– Zauważyłam, że inteligentni ludzie z radością wykorzystują każdą okazję do ośmieszenia swoich rywali.

– Ja nie mam rywali, pani Maguire. Ja mam przyjaciół.

– Niech ich ksiądz nazywa, jak chce. Ale jeśli się trzymacie za ręce w miejscach publicznych, to plotkom nie będzie końca.

Sidney szczerze się zaniepokoił. Co to ludzi obchodziło? Jego związek z Amandą był sprawą prywatną. Dlaczego ludzie o tym rozmawiali? Nie podobało mu się to. Teraz będzie musiał wyjaśniać coś, czego wcale nie chciał wyjaśniać, bo podobało mu się takie mgliste i niedopowiedziane.

– Udzielam ślubów innym ludziom. Sam nie mam planów małżeńskich. Panna Kendall jest moją przyjaciółką.

– Tak właśnie im powiedziałam – mówiła dalej bez zastanowienia pani Maguire. – Więc mam rację, tak?

Sidney westchnął. Lepiej, żeby ta rozmowa jak najszybciej się skończyła.

– Oczywiście, pani Maguire, że ma pani rację – odrzekł. – Zawsze ma pani rację.

„To powinno załatwić sprawę” – pomyślał.

Niestety – mylił się. Zachęcona jego odpowiedzią pani Maguire z powrotem włożyła fartuch i z werwą podjęła wywody:

– Wiem, że ksiądz się nie przejmuje, ale tłumaczyłam wszystkim. To jest modnisia z Londynu, ma wysmakowane gusta. Takie jak ona nie wychodzą za księży, prawda?

Wróciła do odkurzania. Po kilku energicznych ruchach w tę i z powrotem podniosła wzrok i stwierdziła, że Sidney nie ruszył się z miejsca.

– Powiedziałam coś złego? – spytała, przekrzykując odkurzacz.

Sidney nic nie powiedział, ale podniósł stos książek i zaniósł je do kuchni. Na wierzchu leżały *Wyznania* świętego Augustyna. To nie mogło mu pomóc.

Następnego ranka na Grantchester spadł kolejny atak ciągłego deszczu ze śniegiem, ostrzegając, że zima wcale się jeszcze nie skończyła. „Gdzie pieśni wiosny?" – zastanawiał się żałośnie Sidney. „Gdzież są teraz one?"[20] Nawet nie kwitły żadne narcyzy. Sidney uznał, że to dzień na przycupnięcie; dzień na herbatę, tosty i ciepło kominka, na rozrywkę w dobrym towarzystwie, z dodatkiem pożywnego gulaszu i wyśmienitego czerwonego wina.

Niestety, takie przyjemności były dlań niedostępne. Trzydziesty czwarty dzień Wielkiego Postu. Czy on się nigdy nie skończy?

Nie.

Zadzwonił inspektor Keating.

– Lepiej przyjedź na posterunek, Sidneyu.

– Po co? Przecież widzimy się dzisiaj wieczorem.

– To nie może czekać. Zmarła kolejna starsza osoba...

– No, taką mamy porę roku. Pewnie na zapalenie płuc.

Inspektor Keating nie miał czasu na dywagacje.

– Owszem, doskonale zdaję sobie sprawę, że mamy zimę i że takie rzeczy się zdarzają, ale to ten sam cholerny lekarz i kolejna sakramencka sprawa. Musimy zrobić z tym porządek.

– To może być zbieg okoliczności.

– Tak, oczywiście, niewykluczone, że to zbieg okoliczności, ale jeśli to nie jest zbieg okoliczności, nie możemy tu mieć epidemii przenoszenia się staruszków na tamten świat z pomocą bliźnich. To twoje zadanie...

– Jak się nazywał zmarły?

– Anthony Bryant. Miał siedemdziesiąt jeden lat. Słuszny wiek, ale w dzisiejszych czasach ludzie żyją dłużej. Podobno dzięki zdobyczom medycyny...

– Daj mi pół godziny, inspektorze. Jazda na rowerze to dzisiaj wyzwanie.

– Zostaw rower, wysłałem po ciebie samochód. Będzie u ciebie za pięć minut.

– To aż tak pilne?

– Opowiem ci wszystko na posterunku. Potem samochód odwiezie cię, gdzie chcesz. Ludzie gadają i węszy tu „Evening News". Musimy skończyć z tym absurdem.

Sidney westchnął. Co on miał zrobić? Nie znajdzie przecież kolejnego pretekstu, by się spotkać z doktorem. Może inspektor Keating ma jakieś pomysły. Na pewno to dziwne, że wysłał samochód. Można by sądzić, że policja ma inne,

pilniejsze sprawy, ale z drugiej strony... jeśli sytuacja rzeczywiście była tak groźna, nie było nic pilniejszego niż morderstwo.

Jechał mokrymi drogami do miasta z kierowcą, któremu najwyraźniej zakazano się odzywać. Gdy dotarli na St Andrews Street, Sidney zauważył czekającą przed posterunkiem dziewczynę w budrysówce i z notatnikiem w ręku. Mogła to być studentka, ale dostrzegł w niej jakąś determinację. Zastanawiał się, co tu robi na zimnie, a gdy wysiadł z wozu, spojrzeli sobie w oczy i dziewczyna się przedstawiła:

– Helena Randall. „Cambridge Evening News".

Dziennikarka. Sidney oczywiście spodziewał się dziennikarza.

– Miło mi panią poznać.

– Czy może przypadkiem rozmawiam z księdzem Tony'ego Bryanta?

– Nic o tym nie wiem – zawahał się. Jakim cudem prasa tak szybko dowiedziała się o tym zgonie?

– A jest ksiądz pacjentem doktora Michaela Robinsona?

Ktoś ewidentnie puścił farbę. Sidney miał już odpowiedzieć, gdy kierowca policyjnego wozu pospieszył go.

– Nie czas na to, księże Chambers...

– Przepraszam. Proszę mi wybaczyć.

– Moja wizytówka. – Dziewczyna nie ustępowała.

– Tak, oczywiście.

– Idziemy, proszę księdza.

Sidney wspiął się schodami do gabinetu inspektora Keatinga.

Przyjaciel czekał na niego i przeszedł od razu do rzeczy.

– To delikatna sprawa. Zanim koroner przygotuje raport, minie sporo czasu, a mamy tu mnóstwo słabych starszych ludzi. Kusi mnie, by aresztować doktora Robinsona i skończyć tę całą aferę, ale nie mamy dowodu, a ja nie chcę wywoływać poruszenia. Słyszałem, że już krążą plotki.

– To prawda – przyznał Sidney. – Sama moja gospodyni też się do nich przyczyniła.

– Posłuchaj mnie. Może ci się to nie spodobać, ale chcę, żebyś poszedł do doktora.

– Już byłem u niego dwukrotnie.

– Nie mówiłeś mi.

– Nie było o czym.

– No to musisz iść do niego ponownie. Wymyśl jakąś wymówkę, jaką tam chcesz. Na przykład plany ślubne. Masz zdobyć jego zaufanie i dowiedzieć się prawdy. Czy on się nie zapomniał? Jeśli tak, chcę, żebyś go powstrzymał.

Sidneyowi nie podobało się, że inspektor Keating rozmawia z nim jak ze swoim podwładnym, ale uznał, że to nie jest właściwy moment, aby go poprawiać.

Upewnił się natomiast, że obaj mają to samo na myśli.

– Jeśli on łamie prawo, możesz go aresztować.

– Oczywiście. Ale sytuacja może być bardziej skomplikowana. Bo jeśli on nie łamie prawa, tylko je nagina? Jeśli posuwa się daleko, ale nie przekracza pewnej granicy?

– Wówczas działa w granicach prawa. To chyba absolutnie oczywiste.

– Wiesz, o czym mówię, Sidneyu. Niewykluczone, że ten człowiek ryzykuje życie pacjentów. Czuję napięcie wśród ludzi. Coś jest nie tak. Wiele osób bardzo się martwi.

– Jestem pewien, że doktor Robinson chce jak najlepiej.

– Naprawdę? Jesteś pewien? Tego właśnie masz się dowiedzieć, Sidneyu. Odnoszę wrażenie, że ty również masz wątpliwości.

– Skąd wiesz?

– Jestem detektywem...

– A ja jestem księdzem. Wątpliwości rozstrzygam na korzyść ludzi.

– No a ja nie. Może dlatego tworzymy taki dobry zespół. Jeden z moich ludzi odprowadzi cię do gabinetu doktora Robinsona. Jeśli go tam nie ma, zapewne jest na Chedworth Street z panną Livingstone. Chciałbym, żebyś z nim pogadał i zameldował mi o tym.

– On nas przejrzy. Domyśli się, że działam z twojego polecenia.

– Nie ma tu nic do przeglądania. Twoja wizyta jest absolutnie zasadna, o ile jego metody...

– Tego nie wiemy, inspektorze.

– Ale z twoją pomocą, Sidneyu, niedługo się dowiemy.

Sidney doszedł do wniosku, że jeśli chce uzyskać od doktora Robinsona jednoznaczne odpowiedzi, musi mu zadać bezpośrednie pytania. Stawił się w gabinecie o dwunastej i dowiedział się od recepcjonistki, że musi zaczekać, aż doktor zakończy przyjmowanie pacjentów. Sidney miał więc pół godziny, a przez ten czas usiłował bezowocnie się rozerwać, czytając stare numery „Puncha". W efekcie, gdy Robinson wreszcie mógł się z nim zobaczyć, Sidney był już dość zniecierpliwiony.

– Jak tajemnicze dolegliwości wielebnego? – spytał doktor. – Jakaś poprawa?

Sidney mało nie zapomniał, że od tego musi się zacząć rozmowa.

– Przepraszam. O wiele lepiej, dziękuję.

– Więc czym mogę służyć?

– Przyszedłem w sprawie śmierci Anthony'ego Bryanta.

– To parafianin wielebnego?

– Dzwonił do mnie inspektor Keating.

– Skoro tak się martwił, dlaczego nie zadzwonił do mnie? Nie pojmuję,

czemu wrabia wielebnego w jakąś całkowicie błędną linię śledztwa, która jest absolutnie bezpodstawna. Nie zrobiłem nic złego.

– Nikt nie mówi, że pan zrobił.

– Oni tak sugerują. Dlaczego nie powiedzą tego wprost?

– Część członków rodziny uważa, że śmierć Anthony'ego Bryanta nastąpiła niespodziewanie szybko.

– A czy któryś z nich jest lekarzem?

– Nie sądzę.

– Starsi ludzie rzadko mają szansę przeżyć ciężką infekcję, a gdy nadchodzi śmierć, jak na pewno doskonale wielebny wie, dzieje się to z nieprzewidywalną prędkością. Tych rzeczy nie da się przewidzieć ani zmierzyć. Nie wyobrażam sobie, by lekarz stawał się podejrzanym za każdym razem, gdy umrze któryś z jego pacjentów. Społeczeństwo musi wierzyć, że lekarz wie, co jest lepsze dla chorych.

– A wie?

– Tak, wielebny, wie. Jaki byłby sens wykształcenia medycznego? Podejmuję świadome decyzje w dziedzinie medycyny. Mam stosunkowo mało kategoryczne opinie na temat teologii, a także obecnego stanu sił policyjnych Jej Królewskiej Mości. Te kwestie pozostawiam wielebnemu i przyjacielowi wielebnego inspektorowi. Ufam wam. Nie mieszam się do waszego świata i oczekuję, że wy nie będziecie się mieszać do mojego.

– Ale gdy ludzie umierają, nasze światy wchodzą w konflikt.

Doktor Robinson opadł na oparcie, westchnął przeciągle i spojrzał na sufit. A potem przemówił raz jeszcze:

– Nie wiem, czy widział wielebny na własne oczy, jak osłabiająco działa przewlekła choroba. Jaka jest przygnębiająca dla pacjenta i wyczerpująca dla tych, którzy mają obowiązek zajmować się chorym.

– Moje doświadczenie w tym temacie jest ograniczone, przyznaję. Chociaż widziałem, jak to jest, gdy ludzie chcą już tylko umrzeć.

– Na wojnie, jak sądzę.

– Tak. To było na wojnie.

– Więc wie ksiądz, jak trudna to może być decyzja? Jest taki ból, w którym już nie można ulżyć. I czasami nie ma już nadziei.

– Tak, i czasami trzeba szybko podejmować decyzje.

Doktor Robinson milczał chwilę.

– Widzę, że rozumie wielebny ten dylemat – rzekł w końcu.

Czekał na więcej. I nagle Sidney zaczął opowiadać:

– To się działo we Włoszech w roku czterdziestym czwartym. Po ataku na Monte Cassino. Znajdowaliśmy się w przełęczy Mignano, od trzech dni pod ostrzałem ciężkich moździerzy. Wspięliśmy się na górę, czasami czołgając się w błocie, a tam zaatakowano nas ogniem z karabinów maszynowych, w którym

zginęła połowa naszego oddziału. Chyba najbardziej pamiętam ten hałas: salwy maszynowe, wykrzykiwane rozkazy, krzyki rannych i umierających. Żołnierze, moi przyjaciele, tylu moich przyjaciół, wyli, wzywając matki i ukochane. Wyli. Nawet jeśli niektórych odciągnęliśmy w bezpieczne miejsce, ich ból stawał się nie do zniesienia. Dowódca dał mi naładowany rewolwer i powiedział: „Rób, co konieczne".

Był wśród nas dziewiętnastoletni chłopak. Rudy i piegowaty, stracił połowę twarzy. Nigdy już nie zdołałby zamknąć ust. Nie było nadziei. Jedyne jego odczucie stanowił nieznośny ból. Przerwałem go. Nigdy tego nie zapomniałem. Myślę o tym każdego dnia i modlę się za niego. I proszę Boga o zmiłowanie.

Doktor Robinson w milczeniu rozmyślał nad przeżyciami Sidneya. Wreszcie przemówił:

– Chyba rozumiem, dlaczego mi wielebny to opowiedział. Ale ja nie zrobiłem nic złego. Mam czyste sumienie.

– Nie miałem zamiaru tego opowiadać. Przyszedłem się z panem spotkać i może poradzić panu, by zachował pan ostrożność. Czasami chyba nie zdajemy sobie sprawy, ile jeszcze przyjdzie nam żyć z tym, co zrobiliśmy w przeszłości. Nie możemy przewidzieć, w jaki sposób nas to dotknie.

– Zawsze jestem ostrożny, proszę księdza.

– Bardzo bym się zmartwił – mówił z surowością Sidney – gdyby uczynił pan coś, co zaprzepaściłoby szanse na pańską przyszłość albo na przyszłość panny Livingstone, albo też – i tu Sidney postanowił strzelić na ślepo – na przyszłość pańskiego dziecka.

– Mojego dziecka? O czym ksiądz mówi, na miłość boską?

– Myślę, że doskonale pan wie, doktorze Robinson. Nie wyobrażam sobie, że ktoś tak pewien słuszności swoich działań mógłby odebrać żonie męża, a dziecku ojca. Miłego dnia życzę.

Sidney był wykończony. Nie po to przyjmował święcenia kapłańskie, żeby zadawać się z policjantami czy grozić lekarzom. Powołano go na posłańca, strażnika i zarządcę Pana. Miał święty obowiązek z należytą dbałością sprowadzać powierzonych jego pieczy wiernych na ścieżkę wiary i wiedzy o Bogu. I złożył uroczystą przysięgę w czasie sakramentu święceń, że w wierze nigdy nie zbłądzi, a w życiu nigdy nie posunie się do brutalności. A jednak akurat teraz, w tym momencie, wszystko się sprzysięgło przeciwko niemu.

W odczuciu Sidneya jedną z trudności, którym musiał sprostać proboszcz, była nieustanna dyspozycyjność. Gdy tylko zasiadał do pisania wiadomości parafialnych, rozlegało się pukanie do drzwi albo dzwonek telefonu z wieściami, które mogły być ważne albo błahe. Nieważne, jakie były. Ważne, że natychmiast trzeba było poświęcić im uwagę.

Rankiem po niepokojącej wizycie u doktora Sidney siedział przy biurku. Na

nim postawił figurkę dziewczynki karmiącej kurczęta, którą dostał od Hildegard Staunton, z napisem *Mädchen füttert Hühner* u dołu. Czerpał z niej osobliwe pocieszenie i czasami odrywał się od pracy, żeby się zastanowić, co Hildegard robi w tej chwili albo jakiej rady by mu udzieliła. Wyjął list, w którym dziękowała mu za wszystko, co zrobił, i zapewniała, że zawsze jest w Niemczech mile widziany. Mógłby przybyć w dowolnej chwili.

„Wiesz, że cokolwiek się wydarzy – pisała – bez względu na wszystko zawsze będę pamiętać Twoją dobroć i zawsze będę Ci za nią wdzięczna. Pamiętaj, że tu jestem".

Sidney odłożył list Hildegard i usiłował się skupić. Starał się popracować w spokoju, zanim przybędzie pani Maguire ze swoim odkurzaniem, swoimi rozmowami i z jego lunchem. W poniedziałki zawsze przygotowywała zapiekankę pasterską i Sidney niemal nie mógł się doczekać tego zacnego pokrzepiającego posiłku, gdy przerwał mu kolejny gość.

Była to jedna z jego parafianek, Agatha Redmond, żona farmera, który często służył pomocą w przystrajaniu kwiatami kościoła. Na jej rumianym obliczu błąkał się uśmiech.

– Ładny poranek, prawda, proszę księdza? – zaczęła. – Miło oglądać słońce po tym całym śniegu.

Sidney zauważył, że pani Redmond trzyma szczeniaka, czarnego labradora. Już zaczął podejrzewać, że coś się szykuje.

– Chodzi o grafik kwiatowy? – spytał.

– Och nie. Nic w tym rodzaju.

– A zechce pani wejść?

Agatha Redmond zawahała się, a potem zerknęła na szczeniaka.

– Czyż on nie jest uroczy?

– Tak – odrzekł niepewnie Sidney. – Oczywiście, że jest uroczy. Doskonała rasa.

– Cieszę się, że ksiądz tak myśli.

– Tak. – Sidney starał się mówić pewnym głosem. Nigdy nie należał do zagorzałych wielbicieli psów. – Tak właśnie myślę.

– W takim razie bardzo się cieszę – mówiła dalej pani Redmond. – Bo panna Kendall prosiła, bym go księdzu przywiozła. Czyż nie jest wspaniały? Ma dopiero osiem tygodni.

– Nie miałem pojęcia, że zna pani pannę Kendall.

– Poznała się z moim mężem w pociągu. A potem zadzwoniła.

– Bardzo dziwne, że nic mi o tym nie wspomniała.

– Chciała zrobić księdzu niespodziankę.

– No to niespodzianka na pewno się jej udała, pani Redmond. Może mam go zatrzymać, dopóki po niego nie przyjedzie?

– Och nie. Chyba ksiądz nie rozumie. Pies jest dla księdza. To prezent.

Przez chwilę Sidney nie do końca rozumiał, co słyszy.

– Ale dlaczego?

– Panna Kendall sądzi, że jest ksiądz w dołku. Powiedziała, że trzeba księdza rozweselić. Do towarzystwa nie ma jak labrador. A z tego, co się nauczyłam, czarne są najlepsze do rozmowy.

Sidneya zamurowało. W ogóle nie pojmował, jak Amanda mogła zrobić coś takiego. Dlaczego ze wszystkich rzeczy na świecie on miał potrzebować akurat psa? Już o samego siebie trudno mu było się troszczyć.

– Ale ja nie mam pojęcia...

– Przyniosłam broszurę z instrukcjami – przerwała mu pani Redmond – a w samochodzie mam kosz dla szczeniaka. Najważniejsze to jak najszybciej zacząć z nim trening czystości. Jak będzie starszy, może go ksiądz oczywiście zabierać na wizyty. Będzie bardzo lubiany.

– Ośmielę się powiedzieć...

– Możemy zrobić miejsce w kuchni? Najlepiej chyba przy tylnych drzwiach. Potrzebna mi gazeta. – Pani Redmond wzięła do ręki egzemplarz „Church Timesa”. Była zaprawdę niepowstrzymana. – Ta się nada.

Sidney dał sobie ostatnią szansę.

– Ale ja nic o tym nie wiem. Nie mam zielonego pojęcia, jak się zajmować psem.

– Niedługo się ksiądz przyzwyczai. Niech ksiądz spojrzy na plebanię oczami szczeniaka. Będzie miał ksiądz zupełnie nową perspektywę, psi obraz świata. Moim zdaniem to jest bardzo, bardzo pocieszające. Ani się ksiądz obejrzy, a będzie się ksiądz zastanawiał, jakim cudem sobie radził bez niego.

Pani Redmond postawiła labradora na podłodze, a on podjął ostatnią rozpaczliwą próbę wyrwania się na wolność.

– Spokojnie, Archie...

– On się nazywa Archie?

– Może mu ksiądz zmienić imię, oczywiście. Ale musi ksiądz szybko podjąć decyzję, zanim pies się przyzwyczai do komend.

– Od czasu służby wojskowej chyba nie wydawałem żadnych komend...

– No to może czas znowu zacząć? Trzeba ich zapamiętać raptem pięć: „waruj”, „siad”, „zostań”, „do nogi” i „leżeć”. Powinien być ksiądz jednoznaczny i konsekwentny. Potem można dodać takie słowa jak „kosz”. A skoro o nim mowa, pójdę go przynieść, zanim zapomnę. Musi ksiądz pilnować, żeby na plebanii było mu miło, dobrze? W tej kuchni jest dość zimno.

– Jest zima – zauważył Sidney – i nie spodziewałem się psa.

Pani Redmond nie zdołała wyczuć tonu, który się wahał pomiędzy rozpaczą a irytacją.

– Oczywiście musi go ksiądz trzymać na ograniczonej przestrzeni, dopóki się nie nauczy wychodzić za potrzebą. I będzie mu potrzebny koc. Przywiozłam trochę jedzenia na początek i chyba mam jakieś stare zabawki. Zajrzę w tygodniu zobaczyć, jak sobie radzicie, to przywiozę...

Sidney usiadł na kuchennym krześle, gdy pani Redmond kręciła się wokół niego, a potem przyniosła z samochodu kosz dla psa.

– To zupełnie jakbym miał dziecko... – wymamrotał. – I to bez żony...

Pani Redmond weszła do kuchni.

– Jestem pewna, że żonę ksiądz znajdzie bez najmniejszego problemu...

Wyglądało na to, że jego gość ma wybiórczy słuch.

– Ludzie wciąż mi powtarzają...

– Taki przystojny mężczyzna...

– Tak pani sądzi?

– Oczywiście! Wszyscy tak mówią. Niezła z księdza partia.

Sidney pozwolił sobie na chwilę próżności. Wiedział, że w dobre dni ma w sobie coś z Kennetha More'a[21], ale nie lubił nad tym rozmyślać.

Pani Redmond postawiła na podłodze kosz i spojrzała na Sidneya. Wyczuła jego słaby punkt.

– Jestem pewna, że panna Kendall bierze to pod uwagę.

– Nie sądzę, żeby to było możliwe...

– O matko, nieważne. – Pani Redmond rozpoczęła przygotowania. – Niemniej kiedy już się ksiądz pozna z Archiem, może się zwierzać z problemów jemu, a nie pannie Kendall. Wtedy nikt inny nie musi wiedzieć...

– Nie jestem pewien, czy moje problemy są warte omawiania.

– To nieważne, proszę księdza. Archie nie będzie miał nic przeciwko temu. Może mu ksiądz powiedzieć wszystko. Absolutnie wszystko...

– Pewnie tak.

Pani Redmond zaczęła zacierać ręce w nerwowym geście, który oznaczał, że skończyła.

– Lepiej już pójdę. Jeśli ksiądz będzie miał jakieś problemy z nim albo potrzebował mojej porady, proszę śmiało. Ale jestem pewna, że Archie będzie w księdza życiu wielką zmianą na lepsze.

– Na pewno będzie wielką zmianą – przyznał Sidney. – Odprowadzę panią do wyjścia, pani Redmond.

– Proszę się nie kłopotać. Sama trafię.

Sidney popatrzył na Archiego. Będzie musiał go podnieść, ale gdy tylko podjął pierwszą próbę, pies okazał się oporny i jedynie zaskomlał. Jeszcze nie zdążył go wziąć na ręce, a już czuł się sfrustrowany.

No naprawdę.

Co on wyrabiał?

Jak można sądzić, że taki zwierzak jest dla niego odpowiedni?

To jakiś absurd. Zawiódł się na Amandzie. Co on sobie myślał, kiedy jej mówił to wszystko? Jak ona mogła sobie wyobrazić, że chce psa? Co oni, na miłość boską, mieli ze sobą wspólnego? Sidney pomyślał, że powinien wyjechać z Grantchester przy pierwszej okazji i znaleźć jakąś zupełnie odludną parafię, gdzie nic się nie działo i można się było zajmować wyłącznie umacnianiem wiary. Przyszła mu na myśl Kornwalia, zachodnia Walia, pogranicze szkockie: gdziekolwiek, gdzie był niski wskaźnik przestępczości i parafianie, którzy chętniej chodzą do kościoła, niż się mordują nawzajem.

Archie wskoczył mu na kolana. W jego miodowych oczach Sidney widział bezbronną ufność. Oto stworzenie, które domagało się opieki, którego oddanie było bezwarunkowe i które zawsze będzie się cieszyło na jego widok. Ten obowiązek na pewno będzie bardziej satysfakcjonujący niż uzdrawiająca obecność pośród umierających starców. Tak, może jednak wszystko będzie dobrze i Amanda miała rację, a to okaże się...

Och.

Może nie.

W drzwiach wejściowych właśnie stanęła pani Maguire z torbami pełnymi zakupów i zapiekanką pasterską Sidneya.

– To tylko ja – zawołała.

W pierwszej chwili nie zauważyła nowego domownika; weszła do kuchni, odstawiła rzeczy na stół i cały czas mówiła, między innymi przypominając Sidneyowi, że musi wyjść, by ona mogła się zabrać do swoich obowiązków.

– Co robi „Church Times” na podłodze? – spytała. – Ksiądz ją wyrzucił? Kosz na papiery jest pod biurkiem.

– Ona tam leży nie bez powodu, pani Maguire.

– Nie wyobrażam sobie tego powodu. – Zauważyła kosz. – A cóż to jest, na miłość boską?!

– Myślę, że... – W tej właśnie chwili szczeniak Sidneya doskoczył do pani Maguire i zaprosił ją do zabawy, przygryzając jej prawą kostkę.

– Boże Wszechmogący na wysokościach! – krzyknęła pani Maguire. – Zwierzę!

– To prezent od panny Kendall.

– Co tu się dzieje, u diaska? Jak długo on tutaj zostanie?

– Chyba na zawsze.

– Co to, do licha, ma znaczyć?! Mam nadzieję, że nie wymaga ksiądz ode mnie, bym sprzątała po tym czorcie.

– Oczywiście, że nie, pani Maguire. W tej chwili nie jestem pewien, co robić. Ten szczeniak to bardzo świeża sprawa, bardzo.

– Jak się wabi?

– Archie. Ale chyba zmienię mu imię. A skoro już pani wspomniała o czorcie, myślę, że dobrym imieniem będzie Kusy.

Pani Maguire była niewzruszona.

– Na co nam ujadający szczeniak?! One się ani na chwilę nie zamykają, wie ksiądz przecież.

– Na pewno dorośnie. Miałem nadzieję, że może okaże się dobrym towarzyszem...

– Będą z nim same kłopoty, wspomni ksiądz moje słowa. A moim zdaniem ksiądz ma już dość kłopotów.

Dzień nie minął dobrze. Kusy, bo na tym imieniu stanęło, nasikał na podłogę w kuchni, gdy tylko pani Maguire ją sprzątnęła, dach w kościele, nadwerężony ciężarem topniejącego śniegu, zaczął przeciekać, a Sidney zapomniał o zapiekance wstawionej do piecyka. Gdy już zjadł spalone resztki ze swoim wikariuszem, ten wyraził opinię, że Sidney naprawdę powinien ponownie spotkać się z koronerem. Musieli się dowiedzieć, czy można przeprowadzić kremację ciała pani Livingstone, czy można się przygotowywać do ślubu jej córki i co zamierza z tym zrobić inspektor Keating.

Sidneya bardziej niż zwykle zirytowały te czasochłonne dodatkowe obowiązki. Miał poczucie, że wręcz nie lubi Dereka Jarvisa. Teraz jednak doszedł też do wniosku, że nie przepada również za doktorem Robinsonem. Ani za panią Maguire. Ani za swoim wikarym. Ani za swoim psem. Ani nawet za Amandą. Życie klasztorne wydało mu się teraz wręcz zaskakująco kuszące.

Po południu Sidney zadzwonił do drzwi biura koronera; zaprowadzono go do niewielkiej poczekalni. Derek Jarvis był nawet grzeczny w swoim wydajnym stylu.

– Widzę, że mocno się ksiądz interesuje tą sprawą...

– W mieście budzi ona spore niepokoje. Ludzie przestali chodzić do doktora Robinsona.

– Są inni lekarze.

– Nie możemy przegnać człowieka z miasta z powodu nieuzasadnionych pogłosek.

Derek Jarvis westchnął.

– Mogę księdza zapewnić, że przez cały okres trwania śledztwa postępuję zgodnie z etyką zawodową i nic się w tej sprawie nie zmieni.

– Nie wierzę, że doktor Robinson jest mordercą.

– A właśnie... – Derek Jarvis przeszedł do podsumowań. – Na razie, wbrew wszystkim obawom, wygląda na to, że nie jest.

– Morfina?

– Wysokie stężenie, ale nic poza tym...

– Odnoszę wrażenie, że jest pan rozczarowany.

– Nie jestem rozczarowany. Jestem nieufny. Jak powiedziałem: wysokie

stężenie morfiny.

– Ale mieszczące się w dopuszczalnych normach.

– Ledwie, ledwie.

– W takim razie wyda pan ciało pani Livingstone?

– Tak. Niemniej muszę przypomnieć, że kolejna starsza osoba zmarła śmiercią nagłą. Zresztą zapewne doskonale ksiądz o tym wie.

– Anthony Bryant...

– Właśnie.

Sidney nie mógł tak tego zostawić. Wiedział, że powinien postępować w sposób bardziej stosowny dla księdza.

– Domyślam się, że trudno działać w dobrej wierze w wypadku kogoś, kogo się nie lubi. Jako chrześcijanin...

– Proszę księdza, proszę nie przyjmować takich założeń ani nie wyciągać pochopnych wniosków.

– Sugerowałem jedynie...

– Wykonuję swoją pracę, kierując się obiektywizmem i wiedzą naukową. Moje osobiste odczucia nie mają na nią żadnego wpływu.

– Doskonale – rzekł Sidney. – Kiedy zakończy pan badania drugiego ciała?

– W stosownym czasie.

Sidney spojrzał na koronera, zastanawiając się, czy w ogóle istnieje coś takiego jak stosowny czas. Trzeba będzie długo czekać.

Gdy wracał uliczkami Cambridge, przystanął, aby podziwiać bałwana palącego fajkę, przyodzianego w hełm funkcjonariusza obrony przeciwlotniczej. Usłyszał za plecami nagły ruch, odwrócił się, ale nikogo nie zobaczył. Może ktoś go śledził? Ale dlaczego ktoś by miał robić coś takiego? Usiłował te podejrzenia przypisać przemarznięciu i zdenerwowaniu, ale uczucie niepokoju przybrało na sile, gdy tylko ruszył dalej. W związku z fiaskiem zapiekankowym dokuczał mu też głód. Nie pozostało mu nic innego, niż zajść do Fitzbillies i znowu kupić bułeczkę z Chelsea. Znajdzie jakiś dyskretny sposób, by zjeść ją w drodze do domu.

Zakup mógł zaliczyć do udanych, ale pierwsza próba spożycia bułeczki została udaremniona przez obecność młodej dziennikarki, którą widział już przed posterunkiem policji. W chwili ciszy, gdy próbował sobie przypomnieć personalia kobiety, Helena Randall rzuciła pierwsze pytanie:

– Udana wizyta u koronera, księże Chambers?

Sidney przystanął.

– Niezupełnie wiem, o czym pani mówi.

– Są jakieś pozytywne efekty?

– Chętnie bym pani pomógł, ale to, czym się zajmuję, jest sprawą dość poufną.

Helena Randall wyjęła notatnik.

– Więc poufność można stopniować? – spytała.

– Wolę zakładać, że nie.

– I spotka się ksiądz znowu z doktorem Robinsonem albo z jego narzeczoną?

Sidney jeszcze nigdy nie widział osoby tak bladej i tak zdeterminowanej.

– Nie widziałem się dzisiaj z nimi.

– Ale niedawno się ksiądz widział? Kiedy?

– W ciągu ostatnich kilku dni, ale nie wiem, czy to może w jakimkolwiek stopniu zainteresować waszych czytelników. Nie ma żadnych dowodów przestępstwa.

– Są zbiegi okoliczności.

– Jest zima, panno...

– Randall. Helena Randall. Myślę, że jest ksiądz tajnym agentem policji.

– W życiu nie słyszałem czegoś równie absurdalnego. Może w Cambridge działają jacyś tajni agenci, ale zapewniam panią, że ja do nich nie należę.

– Więc przyznaje ksiądz, że zna tajnych agentów?

– Oczywiście, że nie! A teraz przepraszam. Muszę iść do domu.

– Mogę iść z księdzem.

– Wolałbym nie.

– Dałam księdzu pewnie swoją wizytówkę.

– Owszem.

– No cóż. Muszę jeszcze dodać, że ja, tak jak i ksiądz, zawsze jestem na służbie. Myślę, że ta sprawa ma zadatki na duży artykuł.

– Nie ma tu nic do opowiadania.

– Jeszcze nie, proszę księdza. Ale niedługo będzie. A kiedy to nastąpi, proszę mnie pierwszej przekazać swoje stanowisko.

– Nie mogę obiecać – odrzekł krótko Sidney. – Do widzenia, panno Randall.

Przeciął Granta Place, po czym wszedł na Eltisley Avenue i obejrzał się na dawny dom Hildegard Staunton. Żałował, że jej tam nie ma. Mógłby do niej zajść w drodze do domu, posłuchać, jak gra Bacha. A teraz miał tylko swoją bułeczkę z Fitzbillies.

Jadł, idąc przez Meadows. Prawie zrobiło się ciemno. Grupka uczniów urządziła sobie bitwę na śnieżki, ludzie wracali z pracy, jadąc na rowerach z książkami, torbami i zakupami. Pozdrawiając ich, czuł się jednocześnie swój i obcy. Większość z nich to byli porządni, szanowani obywatele, a jednak Sidney miał wrażenie, że niewiele go z nimi łączy. Od ich życia osobistego i zawodowego oddzielało go powołanie, uniwersytet i jego codzienne, niby senne rozmyślania. Normalne życie nie miało z nim nic wspólnego, a jednocześnie łączyło się z nim pod każdym względem.

Wrócił do domu, gdzie pies powitał go podskokami. Oczywiście oczekiwał,

że pan zarówno poświęci mu całą swoją uwagę, jak i natychmiast wyjdzie z nim na dwór, ale w holu już dzwonił telefon. Sidney miał wcześniej nadzieję, że nagrzeje trochę i posiedzi przy kominku z jakąś lekką lekturą, jednak nie było mu to pisane. Kto to mógł być, na Boga? I co jeszcze ci ludzie wymyślą?

Dzwoniła Amanda.

– Jak tam Kusy? – spytała.

Sidney pomyślał sobie, że pies już jest ważniejszy od niego.

– Skąd wiesz, jak się wabi?

– Dzwoniłam wcześniej, odebrała pani Maguire. Starała się być grzeczna, ale słyszałam, że jest wściekła. Uważa, że powinnam przyjechać i zabrać psa do siebie.

– Kusy to niełatwe wyzwanie, Amando.

– Właśnie po to go kupiłam...

– Czy ty rzeczywiście...

– Ma oderwać twoje myśli od tych wszystkich strasznych rzeczy, które się wydarzyły. Mówiłeś, że jesteś samotny.

– Pytałaś, czy jestem samotny. To nie do końca to samo.

– Odpowiedziałeś twierdząco, a ja podjęłam kroki, by zaradzić tej sytuacji. Sądziłam, że daję tym dowód troski...

– Dałaś, Amando, a ja jestem wdzięczny.

– Jak on się miewa?

– Doskonale.

– Mam wrażenie, że jesteś naburmuszony. Na pewno dobrze się nim zajmujesz? Kiedy mogę go odwiedzić?

– Możesz przyjechać, kiedy tylko chcesz.

– Świetnie. Nie masz grypy ani nic takiego?

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Dlaczego pytam?! – Amanda prawie krzyczała. – Bo nie chcę, żebyś chodził do tego lekarza.

– Co ci naopowiadała pani Maguire?

– Na pewno się domyślasz. Uważa, że wasz lekarz uznał się za Boga.

– Niczego nie udowodniono.

– Ale zanim się udowodni, będzie za późno. Musisz uważać, Sidneyu. W kryminałach mordercą zawsze jest lekarz. Dlatego nie czytam już panny Christie. To zawsze jest jakiś przeklęty lekarz.

– Ale to nie jest fikcja literacka, Amando. To prawdziwe życie.

– Nie chcę, żebyś zrobił coś głupiego.

– Nie za bardzo mam na to szansę. Całą moją energię pochłania zajmowanie się twoim cholernym labradorem.

– Jeśli uważasz, że posiadanie Kusego cię przerasta, to przepraszam – warknęła Amanda. – Chciałam dobrze. Jeśli taka twoja wola, na pewno znajdę mu

nowy dom. Starałam się jak mogłam i zapewniłam ci towarzysza. I tylko tego chciałam.

– Przepraszam, Amando. Po prostu czasami...

– Martwię się, że masz taki posępny nastrój – przerwała mu. – Myślisz, że to przez Wielki Post? Czy coś innego? Wychodzisz codziennie z Kusym na spacer?

– No oczywiście – odrzekł z urazą Sidney.

Zastanawiał się, jak długo jeszcze potrwa ta rozmowa. Nie miał nic do powiedzenia, a wiele do przemyślenia. Ponadto stał w zimnym holu. Szyby całkiem pokryły się szronem, i to od środka. Pewnie znowu zacznie padać śnieg. Och, kiedy przyjdzie wiosna?

Amanda ciągle mówiła.

– Jesteś tam jeszcze?

Sidney się ocknął.

– Tak, oczywiście.

– Muszę kończyć. Henry zabiera mnie na kolację.

– Henry?

– Mówiłam ci o nim.

– Doprawdy?

– Oczywiście. Nie masz się czym martwić.

– Ale się martwię...

– Muszę lecieć. Za żadne skarby nie idź do tego lekarza. Kocham cię.

Sidney zaczął protestować, ale Amanda już odłożyła słuchawkę. Przez chwilę słuchał nieustępliwego głuchego sygnału. Pasował do jego nastroju jak nic innego.

Wreszcie nadeszła Wielkanoc. Umywanie stóp w Wielki Czwartek, trzygodzinna medytacja w Wielki Piątek, czuwanie w sobotni wieczór i triumfalne alleluja w niedzielę Zmartwychwstania Pańskiego. Dywan fioletowych krokusów rozkwitł wśród traw przy Grantchester Meadows, by ponieść echem wieść o chrześcijańskiej nadziei.

Sidney postanowił, że jego parafianie muszą zaznać radości i odkupienia Wielkiejnocy, i za motyw przewodni kazania obrał chustę znalezioną w grocie, w której pochowano Jezusa. Została złożona, nie zaś rzucona niedbale – przypomniał wiernym Sidney – a to zgodnie z ówczesnym zwyczajem był znak, że Jezus powróci do stołu Pańskiego celebrować wspólnotę Boga i ludzi.

– Jesteśmy wspólnotą Wielkiejnocy – mówił do parafian z Grantchester. – To nie jest jakiś jeden dzień spośród trzystu sześćdziesięciu pięciu, lecz siła napędowa naszej wiary. Niesiemy wielkanocne przesłanie każdego dnia swojego życia, życia, w którym po udręce Krzyża Świętego i człowieczym cierpieniu nastaje niewyobrażalna chwała Zmartwychwstania.

Sidney mówił z całą pasją, jaką mógł z siebie wykrzesać, ale gdy spojrzał

w dół z ambony, stwierdził, że nie do każdego parafianina zdołał dotrzeć. Starsi patrzyli życzliwie i z wdzięcznością, ale już wśród młodszych wdów wojennych dostrzegał cierpienie, którego nie sposób było ukoić. Choć Sidney podkreślał, że właśnie z Bogiem trzeba utożsamiać swój ból i samotność, widział, że niektórzy z jego parafian pomyślą tylko: „Nie ten ból. Nie tę samotność".

Żałował, nie po raz pierwszy, że nie jest lepszym duszpasterzem. Miał nadzieję, że umie przynosić pocieszenie, ale niekiedy musiał po prostu zrozumieć, że nie może być wszystkim dla wszystkich. Musiał się pogodzić ze swoimi ograniczeniami i odpocząć kilka godzin od swoich obowiązków. Dać życiu płynąć swoim nurtem. Teraz przynajmniej miał wymówkę pod postacią labradora.

Nie zawsze było mu łatwo. Jeśli chodzi o szkolenie, Sidney nie był zwolennikiem surowej dyscypliny, więc Kusego często trzeba było wyciągać z żywopłotów, rowów, a raz nawet z rzeki. Dzięki jego obecności rzeczywiście jednak kontakty towarzyskie z innymi właścicielami psów stawały się przyjemniejsze i Sidney, chcąc nie chcąc, musiał wstawać od biurka i wychodzić na pola z towarzyszem, który nigdy się nie nudził, a zawsze był lojalny. Cokolwiek Sidney robił, Kusy ochoczo za nim podążał.

Sidney wolałby tylko, by Amanda, której zawdzięczał tak nieoczekiwany dar, częściej wykazywała się swoją zdolnością do zajmowania się psami.

Wróciwszy do domu z przyjemnej, choć wyczerpującej przechadzki w wielkanocne popołudnie, zaskoczony Sidney zastał na swoim progu koronera. Mężczyzna stawiał właśnie jakieś wino obok pustych butelek na mleko.

– Cieszę się, że księdza złapałem! – krzyknął na powitanie.

Kusy doskoczył do kolana przybysza.

– Jak widzę, ma tu ksiądz figlarnego małego towarzysza...

– Trochę zbyt figlarnego – przeprosił Sidney. – Napije się pan kawy?

– Z przyjemnością.

Sidney otworzył drzwi, a Kusy w podskokach wpadł do środka.

– Proszę wejść. Mogę wziąć pański płaszcz?

Koroner postawił butelkę wina na stoliku w holu.

– Przyniosłem drobny prezent wielkanocny, księże Chambers.

– To bardzo miło z pańskiej strony. I nie jest to jajko.

– Ponad wszelką wątpliwość nie. To bordeaux. Châteu latour rocznik trzydziesty siódmy. Myślę, że księdzu zasmakuje.

– O ho, ho!

– Zna ksiądz ten rocznik?

– Nie sądzę. – Sidney nalał wody do czajnika i zapalił gaz. – Obawiam się, że zaliczam się raczej do piwoszy.

– A to mnie ksiądz zaskoczył. Sądziłbym, że po wszystkich uczelnianych ucztach jest ksiądz raczej miłośnikiem wina.

– Zdecydowanie bardziej jestem swojskim bywalcem pubów w towarzystwie przyjaciół. Nie przepadam za obiadami w eleganckim gronie.

– Jakże to?

Sidney czekał, aż woda się zagotuje.

– Myślę, że to dlatego, że nigdzie nie jestem przypisany. Duchowny wszędzie jest raczej obcy. Może to kwestia tradycji; jeszcze w minionym wieku, jeśli człowiek miał kilku synów, to najstarszy szedł do wojska, drugi prowadził gospodarstwo, a najmłodszego i najmniej bystrego oddawano Kościołowi. Sądzę, że wśród ciała profesorskiego pokutuje przekonanie, że nadal tak jest. Ostentacyjnie okazują, że uważają cię za intelektualnie gorszego, kimkolwiek jesteś. No i niech im będzie. Sami mają wielkie rozumy, za to nie zawsze są dobrze wychowani.

– Tak ksiądz uważa?

– Żyją we własnym świecie. Czasami wydaje mi się, że prawie ze sobą nie rozmawiają, że nie wspomnę o gościach.

Sidney rozgrzał imbryk, wrzucił liście herbaty i zalał je wrzątkiem.

– Niektórzy wykładowcy sprawiają wrażenie, że nie lubią swoich studentów. Zawsze bardzo mnie to dziwi.

– To pewnie dlatego, że sami chcą być studentami. Zazdroszczą im młodości i wyrażają się z pogardą o ich inteligencji.

– Ja bym tego tak radykalnie nie ujął.

– A ja niestety tak – odrzekł koroner. – Zna ksiądz ten cytat z Kierkegaarda? „Wielu ludzi, gdy ma wysnuć wnioski na temat życia, zachowuje się niczym uczniaki: oszukują nauczyciela, przepisując odpowiedź z podręcznika, zamiast samemu dojść do właściwego wyniku”.

– Na pewno sądzę, że wielu z nich woli książki od ludzi. Pije pan herbatę z mlekiem? – spytał Sidney.

– Oczywiście. Ale mleko nigdy pierwsze...

Sidney się uśmiechnął.

– Nie należę do duchownych, którzy robią takie rzeczy.

– W ogóle księdza o to nie podejrzewałem. Czasami trzeba jednak się upewnić, żeby uniknąć katastrofy.

Sidney ustawił filiżanki na tacy, którą dostał na pamiątkę koronacji królowej Elżbiety.

– Możemy przejść do saloniku? Miło, że przyniósł pan wino...

Koroner spojrzał na butelkę, jakby ze smutkiem chciał się z nią pożegnać.

– To w ramach przeprosin. I podziękowań.

– Nie sądzę, żebym oczekiwał jednego albo drugiego. Proszę usiąść.

– A powinien ksiądz. Zachowałem się wobec księdza obcesowo. Nie podobało mi się, że ksiądz mi przeszkadza.

Sidney nalał herbaty.

– Nie pozostawił pan co do tego wątpliwości.

– Ale teraz jestem wdzięczny.

– Chyba nie wiem, czym sobie na to zasłużyłem.

– Zapobiegł ksiądz katastrofie. I to poważniejszej niż wlanie mleka przed herbatą.

Sidney podał gościowi filiżankę na spodku.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– O doktorze Robinsonie i jego przyszłej żonie...

– Ależ ja nic nie zrobiłem.

– Wręcz przeciwnie, księże Chambers. Wiem, że spotkał się ksiądz z doktorem Robinsonem. Wówczas uważałem, że to zupełnie nie księdza sprawa i że tej opinii dałem, niestety, wyraz zbyt silny.

– Nawykłem, że ludzie są wobec mnie szczerzy, panie Jarvis. Cukru?

– Nie, dziękuję.

– Mam nawet trochę ciasteczek pani Maguire.

– Odnoszę wrażenie, że mnie ksiądz rozprasza.

– Proszę kontynuować.

– Często ciężko przewidzieć, co ludzie zrobią, nie sądzi ksiądz? Rozumiem, że doktor Robinson działał w granicach prawa, ale groziło mu, że uzna się za dysponenta tego prawa.

– Anthony Bryant?

– Tu znowu stężenie morfiny mieściło się w dopuszczalnych granicach. Jak podejrzewaliśmy, doktor Robinson raczej naginał prawo, niż je łamał. Czasami jednak, i widywałem już takie przypadki, ludziom wchodzi to w nałóg. Gdyby doktor Robinson miał poczucie, że wyświadcza komuś przysługę, kierowany współczuciem, i gdyby wyobrażał sobie, że realizuje wyższe cele moralne, to może uznałby, że ma prawo to kontynuować, że ma prawo posuwać się dalej i usprawiedliwiać to, co robi. Myślę, że swoją interwencją powstrzymał go ksiądz przed takimi krokami.

– Nic o tym nie wiem.

– Myślę, że ksiądz wie. To by się wymknęło spod kontroli.

– Proszę do mnie mówić po imieniu.

– Chyba wolę bardziej oficjalnie. Człowiekowi nie opłaca się zbytnia zażyłość z księdzem. To, co ksiądz zrobił, miało wykluczyć wszelką możliwość, że doktor Robinson zdoła usprawiedliwić swoje czyny. Konfrontacja z księdzem przypomniała mu, że oprócz praw ludzkich są prawa boskie i że nawet jeśli z czystym sumieniem uzasadni swoje zachowanie na ziemskim padole, to na tamtym świecie i tak będzie musiał odpowiadać przed instancją moralną o wiele surowszą.

– Skąd pan to wie?

– Inspektor Keating powiedział mi, że doktor Robinson uznał obecność księdza za niepokojącą. Właśnie dlatego inspektor księdza do niego wysłał. Wiedział, że autorytet moralny liczy się dla niego bardziej niż siła prawa. Ten człowiek jest zadziwiająco bystry.

– Nie wątpię w to.

– I właśnie to, co ksiądz powiedział, sprawiło, że doktor się zatrzymał.

– Nie sądzę, żebym dużo powiedział.

– Wystarczyło. Oczywiście tylko się domyślam, jakie słowa padły, ale przy całej posiadanej wiedzy zdaję sobie sprawę, że muszę księdzu podziękować. Nie musiał ksiądz robić tego, co zrobił, ale ksiądz zrobił, i ja to doceniam. Przepraszam, że nie byłem tak przyjazny, jak powinienem, gdy zgłosił się ksiądz do mnie. W przyszłości nie popełnię już tego błędu.

– A ja postaram się nie być niepokojący.

– Dla człowieka z nieczystym sumieniem wszystko jest niepokojące.

– Tak właśnie sądzę.

– A czyste sumienie to jedyny sposób na życie, księże Chambers. Jak również spokojna głowa. Czy teraz moglibyśmy otworzyć wino? Już jest na pewno osiemnasta, a mamy powód. Dni postu minęły.

– Zrobię to z przyjemnością – odrzekł Sidney.

W czwartek po Wielkiejnocy nadszedł czas na wznowienie tradycyjnych spotkań z inspektorem Keatingiem w barze RAF-u.

– Dobrze cię widzieć w dawnej formie, Sidneyu – zaczął policjant, gdy zasiedli do pierwszego piwa. – Chociaż nie spodziewałem się, że przyjdziesz z Kusym. Żony ci trzeba, a nie psa.

– Niestety, w ofercie był tylko pies.

– Są inne kobiety niż panna Kendall. Myślałem zresztą, że masz słabość do tej niemieckiej wdowy.

– Za wcześnie, Geordie, a z drugiej strony: za późno.

– Ludzie zawsze szukają wymówek. Czasami najlepiej zabrać się do rzeczy, zamiast się zastanawiać.

– To prawda – westchnął Sidney, myśląc o żonie Keatinga i trójce ich dzieci.

Inspektor upił duży łyk piwa.

– Przynajmniej twój doktor się wywinął od odpowiedzialności.

Sidney spojrzał na przyjaciela surowym wzrokiem.

– On nie jest mój, Geordie. I działał w granicach prawa.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, to uważam, że koroner przymknął oko. Nie jest taki twardy, jak sądziłem...

– Niewykluczone... Ty nadal podejrzewasz zaniedbanie obowiązków?

– Nie jestem pewien.

– Doktor wiedział, co robi.

– Wygląda na to, że aż za dobrze.

– I myślę, że jego motywy były szczere. Była zima: okres zachorowań na zapalenie płuc, przyjaciela starców. Czasami podjęcie decyzji niepewnej moralnie wymaga więcej odwagi, niż nam się wydaje.

Inspektor Keating chyba nie słuchał. Wciąż rozpamiętywał sprawę i w cuglach dokończył swoje piwo.

– Musisz przyznać, że to była trudna sprawa. – Zajrzał w pusty kufel. – Sherlock Holmes rozwiązywał swoje zagadki, wypalając dwie fajki, a nasze, mam nadzieję, są raczej na dwa kufle...

– Bardzo zabawne – odrzekł Sidney. – Jeszcze jedno?

– Miło by było.

– Nigdy nie wiadomo, prawda? Co się dzieje w ludzkich umysłach...

– Ano nigdy... – odrzekł przyjaciel, zanim zawołał barmana.

Rozłożył na blacie planszę do tryktraka, gdy Sidney odbierał napoje.

– Zabawna rzecz z tą całą miłością, nie sądzisz? – Wydawało się, że mówi do siebie. – Pewnie uważam to za rzecz oczywistą, mam wszystko w domu, Cathy i dzieciaki, i nam wydaje się to po prostu czymś naturalnym, ale pewnie nie u wszystkich tak jest.

Sidney postawił piwa na stole.

– Na pewno większość ludzi lubi myśleć, że ich historia jest wyjątkowa.

– Ale ty, mój przyjacielu, masz wiele różnych możliwości: to księgi o pustych stronach, które można zapełnić.

– Ja bym tego tak nie ujął. – Sidney wiedział, że inspektor usiłuje przekierować rozmowę na temat Amandy, ale nie dał się. – Czuję wielką ulgę, że małżeństwo Isabel i doktora dojdzie do skutku.

– Kiedy ten wielki dzień?

– Za tydzień w niedzielę.

Inspektor zapalił papierosa.

– Zobacz, jak ciekawie pracuje umysł, Sidneyu. Doktor pewnie sądził, że kieruje nim miłość, gdy ukatrupił matkę swojej narzeczonej.

– On jej nie ukatrupił!

– Obaj wiemy, że ukatrupił. Ale wywinął się z tego, chowając za współczuciem. – Inspektor wyrzucił dwie szóstki. – Sądzisz, że koroner brał w tym udział?

– Nie sądzę.

– A ja ciągle nie mam pewności. Oni dwaj mogliby wszystko ustalić między sobą. Mogli działać w porozumieniu, a koroner zwróciłby uwagę na tę sprawę na zasadzie podwójnego blefu. I potem dopilnowałby, żeby to on, a nie kto inny, przeprowadził postępowanie.

– To bardzo naciągana wersja.

– W zbrodni nic nigdy nie jest naciągane, Sidneyu. Powinieneś to już wiedzieć. Wszystko jest możliwe, a historie najbardziej nieprawdopodobne często są najprawdziwsze. Nie zawahałbym się przed zerknięciem do testamentu starszych osób, które poumierały. Jeśli cokolwiek zapisano doktorowi...

– Zawsze możesz sprawdzić, ale moim zdaniem dowiesz się, że koroner jest porządnym człowiekiem.

– Wcześniej nie miałem co do tego wątpliwości, Sidneyu. To ty zgłaszałeś zastrzeżenia.

– Chyba się do niego przekonałem.

– Naprawdę?

– Przyszedł na plebanię z butelką wina.

– Wina? Łatwo cię kupić. Sądziłem, że wolisz piwo.

– To było château latour rocznik trzydziesty siódmy. Gładkie dla podniebienia i pozostawiające długi posmak.

– Założę się, że on ci to powiedział. Ale wino to kosztowne hobby dla duchownego. To chyba nie najlepszy pomysł, żebyś znajdował upodobanie w czymś, na co cię nie stać.

– W Corpus Christi mają zacną piwniczkę...

– To też niedobry znak. Wiesz, że nie ma to jak dobry pub. Tam chodzą prawdziwi ludzie: nie twoi wykładowcy i bogate dziwaki. Poza tym sądziłem, że nie lubisz wracać do swojego dawnego college'u.

– Nie ująłbym tego tak radykalnie.

– No ja nie wiem. Chyba ci się zmienił charakter. Najpierw dostałeś psa, a potem rozmiłowałeś się w winie. Bóg raczy wiedzieć, czym nas jeszcze zaskoczysz.

– No Bóg to rzeczywiście na pewno wie, inspektorze. I bardzo dobrze, że my nie wiemy.

– I ja się cieszę, że nie wiemy.

– Jeszcze jedna kolejka?

– Trzecie piwo? – spytał z tendencyjnym zaskoczeniem inspektor Keating. – Na pewno dasz radę?

– Nie ma już postu – potwierdził Sidney. – Siedzę sobie z przyjacielem. Rozmawiamy o winie, zbrodni i miłości. Czasami wydaje mi się, że możemy powiedzieć sobie wszystko.

– To chyba prawda.

– Ogień płonie. Pies u mojego boku. Nastrój, pozwolę sobie ująć, jest przyjemny. A co więcej – dodał Sidney – nie mogę się doczekać bardzo chybotliwego powrotu do domu na swoim rowerze.

W następnym tygodniu pogoda złagodniała i wreszcie nadeszła wiosna.

Zakwitły pierwiosnki, fiołki i podbiały. Lerki całymi dniami wisiały w powietrzu, a całymi nocami śpiewały. Czajki szukały puchu, kulony wracały z wyżyn na łąki i brzegi rzek, kosy i drozdy składały jaja.

Tę spóźnioną wiosnę wszyscy witali z radością. Nadszedł wreszcie idealny moment na ślub Isabel. Sidney z zachwytem obserwował wśród przybyłych na uroczystość kobiet nową modę: rozkloszowane spódnice, spadziste ramiona i ściągnięte talie, obcisłe suknie i cudowne kapelusze zdobione kwiatami i wstęgami organzy. Mieszkanki Grantchester w końcu zrzuciły zimowe ponurości i prezentowały letnie kolory.

Sidney przywitał się z doktorem, który przybył ze świadkiem.

– Szczęśliwy dzień – rzekł. – Mam nadzieję, że będzie się pan nim radował.

– Taki mam zamiar. I powinienem księdzu oczywiście podziękować.

– Nie sądzę, żebym sobie zasłużył na podziękowania.

– Zrobił ksiądz to, co należało, i powiedział, co trzeba było powiedzieć.

– Taki miałem obowiązek.

– Tylko szaleniec by się z księdzem nie zgodził.

– Niestety, doktorze Robinson, wielu to robi.

– Możliwe. Ale ksiądz jest bezstronny i powiedział właściwe rzeczy. Sprawił ksiądz, że pomyślałem inaczej o świecie. Oboje jesteśmy księdzu wdzięczni.

– Myślę, że na tym właśnie polegają obowiązki księdza.

– O tak. Poeta George Crabbe napisał wiersz na ten temat, prawda? Kapłan jest wzorem dla swojego stada: „Był prawy, pobożny, sprawiedliwy i cny. Każdy mu wierzył i pokładał ufność w nim”. Niełatwo stanowić taki przykład.

– To wręcz niemal niemożliwe – odrzekł Sidney.

– Czasami liczy się sama intencja. – Doktor się uśmiechnął.

Organista rozpoczął marsz weselny i mężczyźni wyszli.

Sidney próbował się podnieść na duchu napomnieniem, że ślub to powód do radości. Niekoniecznie przepadał za późniejszym przyjęciem: nerwową wylewnością, przydługimi przemowami i ciepławym białym winem, ale wiedział już, jak je przetrwać z nieco obojętną życzliwością, którą wielu ludzi, jak zauważył z ulgą, błędnie brało za nabożność.

Isabel Livingstone, wkrótce Robinson, była ubrana w suknię z białej tafty. Sidney zauważył, że wybrała krój empire z podniesioną talią, a nie obecnie modną wąską talią i rozkloszowaną spódnicę. Wyglądała młodziej niż w czasie ich ostatniego spotkania, jakby dopiero teraz, w tym momencie, stała się sobą. Niepokój i smutek ostatnich miesięcy uleciał, a gdy szła do ołtarza, można było odnieść wrażenie, że odbywa marsz zwycięstwa.

Prowadziły ją dwie druhny ubrane w intensywnie żółte sukienki. Obie miały mniej niż osiem lat, a szły z takim wdziękiem i powagą, że Sidney pomyślał w duchu, że wszyscy wierni powinni wziąć z nich przykład.

Uśmiechnął się, pozdrawiając zebranych, ale zaraz ten uśmiech zgasił. Nie zamierzał potraktować państwa młodych łagodnie. Mówił powoli, jasno i autorytatywnie. Podkreślał, że małżeństwo należy zawierać w nabożnym skupieniu, spokoju, świadomie, trzeźwo i w bojaźni Bożej. Powiedział, że wyjaśni każde z tych pojęć w swoim kazaniu i oczekuje, że wszyscy będą go słuchać z uwagą. Ślub to nie było tylko wydarzenie towarzyskie. To poważna uroczystość religijna, w której składa się obietnice o trwałych konsekwencjach.

Oświadczył, że powie też w kazaniu, często zresztą to robił, o pierwszym cudzie uczynionym przez Chrystusa na weselu w Kanie Galilejskiej. Wówczas woda została przemieniona w wino, a teraz przemianie ulegną Michael i Isabel – z dwojga staną się jednością; nie mają jednak sobie pobłażać, mają wykrzesać z siebie nawzajem to, co najlepsze. Muszą się stać innymi ludźmi, lepszymi, silniejszymi, bardziej tolerancyjnymi i wielkodusznymi.

Chociaż powiedział zgromadzonym, że najlepszy prezent ślubny, jaki mogą podarować oblubieńcom, to miłość, wsparcie i troska o ich małżeństwo, Michael i Isabel Robinsonowie wiedzieli, że ksiądz Sidney Chambers mówi bezpośrednio do nich. Przestrzegał ich, że mają zachować ostrożność. Mieć się na baczności. W swoim współczuciu i swoim chrześcijaństwie Sidney był jak stal. Jego kazanie było przede wszystkim przestrogą moralną.

Bóg na nich patrzył.

Sidney na nich patrzył.

Sześć miesięcy później Isabel Robinson urodziła chłopca.

WŁAŚCIWA CHWILA

Siódmego maja 1954 roku Sidney wreszcie opanował sztukę gotowania jajka. Napełnił rondelek wodą, opuścił nakrapiany okaz do wody i umieścił rondelek na piecyku. Gdy woda się grzała, zabrał się do pozostałych porannych zajęć. Musiał zdążyć z goleniem dokładnie do chwili, gdy woda zacznie wrzeć. Wówczas przygotuje tosty. Czas potrzebny do obustronnego podpieczenia tostów, zdjęcia ich z rusztu, posmarowania masłem i pocięcia na paski równał się dokładnie czasowi gotowania jajek. Jeśli wszystko się udało, tost był wciąż ciepły, masło stopione, a jajko w idealnym stanie. Nadzwyczajne, że umiał łączyć przygotowywanie śniadania z goleniem i za każdym razem, gdy to robił, odczuwał cichą satysfakcję.

W jasny wiosenny poranek, gdy resztki szronu znikały z pól, Sidney skupił uwagę na wiadomościach radiowych. Roger Bannister jako pierwszy człowiek w historii osiągnął w biegu na milę czas krótszy niż cztery minuty na Iffley Road Track w Oxfordzie. „Jakie to osobliwe – pomyślał Sidney – że człowiek zdoła przebiec milę w tym samym czasie, w którym można ugotować jajko”. Był to też

czas potrzebny na wykonanie overa w krykiecie, i również w tym czasie inny Sidney, Bechet, wykonywał *Summertime* na saksofonie sopranowym. Niesamowite, ile można osiągnąć w tak krótkim okresie.

Teraz starał się wyprawiać na o wiele dłuższe przechadzki z Kusym, bo wreszcie zaczął czerpać radość z towarzystwa swojego psa. Jego obecność oznaczała nowe wyzwania – dyscyplina, trening, rutyna – ale też, trzeba to powiedzieć: korzyści. Co prawda labrador bez wytchnienia domagał się uwagi i nagród, ale był nie tylko doskonałym pomocnikiem w nawiązywaniu kontaktów z nowymi parafianami, lecz przydawał się także – a może przede wszystkim – do przerywania rozmów. W praktyce Kusy uwalniał Sidneya od czasochłonnych narzekań co bardziej kłopotliwych parafian. Jeśli napinał smycz albo rzucał się w szalony pościg za zającem, to jego właściciel musiał przerwać rozmowę i podążyć przez Meadows za pędzącym zakosami psem. Nagłe zmiany prędkości czy kierunku biegu kojarzyły się Sidneyowi z improwizowaną solówką na saksofonie. Nigdy nie było wiadomo, czego się spodziewać.

Pewnie nic dziwnego, że Sidney myślał w ten sposób, skoro należał do wielbicieli jazzu. Co prawda kochał intensywny spokój muzyki chóralnej, w szczególności dzieła Byrda, Tallisa i Purcella, ale niekiedy pragnął czegoś bardziej ziemskiego. Tak więc podczas rzadkich wieczorów spędzanych w domu szczególnie lubił słuchać najnowszych utworów z Ameryki napływających przez radio. W jego odczuciu stanowiły przeciwieństwo ciszy, modlitwy i skruchy. Odbierał je jako pełne życia, nastroju i rytmu, czy to był *It Don't Mean a Thing* w wykonaniu sekstetu Ralpha Sharona, czy *Boogie Woogie Stomp* Alberta Ammonsa. Jazz był nieprzewidywalny. Szarżował, zmieniał nastrój, zapowiadał temat, rozwijał, zmieniał go i podsumowywał. „Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość zamknięte w jednej chwili" – myślał Sidney. Czerpał tematy z przeszłości, istniał w teraźniejszości, a jednocześnie tworzył oczekiwania co do tego, jaki kierunek może obrać w przyszłości. Stanowił metaforę życia samego w sobie, jednocześnie przemijającego i głębokiego, zmierzającego swoim kursem z zaangażowaniem i wolnością. Sidney był pewien, że każdy odczuwa ten klimat inaczej, chociaż bardzo się starał nie używać słowa „klimat", gdy zasiadał z szacownym gronem do uroczystej kolacji w college'u.

Jazz był prezentem Sidneya dla siebie, a dzisiaj zamierzał podzielić się swoją przyjemnością, bo udawał się z inspektorem Keatingiem do londyńskiego Soho na występ kwartetu Glorii Dee. Mieli być gośćmi Johnny'ego Johnsona – w geście podziękowania za pomoc w sprawie zaginionego pierścionka. Sidney nie uznał za konieczne wyjawić, że przyjaciel, którego przyprowadzi, jest policjantem. Keatingowi natomiast nie powiedział, że ojciec Johnny'ego to nikt inny jak słynny rabuś Phil „Kot" Johnson. Nie chciał nadmiernie podniecać przyjaciela.

Gloria Dee pochodziła z Nowego Jorku i typowano ją na nową Bessie Smith.

Miała równie dramatyczny wygląd i głos, który sięgał od wyjątkowej czułości po gospelową moc. Wszyscy krytycy sceny jazzowej wychwalali czystość jej dykcji, a także nieporównane frazowanie i wyczucie rytmu.

Sidney bardzo się cieszył, że jest na bieżąco w uznaniu jej talentów, ale martwił się, czy Geordiemu się spodoba. Znał go jako wielbiciela opery komicznej. Martwił się też, że inspektor nieufnie podejdzie do podejrzanej reputacji Soho.

Gdy tylko jednak przybyli do Londynu, Keating sprawiał wrażenie niezwykle radosnego.

– Jakaś odmiana od naszych zwykłych spotkań – mówił, gdy wysiedli na Leicester Square i szli do Chinatown. – I dobrze wyrwać się z Cambridge. Można się tam czasem poczuć jak w puszce, nie sądzisz?

– Obawiam się, że klub wyda ci się równie ciasny.

– Coś ty taki lękliwy?

– I pamiętaj, Geordie, nie jesteśmy na służbie. Ja nie jestem duchownym, ty nie jesteś detektywem.

– Zawsze jesteśmy na służbie, Sidneyu. Wiesz doskonale.

– Chcesz powiedzieć, że nie ma pokoju dla bezbożnych?

Schodami weszli do klubu i oddali płaszcze Colinowi przy drzwiach. Po wejściu do środka Sidney poczuł się skrępowany. W klubie kłębiło się od mężczyzn w eleganckich garniturach i wąziutkich krawatach, siedzących u boku kobiet w opiętych bluzkach, rozkloszowanych spódnicach i baletkach. Pili i palili, i oddawali się nastrojowi. Chociaż Sidney ubrał się po cywilnemu – szary flanelowy dwurzędowy garnitur i dwubarwne pantofle – i tak się czuł jak duchowny. Zastanawiał się, czy powinien wybrać filcowy kapelusz albo zapomnieć krawata, który – dopiero teraz zauważył – miał kolor biskupiego fioletu, ale już za późno było się o to martwić.

Johnny Johnson powitał gości i gdy już dokonano prezentacji i zamówiono piwo, ci usiedli i czekali na występ. Młoda kelnerka w okularach o ciemnych kocich oprawkach podeszła z tacą papierosów. Keating poprosił o paczkę playersów, a Sidney odmówił. A gdy to zrobił, kelnerka się uśmiechnęła.

– Wytworny garnitur – powiedziała.

Sidney się rozpromienił.

– Mnie się podobają pani okulary.

– Trzeba zrobić jakąś odmianę po tych wszystkich bambetlach, które musi wielebny nosić w niedziele.

– Skąd pani wie, że jestem księdzem?

– Brat mi zdradził.

– Jest pani siostrą Johnny’ego? – domyślił się Sidney.

– Jestem Claudette.

– Nietypowe imię...

– Myślę, że moi rodzice chcieli kolejnego chłopca, ale Claudie to też fajne imię, prawda? Mówią na mnie Claudie, Claudie Johnson. Na pewno nie chce wielebny papierosa?

– Nie, dziękuję. A więc jest was tylko czworo w rodzinie?

– Troje. Mama umarła, jak miałam sześć lat. Jestem córeczką tatusia. On zresztą na pewno podejdzie się przywitać.

Sidney martwił się, że inspektor może rozpoznać w Philu rabusia „Kota", ale miał nadzieję, że przestępca, który swoje odsiedział, jest postrzegany jako niewinny przez prawo.

Zauważył, że Claudette jest tak blada, że jej oczy wydają się bardzo ciemne. Wyglądały jak gagatowe kolczyki, które wpadły w śnieg.

– Lepiej wrócę do pracy – powiedziała. – Ale wy, dżentelmeni, bawcie się dobrze. Zapomnijcie o troskach i problemach tego świata. A jeśli jakieś problemy się pojawią, odszukajcie mnie po prostu.

– Problemy? – spytał inspektor Keating.

– Mamy tu kilka ciekawych okazów. – Claudette nachyliła się tak blisko, że Sidney poczuł zapach jej gumy do żucia. – Dawni koledzy taty. Ciemne sprawki i tym podobne. Ale jeśli zostaniecie przy barze i będziecie się trzymać światła, wszystko będzie dobrze. – Mrugnęła do nich okiem. – Zachowajcie spokój, dobra?

– Postaram się.

Inspektor Keating się zaniepokoił.

– Mam nadzieję, że nie wydarzy się tu nic głupiego.

– Ja bym się o to nie martwił, Geordie.

Właśnie zmierzał ku nim Phil „Kot" Johnson. Najwyraźniej córka go powiadomiła. Był to wielki mężczyzna o dziobatej twarzy i brzuchu ogromnym jak beczka piwa. Od razu zaczął mówić do nich po imieniu, zamówił napoje i opowiadał dowcipy, które spalał, śmiejąc się przy puencie.

– Napij się jeszcze piwa, Sid. Wiem, co zrobiłeś dla naszego chłopaka.

– Nie ma o czym mówić, panie Johnson.

– Stanąłeś po jego stronie. Jest o czym mówić. Kim jest twój kolega?

– Geordie Keating – odrzekł inspektor.

– Miło mi pana poznać, Geordie. Pilnujesz, żeby nasz ksiądz nie wplątał się w kłopoty?

– Staram się. Czasami kłopoty same się do niego przyplątują.

– No, w ten bzdurny wieczór na pewno żadnych kłopotów nie będzie. Piosenkarka odjazdowa, zespół gra znakomicie. Odprężcie się, a jeśli czegoś wam trzeba, zgłoście się do mnie, dobra? Ze mną nikt nie zadrze.

– No nie wątpię – zauważył Sidney.

– Nikt się nie ośmieli!

W sali pojawiło się jeszcze więcej ludzi, więcej dymu, tak że Sidney zwątpił,

czy w ogóle uda mu się zobaczyć Glorię Dee w sensie dosłownym, kiedy już pojawi się na scenie. Ale gdy tylko wyłoniła się z mroku, jego obawy okazały się bezpodstawne.

Popłynął pierwszy akord z fortepianu, po nim pochód basowy i lekki akompaniament perkusji. Sidney miał wrażenie, że jeszcze nigdy nie był w takim doskonałym nastroju. Gloria uśmiechała się do widowni, poruszała się do rytmu i zaczęła śpiewać *All of Me*.

Stała przy mikrofonie, kilka metrów od niego. We włosach miała wstążki, biała satynowa suknia podkreślała ciemny kolor skóry. Jej głos był jak miód, jak melasa, jak guinness, whisky i jak wino. Przeciągała samogłoski, każdą inaczej, a pomiędzy wersami dośpiewywała krótkie scaty, tak że brzmiało to, jakby śpiewała w języku, którego Sidney nigdy wcześniej nie słyszał. Była nieprzewidywalna, zalotna, zmysłowa i smutna. Śpiewała *That Ole Devil Called Love*, *T'Aint Nobody's Business if Do, You're My Thrill* i odważne *Judge, Judge, Lordy Mr Judge*, *Send Me to th'Electric Chair*.

Inspektor Keating wychylił się do przodu.

– Co za dziewczyna!

Sidney uznał, że to prawdziwy raj. Potem Gloria śpiewała piosenkę, którą – jak mówiła – skomponowała, gdy zespół był na tournée w Paryżu. Działo się to po marcowej eksplozji na atolu Bikini, więc Gloria myślała wówczas o bombie atomowej.

Cztery minuty
Raptem cztery minuty przed północą
Cztery minuty
Chcę raptem czterech minut z tobą
Jeśli świat się kończy
To niech się kończy
Ja chcę tylko
Tych czterech minut
Z tobą...

Gloria wynuciła następny wers i przedstawiła zespół. Muzycy w ramach prezentacji kolejno odgrywali serię riffów: Jay Jay Lion na fortepianie, Tony Sanders na perkusji i Milo Masters na basie. Sidney co prawda wiedział, że znajduje się w Londynie, ale próbował sobie wyobrazić, że jest w Harlemie, przesiaduje w barze z grupą muzyków, aż zaśpiewa się ostatnia piosenka i wybrzmi ostatnia nuta.

– Dalej, Tiger Tony! – krzyknęła Gloria i oto nadszedł moment, który zawsze sprawiał zawód: solo na perkusji. „Dlaczego wielbiciele jazzu mają taką słabość do tego?" – zastanawiał się Sidney. Jemu się to kojarzyło z kichnięciem. Człowiek zawsze czuł, że nadchodzi, ale nic nie mógł zrobić, żeby je powstrzymać.

Tony Sanders starał się, jak mógł, ale to nadal było solo na perkusji. Jedyną miłą niespodzianką okazała się eskapada Glorii Dee między widownię. Scatowała, stojąc przy stoliku Sidneya, kiwaniem głowy wyrażając aprobatę dla jazgotliwego entuzjazmu swojego perkusisty.

Gdy Sidney zdał sobie sprawę z bliskości Glorii, z przejęcia nie ośmielił się podnieść wzroku. Wystarczyła mu świadomość, że ona tam jest. Nozdrza wypełniła mu mieszanka zapachu potu, gardenii i uderzającej tuberozy jej perfum. Teraz Sidney już wiedział, co znaczy słowo „odurzony". Chciał, by ta chwila u jej boku, u boku kobiety, którą uważał za jedną z największych piosenkarek jazzowych na świecie, trwała wiecznie. Teraz czuł, że żyje – w tym miejscu, w tym czasie i słuchając tej muzyki.

I nagle wszystko się zmieniło.

Krzyknęła jakaś dziewczyna. Jej głos przebił się przez wysokie tony muzyki. Jakiś mężczyzna wzywał pomocy. Przy drzwiach wybuchło zamieszanie. Włączyły się światła na widowni. Perkusja umilkła.

Phil Johnson przedzierał się przez tłum na tyły klubu.

– Co się dzieje? – spytał.

Na podłodze przed damską toaletą leżała bez ruchu jego córka Claudette.

– Co się stało?! Ktoś mi powie, co się dzieje?!

Jakaś przerażona dziewczyna opierała się o ścianę.

– Właśnie ją znalazłam.

– Widziałaś, jak się przewróciła?

– Nie wiem, co się stało.

Phil przykląkł przy córce.

– Wezwijcie karetkę! – krzyknął. – Przynieście wody. Ona jest nieprzytomna. – Wsunął ramię pod głowę dziewczyny i próbował ją podnieść. Nagle zauważył ślady na jej szyi. – Cholera jasna, co to jest? Claudie, obudź się! Obudź się, mówię.

Ale Claudie nie mogła się obudzić.

Najwyraźniej została uduszona.

Phil Johnson mówił do córki:

– Kto to zrobił? Co się stało? Moja dziewczynka, moja biedna córeczka, co oni ci zrobili, Claudie? Wstań... wstawaj, kochanie... wstawaj. Jest tu lekarz? – I nagle krzyknął: – Jest tu jakiś lekarz?!

Keating już wkroczył do akcji.

– Gdzie jest telefon? – pytał. – Wezwijcie karetkę. A potem Scotland Yard. Nikt nie może stąd wyjść.

Większość gości wstała od stolików i tłoczyła się dokoła, żeby zobaczyć, co się dzieje. Barman i portier próbowali ich przekonać, by się cofnęli, wrócili do stolików. Jednocześnie pilnowali wyjścia.

Goście nie mieli do czego wracać – skończyła się muzyka, alkohol, rozmowy. Włączono światła: kameralny nastrój zniknął.

– Och nie – jęknął Sidney. – Nie, nie, nie. – Patrzył na szyję dziewczyny i dostrzegał już siniaki. Z lewej strony pod żuchwą widać było ślady paznokci, księżycowate otarcie naskórka. Zastanawiał się, kto, na miłość boską, mógł zrobić coś takiego. „Ciemne sprawki" – powiedziała do niego Claudie. Co miała na myśli?

Do telefonu ustawiła się kolejka. Ludzie już zrozumieli, że będą tu siedzieć do późnej nocy. Glorii Dee nalano kolejnego drinka.

– Biedne dziecko. W co ona się wplątała? To nie ma sensu.

Sidney zastanawiał się, czy zachowałby większą czujność, gdyby piosenkarka nie śpiewała tak blisko niego. Czy obaj z Keatingiem mogliby coś zauważyć, dostrzec kogoś, może zapobiec tragedii? Ale Gloria stała blisko... A teraz Claudette nie żyła. Morderca pewnie zabił ją szybciej, niż trwałoby spalenie któregoś z jej papierosów.

Pół godziny później przybył inspektor Williams ze swoimi ludźmi ze Scotland Yardu. Wielki, tęgi mężczyzna wyglądał jak gracz rugby. Ruszył prosto do „Kota".

– Podobno coś się tu dzieje, Johnson.

– Moja córka. Jakiś łajdak ją dopadł.

– Nie wypuszczajcie nikogo. Obstawcie wyjścia.

Keating pochylał się nad ciałem.

– Kim pan jest? – spytał Williams.

– Inspektor George Keating. Policja z Cambridge. Siedziałem na widowni, gdy to się stało.

– Na służbie?

– Incognito.

– Widział pan coś?

– Nic konkretnego.

– Nikt stąd nie wyszedł?

– Przy barze znajdują się drzwi, ale są zamknięte. Wyjście ewakuacyjne jest za sceną. Poza tym niewielkie okienko w toalecie, ale nikt by się tamtędy nie przedostał. Całe szczęście, że nie wybuchł tu pożar.

– Powinno się zamknąć tę budę. Więc pańskim zdaniem morderca ciągle tu jest?

– Tak, nie opuścił budynku.

– Mężczyzna?

– Albo kobieta.

– Mogę liczyć na pańską pomoc?

– Oczywiście. Mój przyjaciel, ksiądz Sidney Chambers, też jest do usług.

– Lepiej to chyba zostawić zawodowcom, nie sądzi pan? – Sidney cofnął się o krok, podczas gdy Williams mówił dalej: – Jakoś nie widzę, do czego miałby się tu przydać duchowny. No, chyba że do pogrzebu tej biedaczki.

– Zdziwiłby się pan – odrzekł Keating.

Williamsowi spieszyło się do śledztwa.

– Jak pan sądzi, kiedy doszło do zbrodni?

– Najpewniej w czasie solówki na perkusji. Hałas odwracał uwagę...

– Z mojego doświadczenia wynika, że wtedy większość ludzi idzie do toalety.

– Ta widownia najwyraźniej chciała zostać.

– Oprócz mordercy. Widzę tu kilka dość znajomych twarzy. Pół życia spędziłem na pakowaniu tych ludzi za kratki, a oni i tak wyłażą jak karaluchy.

Podeszła do nich Gloria Dee.

– Znaleźliście cyngla?

– Cyngla?

– Płatnego zabójcę.

– Dopiero co przyjechaliśmy.

– Jak długo będziemy tu siedzieć?

– Całą noc, proszę pani – odrzekł inspektor Williams.

– Jestem przyzwyczajona do późnej pory i naprawdę przykro mi z powodu tej dziewczyny. Nawet nie umiem powiedzieć jak bardzo. Ale jeśli macie pytania, możecie najpierw przesłuchać nas? Jutro musimy grać.

– No, nie jestem pewien, proszę pani. Będziemy chyba musieli zamknąć lokal na kilka dni.

– To z czego ja niby mam żyć? Jeśli nie występujemy, nikt nam nie płaci.

Williams nie miał czasu na cudze pytania.

– To śledztwo w sprawie morderstwa. Możemy zacząć przesłuchania od pani i puścić panią do domu. Rozumiem, że jest pani jakąś artystką...

– Może od razu coś panu wyjaśnię. Nie jestem jakąś artystką. Jestem Gloria Dee.

– Nie obchodzi mnie, kim pani jest. Muszę przestrzegać procedur. Musimy przynajmniej zebrać nazwiska i adresy od wszystkich osób tu obecnych, a także ustalić, gdzie każda z tych osób przebywała w chwili morderstwa. Rozumiem, że pani przebywała na widowni?

– Dawałam z siebie wszystko, skatując, gdy chłopcy grali. Ludzie się świetnie bawili. A potem wszystko szlag trafił. Choćby nie wiadomo, ile razy człowiek przechodził przez coś takiego, i tak przeżywa.

– Chce pani powiedzieć, że coś takiego już się wcześniej zdarzało? – spytał Sidney. Wiedział, że jazz i przemoc często idą w parze. Przypomniał sobie, że czytał o zasztyletowaniu lidera zespołu James Reese Europe. I o Chano Pozo,

perkusiście, który został zastrzelony w barze.

– Jesteśmy ludźmi jazzu. Ja widziałam już wszystko.

– Więc zechce nam pani pomóc? – spytał Keating.

– Nie wiem nic o niczym. Przykro mi tylko, że to dziecko zostało zabite.

– Wie pani może dlaczego? – włączył się inspektor Williams.

– Dlaczego mnie pan pyta? To wy jesteście z policji.

– Interesuje mnie pani zdanie.

Gloria westchnęła.

– Jak kobitka wchodzi w świat mężczyzn i mroku, musi uważać. Nie może ufać żadnemu gościowi. Może pogoniła jakiegoś faceta, a on źle to przyjął. Może zobaczyła coś, czego nie powinna. Może jej tata coś przekombinował. Na pewno chodzi albo o miłość, albo o pieniądze. Te dwie cholerne rzeczy zawsze się łączą.

Ciszę, która na chwilę zapadła, przerwał Sidney:

– Nie pojmuję, jak coś tak strasznego mogło się przydarzyć takiej dziewczynie jak ona...

– Nie mówię, że to jej wina...

Inspektor wrócił do swoich pytań:

– Z kim pani dzisiaj przyszła?

– Tylko z zespołem. Tony na perkusji, Milo na basie, Jay Jay na fortepianie.

– Ktoś jeszcze?

– Jest Liza, dziewczyna Tony'ego. Gdzieś się tu kręci. I Justin, nasz kierowca. Ten się bawi do białego rana.

– Są tu jeszcze?

– Mam nadzieję. Muszę wrócić do hotelu.

– Skąd pani jest?

– Z różnych miejsc. Z Nowego Orleanu. Z Nowego Jorku.

– Kiedy pani wyjeżdża?

– Za kilka tygodni. Mam nadzieję, że nie będzie pan chciał, bym została. Mam terminy w Mintonie.

– Mintonie? – spytał Williams.

– To klub jazzowy w Nowym Jorku – wyjaśnił Sidney.

Gloria Dee się uśmiechnęła.

– Był pan tam?

– Niestety nie.

Piosenkarka otaksowała go wzrokiem.

– Tajniak?

– Nie, zupełnie nie. Jestem duchownym.

– Pastor?

– Ksiądz. Sidney Chambers.

– Jak Paul Chambers.

– No tak...

– To kontrabasista jazzowy. Co pan pije?

– Chyba nie mogę pić. Ale niewątpliwie w pani wypadku...

– Jeśli mam czekać, na pewno będę pić. – Gloria odwróciła się i ruszyła do baru. – Potrójnego burbona, czystego – poprosiła.

Sidney obserwował z daleka Phila Johnsona. Od dłuższego czasu trwał w bezruchu. Wyglądał, jakby tkwił we śnie, w którym spada z wysokiego budynku; wiedział, że będzie spadał przez resztę swojego życia, że będzie się zbliżał coraz bardziej i bardziej do ziemi, ale nigdy się z nią nie zetknie. Wieczysta droga w otchłań.

Sidney wiedział już, że jeśli w przyszłości ludzie będą pytać Phila Johnsona o dzieci, on będzie musiał zdecydować, ile im powiedzieć, czy zachować milczenie; bo gdyby opowiedział im swoją historię, każdy, kto niczego podobnego nie doświadczył, zamilknie, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie zdoła porównać z jego bólem żadnego własnego.

Usłyszał głos inspektora Keatinga:

– Możesz jechać do domu, wiesz?

– Ty zostajesz?

– Ja muszę, ale ty nie. Mogę za ciebie poręczyć.

– Ostatni pociąg chyba już odjechał.

– No to się rozejrzyjmy.

Rozchylili czarne kotary za sceną i znaleźli się w zagraconym pokoju dla artystów. Stały tu w nieładzie futerały instrumentów, leżały stojaki, statywy i puste butelki po wódce. Na wieszaku tłoczyły się kapelusze filcowe i kilka prochowców, a jedna z czerwonych satynowych sukienek Glorii Dee spadła z ramiączka zaczepionego o gwóźdź w ścianie. Pachniało tu potem, papierosami i alkoholem. Ze ścian złaziły afisze poprzednich koncertów z udziałem Jimmy'ego Deuchara, Ronniego Scotta i Kenny'ego Bakera. Justin, kierowca Glorii Dee, rozwiązywał krzyżówkę. Liza nalewała sobie rumu.

– Właśnie zażywam ociupineczkę na wzmocnienie – zachichotała.

Sidney zauważył, że jest pijana.

– Muszę spytać, gdzie państwo byli w czasie koncertu – spytał inspektor Keating.

– Tutaj – odrzekł Justin.

– Cały czas?

Justin odłożył krzyżówkę.

– Czasami stoimy za kulisami. W trakcie głównych numerów.

– Nigdy nie oglądacie występu od strony widowni? – spytał Sidney.

Liza udzieliła odpowiedzi w imieniu ich obojga.

– Cały czas coś chcą: wodę, ręczniki, picie. Jeśli jesteśmy tutaj, szybciej to

załatwiamy.

– I byliście za kulisami w czasie solówki perkusji?

– Wtedy patrzyliśmy zza kulis. Tony jest moim chłopakiem. Perkusja to najlepsza część koncertu.

– Nie mówcie tego pannie Dee – zastrzegł Justin.

– Odwozisz ich do hotelu? – spytał Sidney.

– Tak mamy ustalone.

Wtrącił się inspektor Keating:

– Więc możemy ustalić, gdzie was znajdziemy w razie jakichś pytań?

– Ja mieszkam w Earls Court – odrzekł Justin. – Spisaliście mój adres. Ale na razie jadę tam, gdzie mówi panna Dee, i robię, co mówi panna Dee.

– Mam nadzieję, że dobrze cię wynagradza...

Liza zachichotała i czekała na odpowiedź Justina.

– Wynagradza. Nie zawsze chodzi o pieniądze...

Sidney wraz z inspektorem wrócił na scenę, gdzie na stołku od pianina siedział Phil „Kot". Ramiona miał obwisłe, w zasadzie całe ciało mu obwisło, jakby usunięto z niego połowę kości. Spomiędzy palców wystawał zapomniany skręt.

– Przychodzi panu na myśl, kto by miał coś przeciwko pańskiej córce? – spytał inspektor. – Jakąś urazę, żal?

– To piękna dziewczyna. Nic poza nią nie mam. Nigdy nie zrobiła nic złego. Żaden z chłopaków by jej nie tknął.

– Może pańska córka coś widziała? – spytał Sidney.

– W sensie że była świadkiem czegoś? Niewykluczone.

– Córka miała do kogoś feblik?

– Na to jest za młoda.

Sidney zauważył, że Phil mówi o swojej córce w czasie teraźniejszym.

Inspektor Williams drążył dalej:

– Więc nie przychodzi panu do głowy, kto by chciał ją skrzywdzić?

– Nie. Przysięgam na Boga, inspektorze, i to w obecności księdza. Wszyscy kochają moją córkę. Nie wiem, co powiedzieć.

Sidney położył mu rękę na ramieniu.

– Będę się za nią modlił.

– Była aniołem – odrzekł ojciec Claudette.

Sidney policzył, w ile minut przechodzi się ze sceny do damskiej toalety i na ukos przez salę. Nawet przy zajętych stolikach trwało to niewiele ponad minutę. Próbował wymyślić, jak morderca zdołał zaatakować szybko i skutecznie, a jednocześnie niepostrzeżenie. Wydawało się to niemożliwe. A jednak się stało. Patrzył, jak dwóch sanitariuszy wynosi ciało Claudette. W jej śmierci nie było żadnego piękna ani spokoju, tylko nieobecność.

Wrócił na swoje miejsce przy stoliku i czekał, aż wszyscy goście podadzą swoje dane i odpowiedzą na pytania. Nagle oparł głowę na dłoniach.

Gdzie teraz był Bóg? Gdzie był, gdy toczyły się walki na polach Normandii, gdy atakowano Londyn, bombardowano miasta Europy? Czy Bóg, który jest miłością, pozwoliłby na tak przeogromne, powszechne cierpienie? Czemu miałoby to służyć? Jak Bóg mógł dopuścić do morderstwa tej dziewczyny – tak jednostkowego na tle tragedii ludzkości, a zarazem tak ogromnie brutalnego? Kto był jej wrogiem na tyle, by posunąć się do takiej przemocy? Co miałoby uzasadnić jej śmierć?

Dwaj przyjaciele wsiedli w pierwszy poranny pociąg do Cambridge. Zanim dojechali na miejsce, już się przejaśniło, Sidneyowi zostało raptem kilka godzin do pierwszego nabożeństwa. Umyje się, ogoli, a po południu spróbuje się zdrzemnąć na chwilę. Teraz już nie zdąży się położyć.

Wziął Kusego na ulubiony spacer po Meadows, ale pomimo spokoju rzeki i piękna światła pomiędzy wierzbami jakoś nie poprawił mu się nastrój. Nie dawało mu spokoju morderstwo, nie dawała spokoju myśl, czy mógł coś zrobić, by zapobiec tej zbrodni.

Szedł przez cmentarz porośnięty cisami, dębami ostrolistnymi i wiśniami, aż zatrzymał się przy złamanej kolumnie – grobie dwudziestoześcioletniego mężczyzny, którego życie zostało przedwcześnie przerwane w 1843 roku. Minął pomnik ku czci dwudziestu pięciu żołnierzy z Grantchester poległych w dwóch wojnach światowych:

Oni się nie zestarzeją,

Tak jak my – pozostawieni...

W kościele pomodlił się za duszę Claudie Johnson i rozmyślał nad smutkami tego świata. Postanowił, że odwiedzi chorych parafian: Beryla Coopera, który cierpiał na ostry artretyzm; Harolda Streata, przedsiębiorcę pogrzebowego, którego ojciec miał demencję; Brendę Hardy, żonę listonosza chorującą na raka piersi. Z każdym z nich musiał zostać jak najdłużej, dając niespieszne pokrzepienie, spokój i towarzystwo. Nie wymagało to wielkiego wysiłku, a za każdym razem, gdy to robił, uświadamiał sobie, że chorzy i umierający mogą nauczyć go więcej, niż miał szansę się nauczyć pośród zgiełku codzienności. Starcy i chorzy mieli inne spojrzenie na świat; pokonali już większość drogi do niewidzialnego królestwa, gdzie zgodnie z obietnicą wszystko zostanie wyjawione.

Po południu zadzwoniła siostra Sidneya, Jennifer. Powiedziała, że rodzina Johnsonów jest zdruzgotana. Że ona nie potrafi ani trochę podnieść ich na duchu. Mogła jedynie służyć pomocą praktyczną. Czy może więc prosić brata o radę w kwestiach dotyczących pochówku Claudette? Po sekcji zwłok ciało zostanie wydane rodzinie, odbędzie się nabożeństwo w londyńskim krematorium, ale ponieważ nikt z rodziny Johnsonów nie należał do praktykujących, to może Sidney

powiedziałby kilka słów w czasie uroczystości?

– To zadanie dla ich proboszcza, Jennifer.

– Oni nie mają proboszcza.

– Każdy ma proboszcza. Bez względu na to, czy korzysta z jego usług czy nie.

– Ale oni cię lubią.

– Wiesz, do której parafii należą?

– Chyba gdzieś w Brixton. Ale Johnny prosił o ciebie. Ufają ci.

– Zobaczę, co da się zrobić.

– Tata Johnny'ego jest tak rozbity, że nie będzie mówił.

– To długo potrwa.

– Nie mieści mi się w głowie, że ktoś mógł zrobić coś takiego, Sidneyu. Claudie miała być moją młodszą siostrą.

– Więc ty z Johnnym to tak na poważnie?

– W tej chwili nie myślimy o sobie.

Sidney próbował sobie wyobrazić, jak to jest stracić siostrę. Nie do pomyślenia. Musiał jeszcze podzielić się z Jennifer tyloma uczuciami, że gdyby stracił ją tak nagle, jak Johnny stracił Claudette, bez żadnego pożegnania, żałowałby do końca życia, że ją zaniedbywał czy nie znajdował dla niej czasu.

Postanowił od razu, na miejscu, gdy Jennifer jeszcze do niego mówiła, że będzie spędzał z nią więcej czasu i będzie dla niej lepszym bratem.

– Nie musisz zawsze mówić tego, co trzeba – zaczął. – Nie musisz mówić sensownie ani konkretnie. Możesz milczeć. Możesz po prostu przy nich być.

– To właśnie robię.

– Nie trzeba niczego pospieszać. Ból potrzebuje czasu.

Przez chwilę Sidney martwił się, że siostra już się rozłączyła. Ale ona się odezwała:

– Jest coś jeszcze.

– Co takiego?

– Claudie miała chłopaka.

– Jej ojciec o tym wiedział?

– To była tajemnica. Wydaje mi się, że nikt o tym nie wiedział. Ona zawsze była córeczką tatusia. Ale problem w tym, że oni zerwali ze sobą.

– I?

– W wieczór jej śmierci Sam był w klubie z przyjaciółmi. Teraz się strasznie boi, że ktoś się dowie o ich związku.

– Policja go przesłuchiwała?

– Oczywiście.

– I niczym się nie zdradził?

– Chyba nie. Ale on się przejmuje nie tylko policją. Raczej rodziną

Johnsonów. Osobiście na pewno nic nie zrobią, ale ojciec ma sporo szemranych znajomych. Mogą dodać dwa do dwóch i wyjdzie im pięć.

– Chcesz powiedzieć, że mogą uznać, że to on ją zabił?

– Właśnie. A potem wziąć sprawiedliwość w swoje ręce. Nie ufają policji. Tyle wiem. Pogadasz z nim?

– Ja?

– A kto? Ludzie często powierzają ci swoje sekrety, no i wiesz, jak działa policja.

Sidney wiedział, że powinien pomóc siostrze, ale nie chciał jeszcze bardziej angażować się w tę sprawę.

– Mam tu pracę.

– Sam jest przerażony. Spotkasz się z nim? Proszę. On chętnie przyjedzie do Grantchester. Powie ci wszystko.

– Ja nie robię takich rzeczy, Jenny. Nie sądzę, żebym potrafił powiedzieć cokolwiek, co mu się przyda.

– On potrzebuje pomocy, a ty przecież służysz pomocą, prawda? To dobry chłopak. Wiem, że się kochali, ale Sam bał się jej rodziny. Myślę, że zerwali ze sobą, bo coś się stało, ale żadne z nich nie powiedziało mi, o co chodzi. A teraz jest za późno. Proszę, spotkaj się z nim, zrób to dla mnie.

– No dobrze. – Sidney nie za bardzo umiał odmówić swojej siostrze. – Ale nic nie mogę ci obiecać.

– Proszę tylko, żebyś się z nim spotkał.

Kilka dni później, po nabożeństwie w niedzielny poranek nieśmiały z wyglądu chłopak w ciemnym garniturze i uczelnianym krawacie czekał na rozmowę z Sidneyem. Podszedł niepewnie, jakby miał za ciasne buty.

– Sam Morris – przedstawił się.

Z drzew wyleciał gołąb grzywacz. Sidney przygotował się na kolejną trudną konfrontację.

– Oczekiwałem cię, Samie. Zwykle po nabożeństwie idę z moim psem na spacer. Może chciałbyś do nas dołączyć?

– Jeśli nie zrobię kłopotu.

Wrócili na plebanię, Sidney przypiął Kusemu smycz i wyruszyli na Meadows. Po drodze złożył kondolencje i zaznaczył, że siostra przedstawiła mu sprawę. Musiał też powiedzieć jasno, że wszystko, co Sam mówi, pozostanie oczywiście tajemnicą, ale też Sam musi zrozumieć, że jego, Sidneya, wpływ na obecne wydarzenia jest wyjątkowo ograniczony. Tylko tyle mógł zrobić. Ale jeśli Sam chciał się podzielić swoim niepokojem z kimś, kto go nie oceni pochopnie, to Sidney miał nadzieję mu pomóc.

– Paru kolegów szło do klubu i spytali, czy chcę do nich dołączyć. Nie wiedzieli o Claudette, a ja nie byłem pewien, czy ona tam będzie. Nie pracuje

codziennie, nie widziałem jej od Bożego Narodzenia.

– Rozmawiałeś z nią w ogóle?

– Przywitałem się, a ona sprawiała wrażenie zakłopotanej.

– Któryś z twoich kolegów zwrócił uwagę na jej zakłopotanie?

– Nie sądzę. Zainteresował się nią mój kumpel Max. Ale ona nie mogła zatrzymać się na dłużej przy żadnym stoliku. Miała robotę.

– A ty miałeś nadzieję spotkać się z nią sam na sam?

– Powiedziała, że jeśli zaczekam do końca, to może damy radę pogadać, ale ja wiedziałem, że ona nie chce, by widziano nas razem. Jej ojciec jest bardzo opiekuńczy.

– Zauważyłem.

Dotarli do Meadows, Sidney odpiął smycz, by Kusy swobodnie obiegł łąki, znajome, a za każdym razem nowe.

– Jak długo chodziliście ze sobą? – spytał.

– Jakieś pół roku. Spacerowaliśmy nad Tamizą i trzymaliśmy się za ręce. Ale pewnego wieczoru wydarzyło się coś dziwnego. Szedłem do domu i obok mnie pojawił się jakiś mężczyzna. Myślałem, że chce mnie wyprzedzić, więc zwolniłem, ale on też zwolnił. Przyspieszyłem, to on też. Nic nie mówił. Tylko dotrzymywał mi kroku. Wreszcie się zatrzymałem. Spytałem, czego chce, a on odparł, że jeśli wiem, co dla mnie dobre, to mam się trzymać z dala od Claudie.

– Umiałbyś opisać tego człowieka?

– Znam go. To kumpel jej ojca. Nazywa się Tommy Jackson. Prowadzi warsztat w Tooting.

– I potem po prostu odszedł?

– Powiedział, że to przyjacielska przestroga, ale ja nie wiedziałem, co myśleć. Rozmawiałem o tym z Claudette, ona mówiła, że mam się nie przejmować. Że Tommy nic mi nie zrobi. Pewnie wymyślił taki kawał, ale mnie się tak nie wydawało. No i potem wszystko się zmieniło. Martwiłem się przy każdym naszym spotkaniu.

– Claudie nie pomogła ci się z tym uporać?

– Pochodziliśmy z różnych środowisk. Studiuję na uniwersytecie. Nie wyobrażałem sobie, że przyprowadzę ją do domu i przedstawię rodzicom. Ale ona była piękna i taka pełna życia. Nie wiedziałem, co myśleć, co robić, aż w końcu powiedziałem, że nie możemy się już spotykać.

– Co ona na to?

– Myślała, że jestem tchórzem. I pytała, skąd wiem, że to nie ona nasłała Tommy'ego Jacksona, żeby sprawdzić, jak bardzo ją kocham. Odpowiedziałem, że jeśli tak, to było to brzydkie zagranie. Pokłóciliśmy się. To był koniec.

– A jednak poszedłeś do klubu tego dnia, gdy Claudette zginęła. Dlaczego to zrobiłeś?

– Tęskniłem za nią. I chciałem sprawdzić, czy sobie kogoś znalazła.

– A ty?

– Oczywiście, że nie.

– Więc chciałeś ją odzyskać?

– Chciałem się z nią zobaczyć. W każdym razie tak mi się zdawało. Gdybyśmy pogadali, to miałem nadzieję na coś więcej. Nie przygotowałem żadnego planu, a w klubie był taki tłum, że nie miałem szansy się do niej zbliżyć. Nie było czasu.

Sidney zdał sobie sprawę, że Sam Morris nie umie się jasno wyrazić, i postanowił zadać kilka bezpośrednich pytań, żeby mieć pełen obraz wydarzeń.

– Chodziłeś do toalety? – spytał.

– Oczywiście. Siedzieliśmy w klubie bardzo długo.

– Kiedy?

– Nie jestem pewien. Jakieś pół godziny przed tym, jak ją znaleźli. Poszedłem w tej samej chwili co mój kolega Max. Są świadkowie, jeśli o to wielebny pyta.

– Rozumiem. Gdy policja cię przesłuchiwała, przyznałeś się do znajomości z Claudette?

– Nie.

– Skłamałeś?

– Bałem się.

– Rozumiem, Sam, ale jeśli wasz związek wyjdzie na jaw, to pogorszy twoją sytuację.

– Przecież nikt nie pomyśli, że rzeczywiście mam z tym coś wspólnego, prawda?

– Na pewnym etapie policja musi znać wszystkie fakty. Nie chcę cię niepotrzebnie niepokoić, ale każda tajemnica, bez względu na okoliczności, zawsze stanowi problem. Jeśli powiesz wszystko szczerze, przynajmniej będziesz miał wpływ na to, w jaki sposób zostanie to przekazane, będziesz mógł wyjaśnić sprawę na własnych warunkach. Jeśli tego nie zrobisz, nie możesz przewidzieć, w jaki sposób ta sprawa wypłynie, jak ludzie ją zinterpretują. Musisz znaleźć właściwą chwilę. Jeśli pójdziesz na policję choćby teraz i powiesz im, co się stało, zachowasz kontrolę nad tą informacją. Jeśli nie...

– Chyba nie dam rady tego zrobić.

– Skoro Tommy Jackson wiedział, że się spotykasz z Claudette, to obawiam się, że sprawa wyjdzie na jaw. To nieuniknione, Sam.

– Nie zrobiłem nic złego.

– Wiem, że to nie wydaje się poważne w porównaniu z morderstwem, ale dla ścisłości: zrobiłeś. Okłamałeś funkcjonariusza policji. Oni nie traktują takich przypadków życzliwie. Oczywiście możesz nic z tym nie robić i mieć nadzieję, że

nikt się nie dowie.

– Myśli wielebny, że to możliwe?

– Niewykluczone. Ale z drugiej strony, jeśli chcesz coś ukryć, żyjesz w ciągłym strachu, a nie masz wpływu na ujawnienie tej informacji.

– Może wielebny mi pomóc?

– Jeśli chcesz, pogadam z inspektorem Keatingiem stąd, z Cambridge. Był w klubie tamtego dnia i jest porządnym człowiekiem. Ale o wiele lepiej by było, gdyby ta informacja wypłynęła od ciebie.

– Wiem.

– Gdzie teraz mieszkasz?

– W akademiku London University.

– Łatwo cię znaleźć?

– Oczywiście.

– Chcę, żebyś mnie powiadomił, jeśli się wydarzy coś nietypowego albo jeśli dostaniesz jeszcze jakieś ostrzeżenie. Łatwiej by było, gdybyś powiedział policji od razu o tym zajściu z Tommym Jacksonem.

– Rodzina Johnsonów nie przepada za policją, jak wielebny pewnie wie. Nic gorszego nie mógłbym zrobić. Claudette mówiła, że musimy tylko zaczekać, aż ona skończy osiemnaście lat, i wtedy będziemy mogli robić, co nam się podoba. Zostało nam sześć miesięcy, ale ja jej nie wierzyłem. Sądziłem, że jej ojciec i jego kumple zawsze będą się wtrącać.

Sidney pomyślał o wydarzeniach z siódmego maja.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego poszedłeś tamtego dnia do klubu. Mogłeś jej wysłać wiadomość i umówić się gdzie indziej. Musiałeś wiedzieć, że będzie tam jej ojciec i wszyscy jego kumple.

– Nie przemyślałem tego. Byłem z kolegami. Sądziłem, że wszystko będzie dobrze, i chciałem zobaczyć Claudette. Ale oczywiście, gdy tylko tam wszedłem, zrozumiałem, że to błąd. Spytała, co, do diabła, tam robię.

– Sądziłem, że powiedziała tylko „cześć”.

– Nie. Wpadłem na nią jeszcze jakiś czas później.

– A kiedy to było?

– Gdy wracałem z toalety.

Sidney pomyślał, że to wprost niewiarygodne: ten chłopak nie umie zrelacjonować wydarzeń ani nie zdaje sobie sprawy ze swoich ewentualnych kłopotów.

– Czy ktoś widział, jak rozmawiacie?

– Nie wiem. Patrzyłem tylko na Claudette. Barman ją zawołał.

– Więc musiał was widzieć?

– Pewnie tak.

Sidneya ogarnęła wściekłość. Jakie „pewnie”?! Ależ ten chłopak był

beznadziejny!

– Przepraszam wielebnego. Bardzo się boję. Jestem tylko studentem, chciałbym kiedyś zostać lekarzem. W życiu bym nie sądził, że się wpakuję w coś takiego.

– Rozumiem.

Sidney czuł, jak ogarnia go coraz silniejsze rozdrażnienie. Jakim cudem Sam Morris jednocześnie miał świadomość, że grożą mu ogromne kłopoty, i tak dalece nie rozumiał konsekwencji swojego zachowania? Co on sobie myślał? Był w klubie tego wieczoru, gdy Claudette została zabita, widział się z nią dwukrotnie, a potem okłamał policję!

Jako ksiądz Sidney instynktownie słuchał uważnie i ufał temu, co mu mówiono, ale gdy już się pożegnali i Sam się oddalił, dopadły go wątpliwości. Czy chłopak rzeczywiście dokładnie zrelacjonował wszystko, co się wydarzyło, czy też nadal ukrywał jakieś informacje? Sidney wyczuł, że Samowi można ufać i że pewnie nie on ponosi winę za śmierć Claudette, ale też był nadzwyczajnie naiwny. Może nie sposób mu odmówić uroku osobistego i inteligencji, ale był niewątpliwie słaby i zbyt łatwo poddawał się miłości. Sidney zastanawiał się, czy on sam inaczej załatwiałby sprawy, gdyby był w tym wieku. Co teraz ma zrobić, by pomóc chłopcu, który wdał się w taką kabałę?

Powiadomiony o rozmowie z Samem w czasie tradycyjnej czwartkowej partyjki tryktraka w The Eagle, inspektor Keating wpadł w gniew, jakiego Sidney jeszcze u niego nie widział.

– Powiedz temu chłopakowi, żeby przyszedł do mnie i złożył zeznanie, do jasnej cholery. Nie może tak być, że on sobie popaple do księdza, nawet jeśli jesteś nim ty. W takich sprawach obowiązują pewne procedury.

– Sądziłem, że to pomoże.

– Oczywiście, że nie pomoże. Za cholerę nie pomoże. Tommy Jackson był w klubie ze swoimi kompanami. Siedział przy stoliku przed sceną przez całą tę cholerną solówkę. Nie mógł tego zrobić.

– Nie mówię, że to zrobił.

– Nikt z nich nie mógł, moim zdaniem. I na moje oko to może być podwójny blef: ten twój chłopak opowiada swoją historię i zrzuca na kogoś winę, zanim go dopadniemy. Manewr wyprzedzający. Czy on w ogóle ma alibi?

– Niezupełnie.

– Co to znaczy „niezupełnie”? No, Sidneyu, naprawdę...

– I poszedł do toalety jakieś pół godziny przed morderstwem.

– Więc mógł to zrobić?

– Pół godziny przed, Geordie.

– Mógł zamordować dziewczynę, a później przenieść ciało.

– Ale po co by mi o tym mówił?

– Już powiedziałem: podwójny blef.

– To do niego niepodobne.

– A co do niego podobne?

– Chodzi mi o to, że to nie jest typ mordercy.

– Nie ma czegoś takiego jak typ mordercy. O to właśnie chodzi, Sidneyu. Gdyby dało się rozpoznać typ mordercy, rozwiązywalibyśmy zbrodnie o wiele, wiele szybciej.

Inspektor upił kolejny łyk piwa. Tryktrak poszedł w zapomnienie.

– Masz jeszcze jakieś pomysły? Williams chyba nie posunął się do przodu ani o krok, więc jeśli powiem mu o Samie Morrisie, natychmiast go zatrzyma.

Sidney zastanawiał się, czy zaproponować przyjacielowi jeszcze jedną kolejkę. Miał nadzieję, że to spotkanie potoczy się lepiej. Wręcz agresywna reakcja inspektora Keatinga wprawiła go w zakłopotanie.

– Wolałbym, żebyś tego nie robił.

– Będę musiał. Nie mogę zatajać dowodów.

Sidney był zaniepokojony i rozczarowany. Sprawi zawód młodemu człowiekowi.

– Powiedziałem ci o Samie w zaufaniu.

– Wiem i nie powiem Williamsowi tak od razu. Ale jeśli w trakcie śledztwa zostanę o to zapytany, nie będę mógł skłamać. Mam nadzieję, że to rozumiesz, Sidneyu.

– Nie do końca.

– Powinieneś to przewidzieć. Dobrze mnie znasz.

– No właśnie nie jestem pewien.

– Och, na miłość boską. Chciałbyś jeszcze jedno piwo?

– Chyba nie mamy na to czasu.

– Jedno małe. – Inspektor dał znak barmanowi. – Problem w tym, że w przyszłości pewnie powinieneś dokładniej się zastanowić, co chcesz mi powiedzieć. Księża i lekarze wierzą w zasadę poufności. Ja niestety nie. Więc myślę, że co najmniej będę musiał zasugerować ponowne przesłuchanie twojego chłopaka, choćby dla jego bezpieczeństwa.

– Co to znaczy?

– Jeśli popełnił zbrodnię, to mamy sprawcę. Pewnie łatwo będzie wydobyć z niego zeznania.

– Ale on jej nie popełnił.

– Ty tak mówisz. – Keating odebrał dwa małe piwa z baru i wrócił. – Jeśli jednak chłopak jest niewinny, to ten, kto zabił Claudette, może chcieć go dopaść.

– Chyba że próbuje rzucić podejrzenie na Sama.

– Niewykluczone. Ale jeśli Sam trafi do aresztu, to przynajmniej będzie bezpieczny.

– Sugerujesz aresztowanie?

– Sugeruję przesłuchanie. Z mojego doświadczenia wynika, że żadnego potajemnego związku nie da się utrzymać w tajemnicy. Zawsze ktoś o nim wie. Musimy zdobyć więcej informacji: o Samie Morrisie, o Claudette, jej ojcu i jego powiązaniach.

Sidney nadal nie mógł zrozumieć konieczności skupiania się na chłopaku, który na pewno był niewinny: chyba że oczywiście całkowicie się na nim nie poznał.

– Jeśli ten chłopak zostanie aresztowany z powodu tego, co powiedziałem, moja siostra się wścieknie.

– Myślę, że są rzeczy ważniejsze od wściekłości twojej siostry. Zresztą jeśli on jest winny, jeśli zabił tę dziewczynę z zazdrości albo z wściekłości, bo nie chciała go z powrotem, to sprawa jest zamknięta. Twoja siostra raczej nie będzie się skarżyć, a Williams może nawet podziękuje.

– Sam Morris nie mógł tego zrobić.

– Mógł, Sidneyu. Nie możesz mieszać do tego swoich uczuć.

– Nie wierzę w to.

– Cóż, jeśli nie wierzysz, to musimy zdobyć o wiele więcej informacji niż do tej pory. – Inspektor dopił piwo. – O ile nie masz nic przeciwko, żebyśmy czasami zdeptali czyjeś uczucia. Nie zawsze możemy się zachować po chrześcijańsku, Sidneyu. Możesz uznać to za sprzeczne z twoimi zasadami.

– Nie dopuszczę do tego. Będę się starał dbać o aspekt moralny każdego śledztwa.

Inspektor Keating wstał i włożył płaszcz, dając znak, że ich spotkanie dobiegło końca.

– Nie obchodzi mnie, o co będziesz dbał, Sidneyu, o ile doprowadzi to do skazania winnego. Jedynie na tym mi zależy. Dopij swoje piwo.

Małe piwo, które inspektor postawił Sidneyowi, pozostało nietknięte. Powiedzieli sobie już wszystko.

Następnego ranka Sidney wziął udział w apelu w miejscowej szkole podstawowej i poprowadził spotkanie dla starszych osób w stołówce pomocy społecznej. Chociaż wykonywał te zadania z tym samym co zwykle przekonaniem, czuł, że żadnemu z nich nie poświęca należytej uwagi. Za maską kapłańskiego profesjonalizmu skrywał się człowiek stroskany. Czuł, że zawiódł zaufanie Sama Morrisa i że jego przyjaciel Geordie Keating nie zawracał sobie głowy ostrożnym ujawnieniem faktów.

W pracy kapłańskiej nie odstępowało go teraz poczucie niepewności. Już nie ufał swojemu instynktowi, przytłaczały go zaniedbania obowiązków. Nigdy nie umiał sprawnie oddzielać zadań pilnych od ważnych i często te, które wydawały się pilne, a nie były ważne, miały pierwszeństwo przed powinnościami, które były

ważne, choć nie pilne. W efekcie ciągle coś mu przeszkadzało w poważnych duszpasterskich zajęciach. Potrzebował czasu, miejsca i ciszy, żeby się zastanowić, co jest ważne, a co nie. Nie pomagało też, gdy pani Maguire wciąż mu przerywała doniesieniami o najnowszych występkach Kusego.

Sidney uznał, że tych dwoje jest nie do pogodzenia. W kuchni pani Maguire przesuwała kosz Kusego, by umyć podłogę i by usunąć psa z drogi. Kusy atakował ją od tyłu i próbował chwycić zębami za kostkę. Jeśli mu się udało, Sidney słyszał krzyki swojej gospodyni: „Wścieklizna! On mnie zarazi wścieklizną, proszę księdza!”.

– Kusy to szczeniak, pani Maguire.

– To pies. Wielki pies z piekła rodem. Czym ksiądz go karmi?

– Winalotem[22].

– Nie mam pojęcia, jakim cudem księdza na to stać.

– Nie jest łatwo.

Pani Maguire spojrzała na niego znacząco.

– Ja na miejscu księdza pogadałabym z rzeźnikiem. Hector na pewno odłożyłby dla księdza trochę resztek. Zwłaszcza teraz, gdy mięso już nie jest na kartki.

– Panna Kendall mówi, że jemu resztki nie wystarczą.

– No to może by panna Kendall na niego łożyła? W końcu to ona go tu ściągnęła.

– Amanda ma inne zmartwienia.

– Ta to ma dobrze. – Pani Maguire ruszyła po schodach ze zmianą pościeli. – Zauważyłam, że dawno jej tu nie było.

Sidney próbował bronić przyjaciółki.

– Ma pracę w National Gallery. Prowadzi też dość intensywne życie towarzyskie.

Gospodyni zdążyła się już skupić na następnym zadaniu. A jednak Sidney wyraźnie usłyszał, jak burczy pod nosem:

– Jak na mój gust, trochę zbyt intensywne.

Sidney usiadł przy biurku, żeby nadrobić papierkową robotę, ale stwierdził, że na obowiązkach służbowych skupia się z jeszcze większym trudem niż zwykle. Jakoś nie umiał się przejąć ani coroczną wycieczką skautów do Scarborough, ani planami na zbliżający się letni kiermasz parafialny, a wciąż jeszcze nie znaleźli odpowiednio sławnej osoby, która by dokonała uroczystego otwarcia. Zastanawiał się, czy spytać Glorię Dee. To na pewno dodałoby rumieńców wydarzeniu.

Włączył radio i słuchał BBC Light Programme w nadziei, że trafi na jakiś jazz, który może poprawi mu nastrój. Zdołał znaleźć kwartet Charliego Parkera grający *Moose the Mooche*, ale wprawił go tylko w niepokój. Wiedział, że powinien „poczuć” tę swobodniejszą odmianę jazzu, docenić jej szybkość

i mistrzostwo, jakoś jednak nie umiał się przy niej odprężyć. Wręcz czuł jeszcze większe napięcie. Na domiar złego pani Maguire łomotała na górze, a Kusy drapał go w golenie, domagając się spaceru. I wtedy zadzwonił telefon.

Okazało się, że to inspektor Keating, ale Sidney nie miał nastroju do pogawędek.

– Tak się zastanawiałem... – zaczął przyjaciel – kiedy znowu jedziesz do Londynu?

Sidney sięgnął po terminarz.

– Chyba we wtorek. Odbywa się zgromadzenie kościelne.

– Że co?

– Może tak: Doroczne Powszechne Spotkanie Kościoła Anglii.

– Nieważne. Wpadłem na pewien pomysł. Masz czas?

– A ile go potrzebujesz?

– Pomyślałem, żeby zajrzeć w przeszłość Phila Johnsona: sprawy sprzed lat, dawne przestępstwa. Mamy tu wynotowane szczegóły, podsyłam ci je. To bardzo długa lista, ale niektóre raporty są dość pobieżne. Miałem nadzieję, że mógłbyś trochę poszperać. W Colindale jest czytelnia prasy. Mamy daty procesów. Musisz tylko zobaczyć, co pisali w tym czasie i czy któraś z ofiar czegoś nie powiedziała; kto przekazywał oświadczenia dla prasy, takie rzeczy.

– Powinieneś do tego zatrudnić tę nową dziennikarkę z gazety lokalnej.

– Helenę Randall? Nie ufam jej za diabła. Nie, Sidneyu, to musi być ktoś, kto jest dyskretny, kto umie czytać między wersami i zna się na ludziach. W skrócie: musisz to być ty. Może byś to połączył ze spotkaniem z panną Kendall?

– No nie jestem pewien.

– Nie bądź niemądry. Dałem ci doskonałą wymówkę. I Gloria Dee ciągle występuje. Zabierz pannę Kendall jako przykrywkę. Nawet zapłacę za wasze bilety. To towarzystwo warto jeszcze raz zobaczyć...

– Na pewno.

– Nie chodzi mi o muzykę. Bo jeśli Sam Morris tego nie zrobił, jak sugerowałeś, to członkowie zespołu są podejrzani jak wszyscy inni. Będziemy musieli zacząć wszystko od początku.

– Więc mam szukać powiązań?

– Tak.

– W takim razie muszę mieć listę nazwisk wszystkich osób, które były wówczas obecne na sali.

– To też ci wysyłam. Ale nie daj się z tym złapać Williamsowi.

– Jeśli dam radę, nie mam najmniejszego zamiaru się z nim widzieć.

– Dopilnuj, żeby wszystko szło przeze mnie, Sidneyu, bo jeśli chcesz uratować skórę tego chłopaka, lepiej znajdź jakieś powiązania. Williams będzie dzisiaj z nim rozmawiał.

– Aresztowali go?

– Nie, ściągnęli go na przesłuchanie. To rutyna na tym etapie, ale wiesz, co może z tego wyniknąć. Więc powinieneś się pospieszyć. Musisz powęszyć. Udawaj zwyczajną osobę z publiczności i zobacz, czy dasz radę czegoś się dowiedzieć. Chciałbym, żebyś do środy rano coś dla mnie miał. Tropy, wskazówki, jakieś osoby, które powinniśmy śledzić albo przycisnąć. Takie tam rzeczy, sam wiesz...

– Ale Geordie...

– Nie mam czasu na kłótnie. Do zobaczenia w środę.

Sidney westchnął. Zajrzał do notatek, które sobie przygotował do kazania, i stwierdził, że choć ma już początek, zostało mu jeszcze dużo do roboty. Tymczasem wzywał go szeroki świat.

Świat bardzo daleki od Boga.

Z kartotek policyjnych wynikało, że Phil Johnson dokonywał przestępstw w Londynie: u jubilera w Hatton Garden, w sklepie z antykami w Kensington, w mieszkaniu przy Harley Street, w domu byłego ambasadora w Mayfair. Na ogół dostawał się do budynków przez dachy, okna i świetliki, a w bogatszych dzielnicach czasami pracował nawet w smokingu, tak żeby opuścić miejsce przestępstwa, nie wzbudzając podejrzeń. Za wspólników miał kasiarza i kierowcę, ale często działał sam i w przerwach pomiędzy wyrokami jakoś zdołał odłożyć dobra warte tysiące funtów. Wszedł na uczciwą drogę albo dlatego, że znudził się więzieniem, albo nie był już tak zwinny jak kiedyś.

Tym rzeczowym raportom brakowało odrobiny tła psychologicznego. Sidney zrozumiał, że jego zadaniem jest wypełnienie luk szczegółami dotyczącymi ludzi. Jeśli śmierć Claudie Johnson była aktem zemsty, to Sidney musiał zebrać więcej informacji na temat ofiar tamtych przestępstw. Zastanawiał się, ile z nich jeszcze żyje, jakie dostały odszkodowanie – czy może któraś z nich współpracowała z Johnsonem – i czy któraś ma kryminalną przeszłość. Zamierzał poszukać niespójności, zbieżności, ewentualnych schematów i niecodziennych szczegółów.

Umówił się z Amandą na wczesny lunch na drugim piętrze J. Lyons Corner House przy Strandzie. Nie mógł się doczekać pierwszej wizyty w restauracji samoobsługowej, gdzie umieszczało się tacę na pasie transmisyjnym i wybierało się rzeczy z podgrzewanych lad, ale Amanda odrzuciła ten pomysł bez chwili wahania. W ramach *table d'hôte* podano im placek pasterski z pasternakiem w sosie śmietanowym, a na deser mieli do wyboru biszkopt neapolitański albo bezę z lodami.

Amandę przeraziła sprawa morderstwa Claudette Johnson, ale zaintrygowały rabunki dokonywane przez jej ojca.

– To musi być barwna postać. Ciekawe, czy natknął się kiedyś na Daphne Young.

– Niewykluczone. Na pewno wiedział, gdzie szukać atrakcyjnych łupów.

Niektórych przestępstw dokonał dość blisko domu twoich rodziców.

– W Belgravii? Wyobrażam sobie. Wszędzie tam mnóstwo antyków, a jeszcze więcej starych próchen.

– Czy obrabowano kiedyś jakichś znajomych twoich rodziców?

– Chyba tak. Jedno z nich nawet zwariowało. Coś jak Juliette Thompson, tylko bardziej.

– Co masz na myśli?

– Była to kobieta. Jak ona się nazywała...? Pani Templeton, chyba tak. To się stało po śmierci jej męża. Ten mąż był znajomym mojego ojca, a do włamania doszło w czasie pogrzebu. Wyobrażasz sobie, ile trzeba mieć zimnej krwi? Jej mąż był ambasadorem, więc o uroczystości pisano w „Timesie". Mogli równie dobrze dopisać: „Przez kilka godzin nie będzie nas w domu". Złodzieje po prostu weszli do środka i wzięli łup.

– Templeton, mówisz? To była robota naszego człowieka. Co się stało?

– Jak powiedziałam, wdowa zwariowała. Na wieść o włamaniu przeżyła wstrząs i już nigdy nie doszła do siebie. Umarła niespełna rok po mężu. Straszne, naprawdę straszne. – Amanda dokończyła biszkopt. – Co robisz jutro?

– Jadę do Colindale, do czytelni czasopism, przejrzeć stare kroniki kryminalne. Potem muszę wziąć udział w spotkaniu zgromadzenia kościelnego.

– Brzmi ekscytująco...

– Potem zamierzam znowu posłuchać występu Glorii Dee. Może chciałabyś pójść ze mną?

– Jazz to nie do końca moja bajka, Sidneyu. A zdajesz sobie sprawę, że w Festival Hall Rubinstein gra Rachmaninowa?

– Przykro mi, Amando.

– Ale czekaj. Czy to w trakcie występu Glorii Dee zamordowano tę biedną dziewczynę?

– To właśnie ci powiedziałem.

– Chyba nikt z zespołu tego nie zrobił?

– Byli w tym czasie na scenie.

– Doskonałe alibi. Jeden z nich mógł mieć wspólnika.

– Pójdziesz? – spytał Sidney. Nie miał nastroju do snucia dalszych domysłów. – To w Soho, niedaleko. Możemy pójść do baru i poznasz Glorię.

– Byłoby interesujące zobaczyć, jaka ona jest.

– Powiedziałbym, że bajeczna.

– I może nawet być mordercą. Gdzie dzisiaj nocujesz?

– Kolega z opactwa westminsterskiego zgodził się mnie przenocować.

– Mógłbyś się kimnąć na naszej kanapie.

– Nie należę chyba do kimających gdzie bądź, Amando.

– To nie byłoby gdzie bądź. Mam zapłacić?

– Absolutnie nie.

– To tylko siedem szylingów i sześć pensów. Wiem, że księżom się nie przelewa.

Amanda ostatnio odkryła, że roczne pobory Sidneya wynoszą 550 funtów. W „Timesie” ukazał się artykuł o zarobkach duchownych, więc spytała przyjaciela, czy to prawda. Bardzo ją to zaintrygowało, bo jej samochód kosztował dwa razy więcej.

– Może policja też powinna ci zacząć płacić – zasugerowała.

– Nie ma takiej potrzeby.

– A może panna Dee porwie cię do Ameryki?

– To wysoce nieprawdopodobne.

– Ale niewykluczone? – żartowała Amanda. – Potrafisz być takim marzycielem. To chyba jedna z rzeczy, które najbardziej w tobie lubię. Wszystko się może zdarzyć.

– To oczywiście nie zawsze jest zaleta.

– Ale to oznacza, że życie z tobą nigdy nie jest nudne.

Wizyta w czytelni czasopism następnego dnia zajęła Sidneyowi o wiele więcej czasu, niż przewidywał. Znalazł raporty z kilku włamań, których dokonał Phil „Kot”, ale niewiele informacji, których nie znał już z akt policyjnych. Sidney mimowolnie zaczął czytać recenzje koncertów jazzowych.

Wieczorna wyprawa do Soho napełniała go taką ekscytacją, że nie mógł się skupić na niczym innym. Postanowił włożyć swój dwurzędowy garnitur i tym razem kapelusz z szerokim rondem, który nawet wzbudzał aprobatę przechodniów.

– Ho, ho, niezły kapelusz.

Szczupła blondynka w krótkiej spódniczce i wydekoltowanej bluzce stała w cieniu wejścia do budynku.

– Potrzebujesz dziewczyny? – spytała.

– Nie w tej chwili – odpowiedział Sidney. – Ale dzięki za propozycję.

Spotkał się z Amandą w The Moka przy Firth Street, a potem szli obskurnymi zaułkami, w których jakieś pary pod osłoną ciemności zacieśniały znajomość. Sidney wiedział, że takie otoczenie to dla Amandy coś nowego, ale uznał, że nawet lepiej, by tego doświadczyła. Gdy dotarli do klubu, zamówił jej martini i znalazł stolik z boku sceny.

– O której godzinie zaczynają? – spytała Amanda.

– Panna Dee lubi się spóźniać.

– A jak tam twoje śledztwo?

– Powoli.

– Policja niewiele pomaga?

– Dokładają starań, ale w klubie było wtedy tylu ludzi. To mógł być niemal każdy.

– Myślisz, że to było zabójstwo z miłości? *Crime passionnel*?

Sidney poczuł, że ktoś stanął obok niego.

– Ty mówisz o miłości?

To była Gloria Dee. Miała na sobie złotą obcisłą sukienkę. Wyglądała, jakby jej ciało oblano miodem, który następnie zastygł.

Sidney wyglądał jak chłopak, który pierwszy raz w życiu ujrzał kobietę.

– Pamięta mnie pani? – spytał.

– Jasne, że cię pamiętam, skarbie. Ilekroć się pojawiasz, ktoś ginie. Kim jest twoja mała?

– To moja przyjaciółka, panna Kendall.

– Miło mi, przyjaciółko. – Gloria odwróciła się do Sidneya. – Znalazłeś gościa, który zabił tę dziewczynę?

– Niestety nie.

– Lepiej się pospiesz. Facet może być już daleko stąd.

– Albo kobieta – odrzekł Sidney.

– Nawet tak nie żartuj. Nie wierzę, że to zrobiła kobieta. Kobieta raczej użyłaby sztyletu. Duszenie to ciężka robota.

– Nie mam wiedzy na ten temat.

– Nie masz żadnego duszenia na koncie? – Spojrzała na towarzyszkę Sidneya. – Nikt nie wzbudził w tobie szalonej namiętności, nie doprowadził do białej gorączki...

– Może by pani zostawiła takie rozmowy dla męża? – spytała Amanda.

– Nie mam męża. Jak już spalisz papierosa, nie musisz zachować opakowania. Co pijesz, Sidneyu?

– Whisky.

– Zamówisz i dla mnie?

– Jak sobie pani życzy.

– Poproszę potrójną i wezmę ją na scenę. – Gloria dała znak barmanowi. Już najwyraźniej powiedziano mu, że ma mieć na nią oko. – Muszę się przygotować. Szczęściara z pani, panno Kendall. Nie wiem, czy widziałam kiedykolwiek Anglika, który by się tak znał na jazzie jak twój facet.

Przygasły światła, reflektor skierował się na perkusję, potem na bas i na fortepian. Sidney zdał sobie sprawę, że Gloria zaśpiewa jedną z jego ulubionych piosenek: *Careless Love*. Miał nadzieję, że Amandzie się ona spodoba.

Niemal wszystkie piosenki Glorii opowiadały o miłości, o nieszczęściu i dochodzeniu do siebie – *I Ain't Got Nobody, I'm Wild about That Thing* i *Gimme a Pigfoot* – ale teraz rozjaśnił je jeden z najbardziej nieoczekiwanych momentów w życiu Sidneya. To jemu Gloria zadedykowała piosenkę.

Gdy się kazanie zaczyna,

Skłoń głowę i żałuj za grzechy.

Gdy poczujesz w sercu Boga,
Będziesz chciał krzyczeć i śpiewać,
Będzie się dziś działo na mieście.
Amanda nie była ubawiona.
– Ile jeszcze musimy tego znieść? – spytała.
– To wyjątkowa uczta – odrzekł Sidney. – Mnie się podoba.
W połowie piosenki uświadomił sobie, że Gloria się z nim droczy.
Och, proszę, proszę, nie daj mi upaść.
Cały jesteś mój, to ciebie kocham najmocniej.
I musisz być mój, tylko ty, nikt inny.
Będzie się dzisiaj działo na mieście!
Piosenka się skończyła, Gloria z uśmiechem skłoniła się lekko i posłała mu całusa.
– To mogła sobie darować – odezwała się Amanda.
– Nie zrobiła nic złego.
Gloria Dee podziękowała gościom za przyjście.
– Przed przerwą chciałabym przedstawić muzyków... – zaczęła i nagle przerwała, by sięgnąć po wodę i burbona.
– Muszę zobaczyć, co się dzieje w trakcie solówki perkusji – szepnął Sidney do Amandy. – Czy ludzie wychodzą. Może wpadnę na jakiś trop. To koniec pierwszej części.
– Pierwszej części? Chcesz powiedzieć, że będzie ich więcej?
Zespół zagrał *Embraceable You*, na koniec każdej solówki Gloria przedstawiała muzyków. Gdy tylko nadszedł moment solówki Tony'ego Sandersa na perkusji, niektórzy z co bardziej doświadczonych klientów wykorzystali jego improwizację do zamówienia czegoś mocniejszego przy barze albo na wyjście do toalety.
Sidney uświadomił sobie, że zbrodniarz bez trudu mógł wykorzystać sytuację, ale też podejmował wielkie ryzyko. Miał do dyspozycji bardzo krótki moment, a i tak cały czas mu groziło, że ktoś go przyłapie.
Do ich stolika podeszła kelnerka i spytała, czy chcą zamówić coś do jedzenia. Amanda powiedziała, że jeśli nie wychodzą, to ona by zamówiła smażonego kurczaka i białe wino. Sidney podniósł wzrok i zobaczył dziewczynę z chłopakiem przeciskających się w kierunku baru. Zamówił jeszcze jedno piwo i stek. Gdy tamta para wróciła, skojarzył, że to Liza Richardson i Justin, kierowca. Ale co oni robili na sali? Mówili, że zawsze siedzą za kulisami.
– Witajcie! – zawołał.
– Och, to pan – powiedziała Liza. – Właśnie byliśmy po drinki.
– Nie spodziewałem się was wśród widowni.
– Czasami potrzebujemy pilnej aprowizacji.

Sidney spojrzał na drinki i ze zdumieniem zauważył na tacy klucz. Zastanawiał się, do czego służy.

– Poznajcie moją przyjaciółkę Amandę – rzekł.

Amanda spojrzała na Justina.

– My się nie znamy? – spytała.

– Nie sądzę.

– Może od Blakeleyów?

Justin wyraźnie nie mógł się doczekać powrotu do pokoju artystów, bo utwór dobiegał już końca. Może bał się pracodawców.

– Niestety, nie znam żadnych Blakeleyów.

– Jak ma pan na nazwisko?

– Furies.

Amanda nie rezygnowała.

– Na pewno się znamy. Nigdy nie zapominam twarzy.

– Nie, raczej nie – odrzekł Justin. – Na pewno bym panią zapamiętał. Ale przepraszam, muszę się zająć panną Dee.

Po jego odejściu Amanda siedziała zdumiona.

– Bardzo dziwne. Odniosłam wrażenie, że na mój widok się przestraszył.

– Ty na niektórych naprawdę robisz wrażenie.

– Nie, Sidneyu, to było coś innego. Jakby zobaczył jakiegoś ducha...

– No, nie wątpię, że jakoś dojdzie do siebie.

– Szybciej niż ty po pannie Dee. Ta piosenkarka mocno zawróciła ci w głowie.

– Nieprawda.

– Owszem.

– Nie zawróciła.

– Więc możemy wyjść?

– Tak szybko?

– Późno już, Sidneyu. Rano o dziewiątej muszę być w pracy. Nie każdy może wieść życie duchownego.

– Ono też ma jakieś minusy.

– Większość sam tworzysz. Na następny koncert idziemy do Festival Hall. W przyszłym tygodniu przyjeżdża orkiestra symfoniczna z Düsseldorfu.

Sidney westchnął. Gdy nad Soho wybiła północ, pomyślał, że wiele czasu upłynie, zanim nawróci Amandę na cuda jazzu.

W dzień pogrzebu Claudette panował upał, w powietrzu wisiała burza. Sidneya powiadomiono, że kondukt przejdzie od domu Johnsonów do krematorium. Ze zdumieniem stwierdził, że na zewnątrz czekają nie tylko żałobnicy, lecz także orkiestra dęta i połowa jazzowej społeczności Londynu. Białą trumnę wynieśli z domu mężczyźni z odsłoniętymi głowami – orkiestra zagrała

stary spiritual *Just a Closer Walk with Thee*.

Przodem szli trzej mężczyźni z werblami, za nimi puzony, saksofon i tuba. Potem klarnety i trąbki, tył zamykał bęben basowy.

Do Sidneya podszedł jego brat Matt i żeby nie zagłuszyła go muzyka, powiedział mu do ucha:

– To pogrzeb jazzowy w stylu nowoorleańskim. Wszyscy tu jesteśmy. Obecność obowiązkowa.

– Czyj to był pomysł? – spytał Sidney.

– Mój. Przekonaliśmy nawet Glorię Dee, by zaśpiewała w czasie nabożeństwa.

– To na pewno wymagało nie lada wysiłku.

– Wykorzystałem urok osobisty. Najwyraźniej to rodzinne.

Sidney nagle zaczął się denerwować, czy da radę powiedzieć właściwe słowa na uroczystości. Zwykle przemawiał na wiejskich pogrzebach i w kościołach, gdzie wierni oczekiwali anglikańskiej tradycji. Pogrzeb jazzowy to zupełnie inna sprawa.

Zastanawiał się, co by z tego zrobiła Martha Headley. Żona kowala z Grantchester czasami grała na organach na nabożeństwach żałobnych, ale wierzyła jedynie w swoją zdolność do zagrania dwóch melodii – do kościoła wprowadzano więc trumnę do wtóru *Pieśni bez słów* Mendelssohna, a wyprowadzano ją przy *Jezus pozostaje moją radością* Bacha.

Na czele żałobników szli Phil Johnson, Johnny i Jennifer. Za nimi trzy kobiety trzymały wieniec z napisem CLAUDETTE. Gdy kondukt podążał ulicami południowego Londynu, przechodnie zdejmowali kapelusze na znak szacunku dla zmarłej, wspominając tych, których sami stracili.

Gloria Dee czekała w krematorium. Stała obok fortepianu i śpiewała *Amazing Grace*, gdy wniesiono trumnę. Śpiewała *a cappella* z taką pewnością i mocą, że w pewnej chwili Sidneyowi zdawało się, że słyszy, jak od jej potężnego głosu wibrują belki w stropie.

Gdy uczestnicy ceremonii usiedli, on zabrał głos:

– Człowiek zrodzony z niewiasty ma krótkie i bolesne życie, wyrasta i więdnie jak kwiat, przemija jak cień chwilowy.

Jennifer usiadła obok Johnny’ego i jego ojca, a tuż za nią Matt Chambers. Sidney czuł się zdezorientowany, widząc brata i siostrę jako członków innej rodziny. Kilka rzędów dalej dostrzegł kwartet Glorii Dee: Jay Jay Liona, Milo Mastersa i Tony’ego Sandersa ze swoją dziewczyną Lizą. Kierowca Justin siedział za nimi sam, na końcu rzędu.

Po modlitwach zgromadzeni odśpiewali gospel *Take My Hand, Precious Lord*. Wydawała się odległa o całe światy od hymnu śpiewanego w Grantchester.

Sidney wspiął się trzy stopnie do pulpitu, by wygłosić swoją mowę. Modlił się za grzechy i mroki świata, modlił się o światło w tym mroku. Claudie Johnson

była właśnie takim światłem.

– Amen – rzekł jakiś mężczyzna.

Sidney powiedział, jak to Claudette była dziewczynką, która wnosiła dobro w życie innych ludzi. I że to zadanie dla nas wszystkich – bez względu na to, czy nasza wiara jest słaba, czy silna. Musimy dokładać starań, by zostawić świat lepszym niż ten, na który przyszliśmy.

Mówił, że to chwila zadumy. Cierpliwości, ciszy i czasu. Musimy nie tylko szukać słów pocieszenia, lecz także wysłuchać słów boleści. Nawet najsilniejsza wiara nie uodporni nas na ból utraty ani na poczucie, że w chwili śmierci bliskiej osoby nasze życie wydaje się tracić sens. Czas musiał płynąć, a my powinniśmy zrozumieć, że tam, gdzie jest smutek, jest i światło.

Dalej mówił, że Claudette za szybko nas opuściła, ale będzie żyła i w naszej pamięci, i jako przykład dla wszystkich tych, którzy ją znali. Dla naszych najukochańszych zawsze jest przyszłość.

Zakończył cytatem z wiersza Byrona:

Nie wiem, czy byłbym kiedy w stanie
Patrzeć na wdzięków twych konanie?
Straszniejszym zda się nocy cień,
Gdy słońce lśniło cały dzień!
Lecz tyś bez chmurki, w blasku słońca
Jaśniała, piękna aż do końca –
Zgasłaś, nie zwiędłaś ty!
Zgasłaś jak gwiazda spadająca,
Która, gdy Bóg ją w przepaść strąca,
Najpiękniej wtedy lśni![23]

Zapadła cisza i potem, po ostatniej modlitwie, Gloria stanęła obok fortepianu. Jay Jay Lion akompaniował jej, gdy trumna znikała za kotarami.

Gloria zaczęła śpiewać:

Nikt nie zna tego bólu co ja,
Nikt nie zna, tylko Jezus.

Sidney jeszcze nigdy nie słyszał, by piosenkę tę śpiewano tak wolno ani z taką mocą. W śpiewie Glorii była jakaś straszna prawda, która zdawała się wykraczać poza ramy życia. Każda fraza była przemyślana; każde słowo wyłonione i zrozumiane jako osobny byt i jako element całości utworu. Pauzy pomiędzy frazami przetrzymywała tak długo, że wydawało się to wręcz niemożliwe. Piosenka przeczyła istnieniu czasu i miejsca. Było to porażająco szczere wykonanie: lament nad życiem i stanowcza deklaracja gotowości na śmierć.

Gdy Gloria skończyła, nastała cisza, a potem szok, oklaski, aż wreszcie długi gwizd. Wróciła orkiestra i zagrała żywiołową interpretację *When the Saints Go*

Marching In. Czas smutku dobiegł końca. Zgromadzeni mieli, klaszcząc i tańcząc, wyjść z budynku, podziękować Bogu za radość życia, nie za śmierć.

Phil do nich nie dołączył. Powiedział Sidneyowi, że stypa odbędzie się w pobliskiej knajpie, a za kilka tygodni w klubie urządzą koncert ku czci Claudette. Przyjdą wszyscy muzycy jazzowi Londynu.

– Do tego czasu znajdziemy drania, który to zrobił.

Johnny Johnson uścisnął Sidneyowi rękę i podziękował mu za udział w uroczystości. Siostra go pocałowała. Brat zaproponował, że odprowadzi go na przyjęcie.

– Możesz się czuć trochę wyobcowany – wyjaśnił.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– To spora odmiana od zwyczajnego nabożeństwa anglikańskiego.

– Wszystko dzisiaj było nowe, Matt. Czasami odnoszę wrażenie, że żyję w innym świecie.

– Nie widzę w tym nic niezwykłego – odrzekł brat. – Czy nie na tym polega twoje zajęcie?

– Nie tego się spodziewałem.

– Dobrze się spisałeś. Wygłosiłeś piękną mowę. Wszyscy kochali Claudie.

– Ta cała sprawa jest wielką zagadką, Matt. Jak sądzisz, kto zrobił coś takiego?

– Jenny mówiła ci o Samie?

– Wiedziałeś?

– Widziałem ich kiedyś razem. Nic nie powiedziałem. Ale to wyglądało dość niewinnie. I nie wierzę, by on był zdolny do przemocy.

– Ja też nie. Musimy więc znaleźć kogoś, kto był do niej zdolny.

– Mam nadzieję, że nie dasz się wciągnąć w to całe śledztwo.

– Szperałem trochę, szukając czegoś na ten temat, ale nie znalazłem nic wartościowego. I martwię się o Jennifer.

– Nie sądzisz chyba, że coś jej grozi?

– Nie, nie o to chodzi. Lubię Johnny'ego. Nie chcę tylko, by oczekiwała zbyt wiele. Nie jestem pewien, jak dobrze go zna.

– To dla nich dopiero początki. Daj im czas. Ale jeśli pominąć przeszłość ojca, to porządna rodzina.

– Odsiedział swoje.

– No chyba że oczywiście... – Matt stanął na ulicy – ktoś uznał, że za mało.

– Niestety, o tym samym pomyśleliśmy.

– Vendetta?

– Jeśli przyjąć, że Claudette nie została zamordowana przez kochanka – odrzekł Sidney – ani dlatego, że była świadkiem jakiegoś przestępstwa, to pozostaje niewiele możliwości. Ale to chyba mocno pokrętny tok myślenia.

– Tylko że tak właśnie musi myśleć każdy człowiek, który chce się dowiedzieć, kto popełnił zbrodnię.

– Rozumiem, że trzeba wejść w umysł mordercy. Niemniej gdy postanowiłem zostać księdzem, nie sądziłem, że będę robił takie rzeczy.

– Nie musisz się w to przecież angażować. Policja się tym zajmuje.

– Ale chyba nie robi żadnych postępów.

– Myślisz, że coś zmienisz?

– Muszę dawać z siebie wszystko, Matt.

– Nawet jeśli to właściwie nie twoje zajęcie?

– Gdy zostałem wyświęcony, studiowałem księgę liturgiczną. Stamtąd się dowiedziałem, do czego kapłan jest powołany. Ma przeciwstawiać się złu, wspierać słabych, bronić biednych i orędować za wszystkimi w potrzebie. Mam robić to, co należy.

– Nawet jeśli to przewraca do góry nogami twoje życie?

– Nawet.

W pociągu powrotnym Sidney przemyślał wszystko, co się wydarzyło. Może jego brat miał rację. Możliwości księdza nie były nieograniczone. A jego miłość do jazzu wprawiała go już trochę w zakłopotanie. Miał poczucie, że zakrawa to na jakąś pozę. Był wiejskim księdzem anglikańskim wychowanym w północnym Londynie, a nie na mrocznych ulicach Harlemu. Nigdy nie będzie prawdziwie oddanym pasjonatem.

Coraz trudniej było mu też wierzyć, że praca, którą wykonuje dla policji, przynosi jakiekolwiek korzyści. Dowiedział się o dawnych przestępstwach Phila „Kota" Johnsona, ale żadnego z nich nie łączyło nic konkretnego ze śmiercią jego córki. Kiedy Sidney wróci do Grantchester, będzie musiał zrezygnować z tych zajęć i skupić się na swoich obowiązkach parafialnych: na prowadzeniu spotkań w sprawie funduszy na utrzymanie kościoła – zimowe rachunki za ogrzewanie były ogromne – na omówieniu muzyki dla chóru, jak również na organizowaniu grup wolontariuszy do sprzątania kościoła i zajmowania się kwiatami. Czasami odnosił wrażenie, że funkcja księdza to trochę jak funkcja dyrektora, tyle że bez pensji.

Musiał też napisać następne kazanie. Chociaż po mowie pogrzebowej był zmęczony, cieszył się, że dobrze wypadła. Może wykorzystałby ten sukces w rozmyślaniach nad następną niedzielą. Postanowił mówić o miłości i czasie. Czasie ludzkim i czasie boskim, miłości ziemskiej i niebiańskiej, o przepaści pomiędzy przemijaniem a stałością.

Pisanie będzie wymagało ogromnego skupienia, więc Sidney z ulgą znalazł pusty przedział. Sytuacja, w której nikt mu nie przeszkadza, była takim luksusem, że wyobrażał sobie, że podróżuje pierwszą klasą. „Tak podróżowali biskupi – pomyślał sobie – wraz z zamożnymi biznesmenami z City, Amanda Kendall i może Gloria Dee. Podróżując w takim odosobnieniu, szukali nie tylko wyjątkowych

wygód – rozpaczliwie pragnęli, by nikt im nie przeszkadzał. Główną atrakcją pierwszej klasy – uświadomił sobie – było unikanie innych ludzi".

Zaczął robić notatki do kazania, ale refleksje nad miłością i czasem stały się niemożliwe już w Finsbury Park, gdy do pociągu wsiadł Mike Standing. Niski, łysiejący mężczyzna o kolosalnym apetycie i chorym sercu był skarbnikiem rady parafialnej Grantchester. Nikt nie wiedział dokładnie, jak zarabia na życie, ale prowadził tyle interesów, że zapewniały mu powszechne zaufanie w kwestiach finansowych, choć brakowało go w innych aspektach życia społecznego. Żona, Angela, opuściła go po trzech latach małżeństwa. Nikt nie wiedział w zasadzie dlaczego, ale Sidney podejrzewał, że odeszła, przekonawszy się, że Mike Standing jest o wiele biedniejszy, niż sądziła.

Po wymianie uprzejmości, w trakcie których Mike Standing jednocześnie walczył z zadyszką i próbował znaleźć wygodną pozycję w niemal pustym przedziale, zasiedli tak, że Sidney nabrał nadziei na niekrępujące milczenie. Mike Standing wyjął „Timesa". Na jego szpaltach grupa Włochów wspinała się na Mount Everest, Pakistańczycy grali z Northamptonshire w krykieta, a Donald MacGill, wydawca pikantnych nadmorskich pocztówek, został uznany za winnego pogwałcenia przepisów Ustawy o nieprzyzwoitych publikacjach. Wszystko to wydawało się nijakie w porównaniu z wyczynami Sidneya.

Mike Standing zabrał się do rozwiązywania krzyżówki, podczas gdy Sidney usiłował uporządkować myśli. Wciąż jednak wracał do jazzu albo do zbrodni. Co więcej, Mike zaczął mamrotać. Wyglądało na to, że nie zdoła wypełnić krzyżówki, nie oszczędzając sobie komentarzy na temat bieżących postępów.

– Pierwsza A, trzecia T, szósta O. Aha, to w takim razie ANTYLOPA. Trzy poziomo... skoro tu antylopa, to tu musi być... relikwiarz... Boże, o nie, osiem pionowo... pomocy!

Spojrzał na swojego towarzysza.

– Wielebny jest taki wykształcony, prawda? Może by wielebny pomógł mi z tym hasłem: „greckie boginie zemsty". Na sześć liter. Nemezis nie pasuje, zresztą ona jest tylko jedna.

Sidney zamyślił się na chwilę, gdy pociąg wjechał do Stevenage. „Jakie mało obiecujące miasto" – pomyślał.

– Przepraszam, co pan powiedział?

– Greckie boginie zemsty. Na sześć liter.

Sidney znieruchomiał. Ciarki przebiegły mu po plecach.

– Dobry Boże – rzekł. – Już wiem!

– No to słucham?

– Muszę wysiąść z pociągu...

– Dlaczego? Myślałem, że jedzie wielebny do Cambridge...

Sidney zebrał papiery i chwycił swoją walizkę.

– Muszę zadzwonić na policję i wracać do Londynu.

– Ale dopiero co wielebny z niego wyjechał.

– Amandzie grozi niebezpieczeństwo. Jak mogłem być taki tępy? Wiedziałem, że coś się nie zgadza...

– Moje hasło! – zawołał jeszcze Mike Standing, ale Sidney już wysiadł i zdecydowanym krokiem zdążał do biura zawiadowcy.

Był pewien, że morderca działał pod przybranym nazwiskiem. Sidney zadzwonił do Amandy, by sprawdzić swoją teorię, i porównał ją z doniesieniami prasowymi z Colindale, z których miał notatki. Sprawdził zapisane daty. Potem zadzwonił do inspektora Keatinga i przekonał go, że trzeba dokonać aresztowania. Od razu mu powiedział, że najlepiej będzie to zrobić w klubie jazzowym Phila Johnsona w Soho tego wieczoru.

Inspektor Williams zdecydowanie się nie ucieszył, że ksiądz wysnuł teorię, która może oczyścić z zarzutów Sama Morrisa, ale był wystarczająco bezstronny, by wyrazić zgodę na zatrzymanie podejrzanego w celu przesłuchania. W efekcie siły porządkowe zebrały się na miejscu o dwudziestej pierwszej. Funkcjonariusze w cywilu wmieszali się pomiędzy wielbicieli jazzu, mundurowi zajęli pozycje przed wejściem głównym oraz od strony zaplecza, podczas gdy Keating z Sidneyem popijali piwo imbirowe przy barze.

Trwała pierwsza część występu Glorii Dee. Sidney przekonał pozostałych, by poczekali do przerwy, bo wówczas wywołają mniej zamieszania. O ile aresztowaniu nie będzie towarzyszyć wielki rozgardiasz, może przebiec wręcz dyskretnie. Gloria Dee zakończyła piosenką *Ain't No Grave*, z towarzyszeniem jednego z najdoskonalszych akompaniamentów fortepianowych, jakie Sidney w życiu słyszał.

Gdy wzniesie się trąbki wezwanie,
Me ciało z ziemi powstanie,
Bo żaden grób czy mogiła
Mnie nie zatrzyma.

W przerwach pomiędzy wersami Jay Jay Lion uderzał jak szalony w klawisze fortepianu, a Gloria krzyczała od czasu do czasu „ej!", gdy zapomniał się w improwizacjach. Zaraz gdy skończyli, ale zanim zespół opuścił scenę, czterech mężczyzn weszło do pokoju wypoczynkowego, podczas gdy dwóch innych zabezpieczało tylne schody. Liza w jednej ręce trzymała butelkę piwa, a w drugiej ręcznik przygotowany dla Glorii Dee. Justin czytał „Melody Maker" i palił skręta. Przybycie policji najwyraźniej go nie zaskoczyło i nie próbował uciekać.

– Justinie Templeton – oznajmił inspektor Williams – aresztuję cię pod zarzutem zamordowania Claudette Johnson siódmego maja tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku. Możesz zachować milczenie, ale cokolwiek

powiesz...

– Templeton?! – spytała Liza. – Myślałam, że nazywasz się Furies...

Gloria Dee wpadła do pomieszczenia, chwyciła ręcznik trzymany przez Lizę i już miała wychylić piwo, gdy zdała sobie sprawę, że coś się dzieje, i znieruchomiała.

– Co jest grane, do cholery?

– Aresztuję pani kierowcę pod zarzutem morderstwa – wyjaśnił inspektor.

– Zwariował pan?

– Ani trochę.

Gloria odwróciła się do Justina.

– Myślałam, że jej wcześniej nie znałeś. W coś ty się bawił, do cholery?

– Nie bawiłem się – odrzekł Justin.

– Co ty gadasz? Zabijasz jak leci, na oślep?

– To nie było na oślep – wtrącił się Sidney.

Gloria Dee odwróciła się teraz do niego.

– Och, to ty. Co tu robisz?

– Pomagam policji.

– Ty zakapowałeś mojego kierowcę? Jak do tego doszedłeś?

– Szukałem motywu w przeszłości.

– Jak dawno?

– Prawie dziesięć lat wstecz.

– Chcesz powiedzieć, że to morderstwo zostało zaplanowane dziesięć lat temu? O ja chromolę.

– Musiałem odszukać ukryty motyw zbrodni.

Gloria zastanawiała się chwilę.

– Rozumiem. Interesowały cię raczej akordy niż melodia.

– Tak chyba robi Charlie Parker, prawda? – odrzekł Sidney, niepewny, czy powinien ujawniać swoją skąpą wiedzę o bebopie. – Improwizacja na akordach *Cherokee*?

– No, teraz to rzeczywiście załapałeś.

– Mógłbym dokonać wreszcie tego aresztowania? – przerwał im inspektor Williams.

Gloria Dee odwróciła się do Justina Furiesa.

– W życiu bym nie sądziła, że jesteś bezwzględnym mordercą. Ona była jeszcze dzieckiem. Wstydź się.

Justin Furies nic nie powiedział. Policjanci go wyprowadzili.

Sidney został, by przeprosić Glorię.

– Przepraszam za wszystko. Musieliśmy działać z zaskoczenia. Justin został rozpoznany. Mógł znowu zaatakować.

– Chcesz powiedzieć, że mógł zabić mnie?

– Nie, inną kobietę.

– Tamtą dziewczynę, z którą tu byłeś?

– Właśnie.

– Ty naprawdę przyciągasz kłopoty.

– Nie jest to moją intencją, panno Dee.

– Może i jesteś kapłanem, ale chyba nie rozumiem, jak dziewczyna może się czuć przy tobie bezpiecznie. Skąd zainteresowanie jazzem?

– To długa historia.

Gloria spojrzała mu głęboko w oczy.

– Mam całą noc.

– Nie jestem pewien, ja...

– Może mi postawisz piwo, Sidneyu?

– Pamięta pani, jak mam na imię?

– Pewnie. Zabalujmy trochę.

Dochodziła dwudziesta trzecia, gdy Sidney mógł wreszcie wyjść z klubu. Zastanawiał się, czy zdąży złapać pociąg do domu, czy też będzie musiał zaczekać znowu na poranny. Do opieki nad Kusym pod jego nieobecność została zaangażowana pani Redmond, ale nie mógł zakładać, że będzie się nim zajmować jeszcze długo.

Niemniej chciał się upewnić, czy sprawa, która tak go zaabsorbowała, jest zamknięta. Spytał więc, czy może odwiedzić Justina Furiesa w areszcie. Inspektor Williams uznał tę prośbę za dziwną, ale w uznaniu zasług Sidneya stwierdził, że taka wizyta duchownego nie zaszkodzi, gdy czekają na adwokata.

– Czego ksiądz chce? – spytał Justin. – Nie może ksiądz tu przychodzić z ostatnim namaszczeniem. Nie zostałem jeszcze skazany.

– Ale przyznasz się do winy?

– Tak. Jestem dumny z tego, co zrobiłem.

– Ja chcę tylko wiedzieć dlaczego. Nie jak, bo to wiem. Ale dlaczego. Rozumiem, że z zemsty.

– Tak. To ksiądz wie. Ojciec dziewczyny...

– Obrabował twoją matkę...

– Włamania dokonał w czasie pogrzebu mojego ojca. W roku czterdziestym czwartym. Nawet w czasie wojny popełnia się przestępstwa. Ukradł rozmaite typowe przedmioty: srebra, zabytkowy zegar, kilka wartościowych rzeczy, które były w rodzinie od pokoleń, a nikt ich w sumie nie lubił. Ale jak ksiądz wie, Johnson kradł głównie klejnoty... Zabrał najcenniejsze przedmioty, jakie miała moja matka...

– Rozumiem.

– Nie. – To słowo zabrzmiało niczym wystrzał. – Nie rozumie ksiądz. Te klejnoty może i były wartościowe, ale chodziło o coś więcej. Opowiadały historię

życia mojej matki. Policjanci spytali, czy były ubezpieczone i czy mama ma jakieś ich fotografie, ale oczywiście nie miała. Kto to słyszał, żeby fotografować własną biżuterię? Ale wie ksiądz, co zrobiła moja matka? – Justin Furies nie czekał na odpowiedź. – Narysowała je i namalowała: szafirowa broszka, naszyjnik z pereł, diamentowe kolczyki; wszystko, co posiadała. A gdy skończyła i przekazała te rysunki policji, zaczęła je rysować raz jeszcze. Nie mogła przestać. Po jej śmierci znalazłem setki rysunków przedstawiających te same klejnoty. Ta kradzież doprowadziła ją do szaleństwa.

– Bardzo mi przykro – powiedział cicho Sidney.

– Od śmierci ojca minęły miesiące, a ona ciągle była w żałobie. I ta żałoba nigdy się nie skończyła. Mówią, że miłość może trwać dłużej niż po grób, ale żałoba też. Moi rodzice byli małżeństwem przez czterdzieści trzy lata.

– A ty byłeś jedynakiem?

– Tak.

– I nie miałeś z kim o tym rozmawiać?

– Miałem matkę. A potem ona odeszła. Przez tego człowieka.

– Winisz więc pana Johnsona za śmierć matki?

– Tak.

– Ale przecież nie bezpośrednio?

– Ludzie za mało myślą o ofiarach, proszę księdza. Pod koniec życia mojej matki jej lekarz powiedział mi, że można oszaleć z bólu. To była choroba. Takiego użył wyrażenia. Oszaleć z bólu. Strata męża, a potem kradzież biżuterii sprawiły, że nie mogła normalnie żyć. Już nie wiedziała, kim jest. Ktoś powie, że biżuteria to drobiazg, może nawet zbytek, masz ją, ktoś ci ją odbiera, ale to nie wartość tych przedmiotów się liczyła.

– Liczyło się to, co dla niej znaczyły – powiedział Sidney.

– Były jej przeszłością. Każdy pierścionek, broszka i naszyjnik niosły wspomnienia: pierścionek ślubny jej matki, krzyżyk od ojca z okazji bierzmowania, kolczyki od siostry. Zniknęły, a wraz z nimi wspomnienia. Na koniec ledwie rozpoznawała nawet mnie. Siedziałem w nogach jej łóżka i myślałem: „Zabiję tego człowieka, który to zrobił”. Poświęcę całe życie, a go znajdę.

– Jak to zrobiłeś? – spytał Sidney.

– Zacząłem od sklepów handlujących odsprzedaną biżuterią, od handlarzy antyków. Obserwowałem ludzi, którzy tam przychodzili. Godzinami siedziałem po knajpach. Czytałem gazety, szukając doniesień o włamaniach i kradzieżach klejnotów. Chodziłem na rozprawy sądowe. Nękałem policję, żeby sprawdziła, czy jakieś przestępstwa można powiązać ze sprawą mojej matki. Aż w roku czterdziestym dziewiątym go znalazłem. Philip Johnson znany jako „Kot”. Odsiadywał pięć lat, ale wiedziałem, że wyjdzie po trzech. To było za mało. Moja

matka mogła żyć jeszcze przez dwadzieścia lat.

Gdy to wszystko sobie przemyślałem, doszedłem do wniosku, że mogę zrobić coś więcej, niż go zabić. Zadam mu ból, żeby cierpiał tak, jak cierpiała moja matka. Gdyby umarł, za szybko byłoby po wszystkim. Chciałem, żeby jego ból trwał. Więc przyjrzałem się jego rodzinie i gdy zobaczyłem, jak patrzy na swoją córkę, wiedziałem, że to ona musi umrzeć. Jeśli zabiję ją, nigdy tego nie zapomni. Zniszczę mu w ten sposób życie. I będzie żył z bólem, którego zaznała moja matka.

– Ale Claudie była niewinnym dzieckiem...

– Była jego córką. To mi wystarczało. Musiałem tylko znaleźć właściwą chwilę.

– Więc się dowiedziałeś, że Johnson sprowadził Glorię Dee. Znałeś perkusistę w jej zespole...

– Znam mnóstwo perkusistów.

– I zatrudniłeś się jako ich kierowca. To cię zdradziło. Powiedziałeś mi, że nie interesują cię pieniądze. Najpierw pomyślałem, że może dostajesz coś w zamian...

– Narkotyki albo usługi. No, nie sądzę...

– Ja też nie sądziłem. Ona dawała ci sposobność.

– Właśnie.

– I klub pełen kryminalistów, z których na każdego można było rzucić podejrzenie. Jak to zrobiłeś? To było bardzo ryzykowne. W każdej chwili ktoś mógł cię zobaczyć.

– Jeśli nie przejmujesz się, czy zostaniesz złapany czy nie, i jeśli nie boisz się kary, masz więcej odwagi. Nie zawracasz sobie głowy zacieraniem śladów. Graliśmy już kilka wieczorów w tym klubie, zdążyłem wypracować jakąś rutynę. Panna Dee lubi trochę hery pomiędzy występami, a zapasy chowaliśmy w szafce w damskiej toalecie.

– Narkotyki?

– Nie sądzi ksiądz chyba, że jestem tylko kierowcą, prawda? Organizowałem narkotyki i trzymałem je w apteczce. Claudette Johnson miała klucz do tej szafki.

– Wiedziała, co jest w środku?

– Wiedziała, że ma nie zadawać pytań. Ona na pewno niejedno już widziała. Oczywiście mówiłem Claudette, że to wszystko są leki na receptę i że trzeba je trzymać z daleka od panny Dee, bo mogłaby je przypadkiem przedawkować. Chodziliśmy po nie przed przerwą, gdy wszyscy skupiali się na muzyce. Po trzech, czterech dniach stało się to rutyną. Claudette dokładnie wiedziała, kiedy się mnie spodziewać i co robić.

– I czuła się przy tobie swobodnie.

– Najlepsza broń mordercy to między innymi urok osobisty. Dziewczyna niczego się nie spodziewała. Bo i skąd? Jak już się do siebie przyzwyczailiśmy,

było to łatwe. Potrzebowałem tylko okazji i zaskoczenia.

– Udusiłeś ją w schowku.

– To nie trwało długo. Przytomność się traci po dziesięciu sekundach, mózg się wyłącza po trzech, czterech minutach.

– Dlaczego jej tam nie zostawiłeś?

– Bo chciałem zobaczyć wyraz twarzy jej ojca, gdy ją znajdą. Chciałem patrzeć na jego rozpacz. Dlatego poszedłem na pogrzeb. Im smutniej się robiło, im bardziej ludzie boleli, tym większą czułem radość. Musiałem widzieć to cierpienie. Musiałem wiedzieć, co ten człowiek czuje, nawet jeśli to był tylko ułamek tego, przez co przeszła moja matka.

– Phil Johnson nie zabił twojej matki.

– Ja uważam, że zabił.

Sidney uświadomił sobie, że nie ma co go przekonywać.

– Jak ksiądz odkrył, że to ja? – spytał Justin. – Pewnie przez Amandę Kendall.

– Od razu ją rozpoznałeś?

– Byliśmy dziećmi, i to było dawno temu, ale trudno ją zapomnieć. Jest niesamowicie bystra.

– Zmieniłeś nazwisko. To był kolejny błąd, chociaż mniejszy.

– Nie sądziłem, że ktoś zauważy.

Sidney patrzył na młodego człowieka. Wydawał się zdeterminowany, a jednocześnie obojętny, jakby nie przejmował się tym, co teraz może się wydarzyć.

– Jak ksiądz na to wpadł? – spytał Justin.

– Łut szczęścia i skojarzenie. Greckie boginie zemsty?

– Erynie.

– Właśnie. Dla Rzymian Furie. Justin jak Justus, sprawiedliwy. Justin Furies.

– Zapadnie wyrok śmierci, prawda?

– Najprawdopodobniej. Chyba że powołasz się na niepoczytalność albo okażesz wielką skruchę.

– Nie ma we mnie skruchy. Cieszę się, że to zrobiłem.

– No to niestety. Przykro mi – rzekł Sidney.

– Niesłusznie. Mnie powinno być przykro. Nie czuję się winny. Gdybym się czuł, księdzu byłoby łatwiej.

– W mojej posłudze niewiele rzeczy jest łatwych. Smutno mi tylko, że ktoś tak inteligentny jak ty ma strasznie wypaczone poczucie sprawiedliwości.

– Mnie też jest smutno. Smutno mi już od jakiegoś czasu.

– Można myśleć inaczej.

– Po chrześcijańsku? Nie sądzę.

Sidney wstał. Wcześniej uważał, że powinien zostać i dopatrzyć się

w Justinie oznak skruchy, ale wiedział, że jeden wieczór to za mało, by doszukać się w nim jakichś resztek sumienia.

– Muszę już iść, niestety – powiedział. – I tak zrobiło się późno.

– Niezbyt późno, jak na takiego nocnego marka...

– Taką mam pracę.

– Ciekaw jestem, co ksiądz o mnie myśli.

– Będę się modlił za ciebie.

– Nie sądzę, by modlitwy cokolwiek zmieniły, proszę księdza. – Justin Furies zawahał się chwilę, zanim dodał: – Ale i tak dziękuję. – Uśmiechnął się nerwowo.

Sidney ukłonił się lekko na znak, że rozmowa dobiegła końca.

Ulicami Fitzrovii dotarł na King's Cross. Na czystym granatowym niebie wisiał księżyc w ostatniej kwadrze. Sidney chciał się rozkoszować nocną ciszą. Myślał o tym, że po niektórych przeżyciach człowiek nie zdoła się podnieść. Że jego dusza się zatruła tak bardzo, że żaden spokój, żadna modlitwa nie da trwałego pocieszenia. Przypomniał sobie słowa George'a Herberta: „Dobre życie jest najlepszą zemstą". Może to trafna rada, ale w wypadku Justina Furiesa okazała się niemożliwa. Wybaczenie jest o wiele trudniejsze niż zemsta.

Po powrocie do Grantchester nalał sobie dużą porcję whisky i położył się na swojej zdecydowanie niewygodnej kanapie. Labrador przytulił się do niego. Sidney poklepał psa po grzbiecie i zaczął z nim rozmawiać. Kusy ziewnął, przeciągnął się i położył łeb na kolanie swojego pana. Ten zaś opowiadał, jak trudne ma za sobą tygodnie, ale teraz na pewno może wrócić do swoich obowiązków zawodowych. Powinien zostawić w spokoju jazz i zbrodnie. Wystarczająco ciężka była jedna praca, w której zawsze jest się na służbie. Łączenie jej ze śledztwami na zlecenie inspektora Keatinga to już zupełnie inna sprawa.

Postanowił się zrelaksować przy lekturze poezji. Wybrał z półki tom George'a Herberta. Zaczął czytać *Świątynię*, poemat, w którym Ojciec Czas składa podmiotowi lirycznemu wizytę.

W poemacie kosa starca jest tępa i jego rola w życiu ludzkim uległa zmianie. Od nadejścia Chrystusa i zapowiedzi życia wiecznego nie jest już katem, lecz ogrodnikiem:

Woźnym, co dostarcza nasze dusze

Ponad najwyższe gwiazdy i bieguny.

Sidney przypomniał sobie, jak uderzająco oryginalny jest ten wiersz. Zdaniem George'a Herberta czas, który spędzamy na ziemi, nie jest zbyt krótki, ulotny, lecz za długi: bo powstrzymuje istoty ludzkie przed życiem poza czasem, przed życiem z Bogiem.

Postanowił wygłosić kazanie na ten temat. Podkreśli różnice pomiędzy naszym czasem a czasem Boga. Śmiertelnicy żyją w trojakiej teraźniejszości: we

wspomnieniu przeszłości, w oczekiwaniu przyszłości i wiecznym „teraz”, które mija w chwili, gdy o nim się pomyśli. Ale Bóg nie jest związany czasem. Istnieje poza nim. Tak więc nasze związane życie przenosi się ze świata czasu do świata wiecznego, który czasu nie zna.

Sidney odłożył poezje i podniósł z kolan łeb Kusego. Musiał zanotować te przemyślenia, bo do rana wywietrzeją mu z głowy. Ruszył do biurka. Niemal dokładnie w tym momencie zadzwonił telefon.

Była druga nad ranem. Sidney miał tylko nadzieję, że to nie kolejna śmierć.

– To ja...

Amanda.

– Coś się stało? – spytał.

– Nic. Dzwonię, żeby ci powiedzieć coś szalenie śmiesznego...

– To nic poważnego?

– Absolutnie nic poważnego. Przepraszam, że dzwonię tak późno. Próbowałam wcześniej, ale nikt nie odbierał. Gdzie byłeś?

– To nieważne, Amando...

– Dzwonię, bo nie mogłam się doczekać, aż ci powiem. Byłam z Jenny na zupełnie absurdalnym koncercie. Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle poszłyśmy, ale chciałam ci po prostu powiedzieć, co się stało. Teraz już się trochę uspokoiłyśmy, ale byłyśmy wściekłe, aż dym nam szedł uszami.

– Przykro mi to słyszeć.

– Okazało się, że koncert to samo takie nowoczesne brzdąkanie, którego serdecznie nie znoszę, jak wiesz. Potem musiałyśmy wypić całą butelkę czerwonego wina...

– Bełt jako lek na bełkot?

– Właśnie tak. Wolałabym pójść na któryś ten twój koncert jazzowy...

– Było aż tak źle, Amando?

– To była potworność. W drugiej połowie do fortepianu usiadł jakiś mężczyzna i po prostu nic nie robił. To było najdziwniejsze. Nikt nie wiedział, jak się zachować.

– Nic? Musiał przecież coś grać?

– Nie! Właśnie o to mi chodzi. Nic nie grał. Tylko siedział.

– Nie dotykał klawiszy?

– Zupełnie. Utwór składał się z pokasływań i pomrukiwań widowni. I pewnie z zakłopotania. To my najwyraźniej byliśmy muzyką. Widownia. Wyobrażasz to sobie? I pomyśleć, że zapłaciłam za to pięć szylingów.

– Kto występował?

– Och, nie wiem, jakiś Amerykanin: John Cage, tak się chyba nazywał. Miał nawet tupet zatytułować to dzieło: *Cztery minuty trzydzieści trzy sekundy*. Wyobrażasz sobie? W moim odczuciu to nie trwało cztery minuty trzydzieści trzy

sekundy. To trwało całą wieczność. Nie miałam pojęcia, że cztery minuty mogą się wlec tak długo. To było idiotyczne. Cztery minuty! Cały czas myślałam o wszystkich innych rzeczach, które mogłabym w tym czasie robić, i nie tylko ja, oczywiście. Wyobrażasz to sobie, Sidneyu? To było bulwersujące.

Sidney wyjrzał w ciemną noc i pomyślał o głosie Glorii Dee, o bezbronności Claudette i straszliwym morderstwie. Nie potrafił wyjaśnić Amandzie tego, co się stało, co myślał i czuł.

– Jesteś tam? – spytała. – Zupełnie zamilkłeś. Coś się stało czy bawisz się w Johna Cage'a, Sidneyu? Odezwij się!

– Jestem – odrzekł. – Zawsze tu jestem, Amando...

Przypomniał sobie głos Glorii Dee w ciemnościach:

Cztery minuty
Raptem cztery minuty przed północą
Cztery minuty
Chcę raptem czterech minut z tobą
Jeśli świat się kończy
To niech się kończy
Ja chcę tylko
Tych czterech minut
Z tobą...

ZAGINIONY HOLBEIN

Wspaniała bryła Locket Hall w kształcie litery E i z wielodzielnymi oknami została zbudowana z kamienia Ham Hill na początku szesnastego wieku i należała do najświetniejszych rezydencji w okolicach Cambridge. Była oficjalną siedzibą Tevershamów, którzy wywodzili swój rodowód z czasów podbojów normańskich. Zaproszenie na jakąkolwiek uroczystość w Locket Hall było uważane za zaszczyt nawet pośród tych bywalców, którzy publikację Debretta[24] traktowali jak biblię. Przyzwyczajonego do opactw i katedr Sidneya nie onieśmielały, jak może innych gości, ani arystokracja, ani architektura, ale jednak czuł jakąś niepewność, gdy lokaj Mackay otworzył drzwi i poprosił, by wszedł po wielkich schodach na długą galerię, gdzie lord Teversham przyjmował gości letnimi napitkami.

Względem arystokracji Sidney żywił mieszane uczucia. Podobała mu się przestronność jej siedzib, ciepło jej gościnności, ale irytowało przekonanie, że jej przedstawiciele należą do wybrańców.

– I jakby tego było mało – słyszał już narzekania lorda Tevershama – rząd chce teraz, byśmy się otworzyli dla publiczności. To mój dom, na miłość boską, a nie jakaś atrakcja turystyczna. Równie dobrze mógłbym go ofiarować National Trust z całym dobrodziejstwem inwentarza.

Był to człowiek, który niewątpliwie przywiązywał ogromną wagę do swojej powierzchowności. Wzrostem dorównywał Sidneyowi, miał kanciastą szczękę niczym bożyszcze kobiet, a bujne srebrzyste włosy, choć nieco przydługie, czesał w sposób, który przyprawiłby o drżenie każdego łysego mężczyznę. Nosił szyty ręcznie trzyczęściowy garnitur z krawatem i poszetką w granatowym kolorze, pince-nez w stalowych oprawkach, a srebrne dodatki – spinki do mankietów, zegarek kieszonkowy i spinka do krawata – zostały tak dobrane, by podkreślić jego fryzurę.

Przywitał gościa z wrodzoną swobodą arystokraty.

– Ksiądz Chambers, jakże miło, że ksiądz przyjechał. Pije ksiądz zapewne wytrawne sherry...

– Poproszę – odpowiedział Sidney. Nie było co robić kłopotu.

– Mackay księdza obsłuży. Nie pamiętam, czy poznał już ksiądz moją siostrę? – Ruchem ręki wskazał brylującą nieopodal elegancką damę o podobnych włosach. – Wydaje mi się, że mógł ją ksiądz widzieć w ostatnie Boże Narodzenie w King’s College, po kolędach. Muszę księdza przedstawić.

Sidney wiedział, że Tevershamowie chodzą do kościoła jedynie w święta, i to raczej z powodów towarzyskich niż religijnych. W chwilach nasilonej nieżyczliwości niekiedy żałował, że nie ma odwagi takich ludzi odprawić.

Rozejrzał się po sali. Zebrało się tu ponad sto osób, ale Sidney znał spośród

nich niewiele. Już miał uciec do bezbarwnego serdecznego duchownego stojącego z damą w średnim wieku, która nosiła nieznośnie praktyczne sandały, gdy przedstawił mu się niejaki Ben Blackwood.

– Przysłał mnie lord Teversham – wyjaśnił.

Ben był wytwornie bladym młodym człowiekiem po studiach w Magdalene. Wyjaśnił, że jest historykiem architektury i pracuje nad oficjalną historią Locket Hall.

– Oczywiście, gdy rezydencja zostanie udostępniona publiczności, przyniesie rodzinie majątek – mówił. – Pod względem architektonicznym to jedna z niedocenionych pereł Anglii – umieścił w cygarniczce black sobranie. – Sama kolekcja sztuki jest warta miliony. Widział ksiądz portret Elżbiety I? Przysłała go w podarunku po jednej ze swoich wizyt...

Sidney usiłował podtrzymać rozmowę.

– Pamiętam, jak czytałem, że objazd królewski był bardzo kosztowny. Gospodarz musiał zapewnić bankiety, maskarady i wyprawy łowieckie...

– Niekiedy królowa zatrzymywała się na całe tygodnie! Niemal doprowadziła pałac do bankructwa. Teraz rząd usiłuje zrobić to samo za pomocą podatku spadkowego. To raczej nie w porządku, jeśli wziąć pod uwagę, że przecież za tę całą sztukę już raz zapłacono.

Jako gość pałacu Sidney musiał dostosować swoje zachowanie do nakazów etykiety świata, w którym miał tylko prawa przybysza. Z kolei jako duchowny mógł powiedzieć rzeczy, które innym nie uchodziły. Tak więc nagle zasugerował, że może wypożyczenie kilku obrazów do muzeum Fitzwilliam albo do National Gallery może nie byłoby takie złe.

Lord Teversham, usłyszawszy to, nie okazał entuzjazmu.

– A dlaczegóż miałbym to robić, księże kanoniku?

– Wydaje mi się, że tym samym zredukowałby pan podatek spadkowy, a jednocześnie zachował prawo własności.

– Ale wówczas musiałbym chodzić do muzeum, by oglądać obrazy, które są w mojej rodzinie od pokoleń...

Włączyła się jego siostra Cicely:

– Trudno na nie patrzeć codziennie. Moglibyśmy im odstąpić jakiś jeden, może dwa. Na pewno by ich nam nie brakowało. A mamy kilka spraw finansowych...

Lord Teversham zmierzał prostą drogą do jednego ze swoich słynnych napadów złości.

– Ale oni będą chcieli najlepsze!

– Jeśli to może w czymś pomóc – powiedział Sidney – świetnie znam pewną osobę w National Gallery.

Lord Teversham był nieufny.

– Nie chcę, by jakiś facet z monoklem przyjeżdżał tu i obmacywał rodzinne srebra.

– To nie jest facet.

Cicely Teversham przerwała raz jeszcze:

– Nie mam wątpliwości, że „przyjaciółka" księdza Chambersa zachowa się taktownie.

– Nie lubię pozbywać się swoich rzeczy – burknął lord Teversham. – Gdy już ci ludzie coś zaczną, nigdy nie przestaną.

Ben Blackwood szukał kompromisu.

– Zapewne mógłby pan użyczyć im ze dwa dzieła w charakterze rozrywki albo wypożyczyć je tytułem podatku. Oczywiście mniej znane dzieła...

Cicely Teversham położyła dłoń na ramieniu brata.

– Co byś powiedział na damę z opuchniętym podbródkiem? Nigdy za nią nie przepadałeś. Na pewno by ci czegoś takiego nie brakowało...

– Owszem, brakowałoby – burknął lord Teversham. – To kolekcja. W tym właśnie rzecz.

Jego siostra miała odmienne zdanie.

– Nie lubisz tego obrazu, Dominicu. Tak powiedziałeś, gdy odesłałam go do renowacji. Uważałeś, że to wyrzucanie pieniędzy, a potem narzekałeś, że po powrocie ta kobieta na obrazie jest jeszcze brzydsza.

– No, po prostu było ją dokładniej widać. Brodawki i całą resztę.

– Ona nie ma żadnych brodawek, kochanie. Nie bądź śmieszny.

Sidney usiłował załagodzić sytuację.

– Może nie powinienem robić tej sugestii. Nie chciałbym wywoływać sporów...

Lord Teversham skierował nań wzrok.

– No a kim jest ta kobieta wielebnego?

– Panna Amanda Kendall. Jest kuratorem szesnastowiecznego malarstwa. Uczyła się w Courtland Institute pod kierunkiem sir Anthony'ego Blunta.

– Byłem z nim w Trinity – rzekł zdumiony lord Teversham. – Jego ojciec jest duchownym. Zna go wielebny?

– Niestety nie. Ale panna Kendall jest przyjaciółką mojej siostry.

– Dlaczego jej tu nie ma? – spytała Cicely Teversham. – Mógł ją wielebny przywieźć ze sobą.

– Jest w Londynie.

To nie zniechęciło lorda Tevershama.

– Z Cambridge co godzinę jeżdżą pociągi do Londynu. To żadna przeszkoda.

Cicely Teversham postanowiła położyć kres tym wyrzutom.

– Proszę ją zapytać, księże Chambers. Kolekcja na pewno wzbudzi jej zainteresowanie. Zaledwie kilka osób zdaje sobie sprawę, co my tu mamy, bo

ubezpieczenie jest drogie. Musimy być ostrożni. Portret królowej Elżbiety jest oczywiście znany, ale mamy też Madonnę Rafaela i portret Tycjana. Niektóre z naszych obrazów są nieprzypisane, więc jeśli panna Kendall ma dobre oko, to może zechciałaby na nie zerknąć?

– Jestem pewien, że uczyni to z radością.

– Chętnie pokażę jej naszą damę w czerni. Renowator wykonał naprawdę kawał porządnej roboty.

– Czyj to obraz?

– Nie mamy pewności – wyjaśnił lord Teversham. – Zapewne to szkoła holenderska. Kiedyś znajdował się na poddaszu. Cicely ściągnęła go na dół.

– Proszę przywieźć przyjaciółkę, księże Chambers – powiedziała z uśmiechem lady Teversham. – Następnym razem musicie zostać na lunch. Jestem bardzo zaintrygowana.

– Zaintrygowana?

– Mówi ksiądz o niej z taką czułością.

– Och, to nie tak, jak pani myśli – zapewnił pospiesznie Sidney.

Cicely Teversham się uśmiechnęła.

– A skąd ksiądz wie, co ja myślę?

Pokazany Amandzie obraz był poważnym, niemal pobożnym portretem naturalnej wielkości przedstawiającym ciemnooką niewiastę o rdzawych włosach, liczącą sobie niewiele ponad trzydzieści lat. Miała na sobie czarną, zapiętą wysoko bluzkę zasłaniającą długą szyję, na głowie zaś nosiła stroik obszyty perłami. Ręce miała lekko złożone, ale niekoniecznie do modlitwy, i jedynym elementem lekkości w wizerunku był cień uśmiechu na szerokich ustach damy. Jako naszyjnik nosiła prosty medalik na łańcuszku. W tle po lewej stronie stał stolik z wazonem do połowy napełnionym wodą, w który wetknięto trzy goździki i gałązki rozmarynu. Na ścianie za stolikiem wisiał obraz przedstawiający Adama i Ewę. Obraz w obrazie.

Amanda Kendall sprawdzała dzieło pod każdym kątem, przyglądając mu się uważnie, a potem cofnęła się, by ustalić, jakie robi wrażenie. Była ubrana elegancko, w szmizjerkę od Coco Chanel, w której wyglądała iście po francusku.

– Mogłabym zdjąć obraz? – spytała.

Ben Blackwood przysunął się do niej.

– Może ja pomogę...

– Nie trzeba. Na pewno sobie poradzę... – Amanda włożyła rękawiczki, zdjęła obraz ze ściany i zaniosła go do okna. Położyła malowidło na stoliku, uklękła i przyglądała się uważnie, sprawdzając krawędzie przez szkło powiększające.

Spojrzała na lorda Tevershama.

– Mogłabym wyjąć go z ramy?

Lord odwrócił się do Bena, a ten z rezygnacją skinął głową.

– O ile go pani nie uszkodzi. To drewno pamięta Tudorów, jak może pani wie...

– Rzeczywiście... – Amanda wyciągnęła skalpel z torebki i wyjęła obraz z ramy.

Sidney nigdy jeszcze nie widział jej przy pracy.

– Rama jest oryginalna – powiedziała, zanim odłożyła obraz. – Przydałoby się przewieźć obraz do National Gallery i pobrać kilka próbek. Oddawaliście go państwo do renowacji, jak rozumiem.

– Dziesięć lat temu.

Amanda odwiesiła obraz na ścianę, a szkło powiększające i skalpel schowała do torby.

– Wyjątkowe dzieło – powiedziała.

– To wszystko, co ma pani do powiedzenia? – spytał Ben.

– Absolutnie nie. Czy ten obraz zawsze był u państwa?

– Tak, oczywiście – odrzekł lord Teversham. – To pamiątka rodowa. Musi być w rodzinie od szesnastego wieku.

– Nie, przepraszam, ujmę to inaczej. Muszę mieć pewność co do jego pochodzenia. Czy ten portret zawsze był w państwa rękach? Nigdy nie opuszczał budynku?

– Z wyjątkiem okresu renowacji.

– A kto prowadził renowację?

– Jakiś gość z Saffron Walden. Dawał bardzo dobrą cenę.

– Nie wątpię. Jakie zmiany zauważyli państwo po powrocie obrazu?

Lord Teversham nie pojmował, dlaczego Amanda zadaje tak oczywiste pytania.

– Cóż, był jaśniejszy i czystszy. Wszystko było widać...

– I pozbył się korników – dodała Cicely Teversham. – Martwiłam się, że deska jest odrobinę przegniła i że ten stan będzie postępował.

– No cóż – powiedziała Amanda. – W tej chwili na pewno żadnych korników nie ma; jedynie drobne pozostałości w ramie.

– Obraz jest jak nowy...

– Proszę mi powiedzieć, czy obraz miał kiedyś cartellino?

– Cartellino? – spytał zmieszany lord Teversham.

– Namalowana karteczka z napisem, często podającym personalia sportretowanej osoby.

– Nie sądzę.

– Nie było żadnych śladów wcześniejszego przemalowywania?

– Nic o tym nie wiem. Dlaczego pani pyta?

– Cartellino – wyjaśniła Amanda – często występuje w kolekcji Lumleya,

która uległa rozproszeniu w tysiąc siedemset osiemdziesiątym piątym roku. Niewykluczone, że dzieło pochodzi z tego zbioru. Macie państwo bibliotekę?

– Nie sądzę, żeby nasza posiadłość istniała aż tyle lat.

– Pochodzenie jest tu kwestią zasadniczą. W National Gallery mamy kopię inwentarza kolekcji Lumleya.

– Dlaczego zadaje pani te wszystkie pytania?

– Dysponują państwo jeszcze adresem renowatora? – pytała dalej Amanda.

– Tak, chyba tak.

– Nazywał się Frederick Wyatt – przypomniała sobie Cicely Teversham.

– Niemniej skoro rozpoznał obraz, zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że wciąż tam mieszka.

– Rozpoznał? Coś się stało? – spytał Sidney.

– Obawiam się, że tak. – Amanda odwróciła się do lorda i lady Teversham. – Myślę, że musimy wszyscy usiąść i napić się herbaty. Albo czegoś mocniejszego.

– Dobrze, ale dlaczego tak się pani zaniepokoiła?

Amanda wciąż wyrażała się oględnie.

– Rama jest oryginalna, szesnastowieczna, ale sama deska została zastąpiona.

– Zastąpiona? – spytał Ben Blackwood. – Wykluczone.

– To kopia. Bardzo dobra, ale kopia. Powierzchnia obrazu jest gładka, drewno nowe. Będę musiała pobrać próbki, żeby się upewnić...

– Dobry Boże...

– Co nie miałoby znaczenia, jeśli byłby to obraz mniej znaczącego mistrza holenderskiego...

Lord Teversham nie mógł uwierzyć w słowa Amandy.

– Myślałem, że jest...

– Ja również tak myślałam – odrzekła Amanda. – Ale proszę spojrzeć na biżuterię tej damy. Jestem niemal pewna, że to dzieło Corneliusa Hayesa albo Hansa Holbeina Młodszego. Identyczny jak medal koronacyjny w British Museum.

– Medal koronacyjny?

– Goździk w tle to symbol zaręczyn; wizerunek Adama i Ewy przedstawia nadzieję na dzieci zrodzone z małżeństwa. Oryginał tego obrazu można datować na rok tysiąc pięćset trzydziesty trzeci.

– A więc kto to jest? – spytała Cicely Teversham.

Ben już się domyślił.

– Chyba nie mówi pani poważnie?

Amanda odezwała się dopiero po chwili:

– Z portretów sześciu żon Henryka VIII do naszych czasów nie zachował się portret tylko jednej. Jeśli kiedyś posiadaliście państwo ten oryginalny portret, zaznaczam: „jeśli”, to byliście posiadaczami jednego z najcenniejszych obrazów na

świecie: zaginionego portretu Hansa Holbeina Młodszego przedstawiającego drugą żonę Henryka VIII, królową Annę Boleyn.

– To byłaby sensacja! – powiedział Ben.

– Właśnie – odparła Amanda. – Zdarzają się takie sytuacje, że dzieło sztuki przypisuje się mało znanemu artyście i dopiero po wielu, wielu latach dokonuje się właściwej identyfikacji. Któregoś dnia znalazłam w podobnych okolicznościach Van Dycka...

Cicely Teversham nie ustępowała.

– Mieliśmy bezcennego Holbeina?

– Niewykluczone...

– I go straciliśmy? Ten obraz mógłby ocalić cały nasz majątek. Jak możemy go odzyskać?

– No, to na pewno nie będzie łatwe – odpowiedziała Amanda. – I musimy odszukać państwa renowatora.

Tu postanowił wkroczyć Sidney.

– Kto jeszcze wie, że mieliście państwo ten obraz, lordzie Teversham?

Gospodarz był skonsternowany.

– Większość rodziny, oczywiście, i służba. Mackay zawsze łypał na niego nieżyczliwym wzrokiem, ale to pewnie dlatego, że sportretowana dama przypominała mu żonę, która uciekła. Dalej rzecz jasna Ben, chociaż portrety pobożnych dam zupełnie nie leżą w kręgu twoich zainteresowań, prawda?

– Rzeczywiście – przyznał skrępowany Ben Blackwood.

– Niektórzy goście i przyjaciele, chociaż większość z nich woli konie czy psy.

– Ktoś z nich ma powiązania ze światem sztuki? – spytała Amanda.

Odpowiedziała jej Cicely Teversham.

– Jeszcze człowiek z ubezpieczalni. Przyszedł oszacować wartość kolekcji. O ile dobrze pamiętam, to właśnie on zasugerował, że obraz wymaga renowacji.

– To chyba osobliwe, nie sądzisz? – spytał lord Teversham. – Jeśli wtedy popełniono przestępstwo, to dlaczego złodziej miałby wybrać ten obraz? Dlaczego nie Tycjana?

– Trudniej byłoby go sprzedać – odrzekła Amanda.

Lord Teversham nie do końca chyba wierzył w jej słowa.

– Zawsze sądziłem, że to oczywiście zacny obraz, ale pozbawiony większego znaczenia. Nieznana kobieta, szkoła holenderska, wręcz nie wiadomo, czy warto finansować jego renowację. Nie można jej zaliczyć do piękności, prawda?

Przerwała mu Amanda:

– Gusta się zmieniają, lordzie Teversham, ale jeśli oryginalny obraz państwa był tym, który mam na myśli, to wypełnia jedną z największych luk w brytyjskiej

historii sztuki. Holbein tworzył w okresie małżeństwa Henryka VIII z Anną Boleyn. Wiemy, że zaprojektował fontannę stołową jako noworoczny prezent dla króla w roku tysiąc pięćset trzydziestym czwartym, a nawet prawdopodobnie kołyskę dla przyszłej Elżbiety I. Jedna z teorii utrzymuje, że jeśli istniał taki portret, został zniszczony albo ukryty po straceniu królowej, a nazwisko Boleyn zmieniono na Bullen albo nawet Butler...

– A dlaczegóż by mieli robić coś takiego? – spytała Cicely.

– Ze strachu. Swego czasu Anna Boleyn była najbardziej wpływową kobietą w Anglii. Urodziła przyszłą królową Elżbietę I, ale nie dała królowi syna. Mnie osobiście frapuje, że nie zdawała sobie sprawy, jakie grozi jej niebezpieczeństwo. Po urodzeniu dziewczynki sądziła, że znowu zajdzie w ciążę, i rzeczywiście w styczniu tysiąc pięćset trzydziestego szóstego roku była brzemienna. Ale dwudziestego stycznia poroniła. W ciągu następnych kilku miesięcy jej wrogowie rośli w siłę, a pomimo faktu, że dopiero co straciła dziecko, została oskarżona o wielokrotne cudzołóstwo z sześcioma mężczyznami, w tym z własnym bratem.

– Wydaje się to trochę dziwaczne – zauważył lord Teversham.

– Sześciu mężczyzn, a właśnie poroniła. Wytoczono jej proces i skazano ją na karę śmierci, ale gdy po raz ostatni przyjmowała komunię, przysięgała, że nigdy nie zdradziła męża. Ścięto ją dziewiętnastego maja. W ciągu niespełna czterech miesięcy całkowicie ją zniszczono. W styczniu była królową Anglii. W maju już nie żyła. To jeden z najszybszych upadków w angielskiej historii. Jedenaście dni po jej śmierci król poślubił Jane Seymour. Anna Boleyn została zapomniana. Jej portrety jak najszybciej pozdejmowano, zniknęły, przerobione albo błędnie oznaczone.

– Jak mój... – przerwał lord Teversham.

– Musimy go odzyskać! – krzyknęła Cicely Teversham. – Dla dobra majątku i dla dobra kolekcji.

– Nie – odpowiedziała Amanda. – Musimy go odzyskać dla dobra narodu.

Po lunchu Amanda wróciła do Londynu i zabrała obraz do National Gallery. Tam został przebadany, sfotografowany i poddany ekspertyzom chemicznym. W oczekiwaniu na wyniki Amanda czytała spis inwentarzowy pana Johna Lamptona, „zarządcy domostwa Jana lorda Lumleya", sporządzony w roku 1590. Nad wpisem dotyczącym jednego z obrazów National Gallery: „Portret księżnej Myllayne, późniejszej księżnej Lorreyn, córki Christierne, króla Danii, wykonany przez Haunce'a Holbyna", znalazła taką pozycję: „Portret królowej Anny Bulleyne".

Był to naturalnej wielkości portret z epoki. Brakowało informacji, co się z nim stało po sprzedaży w roku 1785. Podejrzenia Amandy okazały się uzasadnione.

Lord Teversham odszukał adres renowatora obrazu i na początku sierpnia,

niedługo po swoich dwudziestych siódmych urodzinach, Amanda zgodziła się, by Sidney towarzyszył jej w wyprawie do niewielkiego prowincjonalnego miasteczka Saffron Walden, gdzie miała nadzieję odnaleźć tego człowieka.

Jechała swoim sportowym MG TD w kolorze kremowym, który dostała od rodziców w prezencie na urodziny, miała szal i ciemne okulary chroniące ją przed niskim jesiennym słońcem i zdaniem Sidneya wyglądała jak Gene Tierney w filmie *Zostaw ją niebiosom*. Gdy sunęli drogami Cambridgeshire, Sidney mówił, jak się cieszy, że przedstawił ją lordowi Tevershamowi i jaki jest dumny, że ją zna.

– Nie mogę pojąć, jakim cudem tak szybko zidentyfikowałaś ten obraz – rozwodził się.

– Lubię myśleć, że jestem dobra w tym, co robię, Sidneyu.

– Nigdy w to nie wątpiłem.

– Ale niektórzy wątpią. Uważają, że jestem po prostu panienką z wyższych sfer.

– Absolutnie nie, Amando. A sądzisz, że zdołamy odzyskać obraz?

– Jeśli renowator wiedział, co robi, to pewnie go sprzedał. Ale to nasz jedyny trop. Poprosiłam lorda Tevershama, by sprawdził pochodzenie obrazu. Znacznie by pomogło, gdybyśmy wiedzieli, w jaki sposób rodzina weszła w jego posiadanie.

Sidney próbował spojrzeć w oczy Amandzie, ale ona nie odrywała wzroku od drogi.

– Powinnaś spytać Bena – rzekł.

Amanda uśmiechnęła się i zerknęła na niego.

– Jakoś nie jestem do niego przekonana. Bardzo pilnuje swojej pozycji w tym domu, na czymkolwiek ona polega.

– Pierwsze wrażenie bywa mylące – odpowiedział Sidney – ale może nie w tym wypadku. Wydaje się nieco niemrawy. Mam zerknąć na mapę?

– Zaraz skręcamy w Chaters Hill. Numer sto sześćdziesiąt dziewięć wygląda na jakiś sklep z pamiątkami.

– Jesteś pewna, że będzie otwarty? – spytał Sidney. – Większość pozostałych sprawia wrażenie zamkniętych.

– Wydawało mi się, że widzę kogoś przez okno.

– Więc wejdźmy i zapytajmy.

Zaparkowali i podeszli do sklepu wypełnionego zabawkami, bibelotami i misiami. Właścicielem był barczysty mężczyzna o sumiastym wąsie i wesołych brązowych oczach.

– Czym mogę państwu służyć w ten piękny poranek? – zagaił.

– Nie jesteśmy pewni, czy trafiliśmy pod właściwy adres – zaczął Sidney.

Właściciel nie dał się zniechęcić.

– Śmiało, proszę pytać!

– Wydaje mi się, że szukamy poprzedniego właściciela – podjęła Amanda. –

Czy ten budynek należał kiedyś do kogoś związanego ze sztuką, malarza albo renowatora?

– W rzeczy samej, należał do Freddiego Wyatta. Najpoczciwszego z ludzi.

– Ale już go tu nie ma?

– Niestety nie.

– Odszedł na emeryturę?

– Przeniósł się bodajże do Holandii. Wyjechał w znacznym pośpiechu, dodam. Powiedział, że nie może się doczekać wyjazdu z Anglii, i zostawił mi tylko adres do korespondencji.

– Kiedy to było?

– O, minęło już parę lat. Gdy kupiłem ten sklep, wyglądał okropnie. Wszędzie butelki pigmentów, cukier, herbata, alkohol i nie sposób było odróżnić jedno od drugiego. Żadnych etykiet, żadnego porządku. Jeden wielki chaos. Zaproponowałem, że prześlę pieniądze, które wpłyną, jeśli spóźnialscy zgłoszą się po prace, ale po trzech miesiącach przestali się zgłaszać. Na pewno jednak nie przyjechaliście państwo tego słuchać. Przyjechaliście po misia, mam nadzieję, albo po inną pamiątkę, żeby wam przypominała o wizycie.

Amanda trzymała się tematu.

– Chcieliśmy oddać obraz do renowacji, ale chyba źle trafiliśmy.

– Znał pan tego Freddiego Wyatta? – spytał Sidney.

– Chodziliśmy na drinka do hotelu Swan. Wiecie, który to?

– Niestety nie.

– Mają tam świetną potrawkę z zająca.

Amanda wypytywała dalej.

– A wie pan, co się stało z pracami, które tu zostawił?

– Z obrazami? Powiesiłem kartkę na drzwiach. Że wszystkie prace trzeba odebrać i zapłacić za nie w ciągu trzech miesięcy. Resztę oddałem na kiermasz parafialny.

– Ile obrazów pan wydał?

– Bodajże dziesięć.

– Pamięta je pan?

Właściciel się zamyślił.

– Były tam jakieś sceny z polowania, pejzaże morskie, kilka posępnych portretów, na niektórych byli nawet księża.

– A jakieś kobiety?

– Może ze dwie...

Amanda wyjęła zdjęcie.

– A czy któraś wyglądała tak?

– Trochę smutna, prawda? To wdowa?

Sidney spróbował przyjść Amandzie z pomocą.

– Pamięta pan, czy go widział?

– Pewności nie mam – odrzekł właściciel. – Po większość tych obrazów, która została odebrana o czasie, zgłosiła się kobieta w imieniu kogoś innego. Zapłaciła za sześć czy siedem renowacji i oprawę. Pamiętam to wszystko, bo zaokrągliliśmy opłatę do pięciu gwinei.

– Myśli pan, że ten obraz mógł się wśród nich znajdować?

– Niewykluczone.

– Nie zapisywał pan tego wszystkiego?

– Nie. Przesłałem po prostu pieniądze.

– Nie pamięta pan, jak się ta pani nazywała?

– Niestety nie. Ale przyszła w imieniu pana Phillipsa.

– A ma pan może przypadkiem jego adres?

– Niestety nie. To wszystko było takie na odczepnego, a buchalteria biednego Freddiego wołała o pomstę do nieba. Na pewno nie bylibyście zainteresowani misiem? Mam kilka świetnych misiów firmy Steiff.

– Nie sądzę...

Amanda się uśmiechnęła.

– Och, Sidneyu, nie bądź niemądry. Kupię ci misia, zgódź się. Potem możesz mnie zabrać na lunch.

– Nie musisz. – Sidneya zastanawiały prezenty od Amandy, najpierw pies, teraz miś. Sam powinien jej coś ofiarować.

– Wiem, że nie muszę. Ale chcę. Wybiorę coś dla ciebie.

– Wspaniały pomysł. – Właściciel się zachwycił. – Czasami myślę, że do szczęścia człowiekowi potrzebny tylko piękny miś i ciepły termofor.

– Gdyby to było takie proste – powiedziała Amanda, uiszczając rachunek.

Zostali w Saffron Walden na lunch. Sidney zaproponował powrót do Grantchester, ale Amanda nie chciała o tym słyszeć. Wolała się rozejrzeć i spędzić przyjemnie dzień, zwiedzić ruiny zamku i średniowieczne budynki, zerknąć na zdobione tynki na domach przy Bridge Street.

– I szczerze mówiąc – dodała – chyba nie przełknęłabym kiełbasek pani Maguire.

Sidney poczuł, że powinien się wstawić za swoją gospodynią. Nie każdy może mieszkać w Hampstead.

– Pani Maguire stara się jak może przy bardzo ograniczonych środkach, Amando.

Dochodziła czternasta. Sidney martwił się, czy aby na pewno w hotelu Swan podają już posiłki. Zapewnił kelnerkę, że zadowolą się czymkolwiek, a ponieważ był piątek, zarówno zupę, jak i rybę uznają za doskonałe. Amanda miała jednak inne pomysły.

– Poprosimy dżin z tonikiem, lodem i cytryną, a do tego ciepłe bułeczki.

Tymczasem przestudiujemy menu, więc gdyby była pani tak miła...

Kelnerka ani drgnęła.

– Szef kuchni zaraz wychodzi, a ten pan już zamówił.

Amanda spojrzała na oprawne w skórę menu.

– Nie sądzę. Wyraził jedynie nadzieję, że nie zrobi kłopotu. To nie to samo. Czy wszystkie pozycje z menu są dostępne?

– W pewnym sensie...

Sidney usiłował rozładować napięcie.

– Amando, proszę, nie rób scen...

– Co by pani poleciła? – kontynuowała Amanda.

Kelnerka spojrzała na Sidneya.

– Poleciłabym zupę i rybę, proszę pani.

– A jaką macie zupę?

– Muszę spytać szefa kuchni...

– Nieważne – odezwał się Sidney – będziemy mieli niespodziankę.

– Wydaje mi się, że grzybową...

– Nie znoszę grzybowej – powiedziała Amanda.

– Mamy bardzo dobrą pomidorową.

– Pomidorową lubię. I w takim razie poprosimy chyba rybę. Dziękuję bardzo. – Amanda podała kelnerce menu. – No naprawdę, Sidneyu, o co tyle zamieszania.

Na stole pojawiły się dwa talerze ciepławej zupy pomidorowej z puszki. Do tego dodano wprawdzie gałązkę pietruszki, ale kleks śmietany tylko jeszcze bardziej obniżył temperaturę dania.

– Mogę się rozgrzać kolejnym dżinem – powiedziała Amanda – albo wlać go do zupy i od razu ją doprawić. Nie do wiary, że płacimy za to sześć szylingów.

– Nie martwmy się – odrzekł Sidney. – Ryba na pewno będzie smaczna. Potem możemy się skupić na zawiłościach sprawy.

– W kwestii tego posiłku na pewno nie ma żadnych zawiłości, wszystko jest jasne.

W restauracji posilały się jeszcze trzy osoby: milcząca para turystów i człowiek z wielką brodą, który w reakcji na niedoskonałość posiłku postanowił go chyba nosić na sobie, zamiast zjeść.

– Nadzwyczajne – szepnęła Amanda. – Żeby tak bardzo się nie przejmować...

Sidney wyjął zdjęcia portretu Anny Boleyn i przyjrzał im się uważnie raz jeszcze.

– Musimy znaleźć tego Phillipsa....

– Myślisz, że działał w porozumieniu z renowatorem?

– Niewykluczone. Albo renowator nie miał o niczym pojęcia. Musi istnieć

ktoś, kto rozpoznał obraz.

– Ktoś z pałacu? Może lokaj? Albo któryś z przyjaciół lorda Tevershama?

Sidney rozważył tę sugestię.

– Zastanawiałem się nad człowiekiem od ubezpieczeń, który przyszedł wycenić kolekcję. Obraz oddano do renowacji niewiele później, a to on zasugerował taki krok. Jak sądzisz, ile ten obraz jest wart?

– Zrobiłam rozeznanie. W tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym sprzedano obraz Holbeina za niespełna cztery tysiące funtów. Portret Anny Boleyn byłby wart o wiele więcej. Na pewno tyle, że wystarczyłoby na ładny dom na wsi.

Sidney znowu spojrzał na zdjęcie.

– Ten wizerunek naprawdę jest mało pochlebny – zauważył.

– To były początki portretów realistycznych – zaczęła wyjaśnienia Amanda. – Holbein oprócz fizycznego podobieństwa starał się oddać cechy duchowe modela.

Podano rybę; wyglądała bardziej obiecująco niż zupa. Sidney zamyślił się na chwilę.

– Anna Boleyn – rzekł wreszcie – jest jednym z głównych powodów, dla których wykonuję swoją pracę. Bez niej nie byłoby Kościoła Anglii. Nie byłoby arcybiskupa Parkera w moim college'u ani modlitewnika Cranmera.

– Ale raczej i tak byłbyś księdzem.

– Nie jestem pewien. Myślę natomiast, że właśnie w tym momencie Anglia dokonała samookreślenia. To interesujące, że renowator nazywał się Wyatt. Czyż to nie Thomas Wyatt kochał Annę Boleyn? Pamiętasz jego wspaniały wiersz *Chce kto polować*?

– Pewnie tak, Sidneyu.

– Więc koniec końców, Anna Boleyn może dała początek i modlitewnikowi, i wprowadzeniu sonetu do języka angielskiego.

– Tak sądzisz?

– „Chce kto polować – wiem, gdzie znaleźć łanię / dla mnie, niestetyż, za późno na łowy"...

– Sidneyu, proszę, nie ekscytuj się.

– „Tak-ci mię znużył ów pościg jałowy, / Że ledwie słyszę w dali rogów granie. / A przecie, mimo całe me znękanie, / Tropem zwierzyny dążę przez dąbrowy, / Niczym nie trzeźwiąc rozpalonej głowy..."[25].

– Przestań. Ludzie na nas dziwnie patrzą.

– Świetnie się bawię.

– Świetnie się bawisz moim zakłopotaniem?

– Odrobina żartów ci nie zaszkodzi, Amando.

– Nie lubię, kiedy ktoś sobie ze mnie żartuje. To krępujące. – Dokończyła rybę. – Więc myślisz, że powinniśmy znaleźć tego Phillipsa? Może poprosimy

o pomoc twojego kolegę inspektora?

– Myślę, że ty byś musiała go poprosić.

– Ja?

– Tak, ty... Nie zniosę jego miny, gdy ja to zrobię.

– Ewentualnie mogę też zadzwonić do lorda Tevershama i spytać o nazwę firmy ubezpieczeniowej. Jeśli człowiek, który się nimi zajmował, też nazywał się Phillips, i jeśli pracuje dla specjalistycznej firmy, to odnalezienie go powinno być całkiem proste.

– Myślisz, że dasz radę to zrobić?

– Mamy listę ubezpieczycieli dzieł sztuki. Jestem pracownikiem National Gallery. To w zasadzie moja praca.

– Ale to chyba nie jest ta praca, do której cię zatrudniono.

– Sidneyu, w życiu nie miałam do czynienia z lepszą ilustracją powiedzonka „przyganiał kocioł garnkowi". Chodź, zawiozę cię do domu.

Wilkie Phillips mieszkał w jednym z wielu walących się budynków na obrzeżach gospodarstwa pod Ely. Teren dokoła był ogrodzony drutem kolczastym, ogród od lat zaniedbany, a samotny dom sprawiał wrażenie niechcianego. Z bliska jednak Amanda uznała, że konstrukcja budynku jest w dobrym stanie. Właściciel tego domu na pewno rzadko z niego wychodził.

Rozmowa telefoniczna z lordem Tevershamem, a potem wizyta w biurach London Assurance, gdzie Amanda wykorzystała spory urok osobisty, zaowocowały właśnie tym adresem. Postanowiła kontynuować śledztwo sama, w imieniu National Gallery, nie zawracając głowy ani Sidneyowi, ani inspektorowi Keatingowi. Złoży wizytę Wilkiemu Phillipsowi jak najbardziej nieoficjalnie, aby nie wzbudzać podejrzeń, a potem, jeśli stwierdzi, że obraz jest u niego, albo zrodzą się w niej jakiekolwiek wątpliwości co do wiarygodności rozmówcy, wezwie pomoc. Tymczasem Amanda była pewna, że jest absolutnie zdolna samodzielnie odwalić kawał detektywistycznej roboty.

Tak właśnie znalazła się w korytarzu jednego z najdziwniejszych domów, jakie w życiu widziała. Do środka wpuścił ją niewysoki brodaty mężczyzna, który wyglądał jak podstarzały van Gogh. Najwyraźniej ani wygląd zewnętrzny, ani higiena nie spędzały Wilkiemu Phillipsowi snu z oczu. Tweedowa marynarka od Harrisa, sweter z Wysp Owczych i koszula marki Viyella ewidentnie nigdy nie zetknęły się z pralnią, a wypchane beżowe spodnie sztruksowe trzymały się na sznurku. Mężczyzna liczył sobie z sześćdziesiąt lat, ale głos miał jak świeżo po mutacji.

– Nie wyobrażam sobie, czym mógłbym pani służyć – zaprotestował. – Tu nie ma nic wartościowego.

– Słyszałam, że ma pan imponującą kolekcję.

– Nie wiem, z kim pani rozmawiała. Nie mam żadnych znajomych.

– Na pewno pan ma.

– Proszę mi wierzyć, panno Kendall – odparł Wilkie Phillips – nie mam.

W korytarzu wisiały roznegliżowane damy pędzla Renoira i Degasa. Chociaż ewidentnie były to kopie, i nie wszystkie wykonano z zachowaniem skali, na widok takiej liczby wyeksponowanych kobiecych ciał Amanda mimowolnie zastanowiła się nad stanem umysłu gospodarza.

– Nie miewam gości. Kiedy jeszcze żyła moja matka, ciągle ktoś tu przychodził, ale ja nie jestem towarzyski. Poza tym lubię trzymać obrazy dla siebie.

– Są bardzo dobre.

– Same kopie, oczywiście.

– Widzę właśnie. Kto je dla pana wykonał?

– Kolega. Niestety, już nie pracuje i się wyprowadził, więc kolekcja się nie powiększa. Ale nie potrzebuję przyjaciół, skoro mam obrazy...

Amanda widziała, że obrazy wyeksponowano z wielką dbałością, choć ściany potrzebowały odnowienia. Każde dzieło miało własne oświetlenie, a portrety wiszące w holu były na tyle duże, że wywoływały wrażenie rozległej, choć zaniedbanej wiejskiej posiadłości. Locket Hall dla biedaków. Podobnie jak w wielu posiadłościach, było tu za zimno i za wilgotno dla dzieł sztuki. W oddali Amanda dostrzegła jednak płonący kominek.

– Niech no mi pani powtórzy, czym się pani zajmuje? – poprosił Phillips.

– Jak już wyjaśniłam przy wejściu, sporządzamy spis największych dzieł w kraju, tak byśmy wiedzieli, gdzie co się znajduje...

– No to ja nie wiem, co pani tu robi.

– Rzeczywiście, ktoś mnie musiał wprowadzić w błąd.

– I gdzie to tak plotkują?

Amanda ani myślała poddawać się bez walki.

– Wydaje mi się, że pan pracuje w ubezpieczeniach?

– Od dwóch lat już nie pracuję. Mam skromną emeryturę i żyję oszczędnie. Na pewno nie stać by mnie było na oryginalne dzieła. Nawet te kopie drogo mnie kosztowały.

– Powinien pan przyjechać do National Gallery zobaczyć oryginały.

– To bardzo miłe, panno Kendall, ale wolę wszystko mieć pod ręką. Nie lubię zbytnio zawracać sobie głowy dzisiejszym światem.

– W takim razie przepraszam, że panu zawracam głowę.

– Niepotrzebnie. Zaproponowałbym pani herbatę, ale niestety piję tylko mleko. I lubię skondensowane.

– Ach tak...

– To żadne dziwactwo...

– Nic takiego nie pomyślałam...

– Po prostu życie tak się umie skomplikować... – Wilkie Phillips otarł oko. –

Codziennie noszę te same ubrania i jem to samo. Wtedy nie muszę się nad tym zastanawiać. Mogę sobie patrzeć na swoje obrazy.

– Temu poświęca się pan na emeryturze?

– Każdy dzień spędzam w innym pomieszczeniu. Mam tu siedem pokojów, po jednym na każdy dzień tygodnia. Wszystko jest zorganizowane.

– A dzisiaj gdzie pan spędza czas?

– W bocznym pokoiku.

– To tam, gdzie się pali ogień?

– Jest pani spostrzegawcza.

– Mogę zobaczyć?

– Tam nic nie ma, naprawdę. Tylko kilka portretów. I są zupełnie nieinteresujące.

– Na pewno bardzo mi się spodobają. To pańska osobista National Gallery, prawda?

Phillips aż się cofnął.

– Nie posuwałbym się tak daleko. Ale uważam, że każdy pokój powinien mieć zachowaną osobną tematykę. Włoski renesans, holenderskie martwe natury, weneckie pejzaże i salon Vermeera. To mój ulubiony malarz.

– A boczny pokój?

– To pokój reformacji: *Adam i Ewa* Cranacha, Quentin Massys i ze dwa Holbeiny. Nie zdecydowałem się na żadnego Henryka VIII, bo jest zbyt groźny, no i, jak pewnie pani zauważyła, wolę obrazy przedstawiające kobiety.

– Możemy tam przejść?

– Ale nie zostanie pani długo, prawda? – spytał Phillips. – Ja po prostu nie skończyłem jeszcze dzisiaj oglądania, a lubię patrzeć na obrazy w świetle dziennym.

– Nie, nie będę pana zatrzymywać. Najbardziej mnie interesuje renesans Północy.

– Czyli reformacja. Taki realizm psychologiczny...

Weszli do pokoju. Na ścianie naprzeciwko drzwi wisiał obraz *Miłosierdzie* Cranacha, znajdujący się w kolekcji National Gallery. Rozpoznała portret lady Guildford, a nad kominkiem ujrzała portret Anny Boleyn lorda Locketa.

– Och – Amanda starała się zachować lekki ton. – Tego chyba nie znam.

– Tak – przyznał Wilkie Phillips – to mało znane dzieło.

– Kopia?

– Wszystko to są kopie, jak pani zauważyła.

– A gdzie znajduje się oryginał?

– Nie pamiętam...

– Sądziłam, że zna pan miejsce przechowywania wszystkich oryginałów.

– To są kopie, więc to przecież nieważne...

– Ale ta wydaje się wyjątkowo dobra. Ma lepszą patynę. I wrażenie starości jest bardziej przekonujące. Kim jest ta kobieta?

– Nikt ważny.

– Tak pan sądzi? Wydaje mi się, że widzę cartellino.

– To nie ma wielkiego znaczenia.

– Wręcz przeciwnie. Myślę, że ma ogromne. Mogę się dokładniej przyjrzeć?

Obraz wisiał za wysoko, ale Amanda była przekonana, że na cartellino widzi napis „Quene Anne Bulleyene".

Wilkie Phillips przestępował z nogi na nogę.

– Może by już pani poszła?

– Tak, oczywiście. Tylko że to niesamowite...

– Tak, tak, to pewnie naprawdę dziwne trafić w takie miejsce. Bardzo mi przykro, że jechała pani na próżno.

– Ależ zupełnie niepotrzebnie... – Amanda się zawahała. – Nie sądzi pan, że to jest ktoś ważny? – spytała.

– Nie byłbym pewien. Po prostu zobaczyłem ten obraz i mi się spodobał.

– Ale nie pamięta pan, gdzie go zobaczył?

– Pewnie to trochę dziwne...

– I wisi na honorowym miejscu...

– No, jak wspomniałem, ta kobieta bardzo mi się podoba.

– Nie korciło pana, żeby się czegoś dowiedzieć?

– Dużo pytań pani zadaje, panno Kendall. – Wilkie Phillips zaśmiał się nerwowo.

Amanda chciała się lepiej przyjrzeć obrazowi, ale zrozumiała, że siedzi za długo. Musiała się zastanowić w spokoju.

– Mogłabym jeszcze skorzystać z łazienki? – spytała.

– A musi pani?

– No nie, rzeczywiście nie jest to konieczne.

– Nie, przepraszam, bezsensownie się zachowałem. Widzi pani... nie jestem przyzwyczajony do gości... nie lubię, jak ludzie patrzą na moje obrazy... To dziwne, tak, ale proszę... na końcu korytarza.

Ruchem lewej ręki Wilkie Phillips wskazał otwarte drzwi.

– Zaprowadzę panią...

Amanda nie mogła się powstrzymać, przysunęła się jeszcze o krok w stronę obrazu.

– Myślę, że to najlepsze dzieło w pańskiej kolekcji. Najbardziej przekonujące...

– Naprawdę? No proszę. Jak wspomniałem, łazienka jest na końcu korytarza...

Amanda minęła Wilkiego Phillipsa w drzwiach, ale zdenerwowana

stwierdziła, że mężczyzna rusza w ślad za nią.

– Dziękuję – powiedziała, próbując zwiększyć dystans pomiędzy nimi.

Jej gospodarz znowu zaśmiał się nerwowo.

– Nie chcę, żeby się pani zgubiła.

Skręcili w lewo tuż przed kuchnią i Amanda znalazła się w niewielkim korytarzyku bez okien, w skrzydle budynku. Łazienka mieściła się na końcu, w środku znajdowała się umywalka i zakratowane okienko. W zamku nie było klucza, ale zamknęła drzwi i próbowała zebrać myśli.

„To proste" – powiedziała sobie w myślach. Postara się być jak najgrzeczniejsza, wyjdzie, a potem powie wszystko Sidneyowi i lordowi Tevershamowi. Jeden z nich powiadomi inspektora Keatinga, a potem zacznie się całe śledztwo. Mogli zarekwirować obraz, eksperci w galerii sprawdzą jej podejrzenia – bo to nadal była tylko teoria – a jeśli te podejrzenia się potwierdzą, sprawy potoczą się dalej.

Amanda umyła ręce, poprawiła szminkę i przeczesała włosy. Przeszła wąskim korytarzem z powrotem do kuchni, oczami wyobraźni już widziała, jak jedzie z powrotem do Londynu. Tyle miała do przemyślenia, że gdy przekręciła gałkę w drzwiach, wręcz nie zauważyła, że ta ani drgnęła. Spróbowała raz jeszcze. Obróciła się, ale gdy Amanda pchnęła drzwi, a następnie pociągnęła je ku sobie, stwierdziła, że są zamknięte na klucz. Wyglądało na to, że została uwięziona.

„Na miłość boską!" – pomyślała.

– Panie Phillips! – zawołała.

Nie doczekała się odpowiedzi.

Załomotała w drzwi.

– Panie Phillips! – Rozejrzała się po łazience. Jedyne wyjście na zewnątrz prowadziło przez niewielkie zakratowane okienko. W korytarzu nie było okien.

Znowu załomotała. A potem spojrzała na swoją torebkę. Może ma przy sobie pęsetę albo jakieś inne narzędzie, które umożliwiłoby jej sforsowanie zamka? Uświadomiła sobie, że nie wie, jak się robi takie rzeczy, i że tak czy owak, nie ma co tak szybko wpadać w panikę. Wilkie Phillips to po prostu bardzo dziwny człowiek. Na pewno nie zamknął jej rozmyślnie.

Raz jeszcze załomotała w drzwi.

Jakim cudem się w to wpakowała, a co ważniejsze: jak ma się z tego wykaraskać? „Ależ ze mnie idiotka" – pomyślała.

Wróciła do ataku, walnęła pięścią w drzwi, a potem stukała i krzyczała przez dobre pół minuty. Aż wreszcie przestała.

W zapadłej ciszy usłyszała Wilkiego Phillipsa.

– Niezły dzięciołek, co? Puk, puk, puk...

Mówił cicho i gdzieś z bliska, a nie słyszała wcześniej jego kroków. Amanda uświadomiła sobie, że mężczyzna musiał cały czas stać po drugiej stronie drzwi.

– Panie Phillips, chyba jestem zamknięta...

– Na to wygląda.

– Ma pan klucz?

Zapadła cisza, można by odnieść wrażenie, że mężczyzna analizuje trudne pytanie.

– W rzeczy samej.

– A mógłby mnie pan wypuścić?

– Obawiam się, że nie mogę, panno Kendall.

– Dlaczego?

– Widziałem, jak pani patrzy na ten obraz.

– Nie ma nic złego w patrzeniu na obraz.

– Ale pani nie patrzyła na jakiś obraz, tylko na ten właśnie obraz.

– A jeśli nawet, to co?

– Wie pani, co to jest, prawda?

– Nie jestem pewna.

– Chciałaby pani mi powiedzieć? – mówił fałszywym tonem Phillips. – Na pewno pani wie.

Amanda westchnęła. Może powinna przestać udawać.

– To Anna Boleyn – powiedziała.

– Doskonale.

– Obraz z kolekcji Lumleya. Oryginał wisiał w Locket Hall.

– Wisiał...

– I już nie wisi.

Wilkie Phillips wciąż mówił zdradliwie spokojnym głosem:

– Lord Teversham to taki dureń. Gdy tylko zobaczyłem ten obraz, zrozumiałem, że muszę go mieć. A on nie miał o niczym pojęcia.

– Wypuści mnie pan?

– Obawiam się, że nie mogę, panno Kendall.

– A jeśli obiecam, że nikomu nie powiem o obrazie?

– Nie wierzę pani...

– Policja wie, że tu jestem.

– Nie boję się policji.

Amanda pożałowała, że przyjechała bez Sidneya.

– Na pewno już są w drodze – powiedziała.

Odpowiedź Wilkiego Phillipsa była spokojna i prowokacyjna:

– No to musimy tylko poczekać i się przekonamy. Nie jestem pewien, czy wpuszczę jeszcze kogoś do środka. To byłby taki sam błąd jak wpuszczenie pani. Jestem teraz zdenerwowany. Zdekoncentrowała mnie pani uroda.

– Nie sądzę...

– Może gdybym zobaczył coś więcej, lepiej bym ją ocenił. Byłbym milszy.

– Niech pan nie będzie śmieszny.

– Nie powinna pani nazywać mnie śmiesznym, panno Kendall. Na pani miejscu bym tego nie robił.

– Co pan zamierza?

Wilkie Phillips wciąż mówił, niemal dotykając ustami drzwi.

– Jeszcze nie wiem. Nie zastanawiałem się. Podniecające, prawda?

Następny czwartkowy wieczór 26 sierpnia 1954 roku Geordie Keating i Sidney Chambers mieli zacząć swoją tradycyjną rozgrywką tryktraka w barze RAF-u w The Eagle. Inspektor był w dobrym nastroju: dzieci wróciły już do szkoły, zaczął się sezon piłkarskich rozgrywek – jego ukochane Newcastle United wygrało nawet z Arsenalem 3:1 – a Scotland Yard udzielił mu pochwały za pomoc w sprawie Templetona. Miał zatem sposobność pożartować sobie z Sidneya na temat jego planów małżeńskich, pytając go wprost o Amandę.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, powinieneś skończyć te podchody i się oświadczyć.

– Nie sądzę, by ktokolwiek wyobrażał sobie Amandę w roli żony wiejskiego księdza.

– Mogłaby wyzwolić się z szablonu.

Sidney ponownie wyrzucił kości: szóstkę i jedynkę.

– Zresztą mnie się podoba tak, jak jest. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Nie chcę niszczyć tego romansowaniem, nawet gdybym miał u niej jakieś szanse. Wiele przemawia za celibatem, rozumiesz. Więcej jest czasu dla Boga.

Inspektor Keating wyrzucił czwórkę i trójkę. Mieli po równo.

– To nietypowe, że jesteś taki powściągliwy.

– Jestem realistą. To pewna różnica. – Sidney zawiesił rękę w powietrzu. – A swoją drogą to dziwne, Geordie. Od kilku dni nie miałem od niej wiadomości. Zostawiłem informację u mojej siostry, lecz Amanda nie odpowiedziała. To naprawdę do niej niepodobne.

– Pewnie znalazła już sobie kogoś innego.

– Nieustannie jest ktoś inny. Zdążyłem się do tego przyzwyczaić.

Keating odstawił piwo i posłał Sidneyowi jedno ze swoich irytujących „stroskanych” spojrzeń.

– To dziwne, że nie oddzwoniła. Dlaczego nie spróbujesz jeszcze raz?

– Nie chcę jej nagabywać. – Sidney wyrzucił kości zbyt agresywnie. Odbiły się od planszy, poturlały po stoliku i dalej, na podłogę. W ogóle nie mógł się skupić.

Uwięziona w toalecie samotnego gospodarstwa pod Ely, Amanda zaczęła tracić poczucie czasu. Zaraz gdy zyskała pewność, że Wilkie Phillips udał się na spoczynek, umyła się i uczesała. W łazience nie było ciepłej wody i znalazła tylko kawałeczek mydła marki Cidal. Potem wykonała kilka ćwiczeń fizycznych

zapamiętanych z zajęć skautek: bieganie w miejscu, skłony i trzy, cztery pajacyki. Przypomniała sobie motto „Bądź czujna” i znowu się na siebie wściekła. Kobieta, która zawsze szczyciła się swoją inteligencją, dała się tak wystrychnąć na dudka!

Spanie na zimnym linoleum uznała za wręcz niemożliwe. Ostatecznie zapadła w drzemkę i próbowała myśleć o dobrych rzeczach w swoim życiu, ale świt nadszedł za wcześnie. Nagle usłyszała dziwny ptasi dźwięk – okazało się, że to Wilkie Phillips szepcze wysokim głosem piosenkę przez zakratowane okienko:

O rety, rety, o co tyle krzyku,
Dwie starsze panie utknęły w sraczyku,
Siedziały tam dwa dni całe,
Nikt nie wiedział, gdzie się podziały.

– Niech mnie pan wypuści, proszę.

Królicze oczy Wilkiego Phillipsa widać było przez kraty.

– Nie wydaje mi się, że sytuacja umożliwia pani stawianie żądań.

– Jestem głodna.

– Zostawiłem pani kanapkę.

– Nie mogę tego zjeść.

– To pasta łososiowa. Zrobiłem ją specjalnie dla pani.

– Nie chcę tego.

W głosie mężczyzny pojawił się lodowaty ton.

– Jeśli chce pani przeżyć, chyba musi pani o siebie zadbać.

– Grozi mi pan?

– Może tak. A może i nie. Życie jest takie nieprzewidywalne.

– To śmieszne. Mój przyjaciel wie, że tu jestem. Sprowadzi policję.

– Ale coś go nie widać, prawda?

– Na pewno przyjedzie.

– Kim on jest?

– To dobry człowiek. Dla mnie o wiele za dobry.

– Ma pani szczęście, że ktoś panią kocha. Ja miałem tylko matkę.

– Dlaczego pan to robi, panie Phillips? Przecież nie po to, żebym pana zrozumiała.

– Może pani mówić mi po imieniu.

– Dlaczego mnie pan nie wypuści?

– Bo obraz jest mój i nie pozwolę, żeby mi go pani zabrała.

– Nie chcę go zabierać. Chcę tylko wyjść.

– Ale potem powie pani swoim przyjaciołom, a oni przyjadą i zabiorą mnie z tego cudownego domu i już nigdy nie zobaczę swojej piękności.

Amanda zrozumiała, że tak niczego nie osiągnie. Już pojmowała naturę jego obsesji. Postanowiła zaatakować z innej strony.

– Tak się zastanawiałam. Dlaczego właśnie Holbein? To dość dziwny wybór.

– Naprawdę? Może. Ale to dlatego, że kobieta na obrazie wygląda dokładnie jak moja matka. Gdy tylko ją zobaczyłem, wiedziałem, że muszę go mieć. Wie pani, ile lat miała Anna Boleyn w chwili koronacji?

– Dwadzieścia sześć albo trzydzieści dwa. Data jej urodzin jest kwestią sporną.

– Widzę, że zna pani historię. Jestem pod ogromnym wrażeniem. Świetnie się dogadamy. Moja matka właśnie miała mniej więcej tyle lat, gdy się urodziłem, i pewnie musiała wówczas tak właśnie wyglądać. I teraz już zawsze będzie ze mną, utrwalona w dziele sztuki, niedostępna dla śmierci. Mogę patrzeć na nią, ile chcę. Jeśli mi się podoba, to choćby i cały dzień. Nie mam zbyt wielu zalet, ale jedną z nich jest nadzwyczajna cierpliwość.

– Ale to nie jest portret pańskiej matki.

– Mogę sobie wyobrazić, że owszem.

– Ale dlaczego to musi być oryginalne dzieło? Wszystkie inne obrazy są kopiami. I pan chyba się nimi doskonale zadowala.

– Bo w tym świecie fałszu i podróbek tylko moja matka jest prawdziwa. Tak samo było za jej życia. Rozumie pani? Naprawdę nieźle to wymyśliłem.

– Pewnie tak.

– I sądzi pani, że zrezygnuję z jedynego oryginalnego dzieła w mojej kolekcji? A może teraz mam dwa: jednym jest pani. Żywa rzeźba. Jestem Pigmalionem. Razem może poczniemy syna Pafosa. Zjedz trochę kanapki...

Amanda nadal nie wiedziała, jak się obchodzić z porywaczem: czy wybrać postawę wrogą, czy zachowywać się wobec niego życzliwie.

– Wie pan, że przyjaciel po mnie przyjedzie. Powiedziałam mu o tej wizycie.

– Chyba ci nie wierzę, niestety. Kiedy to mówisz, za bardzo się denerwujesz. Nie jesteś dobrym kłamcą, prawda, panno Kendall? Może powinienem mówić ci Amando, skoro mamy mieć zażyłe stosunki. Albo Mandy. Lubisz, jak się mówi do ciebie Mandy?

– Nie lubię.

– Milly-Molly-Mandy. Nawet jesteś trochę do niej podobna. Jako dziecko byłaś ładna? Pewnie tak. Ciekawe, jak wyglądasz bez ubrania. Chyba będę musiał popatrzeć, jak się myjesz.

– Nie będę się myła.

– Wszyscy musimy dbać o higienę, moja droga. Masz tam mydło. Mydło cidal. Moja mama takiego używała. I masz ręcznik. Widzisz, jak o ciebie dbam? Jestem bardzo miły. A będę jeszcze milszy, jeśli ty będziesz miła dla mnie.

– Słabo mi.

– Więc powinnaś coś zjeść.

– Nie chcę dać się otruć.

– Zostawiłem ci banana. Możesz go sama obrać.

– Mógł pan coś z nim zrobić.

– Leży na parapecie. Cieszę się, że założyłem kraty. Jeszcze tydzień i pewnie zostanie z ciebie taka chudzina, że dałabyś radę się tędy prześlizgnąć.

– Może mnie pan zostawić samą?

– Nie odpowiada ci moje towarzystwo?

– Nie.

– Myślałem, że lubisz nasze pogawędki.

– Niech pan sobie pójdzie... – powiedziała Amanda. – Proszę. Niech pan idzie.

– Nie powinnaś chyba być dla mnie niegrzeczna. Gdy się robię zły, nie jestem miły.

– W żadnych okolicznościach nie jest pan miły.

– Jaka małoduszna uwaga. Zjedz banana...

– Nie chcę tego cholernego banana.

– Gdy byłem mały, to był mój piątkowy smakołyk. Mama zabierała mnie do sklepu warzywnego i mogłem sobie wybrać, co chciałem. Jedliśmy banany w samochodzie w drodze do domu. Lubię takie trochę lepkie.

– Nie znoszę bananów. Chce mi się po nich wymiotować.

– Jaka szkoda. Zwłaszcza że przyniosłem ci jednego w prezencie.

Amanda postanowiła go udobruchać.

– Przepraszam. Niech pan sobie nie myśli, że jestem niewdzięczna.

– Oczywiście powinnaś mi coś dać w zamian. Zastanawiam się, co by to mogło być. Wydaje mi się, że niewiele masz do zaproponowania oprócz samej siebie. Ale to by było całkiem miłe. Nie mógłbym się doczekać. Wręcz może bym cię oszczędził jako smakołyk.

– Proszę, nie.

– Zastanawiam się, co pozwolisz mi zrobić. Tyle jest do wyboru. Chyba sobie zjem twojego banana, gdy będę się namyślał.

Sidneya zaskoczył niepokój inspektora Keatinga o Amandę i uznał go za wzruszający, chociaż sam nie był nadmiernie zaniepokojony. Przyjaciółka często znikała na kilka dni, żeby odwiedzić koleżanki na wsi. Wtedy komunikacja między nimi zamierała. W końcu ich przyjaźń była stosunkowo nowa i, jak już powiedział Geordiemu, nie chciał za wiele się domagać. Poza tym Sidney miał własne troski i obowiązki, zwłaszcza zbliżający się letni kiermasz i coroczny wyjazd skautów do Scarborough.

Nawet się nie zaniepokoił, gdy jego siostra zadzwoniła we wtorek rano, by powiedzieć, że Amandy nie ma w domu od kilku dni. Choć samo w sobie nie było to nic nadzwyczajnego, Jennifer wyjaśniła, że dzwoniono z National Gallery z pytaniem, czy Amanda jest chora. Jej samochód zniknął, rodzice przebywali za granicą, a w notesie został zapisany dziwny adres pod Ely wraz z nazwiskiem

„Wilkie Phillips”. Czy Sidney cokolwiek o tym wie i czy ona powinna się martwić?

Jej brat udawał, że wszystko jest w porządku. Powiedział, że Wilkie Phillips to osoba ze świata sztuki i że Amanda bardzo chciała z nim porozmawiać o Holbeinie. Nie było się czym martwić, ale gdyby zechciała mu podać ten adres, to on rozpyta tu i ówdzie i ją uspokoi. Jennifer ewidentnie nie dała się zwieść temu rzekomo spokojnemu głosowi brata, ale spełniła jego prośbę.

Gdy tylko Sidney odłożył słuchawkę, ruszył na dworzec w Cambridge, gdzie wsiadł do pociągu do Ely. Wziął ze sobą rower i wysiadłszy z pociągu, ruszył na nim drogą przez Fens. Przepełniał go strach, a uczucia tego nie łagodził fakt, że z każdą kolejną milą wioski wydawały się bardziej odludne. Wypytał o kierunek do drogi dojazdowej do domu Wilkiego Phillipsa i wreszcie skręcił w wąski trakt. Ten po jakimś czasie się rozszerzył i ostatecznie wyszedł na dom, do którego przed trzema dniami trafiła Amanda. Jej samochód stał na zewnątrz. Dach miał złożony, a ponieważ padało, siedzenia były mokre. Teraz Sidney zmartwił się jeszcze bardziej.

Podszedł do wejścia i zadzwonił. Nikt mu nie otworzył. Zadzwonił raz jeszcze. Następnie obszedł budynek. Największe okna były zabite deskami. Dom sprawiał wrażenie niezamieszkanego. Sidney zadzwonił raz jeszcze. I załomotał pięścią w drzwi.

Cisza.

Na rowerze ruszył w stronę Ely, ale zatrzymał się przy pierwszej napotkanej budce telefonicznej.

Zadzwonił do inspektora Keatinga.

– Martwię się o Amandę – rzekł.

– No co ty powiesz. Co się stało?

– Nie jest dobrze, Geordie. Myślę, że ją porwano.

Wilkie Phillips miał doskonały nastrój.

– Przykro mi, że nie słyszałaś dzwonka. To chyba był twój przyjaciel. Jak on wygląda?

– Trudno go opisać. Jest bardzo wysoki, ma miłą twarz. Wyprostowana sylwetka. Brązowe oczy. Ubiera się na czarno.

– A nie jest przypadkiem księdzem?

– Jest.

– Ojej. Czyli to był on. I odszedł. Jaka szkoda, że nie mogłem go wpuścić. Wszyscy byśmy sobie pogawędzili. Czy to twój wyjątkowy przyjaciel?

– Nie w taki sposób, jaki ma pan na myśli.

– A więc mam jeszcze szansę. Może jesteś, jak to mówią, do wzięcia, panno Kendall? Niezła partia, powiedziałbym. I znasz się na sztuce. To cię czyni o wiele bardziej atrakcyjną. Moglibyśmy przygotować cykl dyskusji o różnicy pomiędzy

aktem a nagością.

– Nie wydaje mi się to dobrym pomysłem, ani trochę.

– Nie? Mógłbym się zainteresować rysowaniem aktu z natury. Oboje byśmy mogli. Rysowalibyśmy siebie nawzajem. To byłoby zabawne, prawda?

– Naprawdę nie sądzę.

– Ale wiesz, że musisz być dla mnie o wiele milsza, jeśli w ogóle chcesz stąd wyjść?

– Panie Phillips, widzę przecież, że pan nie ma zamiaru mnie wypuścić.

– Mów do mnie Wilkie, proszę. Już ci mówiłem. Byłoby o wiele łatwiej, gdybyś współpracowała.

– A co miałabym zrobić?

– No, zdjąć ubrania, oczywiście.

– A jeśli to zrobię?

– Ja tylko popatrzę. Nie chcę dotykać.

Inspektor Keating jasno i wyraźnie powiedział swojemu przyjacielowi, że po raz ostatni stawia wszystko na jedną kartę, aby mu pomóc. Tylko dlatego, że naprawdę lubił Amandę i rozumiał, że ona może w końcu powściągnie co bardziej szalone pomysły Sidneya, zgodził się wkroczyć do akcji i dostarczyć dwa samochody oraz sześciu ludzi, choć wszystko to mogło się zakończyć szukaniem wiatru w polu.

Sidney już rozpytał w okolicy i wiedział, że Wilkie Phillips jest dziwakiem, że rzadko go widywano od śmierci matki i że tutejszy proboszcz zrezygnował już z prób złożenia wizyty duszpasterskiej, odkąd stało się oczywiste, że nie jest ona mile widziana. Miejscowy sklepikarz powiedział, że Phillips wychodzi jak najrzadziej, ale gdy już wychodzi, kupuje duże ilości mleka skondensowanego, pasty z łososia, chleba i bananów. Wyglądało na to, że nic innego nie je. Czy to go czyni niebezpiecznym, czy też jest po prostu ekscentrykiem – to zupełnie inna kwestia.

Keating kazał swoim ludziom zaparkować tak, by nie dało się ich dostrzec z obejścia, i podejść przez okoliczne pola. Sidney miał podjąć kolejną próbę złożenia wizyty drogą tradycyjną, a gdyby pojawiły się jakieś problemy, policja będzie pod ręką i natychmiast udzieli pomocy. Jeśli nikt nie otworzy drzwi, Keating wyda ostrzeżenie przez megafon. Dalszy brak reakcji spowoduje, że wkroczą na teren nieruchomości i uwolnią Amandę siłą. Zapewnił Sidneya, że bez niej nie odejdą.

Przez krótką chwilę Amanda spała, ale gdy się obudziła, stwierdziła, że ma związane ręce i nogi. Zastanawiała się, czy została oszołomiona lekami, czy ciągle śni. Wilkie Phillips był z nią w łazience, siedział na taborecie. Obserwował ją.

– Mam nadzieję, że mile ci się drzemało, moja droga. Ja też miałem udaną noc. Czy nie byłem dobry, że zostawiłem cię w spokoju? Tak mnie kusiło, żeby

być niegrzecznym.

– Co mi zrobiłeś?

– Pomyślałem, że możemy się trochę zabawić.

– Co zrobiłeś?

– Byłaś zmęczona i śpiąca, więc pomajstrowałem przy zbiorniku na wodę. Tylko odrobinę, ale na tyle, żebyś zasnęła. A potem byłem bardzo ostrożny. W ogóle mnie nie zauważyłaś. Ale może w tym ci odrobinę za ciasno.

Wilkie Phillips ukląkł przy Amandzie i zaczął odpinać jej bluzkę. Oddychał coraz szybciej. Z ust śmierdziało mu starymi bananami i pastą rybną. Gdy sięgnął do górnego guzika, Amanda pochyliła głowę i ugryzła go w rękę. Phillips odskoczył. Potrząsnął ręką z bólu. Poleciała krew.

Twarz mu się wykrzywiła, ale głos dalej miał spokojny.

– Popełniłaś błąd, moja droga.

Amanda zauważyła na podłodze skrzynkę z narzędziami. Phillips podszedł do niej i wyjął czarną taśmę izolacyjną. Oderwał kawałek, wrócił, odgarnął jej włosy i zakleił usta. Przewrócił ją na brzuch, podgarnął bluzkę i rozpiął stanik. Następnie odwrócił ją na plecy i zdjął stanik. Pochylił się nad Amandą, a wówczas ona z całej siły uderzyła go głową w twarz. Phillipsowi poleciała krew z nosa. Dotknął jej palcami. Na chwilę zamarł. A potem Amanda ujrzała, jak jego pięść zbliża się do jej twarzy.

Wtedy zapadła ciemność.

Policjanci zajęli pozycje. Sidney podszedł od frontu i kilka razy nacisnął dzwonek. Bez reakcji. Obszedł dom, waląc w każde okno i każdą okiennicę. Nie miał jak zajrzeć do środka, aż natknął się na zakratowaną łazienkę na tyłach domu. Zajrzał do środka – na podłodze ujrzał Amandę, na wpół rozebraną, związaną, zakneblowaną i nieprzytomną. Zawołał ją. Usłyszał hałas z wnętrza domu i nagle zobaczył cień mężczyzny przemykający w drzwiach. Pobiegł z powrotem do drzwi wejściowych i machnął na Keatinga, by ruszali. Wykrzyczał, co widział. Policjanci natarli, wyłamali drzwi. Dwóch pobiegło w głąb domu. Znaleźli otwartą łazienkę. Uklękli przy Amandzie. Oddychała.

Przeszukano dom. Gdy weszli do pokoiku bocznego, znaleźli Wilkiego Phillipsa przed portretem Anny Boleyn. Krzyczał, klął i obwiniał matkę o swoją impotencję.

Był nagi.

Sidney usiadł przy łóżku Amandy w szpitalu Addenbroke’s i uświadomił sobie, że nigdy jej nie widział bez makijażu. Wiedział, że nie chciałaby, aby ją oglądał taką posiniaczoną i bezbronną, że zawsze starała się wyglądać jak najlepiej. Ale gdy tak spała, nieświadoma, jak się prezentuje światu, czuł do niej sympatię jak nigdy.

Zaczął się modlić:

– Panie, spójrz z niebios, wejrzyj na swoją sługę i daj jej ulgę. Spójrz na nią wzrokiem Twojego miłosierdzia, daj jej pocieszenie i ufność w Ciebie, obroń ją przed nieprzyjaciółmi, przed niebezpieczeństwem, zachowaj ją w spokoju i bezpieczeństwie, przez Chrystusa Pana naszego, amen.

Modlił się, mając nadzieję na efekty. „Modlitwa to akt woli" – pomyślał. „Dyscyplina, której trzeba się nauczyć i się w niej ćwiczyć".

Na dłoni Amandy położył swoją.

Jej była taka smukła.

Ścisnął ją delikatnie z nadzieją na reakcję, ale się nie doczekał.

Popatrzył na jej bladą twarz.

Mówił na głos:

– Niech cię Pan błogosławi i strzeże. Niech Pan rozpromieni oblicze swe nad tobą, niech cię obdarzy swą łaską. Niech zwróci ku tobie oblicze swoje i niech cię obdarzy pokojem. Teraz i zawsze, i na wieki wieków, amen.

Pocałował ją w czoło. Pocałował ją w posiniaczony policzek. Raz jeszcze na jej dłoni położył swoją.

A potem wstał i podszedł do drzwi.

Obejrzał się ostatni raz i zostawił ją śpiącą.

Gdy opuszczał budynek, ujrzał inspektora Keatinga z bukietem gawędek.

– Cathy była z dziećmi na spacerze i narwali kwiatów dla panny Kendall. Ale założę się, że już jej zaniosłeś róże.

– Uznałem, że lepiej to odłożyć na później.

– No to jej powiem, że to od nas obu.

– Ona śpi.

– Zostawię je u pielęgniarki.

– Muszę wracać na nabożeństwo wieczorne, Geordie. Pewnie nie dołączysz do mnie później?

– Muszę wracać na posterunek.

– Rozumiem.

Kiedy Keating wszedł do sali, zauważył, że Amanda porusza się lekko.

– Dla mnie te kwiaty? – spytała.

– Oczywiście...

– Jak długo spałam?

– Nie wiem.

– Mogłabym dostać trochę wody?

– Przyniosę pani – odrzekł inspektor. – I znajdę wazon na kwiaty.

– Był tu Sidney?

– Dopiero co wyszedł.

– Wydawało mi się, że słyszę jego głos. Śniło mi się, że trzyma mnie za rękę i modli się za mnie...

– Na pewno tak było.
– Tak pan sądzi?
– On się modli za nas wszystkich.
– Nawet za mężczyznę, który mnie porwał?
– Zapewne.
– Co się z nim stało?
Inspektor Keating usiadł w nogach łóżka.
– Jest w areszcie.
– Będę musiała panu powiedzieć wszystko, co zrobił?
– Nie teraz.
– Ale kiedyś będę musiała?
– Może pani powiedzieć mi wszystko, co zdoła. Albo możemy sprowadzić policjantkę. To zeznanie będzie poufne.
– Pewnie mogły się wydarzyć o wiele gorsze rzeczy.
– Tak – powiedział cicho inspektor Keating. – Mogły.
– Powinnam powiedzieć Sidneyowi?
– Jeśli pani chce. On panią widział w tym domu. I wie, że przynajmniej...
– Nie zostałam zgwałcona ani zamordowana?
– Właśnie.
– Więc może to wystarczy. Nie rozmawiajmy o tym.
– Jest pani niewiarygodnie dzielna.
– I głupia. Co się stało z obrazem?
– Zwróciliśmy go lordowi Tevershamowi.
– Ucieszył się?
– Bardzo. Powiedział, że gdy tylko pani wyzdrowieje, zaprosi panią na lunch. Chyba planuje dla pani niespodziankę. Małe podziękowanie. Ale teraz nie musi pani o tym myśleć.
– A moi rodzice...?
– Są w drodze.
– Co im pan powiedział?
– Tyle, ile musieli wiedzieć.
– Jestem bardzo zmęczona.
– Musi pani odpoczywać. Cathy wybiera się do pani z jakimś wypiekiem. Uważa, że szpitalne jedzenie odbiega od pani standardów. Sidney mówił, że ma pani żałosne zdanie o placówkach żywieniowych w Cambridge.
– To dlatego, że jestem rozpieszczona.
– A może dlatego, że ma pani wysokie wymagania?
– Powiedzmy, że jestem rozpieszczona.
– Sidney się o panią martwił. Podobnie jak my wszyscy.
– On jest taki kochany.

– To prawda. I wiem, że świata bożego nie widzi za panią.

Amanda odwróciła od inspektora swoją posiniaczoną twarz.

– Myślę, że trudno być księdzem. Cokolwiek robisz dla ludzi, zawsze jest za mało. Ale masz powołanie, obowiązek, i nic nie poradzisz. Sidney powiedział mi kiedyś: „Ja nie dokonałem wyboru. To ja zostałem wybrany". Dość trudno kochać człowieka, który zawsze bardziej będzie kochał Boga.

– Może to inna miłość...

– Nie wiem, inspektorze. Staram się o tym nie myśleć.

– Niektórych rzeczy lepiej nie mówić na głos.

– Łączy nas przyjaźń i nie chcę robić niczego, co by ją mogło zniszczyć. Wiem, że pewnego dnia udzieli mi ślubu i że będzie ojcem chrzestnym moich dzieci.

– Pewnego dnia...

– Tak, inspektorze, pewnego dnia. Ale nieprędko. Jeszcze nie jestem gotowa.

– A gdy już ten dzień nadejdzie... – naciskał Keating – czy potem nie będzie pani przeszkadzać, jeśli Sidney poślubi kogoś innego?

– Ach, to... tak... to co innego. – Amanda zastanowiła się chwilę, zanim odwróciła się, by zasnąć. – Myślę, że będzie mi to bardzo przeszkadzać.

Dopiero po upływie trzech tygodni Amanda uznała, że może już złożyć wizytę w Locket Hall. Po przeżytym koszmarze czuła się słaba, trudno jej było dostosować się do codziennego życia, ale powiedziała Sidneyowi, że chce jak najszybciej wrócić do pracy i do przyjaciół. Nie da się. „Gdybym musiała zmienić swoje życie, oznaczałoby to wygraną tego człowieka. Nie będę żyć w strachu".

Lord Teversham zgodnie z obietnicą wydał lunch i dopilnował, żeby wziął w nim udział Sidney. Nie posiadał się z radości, że Amanda przyjeżdża tak szybko, a na powitanie ją pocałował.

– Wróciła zjawiskowa piękność – oznajmił z triumfującym i zamaszystym gestem, który sugerował, że jego gość pojawia się na scenie londyńskiego teatru. – Afrodyta znowu jest wśród nas.

– Pochlebia mi pan, lordzie Teversham.

– Mówię wyłącznie prawdę. I proszę mówić mi po imieniu. Dominic.

Cicely Teversham uściskała ją mocno, a Ben Blackwood po raz pierwszy ją pocałował.

– Witamy.

– Szampan! – zawołał do swojego lokaja lord Teversham. – W taki dzień jak dziś nie możemy poprzestać na czymś tak prozaicznym jak sherry. – Chwycił Sidneya za rękę. – Księdza już pewnie mdli na widok sherry, prawda?

Sidney się uśmiechnął. W końcu do ludzi zaczęło coś docierać.

– Rzeczywiście może się znudzić.

– Więc dlaczego nigdy ksiądz nic nie mówi?

– Nie chcę być niegrzeczny.

Amanda dotknęła jego ramienia.

– Och, Sidneyu, nie bądź takim świętoszkiem. Napijmy się szampana.

Mackay napełnił kieliszki, a lord Teversham wygłosił krótkie oświadczenie:

– Panno Kendall, zanim przejdziemy do lunchu, mamy dla pani małą niespodziankę.

– Ja już chyba nie lubię niespodzianek.

– Myślę, że ta panią ucieszy. Proszę wejść do Długiej Galerii. Pan też, księże Chambers. I weźcie ze sobą kieliszki. Ben wszystko wyjaśni.

Przeszli do Długiej Galerii, a tam zatrzymali się przed portretem Anny Boleyn. Amanda zapamiętała obraz jako jaśniejszy. Może to dlatego, że pogoda się popsuła. Był ponury, szary dzień, a do obrazu docierało jedynie światło wpadające przez okna.

Amanda przysunęła się o krok.

– Co pani sądzi? – spytał lord Teversham.

Zastanawiała się chwilę.

– Czy to nie jest nadal falsyfikat?

– Tak. Wiedziałem, że pani to odkryje. Jest pani taka bystra.

– Gdzie w takim razie jest oryginał?

Lord Teversham położył delikatną dłoń na ramieniu Amandy.

– Rozmawiałem telefonicznie z dyrektorem National Gallery. Wie, czego pani dokonała. Przypomniał mi, że obraz jest bezcenny. Potem zaczął opowiadać mi o ulgach podatkowych przysługujących za ofiarowanie obrazu narodowi. Mógłby się zająć formalnościami i do mojej śmierci obraz znajdowałby się w ekspozycji muzeum. Pan dyrektor zadbałby o to, by już nigdy nie znalazł się w niebezpieczeństwie. Wysłuchałem go uważnie... – Lord Teversham się uśmiechnął

– I? – spytała Amanda.

– Pomyślałem o pani, o wszystkim, przez co pani przeszła. I o tym, co zrobić. W Locket Hall w zasadzie nic się nie dzieje, rozumie pani. Mam swoją ukochaną siostrę, mam Bena. Poluję, wydaję przyjęcia, ale czego w życiu dokonałem? Niczego. Z czego zostanę zapamiętany? Z niczego. Teraz mogę zrobić tę jedną małą rzecz. Daję ten obraz pani, panno Kendall, czy też raczej ofiarowuję go pani pracodawcy.

– Och... – Amanda mimowolnie chwyciła Sidneya za rękę i ją ścisnęła. – To takie szlachetne.

– Nie ma o czym mówić, moja droga.

– Ależ jest. Przepraszam. Ostatnio często płaczę. Nie mogę się powstrzymać.

– W płakaniu nie ma nic złego.

Puściła rękę Sidneya.

On sobie przypomniał, jak leżała w szpitalu, przypomniał sobie jej posiniaczone, bezsilne ciało na podłodze łazienki. Jeszcze nigdy nie czuł się wobec nikogo tak opiekuńczy.

Amanda ucałowała lorda Tevershama w oba policzki. A potem uścisnęła dłoń Benowi.

– Pan miał z tym coś wspólnego? – spytała.

– Wszyscy uznaliśmy, że tak będzie najlepiej – powiedziała Cicely, otwierając szeroko ramiona.

Amanda padła jej w objęcia.

– No już, już – powiedział lord Teversham. – Musimy z tym skończyć, bo zaraz wszyscy będziemy chlipać. Potrzeba nam pieczeni wołowej i puddingu Yorkshire, i jakiegoś zacnego czerwonego wina. Mam dość dobre mouton rothschild rocznik czterdziesty dziewiąty. Zna pan ten rocznik, księże Chambers?

– Nie wyobrażam sobie lepszego wyboru – blefował Sidney.

Przeszli do jadalni, gdzie czekał Mackay. Usadowił Amandę po prawicy lorda Tevershama i podano lunch.

Gospodarz pragnął usłyszeć dokładną relację z porwania.

– Ależ musiała być pani przerażona, panno Kendall. Phillips się przyznał?

– Chyba tak.

– To musi być bardzo denerwujący człowiek – dodała Cicely. – Zapewne odebrał bardzo dziwne wychowanie.

– Tak – powiedziała cicho Amanda. – Ale moglibyśmy o tym nie rozmawiać, jeśli państwo pozwolą? Wciąż jednak mi trudno.

– Oczywiście. – Lord Teversham odwrócił się do Bena: – Zadziwiające, że wówczas się nie zorientowaliśmy, że ten człowiek jest szalony. Może to dlatego, że dużo czasu spędzam wśród ekscentryków z własnej rodziny. Mój wuj uważał, że szyszki sosnowe czynią człowieka niewidzialnym. Schodził na śniadanie nago.

– To chyba nie to samo – odparła Cicely. – Pan Phillips to na pewno zupełnie inna para kaloszy.

– Co jednak nie znaczy, że mamy obowiązek się nad nim użalać – odrzekł lord Teversham. – Jakie jest zdanie wielebnego? Nawet szaleniec zasługuje na nasze wybaczenie? W niektórych wypadkach ciężko jednak o miłosierdzie. Tyle jest zła na świecie.

– To prawda, rzeczywiście – przyznał Sidney.

– Widzę, że ma ksiądz jakieś przemyślenia.

– To nie jest właściwy moment, by rozmawiać o moich przemyśleniach.

– Śmiało.

Sidney spojrzał na Amandę, ona zaś uśmiechnęła się zachęcająco.

– On zawsze ma coś interesującego do powiedzenia.

– Ja nic o tym nie wiem – zaczął jej przyjaciel, ale zorientował się, że

powinien sprowadzić rozmowę na temat dalszy od strasznych przeżyć Amandy. – Ludzie często pytają mnie o problem zła, ale można spojrzeć na to inaczej, oczywiście.

– To znaczy? – spytał lord Teversham.

– Problem dobra. Skoro wszyscy jesteśmy zwierzętami, dlaczego niektórzy z nas są dobrzy, mili, altruistyczni, skoro nie muszą? Zdolność do zachowania moralnego jest równie interesująca co zachowanie niemoralne.

– Ach, kwestia egoistycznego dobra – wtrącił Ben.

– Niekoniecznie – odrzekł Sidney. – Niektórzy ludzie są bezinteresowni. Są dobrzy, choć nie oczekują nagrody. To niemal dla nich naturalne, może po prostu naturalne.

– Ty zawsze myślisz o ludziach jak najlepiej – odparła Amanda. – Gdyby cię uwięził ktoś taki jak ten nikczemnik, może uważałbyś trochę inaczej. Na samą myśl o nim robi mi się niedobrze.

– No to proszę nie myśleć – rzekł lord Teversham.

– Od tamtego czasu – wyjaśnił Sidney – Amanda nie ma apetytu. Moim zdaniem to interesujący dylemat, że ludzie przymykają...

Cicely Teversham zaczęła zbierać talerze.

– Widzę, że z wołowiną sobie poradziłaś, Amando.

– Była przepyszna, dziękuję, i to takie szlachetne z państwa strony, że wypożyczacie obraz. Wiecie, że możecie przyjść do National Gallery, kiedy tylko chcecie?

Lord Teversham podał swój talerz siostrze. Lokaj najwyraźniej zniknął.

– Może powinniśmy rozprawić się z puddingiem – rzekł. – Kucharka chyba przygotowała jeden ze swoich specjałów. To mój ulubiony przysmak z dzieciństwa i teraz, gdy te nieznośne kartki żywnościowe przeszły do historii, możemy go jeść, ile chcemy. Mam nadzieję, że wraz ze mną oddacie się tym rozkoszom. I chyba mamy do tego całkiem dobre wino deserowe. – Wstał, by po nie sięgnąć. – Może jest tutaj... nieco owocowe rozkoszne gaillac...

Cicely wstała w tym samym momencie i podeszła do srebrnego półmiska na kredensie. Zdjęła pokrywę.

– Banany w cieście! – oznajmiła. – Cudownie. Mogę pani nałożyć, panno Kendall?

– Proszę o wybaczenie – odrzekła Amanda – ale chyba nie zjem deseru.

– Na pewno? – upewniał się Sidney.

– O co chodzi? – spytał lord Teversham. – Nie lubi pani bananów?

LUDZIE HONORU

– „Marność nad marnościami – powiada Kohelet – marność nad marnościami, wszystko marność” – mamrotał pod nosem Sidney, idąc ku Arts Theatre na pierwszą próbę Szekspirowskiego *Juliusza Cezara* w nowoczesnych kostiumach.

Dlaczego w ogóle się zgodził na udział w tym przedsięwzięciu? Przynajmniej miał tylko niewielką rolę, Artemidorusa, sofisty z Knidos, który próbuje ostrzec Cezara, że grupa spiskowców zamierza go zabić. Dwie sceny, raptem parę wersów i jak zauważył inspektor Keating: „Już w przerwie możesz iść do pubu”.

Sidney wmówił sobie, że to przedstawienie więcej ma wspólnego z odpowiedzialnością cywilną niż z pychą. W końcu o tym była sztuka: jak wieść życie z honorem i chronić dobro ogółu. Mówił sobie, że udział w tym dramacie to po prostu jego obowiązek. Bez sensu się zastanawiać, co ludzie sobie pomyślą. Tak czy owak, jego ego, jak się pocieszał, jest o wiele mniejsze niż ego Juliusza Cezara: człowieka, który zginął właściwie przez próżność.

Reżyserią sztuki zajął się koroner Derek Jarvis. Postanowił osadzić akcję w latach trzydziestych i wprowadzić wiele podobieństw pomiędzy Juliuszem Cezarem a Mussolinim. Cezara grał lord Teversham, żonę Cezara jego siostra Cicely, a Ben Blackwood miał być Markiem Antoniuszem.

Zaraz gdy Sidney odkrył, że będzie ubrany we włoską czarną koszulę, zakazał oglądania przedstawienia Amandzie, a także inspektorowi Keatingowi. Więcej drwin nie zniesie. Czyż nie mogli wystawić *South Pacific*? Wówczas przekonałby Amandę, by dołączyła do chóru i wystąpiła w spódniczce hula. Byłoby to o wiele bardziej rozrywkowe niż paradowanie po scenie z grupą amatorskich aktorów przebranych za faszystów.

– Sądziłem, że dość masz już występów w kościele – natrząsał się Keating. – Lepiej uważaj. Ludzie zaczną gadać.

– Myślę, że zachowuję bezpieczny umiar.

– Wciągną cię w to, Sidneyu. Za rok wystąpisz w pantomimie. Już cię widzę w roli Wdowy Twanky[26].

– Niczego podobnego nie będę robił – odrzekł Sidney. Poczucie humoru go zawiodło. – To mój pierwszy i ostatni występ.

Pani Maguire okazała podobny sceptycyzm.

– Ludzie pomyślą, że ma ksiądz za dużo czasu do dyspozycji, proszę księdza. Albo że się ksiądz popisuje. A nikt nie lubi takich, co to się popisują.

– Robię to, by poczuć się członkiem społeczności – odrzekł Sidney. – Nic poza tym.

– Już jest ksiądz członkiem społeczności. Powinien ksiądz chodzić z psem na spacer, zamiast zadawać się z mądralińskimi.

– Z drugiej jednak strony – włączył się trochę niepotrzebnie Leonard Graham – gdyby wystawiali *Dwóch panów z Werony*, Kusy mógłby zagrać psa Kraba. Bez problemu dałoby się go przyłapać, jak sika pod stołem Księcia. Ma przecież wprawę.

– Nie musi ksiądz zaraz być wulgarny – obruszyła się pani Maguire.

– Ależ pani Maguire, ja tylko przywołuję Szekspira. To może nieprzyzwoite, ale nie wulgarne.

– Nie obchodzi mnie, co to jest. I tak to było niegrzeczne. Ale przynajmniej ten przeklęty zwierzak wybyłby z domu i oszczędziłby linoleum. – Pani Maguire cały czas nie chciała nazywać Kusego po imieniu. Najwyraźniej miało jej zająć dużo czasu dojście do siebie po ostatnim zajściu z porwanymi pończochami.

Niemniej pani Maguire miała rację, wspominając o czasochłonności przedstawienia. Sidney całymi godzinami przesiadywał na próbach, nic nie robiąc. Wcześniej nie miał pojęcia, że tak znaczną część życia aktora zajmuje bezczynne czekanie. Denerwował się. Przypominał sobie niecierpliwość modlitwy – „Przyjdź, Panie, przyjdź niezwłocznie" – i myślał, że takie właśnie ma odczucia w związku z aż nadto świeckim lordem Tevershamem, który często zapominał, kiedy ma mówić, i taką trudność sprawiało mu zapamiętywanie kwestii, że jego sceny trwały o wiele dłużej niż inne. Budził tym wśród pozostałych członków obsady taką niechęć, że Sidney zaczął się zastanawiać, czy aby nie odczują oni odrobiny przyjemności, ujrzawszy wreszcie swojego miejscowego arystokratę w kałuży krwi.

Przed premierą pod koniec października czekało ich sześć tygodni prób, a do tego wiele dyskusji o nieodłącznych tematach sztuki, jak honor, duma, lojalność i oportunizm polityczny. Sidney uznał cały proces za pouczający, ponieważ te wartości mogły się też okazać przydatne w rozumieniu knowań wielu księży w Kościele Anglii.

Zanim nadszedł dzień premiery, poczuł się przygotowany aż za dobrze. Przechadzał się po scenie, wciskał pismo ostrzegające Juliusza Cezara o konspiratorach w rękę lorda Tevershama i starał się tchnąć w swoją kwestię jak najbardziej przekonującą groźbę:

– „Błagam, nie zwlekaj" – syknął. – „Przeczytaj natychmiast"[27].

Lord Teversham spojrzał na Sidneya i odrzekł, patrząc prosto na widownię:

– „Szaleniec jakiś?"

Opóźnienie reakcji nie należało do scenariusza i bliższe było pantomimie niż polityce. Widownia się roześmiała, a Sidney z przerażeniem stwierdził, że jego rola przepadła, została przyćmiona. Chciał tchnąć w postać niepokój i strach, a tymczasem wyszło na to, że jest obiektem drwin. Jak lord Teversham mógł mu to

zrobić?! I czy zrobił to celowo czy przypadkiem? Zszedł ze sceny upokorzony i resztę przedstawienia oglądał zza kulis.

Kilka chwil później spiskowcy szykowali się do zadania ostatecznych ciosów, klękając wokół starego imperatora. Lord Teversham wyciągnął władcze ramię i wyrecytował nieznośnie wolno:

– „Decjuszu, twoje klękanie też na nic".

Clive Morton, ubrany w czarny strój, który wyglądałby stosowniej w nocnym klubie niż na polu walki, wyskoczył do przodu, chwycił od tyłu lorda Tevershama za szyję i krzyknął: „Niech nasze ręce zamiast mnie przemówią", po czym dźgnął go w plecy.

Pozostali aktorzy jak jeden mąż powstali z kolan, by dokonać morderczego dzieła. Simon Hackford pociągnął więdnące ciało za kołnierz, podniósł je do pionu i dźgnął lorda Tevershama w pierś.

Jego ofiara szepnęła:

– „Och!... *Et tu, Brute*? Niech więc ginie Cezar!"

Lord Teversham chwycił się za serce, zatoczył na skraj sceny i padł na bok. Spiskowcy natychmiast wypuścili z rąk noże. Grzechot rzucanego metalu miał podkreślić dramatyzm śmierci.

Ponieważ aktorzy mieli na sobie czarne kostiumy, a nie białe togi, o wiele dłużej trzeba było czekać na pojawienie się krwi Cezara. I chociaż saszetkę na brzuchu odpowiednio nakłuto, dopiero gdy spiskowcy podeszli unurzać dłonie w krwi Cezara, widownia uzmysłowiła sobie, ile się jej przelało.

Każdy z aktorów zdjął rękawice i ukląkł przed powalonym ciałem lorda Tevershama. Przybył sługa spytać, czy Antoniusz może bezpiecznie wracać, i na scenę wszedł Ben Blackwood, który zajął swoje miejsce przy ciele Cezara.

– „Wielki Cezarze! Upadłeś tak nisko? / Sława, podboje, zwycięstwa, zdobycze – / Wszystko się zbiegło do takich rozmiarów?"

Z jego głosu zniknęła afektacja, którą Sidney dostrzegał w czasie prób, i Ben przejął władzę nad sceną. Zdjął rękawice, uścisnął dłonie spiskowców. Krew z ich rąk splamiła i jego. Ukląkł przy ciele Cezara. Bliski łez, dławił się tak, że ledwie artykułował kolejne wersy:

– „Jesteś ruiną największego z ludzi, / Których nurt czasu wyniósł na ten świat..."

Dokończywszy ostatnią kwestię sceny, poprosił sługę, by pomógł mu wynieść ciało. Następnie, gdy już zaniósł je za kulisy i położył, zawahał się. Lord Teversham nie podniósł się jak aktor, który zakończył grę, tylko leżał bez ruchu. Ben przyłożył ucho do klatki piersiowej przyjaciela i jeszcze raz zerknął na krew.

Na scenę weszli plebejusze; zbierali noże rzucone przez spiskowców, gotowi do odwetu.

Ben Blackwood spojrzał przerażony na Sidneya.

– Kurtyna! – zawołał naglącym głosem. – Kurtyna i światła! Na miłość boską!

– No oczywiście – rzucił pod nosem inspektor Keating, gdy już wezwany dojechał z domu, zostawiając tam żonę i trójkę śpiących dzieci. – To mógł być którykolwiek z nich.

– Albo wszyscy – zauważył Sidney. Już miał dość wydarzeń wieczoru.

– Bez przesady. To nie *Morderstwo w Orient Expressie*. Tylko jedno ostrze zadało śmiertelny cios.

– Ale kto je trzymał? Tego musimy się dowiedzieć. I gdzie ono jest w tej chwili?

– Jeśli znajduje się w tym budynku, moi ludzie je znajdą. Nikomu, kto brał udział w sztuce, nie wolno opuścić teatru...

Sidney zdał sobie sprawę, że założenia sztuki utrudnią śledztwo, ponieważ faszystowski akcent wymógł włożenie przez wszystkich zabójców Cezara czarnych koszul, czarnych butów, a co najważniejsze – czarnych skórzanych rękawic. Morderca nie zostawił odcisków palców, a później plebejusze chwytali noże jak popadnie. Aktorzy grający Marka Brutusa, Kasjusza, Decjusza Brutusa, Metellusa, Cynnę, Ligariusza i Treboniusza byli podejrzani w równym stopniu.

Zabezpieczono rejon sceny i rozpoczęło się śledztwo. Inspektor Keating zawołał Sidneya na bok.

– Zakładam, że w tym śledztwie mogę liczyć na twoją pomoc?

– Jako członek obsady jestem oczywiście świadkiem. I zapewne podejrzanym.

– No teraz to przesadziłeś.

– Mam nadzieję, że jako jeden z pierwszych zostanę wykluczony z kręgu podejrzanych.

– Możesz to przyjąć za pewnik. Od czego zaczynamy?

– Od reżysera: Dereka Jarvisa. Powinien wiedzieć, co kto miał robić i kto i gdzie miał dźgnąć lorda Tevershama. W takich rzeczach jest dość skrupulatny.

– Koroner zapewne nie jest szczęśliwy, że w wieczór swojego reżyserskiego triumfu musi pełnić obowiązki służbowe. Gdy tylko się dowiemy, pod jakim kątem padł zabójczy cios, trzeba będzie przeprowadzić rekonstrukcję.

– Dzisiaj?

– Jutro. Kiedy już wszystkich przesłuchamy. To będzie długa noc. Ale do takich już chyba zdążyłeś się przyzwyczaić.

– Owszem – przyznał Sidney. – Takie noce stają się niepokojąco standardowe.

Policja stanęła przy wejściu dla publiczności i przy wyjściu dla aktorów. Tych ostatnich poproszono, by poczekali na widowni podczas poszukiwań broni na scenie i na zapleczu. Koroner przeprowadził wstępne badanie ciała lorda

Tevershama i zorganizował przewiezienie go do kostnicy. Zdruzgotana lady Cicely, która czekała na widowni, pojechała z ciałem brata. Ben siedział samotnie w barze. Frank Blackwood dał mu mocnego drinka i przykrył go kocem. Siedział w rogu, rozdygotany, nie mówiąc ani słowa, uwięziony do chwili złożenia zeznań, z piersiówką brandy.

Inspektor Keating zarekwirował gabinet dyrektora teatru i wypisał na tablicy listę oficjalnych podejrzanych.

Marek Brutus: Simon Hackford, marszand

Kasjusz: Frank Blackwood, inżynier

Decjusz Brutus: Hector Kirby, rzeźnik

Metellus: Stan Headley, kowal

Cynna: Michel Morel, *le patron*, Le Bistro Bleu Blanc Rouge, Mill Road

Kaska: Clive Morton, notariusz

Ligariusz: Tom Rogerson, naczelnik stacji, British Rail

Treboniusz: Mike Standing, biznesmen

Inspektor Keating przedstawił sprawę swoim ludziom.

– Ze wstępnego badania koronera wynika, że lord Teversham został pchnięty nożem pomiędzy klatką piersiową a brzuchem, jednym ciosem, który najpierw skierowany był w lewo, a potem w prawo. Sugeruję krótkie ostrze, dziesięć, dwanaście centymetrów długości. Musiało być ostre, bo rana jest głęboka i równa. Zamaskowanie takiego ostrza tak, żeby wyglądało na rekwizyt teatralny, wymagałoby nie lada umiejętności. Wszystkie noże użyte w czasie przedstawienia zostały odłożone na stół rekwizytowy po morderstwie. Nie brakuje ani jednej sztuki, wszystkie są tępe, z chowanym ostrzem i bezpieczne. Prawdziwa broń zniknęła. Musimy ją znaleźć.

– Dodatkowy nóż? – spytał posterunkowy Roger Wilson.

– Prawdopodobnie udający rekwizyt.

– Zakładamy więc – mówił dalej Wilson – że morderca jest jakimś specjalistą...

– Na to wygląda, ale...

– Co wskazuje na rzeźnika, szefa kuchni albo kowala?

– Oni byliby oczywistymi podejrzanymi. Jednocześnie musimy ustalić motyw. Dlaczego na przykład Hector Kirby, rzeźnik, miałby zabijać lorda Tevershama? A właściciel francuskiej restauracji? To nie ma sensu. Musimy każdego z nich wypytać, w którym miejscu dokładnie zadał cios, wyłonić wszystkie niezgodności i od tego wyjść...

– Możemy wykluczyć któregokolwiek z nich? – spytał Sidney. – Wiemy, że aktorzy grający Ligariusza i Treboniusza w ogóle nie wbijali noża w Cezara i nie zbliżali się do ciała. Ponadto Clive Morton, który grał Kaskę, zadał lordowi Tevershamowi cios w plecy.

– Świetnie, Sidneyu, ale jednak miał broń.

– Myślę, że gdy już przesłuchamy wszystkich, możemy wykluczyć Mike'a Standinga i Toma Rogersona.

Inspektor Keating wziął do ręki gąbkę i wymazał te dwa nazwiska.

– No dobrze. Nadal mamy sześciu głównych podejrzanych, wszyscy byli znani ofierze. Clive Morton był jego prawnikiem, Simon Hackford zajmował się jego dziełami sztuki, Stan Headley końmi, Hector Kirby dostarczał mu mięso, a Le Bistro Bleu Blanc Rouge było jego ulubionym lokalem. Frank Blackwood to ojciec jego osobistego sekretarza. Wszyscy znali ofiarę i każdy z nich mógł mieć do niego jakiś żal. Musimy się dowiedzieć, co to było i kto się odważył podjąć takie ryzyko, żeby popełnić morderstwo na oczach ludzi.

Uzgodniono strategię przesłuchań, przydzielono zadania i wezwano aktorów na przesłuchania. Tych, którzy nie przebywali na scenie w chwili morderstwa, przesłuchano w pierwszej kolejności i wypuszczono. Aktorzy grający spiskowców zostali poddani bardziej wnikliwemu badaniu.

Policjanci zaczęli od Dereka Jarvisa. Ten usiłował zachować spokój.

– Gdybym wiedział, że oni zaczną się mordować, ubrałbym wszystkich w togi – narzekał. – Byłoby o wiele więcej dowodów. Pewnie powinienem to przewidzieć, ale ciężko się spodziewać czegoś takiego.

– Czy w czasie prób zauważył pan jakieś napięcia pomiędzy aktorami? – spytał inspektor Keating.

– Napięcia są zawsze. Lord Teversham oczywiście cały czas się ociągał, robił dużo szumu i nigdy nie słuchał tego, co inni mają do powiedzenia. Żałuję, że go obsadziłem, ale sądziłem, że ma właściwą majestatyczność.

– Widział pan, jak zginął?

– Oczywiście. Patrzyłem z widowni. Wyglądało to tak, jakbym ja wszystko wyreżyserował.

– I nie zauważył pan nic dziwnego?

– Nie. To się potoczyło jak w koszmarze: „Pomiędzy zamysłem strasznego czynu a jego spełnieniem istnieje faza przejściowa, jakby senny koszmar...". Kto by pomyślał, że sztuka stanie się tak trafna? Można by wręcz uznać, że celowo wybrałem tę akurat.

– Jestem pewien, że to nie pańska wina.

– Ja stworzyłem okazję. Będę miał to na sumieniu.

– Proszę więc ulżyć swojemu sumieniu, pomagając nam w odszukaniu winnego. Potrzebna mi pańska pomoc, panie Jarvis.

– Będziemy potrzebowali siebie nawzajem – odrzekł koroner, patrząc na Sidneya. – I musimy być w szczycie formy, bo moim zdaniem ten ktoś, kto to zrobił, planował to od tygodni.

Keating pochylił się do przodu, oburącz opierając się o biurko.

– Sugeruje pan, że dołączył do zespołu specjalnie po to, by zamordować lorda Tevershama?

– Niewykluczone.

Sidney przemyślał jego słowa.

– Ktoś, kto nigdy wcześniej nie brał udziału w przedstawieniach amatorskich?

– Nie sądzę, by pan Jarvis miał na myśli ciebie – warknął Keating.

Koroner wyszedł, by przygotować się do sekcji zwłok, a śledczy zajęli się Clive'em Mortonem, miejscowym notariuszem, który grał Kaskę. Przebrał się już w sweter i spodnie flanelowe.

– Nie wiem, dlaczego mnie musicie zadawać pytania, panowie – zaczął. – Ja mu zadałem cios w plecy. Lord Teversham padł do przodu i resztę zrobili pozostali. Trudno mnie uznać za podejrzanego.

– Nie mówimy, że jest pan podejrzany – odparł Keating. – Ale może widział pan coś jeszcze?

– Trudno się teraz skupić. Wszyscy jesteśmy w szoku. Na pewno wszystko rozegrało się szybko. Kłóciliśmy się zawzięcie. Derek Jarvis powiedział, że aby się wprawić w nastrój, powinniśmy przypomnieć sobie wojnę i wyobrazić, że lord Teversham jest nazistą, który zabił nasze dzieci. To na pewno poskutkowało.

– Dał się pan ponieść emocjom?

– Przyznaję, że dla lepszego efektu dźgnąłem go kilka razy więcej. Chciałem się wyróżnić, pokazać, że coś robię.

– A zauważył pan coś jeszcze? Prawdziwe ostrze, krew, czyjeś podejrzane zachowanie?

– Wszyscy się zachowywaliśmy podejrzanie, inspektorze, jeśli można tak nazwać grę. O to właśnie chodzi.

– A przychodzi panu do głowy, kto by chciał zabić lorda Tevershama?

– Zupełnie nie.

– Był pan jego prawnikiem?

– Tak.

– A słyszał pan albo widział coś nietypowego na scenie czy gdzie indziej?

– Niestety nie. Domyślam się, że we właściwym momencie będziecie chcieli zobaczyć testament?

– Ten moment już nadszedł, panie Morton.

– A więc jutro z samego rana wam go przywiozę, zresztą to chyba już niedługo. Myśli pan, że mógłbym już pójść?

– Pod warunkiem że rano przyjdzie pan na posterunek.

– Jestem do usług.

Inspektor Keating poprosił Michela Morela, francuskiego kucharza, mężczyznę próżnego, ubranego w czarny golf i marynarkę.

– We Francji takie rzeczy się nie zdarzają – zaczął. – My jesteśmy ostrożni w swoich namiętnościach. Kiedy człowiek jest gniewny, pije wino i znajduje sobie inną kobietę. My się tak nie zabijamy. To nie jest dobre. Znaleźliście już prawdziwy nóż?

– Wszystkie rekwizyty wróciły na miejsce. Są tępe.

Restaurator się nie zdziwił.

– Oczywiście. Do morderstwa się nie nadają.

– Sądzi pan, że któryś może został przerobiony? Albo zastąpiony właściwym?

– Dlaczego pan pyta?

– Bo na co dzień ma pan do czynienia z nożami. Nie zginął panu jakiś ostatnio?

– Nie wydaje mi się.

– Czy uczył pan kogoś, jak się posługiwać nożami? – spytał inspektor.

– Nikogo, kto brał udział w przedstawieniu. Mam zastępcę, Gavina, ale to Szkot, nienawidzi teatru. Dzisiaj wieczorem gotował. Mamy wielu klientów. Ale oczywiście każdy nowy jest bardzo potrzebny. To jeden z powodów, dla których wziąłem udział w tym przedstawieniu. Muszę przekonać więcej ludzi, że warto przyjść do mojej restauracji.

– Co pan myśli o nożach, które wam dano?

– To były zabawki. Krótkie, słabe. Pomalowaliśmy je na czarno.

– Nie widział pan na przykład błysku ostrza?

– Myślałem, że to refleks.

– Więc pan coś widział?

– Pośród tego wszystkiego tak, widziałem chyba mignięcie. Jest takie słowo?

– W trakcie zabójstwa? Jest pan pewien? Nie na początku czy na końcu?

– Nie. To było przed moją kolejką. Nie potem.

– A kto trzymał nóż?

– Nie umiem powiedzieć. To było szybkie... jak mignięcie ryby w rzece. Widzisz ją i zaraz znika.

– Ale to nie było na samym początku?

– Nie. Nie sądzę. Nie przy pierwszej ani drugiej osobie.

– Jest pan pewien?

– Wszystko się działo bardzo szybko. Ale tak sądzę.

– Nie wyobraził pan sobie tego?

– Zawsze mówię prawdę. Jestem człowiekiem honoru.

Inspektor odwrócił się do Sidneya. Jeśli to, co mówił Michel Morel, było prawdą, to należało wykluczyć Clive'a Mortona.

– Jak dobrze pan znał lorda Tevershama? – spytał Sidney.

– Był jednym z moich najlepszych klientów.

– Jak często przychodził i z kim?

– To były spotkania w interesach. Przeważnie z panem Hackfordem, ale ostatnio niezbyt często. Chyba się pokłócili.

– Widział pan, jak się kłócą?

– Oczywiście.

– O co się kłócili?

– Mówili o obrazach i pieniądzach. To było w zeszłym roku. Potem lord Teversham przychodził z innym mężczyzną.

– Z Benem Blackwoodem?

– *Bien sûr*. Z czasem zaczęli częściej ze mną rozmawiać. Lord Teversham był szczęśliwszy. Rozmawialiśmy o sztuce. Żartowaliśmy. Ja mówiłem, że zawsze najlepsi są Francuzi, że David lepszy od Gainsborough, Poussin lepszy od Constable'a, a Rodin od Henry'ego Moore'a. Oni się dziwili, że ja tyle wiem. Ale musicie panowie pamiętać, że ja głównie jestem w kuchni. Witam się i żegnam. Nie mam czasu słuchać. Pan Blackwood raz przyszedł z przyjaciółką wielebnego, księdza Chambersa.

– Moją przyjaciółką? Mówi pan o pannie Kendall?

Inspektor Keating im przerwał.

– W które miejsce dźgnął pan lorda Tevershama?

– Po lewej. W brzuch. I pytałem, czy mogę to zrobić. Tak z większą namiętnością.

– Nie sądzę, żeby w tym morderstwie chodziło o namiętność.

– Nie sądzi pan?

– W grę wchodzą sami mężczyźni.

– Pan sądzi, że mężczyźni nie mogą mieć namiętności między sobą?

– W tym kraju jest to uważane za nieprzyzwoitość.

– Czasami namiętność jest większa, niż sądzimy, panie inspektorze. Ludzie mają uczucia. Nawet policjanci, na pewno...

Inspektor Keating nie miał czasu na insynuacje i zakończył przesłuchanie.

– To wszystko, bardzo panu dziękuję. Nie będziemy tu omawiać uczuć moich podkomendnych.

Po wyjściu Michela Morela Keating wstał z krzesła i zaczął przechadzać się po pokoju.

– Myślę, że ten restaurator widział coś więcej. Że nie wszystko nam mówi...

– No nie wiem – odrzekł Sidney. – Mnie się spodobał.

– Będziemy musieli go jeszcze wybadać. Może byś go odwiedził w restauracji?

– Na pewno się zastanawia, co w ogóle robi w Anglii.

– Nigdy tu nie odniesie sukcesu – powiedział Keating. – Zerknąłem na menu w witrynie. Kto by jadł ślimaki? Albo karczochy? Po obraniu liści nic nie zostaje.

My tu nie lubimy nic marnować i mnie się nie podoba, jak on marnuje mój czas.

– On sobie z ciebie żartował, inspektorze, ale nie wierzę, że jest mordercą. Kogo mamy teraz na liście?

– Franka Blackwooda.

– Ojca Bena?

– W środku nocy może lepiej by się przesłuchiwało kogoś spokojniejszego. Ale go wezwijmy. Zaproponujemy mu jakąś herbatę.

Ta troskliwość nie spotkała się z uznaniem.

– Rzygam już herbatą – powiedział Frank Blackwood.

Sidney cały czas uważał, że kowal został niewłaściwie obsadzony. Był zbyt zwalisty, żeby grać szczupłego, pożądliwego Kasjusza. Już jego syn byłby lepszy.

– Całą noc piję tylko tę cholerną herbatę – narzekał Frank. – Co mam zrobić, żeby sobie zasłużyć tu na porządnego drinka?

– Widziałem, jak dawał pan synowi brandy – zauważył Sidney.

– Zabrał moją piersiówkę i wszystko pewnie wypił. Przyniosłem ją, żeby mieć coś na wzmocnienie.

– Denerwował się pan? – spytał Sidney.

– Oczywiście. Nigdy jeszcze nie grałem w teatrze.

– Więc dlaczego postanowił pan wziąć udział w tym przedstawieniu?

– Ben w nim grał, więc pomyślałem, że to będzie niezła heca. Lubię aktorki. Chociaż nie wiedziałem, że tu gra tak mało kobiet. Powinni zrobić musical.

– To samo pomyślałem – odezwał się Keating. – Albo pantomimę.

– Niezła była ta kobieta grająca Kalpurnię. Gadałem z nią parę razy, chociaż ma już swoje lata. Co tam chcecie wiedzieć?

Zaczął inspektor Keating.

– Może nam pan powiedzieć, jak pan zabił lorda Tevershama?

– Ja go nie zabiłem. Czy to jakieś podchwytliwe pytanie?

– W tej chwili próbujemy ustalić, kto, w jakie miejsce, w jakiej kolejności pchnął lorda Tevershama. Czy mógłby pan sobie przypomnieć chwile przed morderstwem?

– Byłem na scenie. Lorda Tevershama miałem po lewej...

– I zadał mu pan cios prawą ręką? – spytał Keating. – W które miejsce?

– W klatkę piersiową. Tak miałem zrobić. Miałem podejść drugi, tak żeby starzec zatoczył się do przodu, zanim Hector go dźgnie w brzuch, bo wtedy miała polecieć krew. A potem mieli podejść inni.

Sidney znowu się włączył. Żałował, że nie ma pamięci fotograficznej.

– A co pan potem zrobił ze swoim nożem?

– Rzuciłem na podłogę. Tak jak wszyscy.

– A potem się pan cofnął? – spytał Keating.

– Taki był pomysł. To straszne, że tak długo się nie zorientowaliśmy, że coś

się stało, ale to przez te czarne ubrania. Ktoś by go może zdołał uratować.

– Był pan wstrząśnięty, gdy się dowiedział, co się stało?

– No oczywiście! To morderstwo.

– I nie widział pan nic podejrzanego?

– Nic. Nikt nie może uwierzyć w to, co się stało. No bo człowiek przecież się nie spodziewa takich rzeczy, prawda?

Inspektor Keating zaczął sobie coś notować, ale Frank Blackwood najwyraźniej skończył.

– Mógłbym już sobie pójść? – spytał. – Zaczynam o siódmej rano i muszę być w fabryce. Zawsze możecie mnie tam znaleźć.

Sidney wstał, by otworzyć drzwi i rozprostować nogi. Zastanawiał się, ile czasu im to jeszcze zajmie. Do przesłuchania zostało już niewiele osób. Sytuacja była na tyle skomplikowana, że trudno było ją przemyśleć, gdy wszyscy byli tak zmęczeni. Musiał się przespać, wstać wypoczęty i porobić notatki, przypomnieć sobie wszystko, co widział w czasie prób. Zamknął oczy i próbował sobie odtworzyć ruchy wszystkich osób na scenie w trakcie przedstawienia.

– Na dzisiaj chyba ostatni – oznajmił inspektor Keating. – Simon Hackford z Willows Farms. Handluje dziełami sztuki, organizuje aukcje, kiedyś współpracował z lordem. Mam nadzieję, że nie zasypiasz, Sidneyu.

– Ani trochę. Myślę.

– Owocnie, mam nadzieję.

O tym Sidney nie był przekonany. Myśli krążyły mu od kwestii godności i pozycji w sztuce – „Postaw przede mną honor i śmierć nawet” – do idei reputacji w ogóle. Czy tu znajdzie jakąś wskazówkę?

Podstawowa zasada etyczna arystokracji to być szlachetnym. A może w jakiejś dziedzinie życia lordowi Tevershamowi zabrakło szlachetności i nie sprostał zadaniu? Tylko gdzie i kiedy? Czy w swoich transakcjach finansowych, w związkach osobistych czy w zarządzaniu majątkiem? W którym miejscu ten dżentelmen zachował się haniebnie? Sidney będzie musiał porozmawiać z osobami, które były mu najbliższe.

Simon Hackford, dawny wspólnik w interesach lorda Tevershama, czekał od trzech godzin i nie był w nastroju do wnikliwych analiz.

– To śmieszne! – zaczął. – Jakże ja miałbym popełnić tę zbrodnię?

Inspektor Keating spojrzał znacząco na Sidneya, by ten załagodził sytuację.

– Grał pan Brutusa, który zadawał cios jako ostatni – wyjaśnił. – Najważniejszą więc osobę. Pamięta pan, ile sztucznej krwi znajdowało się na kostiumie w chwili, gdy pan uderzył?

– Była wszędzie...

– Więc nie musiał pan przebijać saszetki?

– Nie.

– A w które miejsce pan dźgnął?

– W serce. Prawą ręką musiałem odchylić głowę Dominica, bo tak był ułożony. Wówczas miał spojrzeć mi w oczy i powiedzieć: „Et tu, Brute?”. Pchnąłem go po lewej, po stronie serca, tak żeby widownia widziała nas obu. Wtedy miał powiedzieć: „Niech więc ginie Cezar”, ale zanim go podniosłem, był już bezwładny i półżywy i nie mogłem go utrzymać w pionie.

– Myśli pan, że wówczas już był ranny?

– Teraz tak myślę, chociaż wtedy tak nie myślałem. Sądziłem, że przesadza z grą. Reżyser mówił mu, że ma być bierny jak Jezus i że to będzie taki chrystusowy moment. Ja miałem go trzymać za włosy z tyłu głowy, tak żeby stał na środku sceny, a wokół niego półkolem spiskowcy. Takie ustawienie chyba miało się kojarzyć z Ostatnią Wieczerzą, Cezar miał otworzyć ramiona, jakby miał stygmaty, i paść do przodu, w ostatniej chwili przewracając się na bok. Ale gdy tylko go puściłem, on zwalił się na scenę.

– Dlaczego tak późno wszyscy się zorientowali, co się stało?

– Bo sądziliśmy, że Dominic ma swoje pięć minut. Nie przyszło nam do głowy, że za ten występ zapłaci życiem.

Inspektor Keating odczekał chwilę w ciszy.

– Oczywiście nadal niewykluczone, że to pan zadał śmiertelny cios. Grał pan rolę Brutusa, najszlachetniejszego Rzymianina w tej grupie.

– Tak, to mogłem być ja, jak sądzę. Ale nie byłem. Kochałem tego człowieka. W życiu bym go nie skrzywdził, choćby nie wiadomo co się między nami stało. On był moim przyjacielem.

– Co pan chce powiedzieć przez „choćby nie wiadomo co się między nami stało”?

– Kiedyś razem pracowaliśmy, jak na pewno już panowie wiedzą.

– Jak wyglądały stosunki między wami w dniu morderstwa?

– Zawsze byliśmy wobec siebie absolutnie grzeczni. Żadnej wrogości, jeśli to pan sugeruje. Obaj rozumieliśmy, że niektóre rzeczy kiedyś się kończą.

– I godził się pan z tym?

– Nie ma co drążyć, co było, a nie jest. Moją namiętnością są raczej srebra i antyki, nie malarstwo. Gdy moja współpraca z lordem Tevershamem dobiegła końca, założyłem nowy interes. Dominic nawet pożyczył mi pieniądze.

– Mogę spytać ile?

– Tysiąc funtów.

– Dość dużo.

– Spłacałem go. Myślę, że miał wyrzuty sumienia, że nasza współpraca dobiegła końca.

– A dlaczego dobiegła?

– Nic konkretnego. Jeśli już, to mieliśmy podobne odczucia. Ja zawsze

chciałem zacząć coś na własną rękę, zaniedbywałem żonę. Pan, inspektorze, na pewno wie, jak to jest. Kiedy człowiek za dużo pracuje, żona często narzeka.

Sidney spojrzał na przyjaciela, czekając na jego odpowiedź, ale ten milczał. Kiwnął tylko głową, zachęcając Simona Hackforda do dalszego mówienia.

– Teraz mam sklep z antykami i pracuję cały czas z żoną. Dlatego właśnie chciałbym już pójść do domu. Źle się czuję, gdy jesteśmy długo rozdzieleni. To odczucie niemal fizyczne. Miał pan tak kiedyś, inspektorze?

Keating wreszcie się odezwał:

– Jeśli mam być szczery, na ogół cieszę się, że nie ma mnie w domu. Ale rozumiem, o czym pan mówi. Nie ma potrzeby pana dłużej zatrzymywać, panie Hackford.

Dochodziła trzecia nad ranem, Sidney czuł się wykończony. Gdyby był mnichem, właśnie by wstawał na pierwsze modlitwy. Tymczasem na miejscu zbrodni pił herbatę z inspektorem policji, który stawał się coraz bardziej rozdrażniony.

– Można by pomyśleć, że to prosta sprawa, nie sądzisz, Sidneyu? Ktoś pomajstrował przy jednym z teatralnych noży albo podłożył prawdziwy nóż. I ten nóż znika. Znajdujemy go, a potem odkrywamy, kto zabił. My zaś nie mamy podejrzanego, nie mamy odcisków palców i nie mamy noża.

– Zastanawiałem się – odrzekł Sidney – czy może miejsca morderstwa nie wybrano jednak rozmyślnie?

– A nie spontanicznie, wykorzystując okazję?

– Chodzi mi o to, że może w samej sztuce są jakieś wskazówki. Cezara zabito z kilku powodów: częściowo przez jego próżność, a częściowo z woli gawiedzi. Ale Brutus zabija go z obywatelskiej powinności: „Ot, zabieg, który przywróci zdrowie licznym chorym”. Mogłoby się to sprowadzić do kwestii honoru, obywatelskiego obowiązku albo do zemsty.

Inspektor westchnął w znajomy sposób.

– Moim zdaniem motywem była zemsta, Sidneyu, ale ty sugerujesz, że morderca by zabił dla dobra społeczeństwa?

– Tylko głośno myślę. Na przykład niemiecki poeta Schiller widział teatr jako instytucję moralną.

– Z całym szacunkiem, Sidneyu, obawiam się, że grubo się mylisz. To było morderstwo popełnione z zimną krwią, a nie akt sprawiedliwości społecznej.

Sidney nie znosił wyrażenia „z całym szacunkiem”. Zawsze znaczyło coś wręcz przeciwnego.

– Uważam, że musimy brać pod uwagę każdy scenariusz.

– Oczywiście.

– I myślę, że idea honoru i reputacji jest bardzo ważna.

– Często tak jest.

– Ludzie strasznie się boją, że stracą twarz.

– Ludzie pokroju Simona Hackforda?

– Właśnie.

Inspektor Keating sprawiał wrażenie nieprzekonanego.

– Miły człowiek. Moim zdaniem trochę słaby.

– Za słaby na taki czyn?

– Nie. Zasztyletowanie człowieka nie wymaga wiele siły, zwłaszcza w tych okolicznościach.

– Byłby twoim głównym podejrzanym?

Keating się zastanowił.

– Tego bym nie powiedział. Ale nie miałbym nic przeciwko, gdybyś poszukał dodatkowych informacji na temat stosunków łączących go z lordem Tevershamem. Coś mi tu nie gra. Może wybrałbyś się do Locket Hall i rzuciłbyś okiem?

– Dobrze.

– Wahasz się, Sidneyu.

– Owszem. Ale to nie ma nic wspólnego z Locket Hall. Nie daje mi spokoju kolejna myśl...

– A mianowicie?

– Czy osoba trzymająca sztylet wiedziała, że zabija?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Musimy mieć pewność – zaczął Sidney – że osoba, która zadała śmiertelny cios, wiedziała, że trzyma prawdziwy nóż, a nie rekwizyt. Jeśli nie wiedziała, to mogła zabić lorda Tevershama przypadkowo, dostarczając doskonałe alibi prawdziwemu mordercy. Wręcz byłbym zaskoczony, gdyby się okazało, że morderca należał do kręgu spiskowców. Sugerowałbym, że równie dobrze mógł to być człowiek, który zamienił noże i zostawił prawdziwy na scenie, wiedząc, że śmiertelny cios zostanie zadany pod jego nieobecność. Lub pod jej nieobecność.

– Z czymś takim pewnie właśnie ja powinienem wyjść. To oznacza, że mordercą może być każdy.

– Jeśli znajdziemy motyw, to nie każdy. Musimy uważnie się przyjrzeć osobie lorda Tevershama.

– Zgadzam się. Ale najpierw mamy sześciu podejrzanych i rekonstrukcję do zorganizowania. Koniecznie zacznij pracować nad swoją teorią. Wszystkie mniej ważne informacje, które znajdziesz na temat Simona Hackforda, przekażesz mi w czwartek w pubie. Jeśli znajdziesz coś ważnego, zaczniesz podejrzewać coś konkretnego, natychmiast przyjdź z tym do mnie...

Sidney pojechał do domu przez pola, błyskając światłem rowerowej lampki na tle pełni księżyca. Nikogo nie spotkał. Wszyscy w miasteczku najwyraźniej spali. Zastanawiał się, ilu z nich odmówiło jakiekolwiek modlitwy.

– „Zważywszy, że każdy śmiertelnik może ulec wielu niebezpieczeństwom, chorobom i nigdy nie jest pewien, w którym momencie swego życia odejdzie...” – wyszeptał słowa modlitwy.

Pedałował szybko, bo martwił się, że zostawił Kusego na tak długo, ale gdy otworzył drzwi kuchenne, z ulgą zastał go śpiącego w koszu. Na stole leżała kartka: „Wyprowadziłem psa. Żadnych problemów. Leonard”.

Co za ulga! W przyszłości naprawdę musi dołożyć starań, by być bardziej odpowiedzialnym właścicielem psa. Sidney przygotował sobie dzbanek herbaty i zastanawiał się, dlaczego znowu bierze udział w śledztwie. Przecież nie było takiej potrzeby. Tak właśnie powiedział inspektor Keating.

Więc dlaczego to zrobił? Czy to z próżności? Czy wzdrygał się na myśl, że mogą prowadzić śledztwo policyjne bez niego? Z pozoru taka myśl była absurdalna, ale teraz musiał przyznać, że grzech pychy nigdy nie był mu obcy. Wmawiał sobie, że kierowała nim potrzeba zrozumienia, co się stało, że chciał być przy ludziach w trudnym momencie i że – jeśli użyć słów Bunyana[28] – „walczył o prawdę”. Ale dużo czasu upłynie, zanim usprawiedliwi swoje zaangażowanie i odkryje prawdę o najnowszym morderstwie.

Następnego ranka Sidney zaspał, i trudno się dziwić. Nie stawił się na nabożeństwo o ósmej. Przy późnym śniadaniu Leonard Graham powiedział, że poinformowano go, co się stało, że nie chciał budzić zwierzchnika i że niewiele sensu miałoby posiadanie wikariusza, jeśli nie można mu było powierzyć samodzielnego odprawienia mszy.

Do kościoła przyszły cztery osoby: Agatha Redmond, hodowca labradorów, Isabel Robinson, żona lekarza, Gervase Bell, miejscowy historyk, i Frances Kirby, żona rzeźnika, który grał Decjusza Brutusa, kobieta, która co tydzień robiła mężowi sześćdziesiąt toffi. Można było na niej polegać, że najpóźniej do lunchu rozniesie wieści o morderstwie wraz z osobistymi opiniami co do najbardziej prawdopodobnego sprawcy.

– Musimy wyciszać wszelkie niepotrzebne plotki – namawiał Sidney Leonarda, kończąc jajko na twardo. – Najmniej nam teraz trzeba, żeby ludzie dochodzili do jakichś dziwnych wniosków.

– Obawiam się, że na to już za późno – odrzekł wikary.

– I co mówią?

– Uważają, że to Simon Hackford.

– To śmieszne.

– Grał Brutusa...

– Ale to absolutnie dobrotliwy człowiek. A śmiertelny cios najpewniej padł, zanim Simon Hackford w ogóle się zbliżył do lorda Tevershama. Dlaczego ludzie mówią takie rzeczy?

Leonard Graham spojrzał twardym wzrokiem na Sidneya.

– Możesz się chyba domyślić.

– Simon Hackford jest żonaty.

– Ale lord Teversham nie był.

– Nie ma żadnego dowodu na nieprzyzwoity związek tych ludzi.

– Oczywiście, że nie ma, Sidneyu. Gdyby jakikolwiek dowód był, obaj trafiliby do więzienia.

– Uważam, że to prawo jest zbyt srogie.

– Naprawdę?

– Niektórzy homoseksualiści dostają wyższe wyroki niż włamywacze. To niedorzeczność! Ale to na pewno wszystkie plotki?

– Ludzie mówią, że nie ma dymu bez ognia.

– To jedno z ulubionych powiedzonek pani Maguire. Prosiłem, żeby przestała je powtarzać, ale ona nie słucha. Nie mogę znieść tego, jak w naszym narodzie umiera tradycja dyskrecji. Nawet jeśli rzeczywiście coś było między Simonem Hackfordem a lordem Tevershamem, jest to wyłącznie ich sprawa. Każdy powinien mieć prawo do prywatności.

– Nie wiedziałem, że tak bardzo się tym przejmujesz.

– Musimy myśleć o ludziach jak najlepiej, Leonardzie, albo czeka nas zguba. Chyba będę musiał wygłosić na ten temat kazanie w niedzielę.

– To byłby odważny krok.

– W ogóle nie jest odważny – odrzekł Sidney. – Jest konieczny.

– Sam się nasuwa werset z Mateusza rozdział siódmy – poradził Leonard. – „Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni". I jeszcze ten z Księgi Przysłów: „Słowa podszczuwacza jakoby proste, a one przerażają...".

– To lepszy pomysł...

– „...aż do wnętrzności żywota"[29]. Nie sądzisz, że to zbyt dosłowne z tymi wnętrznościami? W końcu lord Teversham zginął od rany zadanej w brzuch.

– Chciałbym do nich przemówić wprost. Trochę nimi wstrząsnąć.

– Myślę, że oni już są wstrząśnięci, Sidneyu.

Zadzwonił telefon. To była Amanda. Sidney spytał, jak się czuje i czy wszystko w porządku.

– Mniejsza o mnie – odparła. – Słyszałam, że zamordowano lorda Tevershama.

– To prawda, niestety.

– Ben do mnie dzwonił. Ledwie mógł mówić. To katastrofa.

– Wiem. I wygląda na to, że to morderstwo doskonałe.

– Jak morderstwo może być doskonałe?

– Mamy wiele narzędzi i wszyscy z obsady nosili rękawiczki. To mógł być każdy z nich.

– Ale kto by chciał zabijać lorda Tevershama? Ze świecą szukać tak miłego,

łagodnego człowieka. To okrutne.

– Rzeczywiście, ciężko znaleźć przekonujący motyw.

– Ben prosił, żebym przyjechała na trochę. Mówi, że to by mu dało pocieszenie. Mogę wówczas spotkać się też z tobą. Wszystko u ciebie w porządku?

– Mogę chyba powiedzieć, że jestem bardzo zajęty.

– Myślałam o pociągu o siedemnastej. Przyjedziesz do Locket Hall na drinka? Muszę cię zobaczyć, Sidneyu. Dla dobra nas obojga.

Sidney pomyślał, jak dobrze byłoby zobaczyć znowu Amandę, ale martwił się na myśl o ponownym ukazywaniu jej mrocznych stron życia. Uporządkował biurko, zabrał Kusego na tradycyjny krótki spacer po Meadows i wrócił do zaniedbanej roboty papierkowej. Gdy tylko do niej zasiadł, pani Maguire skorzystała z okazji, by przypomnieć mu o łuszczącej się tapecie w kuchni.

– Naprawdę mam ważniejsze rzeczy na głowie niż tapeta – warknął Sidney.

– Gdyby się ksiądz tak nie angażował w te wszystkie zbrodnie, to miałby mnóstwo czasu.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

Pani Maguire dalej gderała:

– W ogóle nie powinni robić łazienki z toaletą obok kuchni. Takie rzeczy załatwia się na zewnątrz.

– Mamy rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty czwarty, pani Maguire. Czasy się zmieniają.

– Niektóre rzeczy nie zmieniają się nigdy – odparła złowrogo gospodyni. – Tak samo jak ludzie.

Sidney nie zamierzał podejmować wyzwania w postaci kolejnej gnomicznej uwagi. Udawał, że pisze kazanie.

– A więc ksiądz jest zajęty, tak?

– Zawsze jestem zajęty, pani Maguire.

– No to chyba muszę księdza opuścić. Przygotowałam stek i pudding cynaderkowy – dodała. – Mam nadzieję, że go ksiądz nie spali.

– Oczywiście, pani Maguire.

Gdy wreszcie zostawiła go samego, Sidney wziął do ręki długopis i sporządził listę głównych podejrzanych.

Simon Hackford: on i lord Teversham kiedyś prowadzili razem interesy. Najwyraźniej doszło do jakiejś kłótni, krążyły też plotki o intymnej zażyłości. Ale Simon Hackford był mało prawdopodobnym kandydatem na mordercę.

Clive Morton: Sidney musi sprawdzić testament. Niewykluczone są na przykład motywy finansowe.

Michel Morel: mało prawdopodobny; miał jednak sporą wprawę w posługiwaniu się nożami.

Frank Blackwood: w ogóle trudno powiedzieć, skąd on się wziął w tym

przedstawieniu. „Zupełnie to do niego nie pasuje” – pomyślał ze smutkiem Sidney. Ale jeśli dołączył do aktorów z wyraźnym zamiarem zamordowania lorda Tevershama, to jaki miał motyw?

Ben Blackwood: co prawda nie należał do spiskowców, ale Sidney musiał przyznać, że choć wydawał się mało prawdopodobnym kandydatem na mordercę, trudno go było wykluczyć. Może szykował się do odziedziczenia kolekcji? Mógł mieć ukrytą broń, gdy pochylał się nad ciałem, i popełnić zbrodniczy czyn, udając, że płacze. Ale jego zachowanie w tę noc i jego ból po śmierci lorda były przecież szczere. Gdyby Sidney chciał podążać tym tropem, musiałby zachować ostrożność.

Po jakimś czasie odłożył długopis, wziął czapkę i płaszcz i wyruszył w półgodzinną podróż rowerem do Locket Hall. Gdy już się przedarł przez Trumpington i przejechał kilka mil, uświadomił sobie, że zamiast palić stek i pudding pani Maguire, zupełnie o nich zapomniał. Nic dziwnego, że był głodny. Było już jednak za późno, by zawrócić. Może Leonard Graham się skusi i wszystko zje? Sidney miał na to szczerą nadzieję, bo jeśli rano pani Maguire wróci ze swoimi grzankami z serem i stwierdzi, że obiad stoi nieruszony, to biada mu.

Tylko że jakim cudem on miał o wszystkim pamiętać? Miał na głowie tyle rzeczy...

Dotarł do Locket Hall, gdzie Forbes Mackay wziął od niego czapkę i płaszcz i zaproponował mu maleńkiego drinka, by się pokrzepić w tych „czarnych jak noc chwilach”. Ostrzegł gościa, że na górze panuje nastrój ponury jak nigdy.

Lokaj wskazał na schody, Sidney dotarł nimi na górę, a tam zastał na kanapie Bena i Amandę.

– Proszę wybaczyć, że zaanektowałem pańską przyjaciółkę, ale byłem w strasznym dołku – zaczął Ben. – Cicely się rozchorowała, służba milczy zszokowana, a ja nie wiem, co robić. Wciąż sobie przypominam, jak krążyłem z Dominikiem po domu. Idę do któregoś pokoju, a tam nie pamiętam, po co przyszedłem. Nie potrafię słuchać niczego, co ludzie mówią, nie potrafię odpowiadać. Nic już nie ma sensu.

– Musi pan odpocząć – powiedział Sidney. – I spać.

– Staram się, ale zanim zasnę, przypominam sobie, co się stało, i już mam w głowie tylko tę odrażającą zbrodnię.

– Policja z panem rozmawiała?

– Zadawali mnóstwo osobistych pytań. To pewnie zrozumiałe. Czy Mackay przygotowuje wielebnemu coś do picia?

– Tak...

Amanda zwróciła twarz do Sidneya.

– Dlaczego dochodzi do takich strasznych rzeczy? Czy to nie podkopuje twojej wiary?

– Wiary w Boga nie. Wiarę w ludzi owszem.

– Czy policja zakończyła już przesłuchania? – spytał Ben.

– Pewnie będą musieli je ponownie przeprowadzić. Wie pan, kto dziedziczy po lordzie Tevershamie?

– Większość ludzi coś dostaje. Pewnie Clive Morton jest wykonawcą testamentu.

– A pan?

– Zapisano mi obrazy pomniejszej wartości. Krajobraz Palmera, który mnie zawsze zachwycał, uroczego Landseera i piękną kolekcję grafik Bewicka. To wielka uprzejmość ze strony Dominica, ale wolałbym, żeby żył. Bez niego te dzieła nie znaczą nic.

– A ktoś jeszcze?

– Cicely dziedziczy całą kolekcję, ale jest kilka innych zapisów: Simon Hackford na przykład. Dominic chyba ostatnio zmieniał testament, by ograniczyć zapis na jego rzecz. W pewnym momencie chciał mu podarować Turnera. To by wywołało spore zaskoczenie.

– Już i tak wywołało. Czy Simon Hackford i lord Teversham pracowali razem?

– Myślałem, że ksiądz wie.

Sidney się uśmiechnął.

– Nie zawsze ujawniam, co wiem, Benie.

– Byli najlepszymi przyjaciółmi. Jeździli razem na aukcje. To Simonowi kolekcja zawdzięcza wiele dzieł. On zauważał jakiś obraz, lord Teversham go kupował i albo go zatrzymywali, albo odsprzedawali. Simon jest przede wszystkim znawcą sreber, ale zna się w ogóle na sztuce osiemnastego wieku, aczkolwiek raz umknął mu nieznany Gainsborough...

– Przeoczył sensacyjne odkrycie?

– Właśnie tak.

– Dlaczego Simon Hackford przestał tu pracować?

– Dominic powiedział mi, że zwątpił w jego kompetencje. Nie czuł już, że może na nim polegać, a gdy ja się pojawiłem, widywali się znacznie rzadziej. Nie sądzę, żeby doszło do jakiegoś wielkiego rozstania, po prostu oddalali się od siebie. Tak bywa, że przyjaźń przygasa, prawda?

– Pan chyba jest za młody, by się o tym przekonać.

– Widziałem to na uniwersytecie, księże Chambers. Ludzie w jednej chwili pałają do siebie sympatią, a gdy się poznają lepiej, znajomość nie wydaje się już tak ekscytująca...

Amanda westchnęła.

– W Londynie cały czas tak się dzieje. Ciężko dociec, czy ludzie są szczerzy czy nie. Zgodzisz się ze mną, Sidneyu?

– Muszę rozstrzygać wątpliwości na korzyść ludzi.

– Ale gdy prowadzisz śledztwo w sprawie morderstwa, to chyba nie?

– Nie – przyznał Sidney. Jego myśli stawały się niepokojąco znajome. – W takim razie wygląda na to, że w ogóle nie mogę myśleć jak ksiądz.

Następnego ranka Sidney spotkał się z Amandą na wczesnym lunchu w Bleu Blanc Rouge. Wcześniej nigdy nie był w środku i teraz stwierdził, że zgodnie z jego oczekiwaniami wnętrze odpowiada nazwie. Z białymi ścianami, czerwonymi obrusami w krateczkę i niebieskimi serwetkami wszystko tu sugerowało trójkolorowość. Na ścianach wisiały powiększone zdjęcia i oprawione kopie starych gazet sławiących wyzwolenie Paryża w 1945 roku, a także menu oferujące francuskie potrawy: *pâté*, placek cebulowy, omlety i *potage parmentier, boeuf bourguignon, coq au vin*, królika i turbota.

– Kieliszek szampana dla państwa? – spytał Michel Morel, gdy odebrał od nich okrycia.

– Trochę chyba wcześnie, prawda? – Sidney zastanawiał się, jakim cudem ich gospodarza stać na tak kosztowne gesty.

Restaurator zignorował sugestię.

– Tam, gdzie się uczyłem zawodu, kucharz zaczynał dzień od szampana. To najświetniejszy szef kuchni we Francji, Fernard Point.

– Chyba o nim słyszałem – odrzekł Sidney. – Kilkoro moich przyjaciół po wojnie było w jego restauracji. La Pyramide...

– Właśnie! Wypijał butelkę szampana z fryzjerem, który golił go co rano.

Amanda się uśmiechnęła.

– Musi być pijany jeszcze przed rozpoczęciem pracy.

– Ani trochę. Zawsze mówi: *De bonne humeur. Gardez le sourire, mes amis!*[30]. Czasami myślę sobie, że ciągle ma w brzuchu wszystkie posiłki, które zjadł w życiu. Przyniosę państwu kartę.

Gdy usiedli przy swoim stoliku, Amanda wyznała Sidneyowi, że się denerwuje.

– Mam nadzieję, że nie odstraszymy gości...

– Dlaczego mielibyśmy ich odstraszać?

– Ludzie pomyślą, że rozmawiamy o morderstwie.

– Całe Cambridge rozmawia o morderstwie.

Amanda upiła łyk szampana i odstawiła kieliszek. Nie miała nastroju.

– Martwię się o Bena, Sidneyu.

– Nie wątpię.

– Wczoraj powiedział mi coś, co nie daje mi spokoju.

– Co takiego?

– W zasadzie mówił do siebie. Myślę, że może zapomniał nawet, że jestem z nim w pokoju. Mówił w bólu, oczywiście, aż nagle wyrzucił z siebie coś, co mnie się wydało niewiarygodnie poruszające.

– Co to było?

– „Dom dał mi miłość, której nie doczekałem się od ojca”.

– Wyjaśnił, co miał na myśli?

– Nie do końca. Ale na pewno był wychowywany surowo. Jego matka umarła, gdy uczył się w szkole z internatem, nie pozwolono mu pojechać na pogrzeb. Nękano go, bo był nieduży i delikatny, a on się zatracił w pracy. Jako pierwsza osoba w rodzinie dostał się do Oxfordu, ale ojciec miał pretensje, że studiuje historię zamiast jednego z kierunków technicznych, żeby móc pracować w rodzinnej firmie. Gdy Ben odmówił, ojciec wyrzucił go z domu i zerwał z nim stosunki. Ben bardzo się go boi.

– Więc co robili razem w tej sztuce? To bardzo dziwne.

– Może powinieneś się wybrać do Franka Blackwooda i z nim pogadać?

– Rzeczywiście mam kilka pytań.

– Na szczęście – mówiła dalej Amanda – Ben nawiązał jakieś przyjaźnie w Oxfordzie i jeden z tych przyjaciół załatwił mu pracę u lorda Tevershama. No i kiedy już był szczęśliwy i miał widoki na przyszłość, wydarzyła się ta tragedia.

– Jak sądzisz, jak blisko był z lordem Tevershamem?

– Czy to podchwytliwe pytanie, Sidneyu?

– Sama zdecyduj.

– Nie sądzę, żeby tam się działo coś złego, jeśli do tego zmierzasz.

– Ale może inni ludzie tak sądzą? Miłość, która nie śmie wymówić swojego imienia...

Amanda przechyliła się do przodu.

– Masz na myśli kogoś w rodzaju Simona Hackforda?

– Nie jestem pewien.

– Sugerujesz, że Ben był zastępcą Simona Hackforda w sercu lorda Tevershama?

– Niewykluczone.

– Sądzisz, że Simona Hackforda i lorda Tevershama łączyło coś więcej niż przyjaźń? – pytała Amanda.

Podszedł kelner po zamówienie, ale poprosili, by zaczekał.

– Wiesz, jak bardzo trzeba strzec tej tajemnicy? – spytał Sidney.

– W świecie sztuki połowa ludzi, których spotykam, to cioty. Udają, że nie, ich prawdziwi przyjaciele zdają sobie z tego sprawę, ale wszyscy wiedzą, że nie należy zadawać za dużo pytań.

– Nie wszyscy, oczywiście. A w małym miasteczku, albo w sytuacji, gdy ktoś musi dbać o reputację, na pewno sobie wyobrażasz, jak bardzo ci ludzie boją się zdemaskowania.

Amanda odłożyła kartę.

– Ale mieliby się nawzajem kompromitować? Nie sądzę, by w wypadku

homoseksualistów skutkował szantaż. Jeśli jesteś cudzołożnikiem, idziesz na policję i składasz skargę, że ci grożono, a potem naprowadzasz policję na ślad szantażysty, bez strachu, że spotkają cię jakieś konsekwencje. Jedyne, czego się obawiasz, to skandal. Ale jeśli jesteś homoseksualistą i złożysz skargę, że ktoś cię szantażuje, policja na początek może aresztować ciebie i możesz trafić do więzienia, bez względu na to, czy policja ściga szantażystę czy nie.

– Nie sądzisz więc, by Simon Hackford coś takiego robił?

– Gdyby robił, sam by zginął. Pewnie miał jakieś nieprzyjazne uczucia, gdy Ben go zastąpił. Z Dominikiem łączył go dobry układ, przynajmniej finansowy...

– Mówi, że teraz, z żoną, jest szczęśliwszy...

– Może to małżeństwo to przykrywka – odparła Amanda. – Pewnie widok Bena był dla niego nieznośny. Ale sądzisz, że to wystarczy za motyw morderstwa? Mnie się to wydaje trochę desperackie.

– Morderstwa pewnie często są desperackie. Ludzie są desperatami.

Restauracja Bleu Blanc Rouge znajdowała się przy tej samej ulicy co zakład Blackwooda i gdy już Amanda wsiadła do pociągu do Londynu, Sidney postanowił złożyć wizytę ojcu Bena.

„Dom dał mi miłość, której nie doczekałem się od ojca”.

Fabryczka produkowała lekki sprzęt, części do radia, zawory i tranzystory. Poważni młodzieńcy w rozpiętych pod szyją koszulach i bezrękawnikach stali przy stołach warsztatowych w wielkiej hali, zdejmując z kabli izolację, lutując czy mocując płytki drukowane w specjalnych zaciskach. Zastęp schludnych, zadbanych kobiet z włosami ułożonymi w wyciskane fale wypisywał na maszynach faktury, ustalał dostawy i odbierał telefony. Rozplanowanie, oświetlenie i metody pracy – wszystko reprezentowało ideę, że każdy element budynku, każdy człowiek i każda maszyna jest kluczowym elementem nowoczesnego procesu produkcyjnego.

– Jestem wymagającym szefem – zaczął Frank Blackwood – nie ma czasu na obiboków. Jeśli nowa, nowoczesna Brytania ma konkurować z Europą i resztą świata, to potrzebuje każdego inżyniera. Pracujemy pełną parą od siódmej trzydzieści do szesnastej trzydzieści z półgodzinną przerwą na lunch. Przechodzę właśnie od części radiowych do telewizyjnych. Trzeba nadążać za popytem.

– To mądra decyzja, jak sądzę – odrzekł Sidney. – W dzisiejszych czasach wszyscy chcą mieć telewizor.

– A ksiądz ma?

– Niestety, przy moich poborach...

– Są drogie, ale ceny spadają.

– Są też dość nieporęczne. Sądzi pan, że z czasem będą produkowane mniejsze?

– Pewnie tak. Ale tam jest mnóstwo części, lampa elektronopromieniowa, przewody, przełączniki.

– Mógłbym zajrzeć do środka takiego odbiornika? – spytał Sidney. – Zawsze chciałem wiedzieć, jak one działają.

– Oczywiście.

– Widzę, że włącznik jest na sprężynę.

– Mamy tu mnóstwo mechanizmów sprężynowych. Zacząłem od robienia maszyn do pinballa. Niemal weszliśmy we flippery, ale Amerykanie zdążyli nasycić rynek, więc zmieniłem kierunek i ruszyłem w technologię. Ale ksiądz na pewno nie przyszedł rozmawiać o mojej pracy, co? Są jakieś postępy w szukaniu mordercy?

– Mamy kilka pomysłów, ale na tym etapie za wcześnie o tym mówić.

– Na przykład ludzi bliskich lordowi Tevershamowi?

– Pańskiego syna nie podejrzewamy.

– Co za ulga – odrzekł Frank Blackwood. – Chociaż nigdy mi się nie podobało, że Ben u niego pracuje.

– Dlaczego?

– A bo siedział tam z dala od ludzi. Jakoś też nie wierzę, że to jest porządna praca. Nie ma w niej chyba żadnych perspektyw. Co to za zajęcie: gapienie się na obrazy albo pisanie książki o domu, którego nikt nie może odwiedzić? Powinien pracować dla mnie albo gdzieś w Londynie. Bóg jeden wie, co on teraz zrobi.

– Jak pan sądzi, co się stanie?

– Może mu dadzą jakąś odprawę. Simon Hackford pewnie to przejmie. On i lord Teversham przyjaźnili się wiele lat. Powinien wielebny pójść z nim pogadać. Coś mi tam śmierdzi, ale podejrzewam, że to już ksiądz wie.

– Nie widziałem nic, co by mi nasunęło myśl, że Simon Hackford nie jest uczciwym człowiekiem.

– Za bardzo ksiądz chrześcijański.

– Nie mam wyboru.

– Nie chcę być niegrzeczny, proszę księdza, ale już na pierwszy rzut oka widać, że coś z tym człowiekiem nie do końca jest w porządku.

Sidney uciął te sugestie.

– Jeszcze dzisiaj się z nim spotkam.

– Więc jest podejrzany?

– Wszyscy są podejrzani, panie Blackwood. Nawet pan i nawet ja.

– Nie wydaje mi się to prawdopodobne.

– Policja wręcz mówi, że często najmniej prawdopodobni...

– Ale ksiądz to ksiądz.

– A pan jest wymagającym szefem – odrzekł Sidney. Uśmiechnął się jak najbardziej niejednoznacznie. – Nie jestem mordercą, panie Blackwood, ale niektórzy duchowni potrafią być niewiarygodnie pokrętni.

– Naprawdę?

– Nie chciałbym, by ktokolwiek coś zakładał na mój temat.

Sklep z antykami Simona Hackforda mieścił się przy Trumpington Street, niemal naprzeciwko Fitzwilliam Musem, i miał cztery jasne witryny, w których wyeksponowano gustowną kolekcję osiemnastowiecznego malarstwa i tradycyjnych mebli angielskich. Ilekroć Sidney podejmował decyzję, że pojedzie do domu drogą przez Sheep's Green i przez Fen Causeway, lubił zwolnić, zerknąć na te witryny i wyobrazić sobie, na co byłoby go stać, gdyby wybrał inną profesję. Na przykład elżbietańska skrzynia z orzecha szykownie by wyglądała w jego holu. Zawsze podobały mu się też dwa świeczniki z epoki królowej Anny.

– Szuka wielebny czegoś konkretnego? – spytał Simon Hackford. – Mamy apostolskie łyżeczki, przyszły kilka dni temu. Jak zapewne wielebny wie, w naszym kraju zostały jedynie cztery takie komplety.

Był to jeden z rejonów świata antyków, gdzie Sidney miał odrobinę wiedzy. Bardzo chciał się nią pochwalić.

– Czy na zewnętrznej stronie czerpaczka widnieje głowa lamparta?

– W rzeczy samej.

– A pozostałe znaki są umieszczone na odwrocie trzonka?

– Tak.

Sidney skinął głową w zamyśleniu, a przynajmniej starał się sprawiać wrażenie zamyślonego.

– I każdy z apostołów jest rozpoznawalny, z własną aureolą?

– Nimby są nietknięte.

– Mogę je zobaczyć?

– Na pewno nie przyszedł wielebny oglądać moich sreber, prawda?

– Rzeczywiście, chociaż teraz, gdy ma pan pokazać mi te łyżeczki...

Simon Hackford go przejrzał.

– Wizyta wielebnego wiąże się pewnie ze sprawą lorda Tevershama?

– Niestety.

Antykwariusz wrócił do kontuaru i wyjął niewielką zieloną skrzyneczkę. Postawił ją na dębowym stole jadalnym.

– Coś okropnego – rzekł, zanim wrócił po białe rękawiczki. – Myśmy się tak przyjaźnili!

– Choć ostatnio chyba odrobinę mniej – zauważył Sidney.

– Dlaczego wielebny tak mówi?

– W teatrze powiedział nam pan, że czas lubi spędzać tylko z żoną. Czy to dlatego, że kiedyś było inaczej?

– Nie wydaje mi się, żeby to była sprawa wielebnego.

– Mam nadzieję, że nie ma pan za złe, że pytam.

Simon Hackford odwrócił się, mówił teraz zupełnie innym tonem. Wręcz stał się otwarcie nieprzyjazny.

– Nie mam księdzu za złe, że pyta, jeśli o to chodzi. Ostatnio przechodzimy trudniejsze chwile i Marion nie lubi, jak o tym rozmawiam.

– Przykro mi.

– Mogę zrozumieć, że to budzi zainteresowanie wielebnego. Lord Teversham i ja byliśmy przyjaciółmi i wspólnikami w interesach. Nie miałem powodu, by go nie lubić. Nasz układ po prostu dobiegł końca, gdy pojawił się Ben Blackwood.

– Pewnie go pan nie darzy sympatią.

– Każdy lubi być niezastąpiony, księże kanoniku. Człowiek zawsze sobie wyobraża, że jego pracy nie może wykonywać nikt inny, że jego układy są trwałe. Na szczęście mam dobre oko i innych klientów. Nie potrzebuję niczyjego wsparcia, jedynie mojej żony.

– Bardzo mi miło to słyszeć.

– Może z nią wielebny porozmawiać, jeśli chce...

– Niewykluczone, że będę musiał. Tymczasem jednak proszę pokazać mi łyżeczki.

Simon Hackford włożył białe rękawiczki. Ręce mu odrobinę drżały. Sidney zastanowił się, czy aby antykwariusz nie popija po kryjomu.

– Wydaje mi się, że trzeba by je trochę wypolerować. – Simon Hackford odpiął złote klamerki i otworzył kasetkę. Nagle znieruchomiał. – Boże drogi! – Cofnął się przerażony. – Skąd to się tu wzięło?

W kasetce nie było łyżeczek. Została tylko zmięta biała satyna, a na niej krótki zakrwawiony sztylet.

– To on – oznajmił inspektor Keating.

– Myślę, że jest niewinny – odrzekł Sidney.

Inspektor westchnął.

– Ty z zasady nie poważasz prostych rozwiązań, prawda? Pewnie sądzisz, że ktoś podłożył broń, by rzucić podejrzenie na Simona Hackforda.

– W rzeczy samej.

– Były wspólnik lorda Tevershama. Bóg jeden wie, co ich łączyło. Przestaje być partnerem w interesach. Kończy się przyjaźń. Jego firma prosperuje tak sobie. Gra rolę mordercy w przedstawieniu. Jako ostatni zadał cios lordowi Tevershamowi. To chyba nie może być bardziej oczywiste.

– To jest zbyt oczywiste, inspektorze.

– Szkoda, że tak uważasz. Ale dopóki nie wymyślisz nic lepszego, Simon Hackford będzie siedział w areszcie.

Sidney wiedział, że pewnie jako jedyny człowiek w Cambridge byłby w stanie pomóc oskarżonemu.

– Wierzę, że jest pan niewinny – powiedział Simonowi Hackfordowi. – Ale muszę mieć więcej informacji, jeśli mam się dowiedzieć, kto to zrobił. Muszę znać

dane wszystkich osób, które dysponują kluczami do sklepu, i wszystkich osób, które tu zachodziły od chwili dostarczenia łyżeczek apostolskich.

Simon Hackford był tak zdenerwowany, że ledwie mógł mówić.

– Część z nich to osoby przypadkowe. Ale moja żona zna większość stałych klientów, którzy tu do nas zaglądali. Dałoby się tak zrobić, żebyście ich wypytali, nie zdradzając jednocześnie, co się stało?

– Możemy być dyskretni – odrzekł Sidney. – To kwestia ustalenia powiązań. Bardzo by pomogło, gdyby miał pan jakąś koncepcję, kto mógł dokonać tego morderstwa, jeśli to nie był pan.

– Muszę mieć pewność, że to, co powiem, zostanie między nami.

– Może mi pan zaufać.

Simon Hackford milczał chwilę. Wyglądał, jakby bardziej się bał tego, co ma powiedzieć, niż przyznania się do winy.

– Nie jestem pewien, czy mogę księdzu zaufać. Jest ksiądz w zmowie z policją.

– Tak, ale przede wszystkim jestem księdzem. To przeważa wszystko inne.

– A gdybym powiedział księdzu, że ciąży na mnie inna wina?

– Zachęcałbym pana do zachowania dyskrecji, jeśli słusznie się domyślam, co chce mi pan powiedzieć.

– Więc się ksiądz domyślił?

Sidney dopiero po chwili odpowiedział:

– Domyślam się, że z lordem Tevershamem łączyła pana zażyła relacja.

– To prawda.

– A więc nic więcej nie musi mi pan mówić. Zgodzi się pan, bym czytał między wierszami?

– Tak.

– Rozstaliście się?

– Tak.

– Gdy pojawił się Ben Blackwood?

– Nie mówię, że łączy ich to samo, co łączyło nas, ani że Blackwood jest mordercą. Ale nie sądzę, by był całkowicie niewinny. Podbił serce Dominica, a prawdopodobnie chodzi mu o jego obrazy. Ale gdybym powiedział to wszystko...

– To on mógłby odpowiadać...

– Właśnie. Wie ksiądz, jak to jest.

– Nie wiem, jak to jest, ale sobie wyobrażam.

– Nawet jeśli prawo się zmieni, nie będziemy mogli rozmawiać o takich rzeczach ze strachu przed kompromitacją. Przez to stajemy się słabi.

– Sądzi pan, że mordercą może być Ben Blackwood albo jakiś inny bliski przyjaciel lorda Tevershama?

– Nie jest to wykluczone.

– Ale kto?

– To właśnie musi ksiądz odkryć, księże Chambers.

Sidney czuł się zagubiony i postanowił poradzić się swojego wikariusza. Na tę sprawę padał jakiś cień tajemnicy, sugestii, insynuacji. Nie mógł tego rozgryźć. Podejrzewał, że Leonard ma swoją opinię w tej kwestii, nawet jeśli jej nie wyraża na głos.

W pewnym momencie dwaj księża siedzieli przy kuchennym stole i jedli skromny lunch złożony z tostów z sardynkami. Sidney przekazał wieści o aresztowaniu Simona Hackforda i zasugerował, że osobiście uważa to za pomyłkę. Zauważył też, że ostatnio częściej padają komentarze na temat homoseksualizmu w ogóle, zarówno w Cambridge, jak i na stronach „Timesa", i zastanawiał się, czy jego wikariusz ma jakieś zdanie na ten temat.

– Arcybiskup Canterbury oczywiście jasno przedstawił stanowisko Kościoła w tej sprawie – wyjaśniał ostrożnie Leonard. – Publicznie oznajmił, że folgowanie homoseksualizmowi jest występkiem i grzechem ciężkim, od którego trzeba wszelkimi środkami szukać wybawienia...

– Sądzisz, że to dotyczy zarówno świadomych swoich czynów osób dorosłych, które tych czynów nie upubliczniają, jak również tych, których arcybiskup nazwałby „innymi dewiantami"? – spytał Sidney.

– Arcybiskup nie odróżnia jednych od drugich. Każdy czyn jest równie grzeszny.

– A myślisz, że to dotyczy tak samo gestów czułości, trzymania się za ręce, całowania i tak dalej, jak tego, co lord Samuel ostatnio w Izbie Lordów nazwał „występkami sodomicznymi"?

Leonard zaczął zmywać naczynia.

– Powtórzę: arcybiskup nie odróżnia jednych od drugich.

Sidney wziął ściereczkę do naczyń i mówił dalej:

– A przecież wielu z tych, którzy mają skłonności homoseksualne, zaczęło sugerować, że ich skłonności są nieszczęściem, zrządzeniem losu, którego nie mogą kontrolować i któremu z czystym sumieniem mogą ulegać...

– Arcybiskup zaleca nam sądzić, że są oni w błędzie i powinni zasięgnąć porady swojego lekarza.

– A ty się zgadzasz z arcybiskupem, Leonardzie?

Wikary położył talerz na ociekaczu.

– Nie czuję się upoważniony głośno wyrażać poglądy sprzeczne ze zdaniem mojego arcybiskupa.

– A co należy robić z tymi ludźmi?

– Niedawny raport w „Timesie" donosi, że istnieją „fizyczne środki, by stłumić bodźce seksualne". Głównym jednak problemem – i to zaskakującym dla przedstawicieli zawodu lekarza – jest częsta niechęć takiego grzesznika do walki

z tym problemem i do współpracy zmierzającej do znalezienia rozwiązania.

– Grzesznik ów ma wrażenie, że jego zachowanie nie jest przestępstwem, lecz stanem naturalnym?

– Tak właśnie sugerowano, Sidneyu. Podczas gdy Jego Ekscelencja stanowczo uważa, że takie zachowanie jest haniebnym występkiem, który musi być ukarany, w ostateczności więzieniem, dla ochrony i dla dobra społeczeństwa jako całości.

– A ty uważasz, że przekonanie Jego Ekscelencji, iż więzienie takich ludzi na osiemnaście godzin w izolatce, gdzie sprawca tego rodzaju występku może medytować o swojej przeszłości i o swojej przyszłości, może zaowocować poprawą jego charakteru?

– Jego Ekscelencja nie zezwolił mi komentować tej kwestii.

Sidney zaczął wycierać szklanki.

– Zastanawiam się też, czy uznawanie przez człowieka tych jego uczuć, z którymi się nie afiszuje publicznie, powinno być regulowane ustawą. Można by też podnieść taką kwestię, że im więcej prywatnego życia obwarujemy prawem karnym, tym mniej człowiekowi zostanie okazji do dokonywania wolnego wyboru moralnego.

– Zadajesz ważne pytanie, Sidneyu, ale ja nie mam kompetencji, by na nie odpowiedzieć. Zwróciłbym jednak twoją uwagę na fakt, że spośród dziesięciorga przykazań jedynie trzy są ujęte w prawie karnym: kradzież, krzywoprzysięstwo i oczywiście morderstwo.

– I to na morderstwie, a nie na dewiacjach moralnych, twoim zdaniem powinniśmy obecnie się skoncentrować?

– Właśnie, Sidneyu. Jestem przekonany, że to ważniejsze niż życie prywatne jakiejkolwiek osoby.

– W takim razie zgadzamy się ze sobą – podsumował Sidney. Nie wiedział, czy odkrył cokolwiek innego niż niezłomną zdolność swojego wikarego do odpowiadania szczerze na każde pytanie.

Zanim jednak Sidney mógł się na powrót zająć swoim śledztwem w sprawie śmierci lorda Tevershama, w chwili gdy się przygotowywał do napisania wstępniaka do gazetki parafialnej, zadzwoniła Amanda i nalegała, by jak najszybciej przyjechał do Londynu. Miała mu coś do powiedzenia i najwyraźniej była to sprawa niecierpiąca zwłoki.

Sidney wiedział, że nie ma czasu i że pilne sprawy Amandy istnieją w dziwnie uprzywilejowanym świecie równoległym, ale jego przywiązanie do niej osiągnęło poziom, na którym nie umiał jej odmówić. Umówili się więc na koktajl w Savoyu. Sidney ponuro skonstatował, że w tym właśnie hotelu Oscar Wilde zatrzymał się kiedyś ze swoim przyjacielem lordem Alfredem Douglasem.

Przed budynkiem tam i z powrotem przechadzał się mężczyzna z afiszem:

ZAPŁATĄ ZA GRZECH JEST ŚMIERĆ.

– Nie trzeba tego bez końca powtarzać – zauważyła Amanda, gdy go mijali.

Zdjęła płaszcz – pod spodem miała czarną sukienkę koktajlową z głębokim dekoltem oraz naszyjnik z pereł. Wyglądała jak Ava Gardner. Sidney czuł się przy niej wręcz niechlujny i żałował, że albo nie ma takich dochodów, dzięki którym ubierałby się jak Frank Sinatra, albo że nie umówili się w bardziej nonszalanckim otoczeniu niż Savoy.

Spojrzał leniwym wzrokiem na urodziwą blond pieśniarkę z The Savoy Hotel Orpheans śpiewającą *I'm a Fool to Want You*, ale zatrzymał go na niej zbyt długo. Amanda odciągnęła przyjaciela do zarezerwowanego stolika w rogu i nalegała, by napili się koktajli z szampanem. Wyjaśniła, że chce Sidneyowi coś powiedzieć i musi się rozweselić.

– Mój ojciec uważa, że jestem zbyt niezależna – zaczęła.

– Sądziłem, że lubisz być niezależna.

– Uważa też, wyobraź sobie, Sidneyu, że nie masz na mnie dobrego wpływu. Orzekł, że nie powinnam się z tobą widywać. Odmówiłam bez zastanowienia, oczywiście. Powiedziałam, że wygaduje bzdury i że to, co się stało, mogło się przydarzyć każdemu, ale trudno było się spierać, gdy wykazał, że w wyniku naszej przyjaźni uczestniczyłam w dwóch śledztwach kryminalnych, porwaniu i napaści. A wszystko w ciągu raptem jednego roku.

– Zgadzam się, że to nie wygląda najlepiej.

– Tak właśnie twierdził.

– I czego od ciebie żąda?

– Żebym wyszła za mąż, oczywiście.

– Rozumiem. – Sidney wiedział, że musi zachować ostrożność. – Masz kogoś konkretnego na myśli? – spytał.

– Zawsze się ktoś kręci, ale nie ma nikogo konkretnego. Byłoby o wiele łatwiej, gdybym mogła wyjść za ciebie, ale uzgodniliśmy, że raczej nie mogę poślubić księdza.

– Tak uzgodniliśmy?

– Wiesz, że jako żona duchownego byłabym absolutnie beznadziejna, a nie chcę niszczyć tego, co nas łączy. Rozumiesz. Prawda?

– Rozumiem, Amando. Problem tylko w tym, że jeśli poślubisz kogoś innego, wszystko się zmieni. Twojemu mężowi może się nie podobać, że się widujemy.

– Mogę to załatwić. Na pewno nie jestem gotowa się podporządkować, jeśli o to ci chodzi. A swoją drogą, jeśli kiedykolwiek wyjdę za mąż, chcę, byś ty udzielił mi ślubu.

– Oczywiście. Chociaż może to być dla mnie dość trudne.

– Chodzi ci o to, że będziesz zazdrosny?

– Tego się właśnie obawiam.

Amanda zastanawiała się chwilę.

– A jak sądzisz, jak ja się będę czuła, gdy ty się ożenisz?

– Nie sądzę, by do tego doszło.

– A ja nie jestem tego taka pewna. Niewykluczone, że na przyszłe Boże Narodzenie wyląduję w Niemczech, w pierwszej ławce zimnego luterańskiego kościoła, w którym ty będziesz się łączył węzłem małżeńskim z panią Staunton.

– Skąd ty w ogóle o niej wiesz?

– Od Jennifer, od inspektora Keatinga, a nawet od Leonarda Grahama. Wszyscy oni sądzą, że coś jest na rzeczy. Nigdy słowem o niej nie wspominasz, a to już dużo zdradza, mój drogi przyjacielu. Słyszałam też o ważnej porcelanowej figurce na twoim biurku. Zapewne korespondujecie ze sobą?

– Tak.

– I macie w planach jakieś spotkanie?

– Nie sądzę, by ona zamierzała wrócić do Grantchester.

– Ale ty możesz jechać do Niemiec?

– Chciałbym się z nią zobaczyć, to prawda.

– Cóż, no i właśnie. Nie wiem, dlaczego się martwisz moim ewentualnym zamążpójściem, skoro może sam się ożenisz.

– To bardzo mglista ewentualność.

– A więc przyznajesz, że istnieje taka ewentualność?

– Nadal uważam, że to mało prawdopodobne. Na pewno nie jest tak prawdopodobne jak twoje małżeństwo z jednym z zalotników. Na kogo stawia twój ojciec?

– Na Eddiego Harcourta.

– A kto to?

– Etończyk z dziada pradziada. Do jego ojca należy połowa Somerset, mają wielki dom w centrum Bath. Niewykluczone, że chodzi o Royal Crescent. Tak więc rodzina ma pieniądze, a Eddie na pewno jest porządnym chłopakiem, ale jest potwornie nudny. Mam poczucie, że gdybym wysiedziała z nim choćby dziesięć minut, uciekłabym z pierwszym lepszym kowalem.

– W Bath są kowale?

– No, ja myślę.

– I powiedziałaś o tym ojcu?

– Tak, szczerze mówiąc, i wiesz, że on się na mnie rozzłościł? „Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem”, powiedział, a potem już tylko mówił i mówił, aż przestałam słuchać. Sens w tym, że nie chce, bym okazała się takim rozczarowaniem jak mój brat.

– Nie pochwala wyborów Davida?

– Jest na niego wściekły. Jak może pamiętasz, David uciekł z rozwódką,

a teraz tata się martwi, że straci kontrolę również nad drugim dzieckiem. Nadal jest zdania, że powinnam wyjść za Guya Hopkinsa. Powiedział, że zniszczymy mu reputację. Że jeśli żadne z jego dzieci nie będzie robiło tego, co on każe, wykluczy nas z testamentu, a potem albo opuści kraj, albo nas pozabija. Oczywiście ubarwiał i gadał trochę bez ładu i składu, bo wypił już trzy dżiny, ale to niepokojące, kiedy ojciec grozi, że cię zabije, nie sądzisz?

Amanda umilkła.

– Słuchasz mnie, Sidneyu?

– Przepraszam...

– Dlaczego masz taki straszny wyraz twarzy? Widziałam już kiedyś, jak tak odpływasz. Powinieneś chłonąć każde moje słowo.

– Chłonę, Amando. Chłonę. Po prostu coś mi przyszło do głowy.

– Co takiego? Co może być ważniejsze od tego, o czym teraz do ciebie mówię?

– Morderstwo.

– Ale jak to? Mówiłam o Eddiem Harcourcie, o moim bracie, o rozwódce i piciu mojego ojca. Który z tych elementów w jakikolwiek sposób wiąże się z wydarzeniami w Cambridge?!

– Muszę natychmiast wracać, Amando.

– Teraz?

– Jedź ze mną, jeśli chcesz.

– Mam zjeść obiad z Eddiem.

– Dzisiaj?

– Tak, dzisiaj. Co mam robić?

– Odrzuć go, Amando.

– Świetnie. Jeśli poprosi o moją rękę, mogę go odrzucić. A jeśli tata zrobi awanturę, powiem mu, że poszłam za twoją radą.

– Nie, tego nie mów – odrzekł z roztargnieniem Sidney.

– Ale tak właśnie mi radzisz?

– Tak, ale nie musisz mu tego mówić. – Sidney myślami już był przy morderstwie Tevershama. Nie słuchał uważnie odpowiedzi przyjaciółki. – To musi być twoja decyzja, Amando. Ale możesz powiedzieć ojcu, że nie jesteś gotowa na małżeństwo bez miłości. Moim zdaniem to minimalne wymaganie.

– Nie można kogoś pokochać z czasem?

– Musi cię z tym kimś coś łączyć od początku, takie jest moje zdanie.

– Tak jak jest między nami?

– Tak, Amando. – Sidney westchnął. – Tak jak jest między nami.

Zanim Sidney wsiadł do pociągu powrotnego, zadzwonił do inspektora Keatinga i powiadomił go o swoich podejrzeniach. Dodał, że ze względu na nieoczekiwaną naturę tych odkryć podejrzany pewnie nie spodziewa się, że policja

wpadnie na jego trop. Z wszelkimi przesłuchaniami należy zaczekać do następnego dnia. Dopiero więc znacznie po dziewiątej nazajutrz Sidney i Keating weszli do zakładu produkcyjnego przy Mill Road i powiedzieli, że chcą zamienić na osobności kilka słów z Frankiem Blackwoodem. Na zewnątrz czekało dwóch mundurowych.

Ojciec Bena się nie ucieszył.

– Już powiedziałem wszystko, co wiem. Czego jeszcze chcecie?

– Chcieliśmy zapytać, czy kiedykolwiek brał pan udział w jakimkolwiek przedstawieniu amatorskim, jeśli nie liczyć *Juliusza Cezara*? – zaczął Sidney.

– Co to ma do rzeczy?

– Odniosłem wrażenie, że to nie jest zajęcie w pańskim typie.

– Już przez to przechodziliśmy. Spodobała mi się kobieta grająca Kalpurnię. Już mówiłem. Co prawda nie za bardzo mi się to przysłużyło.

Wtrącił się inspektor Keating:

– A fakt, że w przedstawieniu brał udział pański syn, miał znaczenie? Zdaje się, że to pana powinno zniechęcić.

– Nie obchodziło mnie to.

– I nie obchodziło też pana, że syn nie poszedł w pańskie ślady?

– Już mówiłem księdzu Chambersowi, że tak, to mnie obchodziło. Ale co człowiek może zrobić, gdy mu syn wyjeżdża do Oxfordu? Zawsze był maminsynkiem. Lepiej by było, gdyby się nauczył zawodu i odsłużył swoje w wojsku.

– A co pan myślał o tym, że pracuje dla lorda Tevershama? – pytał dalej inspektor Keating.

– Nie podobało mi się to. Ale co to ma z nim wspólnego? Nie sądzicie chyba, że to on zabił tego starego pederastę, co?

– Nie. Nie sądzimy.

– No bo ja sobie nie wyobrażam, żeby Ben zabił choćby muchę.

– To oczywiście zaleta – zauważył Sidney.

– Ale nie przydałoby się nam za bardzo w czasie wojny, prawda?

– Na szczęście pański syn nie musiał walczyć.

– Ksiądz pewnie też nie.

Inspektor Keating w imieniu przyjaciela postanowił ukrócić te impertynencje.

– Prawdę mówiąc, ksiądz Chambers walczył na wojnie. Zdobył Military Cross. Może mi pan powiedzieć, gdzie pan stał w czasie morderstwa?

– Już to omawialiśmy.

– Jak dobrze znał pan lorda Tevershama? – Keating nie ustępował.

– W zasadzie wcale. To arystokrata, więc nie mamy za dużo wspólnego.

– Pański syn dla niego pracował.

Frank Blackwood rozzłościł się, że ktoś mu przerywa.

– Ile mam o tym opowiadać?

– Ile pan sobie życzy. Chcielibyśmy wiedzieć, co pan myślał o lordzie Tevershamie.

– No, nie był z niego równy chłop, jak to się mówi. Grał ksiądz w tej sztuce, księże Chambers. Widział ksiądz, jaki on jest. No, kobieciarz to z niego nie był.

– Sugeruje pan, że miał odmienne skłonności?

– Ja nie sugeruję. Ja wiem. Jak sądzicie, co on wyrabiał z moim synem?

– Zatrudniał go.

– To nie wszystko. Chodzili razem pływać.

– Pływanie nie jest nielegalne.

– Nie powinni się zachowywać tak, jak się zachowywali.

– Przyjaźnili się.

– To nie wszystko.

– A jakie ma pan dowody?

– Widziałem, jak na siebie patrzą.

Sidney usiłował się wtrącić.

– Nie wiem, co oni robili razem czy czego nie robili. To nie moja sprawa. Uważam, że dorośli ludzie mają prawo do prywatności.

– Doprawdy? To powinno być zakazane. To, co oni robili.

– Co nas obchodzi, co ludzie robią poza zasięgiem ludzkich oczu, panie Blackwood?

– To grzech, czy na oczach, czy nie na oczach. Ksiądz wie, że to grzech. A policja przymyka oko.

Sidney odpowiedział z powagą i surowością:

– Grzech to słowo budzące duże emocje.

– Niech mi ksiądz nie wyjeżdża z takimi kościelnymi gadkami.

Keating się nie odzywał, ale jego przyjaciel nie dał się zbić z tropu.

– Grzech wymaga wyboru. Grzech popełniamy wtedy, gdy dokonujemy niewłaściwego wyboru.

– To właśnie zrobił mój syn.

– A jeśli nie miał wyboru?

– Oczywiście, że miał! Albo raczej miał wybór ten człowiek. On go zdemoralizował.

– A jeśli on nie umiał nic poradzić na tę, jak pan to ujął, demoralizację? Jeśli już się urodził z uczuciami do mężczyzn, a nie do kobiet?

Inspektor Keating wreszcie wkroczył:

– Och, Sidneyu, nie zaczynaj znowu...

Frank Blackwood zerwał się z krzesła.

– Sugeruje ksiądz, że on się taki urodził?! Weź ksiądz to powtórz,

a oberwiesz! – Odwrócił się do inspektora Keatinga. – Co ten człowiek tu robi, swoją drogą?

– Pomaga w śledztwie. To mój przyjaciel.

– Tylko nie pan, panie Keating! Myślałem, że pan jest żonaty.

– Jestem.

– Ale to niektórym nie przeszkadza. Wystarczy podnieść dywan, a pod spodem roi się od robactwa. Dlaczego nikt z tym nic nie robi? To niezgodne z prawem.

– A co powinniśmy zrobić pańskim zdaniem? – spytał Sidney.

– Pozbyć się ich.

– Tak pan uważa? – spytał inspektor Keating.

Frank Blackwood mówił dalej:

– Tacy jak wy nie mają jaj, żeby coś z tym zrobić. Wiecie, jak to jest, jeżeli własny syn żyje w taki sposób? W kółko o tym myślisz, nie możesz przestać. Wiem, jak mówią o tym robotnicy w fabryce. Niektórym mnie żal, inni sądzą, że to śmieszne. Syn szefa nie może pracować przy maszynach, bo się zajmuje wgapianiem w rysunki jakiegoś faceta.

– I ponieważ sądził pan, że pański syn jest jednym z nich, postanowił wziąć pan prawo w swoje ręce? – spytał Sidney.

– Nic takiego nie powiedziałem.

– A ja sądzę, że tak pan właśnie powiedział – odezwał się inspektor Keating. – Sugeruję, że zabił pan człowieka, którego podejrzewał o związek z pańskim synem.

– A jeśli tak, to co?

– To morderstwo – rzekł inspektor Keating.

– Nie, nieprawda. To sprawiedliwość.

Sidney mu przerwał:

– Lord Teversham i pański syn nie zrobili nic złego.

– Uważa ksiądz, że sodomia to nie jest nic złego?! Czytał ksiądz ostatnio Biblię?

– Franku Blackwoodzie – przerwał mu inspektor Keating – aresztuję pana za zamordowanie lorda Tevershama. Ma pan prawo zachować milczenie, ale cokolwiek pan powie, może być użyte przeciwko panu.

Sidney wyszedł z pomieszczenia po funkcjonariuszy czekających przed budynkiem. Po jego wyjściu Frank Blackwood narzekał jeszcze:

– Ludzie powinni być mi wdzięczni, a nie grozić, że mnie zapudłują...

– Chce pan złożyć zeznanie? – zapytał Keating.

– W swoim czasie zdecyduję, co chcę powiedzieć. A na razie mam dość tej komedii. Idę do roboty.

– Pan chyba nie zrozumiał, co powiedziałem.

Frank Blackwood już stał w drzwiach.

– To ja mam rację. Zrobiłem to, czego nikt inny nie mógł.

– To, co pan zrobił, jest niezgodne z prawem.

– To, co oni robią, jest nielegalne.

– Tego nie wiemy, panie Blackwood. Wiemy tylko, że pan miał wybór. Wybrał pan morderstwo. I to był zły wybór.

Wszyscy uznali, że najlepiej będzie, jeśli to Sidney powie Benowi Blackwoodowi o ojcu. Inspektor Keating co prawda zaproponował, że wyśle dwójkę policjantów, ale ewidentnie zrobił to bez przekonania. Wiedział, że jego przyjaciel zaoferuje wzięcie na siebie tego przykrego obowiązku i rzeczywiście – Sidney zdążył już nawyknąć do roli posłańca przynoszącego złe wieści. W czasie wojny i zaraz po niej często musiał dzwonić do drzwi z wiadomością o śmierci. Czasami jakaś matka mdlała. Ojciec walił pięścią w ścianę. Siostra martwym wzrokiem patrzyła za okno. Pojawienie się księdza oznaczało najgorsze i cokolwiek by Sidney powiedział, i tak tym ludziom by nie ulżył. Jedyne, co mógł zrobić, gdy już wypowiedział te straszne słowa, to usiąść z osieroconymi w milczeniu i czekać, aż ból ruszy swoją zdradziecką drogą.

A jednak w Locket Hall było inaczej. Gdy już Sidney powiedział Benowi, co się stało, ten wyglądał spokojnie. Zupełnie jakby się spodziewał takich właśnie wiadomości.

– Ojciec starał się zniszczyć mi życie – rzekł. – I teraz mu się udało. Powinien zamordować mnie. To ja go zawiodłem, nie Dom.

– Nie mógł zabić własnego syna.

– Ale lord Teversham nie zrobił nic złego.

– Oddalił syna od ojca.

– Oddaliłem się dawno temu. W życiu nie pracowałbym w fabryce. Nie można tak robić, że chcesz jak najlepiej dla swojego dziecka, kształcisz je z dala od rodziny, a potem oczekujesz, że ono wróci takie samo jak kiedyś. Żyjemy w dwóch różnych światach.

– Może ojciec nie był gotowy na pański świat.

– Jak to zrobił? – spytał Ben.

– Przymocował nóż sprężynowy po wewnętrznej stronie ramienia. – Sidney rękami pokazywał co i jak. – Potrząsnął ramieniem i nóż wysuwał się, schowany w dłoni. Podniósł rękę wysoko, w rzymskim pozdrowieniu, a ostrze się schowało. Ten wynalazek pasował do gestów wykonywanych w trakcie przedstawienia. Pomysłowy.

– Tata wynalazca. Jak wielebny to odkrył?

– Widziałem w fabryce mechanizmy sprężynowe. Uświadomiłem sobie, jak to mogło zostać zrobione, ale nie mogłem niczego udowodnić.

– Nóż u Simona Hackforda?

– Podłożony. Nie wiemy, jak pański ojciec to zrobił. Mogliśmy tylko stwierdzić jego winę, prowokując go do przyznania się.

– Musieliście go rozwścieczyć?

– Chciał być z pana dumny. To była kwestia honoru.

– A ja nie byłem powodem do chwały?

– Wstydził się. – Sidney zacytował *Ryszarda II*: – „Mój honor nad żywot mój ważę, on na mym grobie bez skazy zostanie”[31].

– Lubię sztukę, księże Chambers. Lubię piękno. To naprawdę złe?

– Oczywiście, że nie. To pańska przyjaźń zdaniem ojca była zła.

– A zdaniem księdza?

– Czy ja uważam ją za złą? Ja głęboko wierzę w prawo do prywatności. To nie jest moja sprawa.

– Ludzie nie rozumieją – rzekł Ben – że można być z kimś blisko, z mężczyzną czy z kobietą, i ta bliskość nie musi być cielesna. Wręcz cielesność często taki związek niszczy.

– Na pewno chce mi pan o tym mówić?

Ben nie umilkł:

– Można kogoś uściskać, pocałować, chodzić na spacery, na pikniki, popływać, ale tymi zachowaniami nie rządzi namiętność. Rządzi nimi przyjaźń.

– Rozumiem.

– Namiętność to tak silna emocja, że przeważa nad wszystkim. Jak mocna przyprawa w posiłku, jak dominująca czerwień w obrazie. Zmysły człowieka skupiają się na niej kosztem wszystkiego innego. Dominic i ja nie byliśmy przyjaciółmi w aspekcie fizycznym, że tak powiem. Ale go kochałem. Jeśli kogoś kochamy, nie możemy nic na to poradzić, prawda? Ale ta miłość nie musi być fizyczna. Można być równie blisko, intymnie. Nieważne. Rozumie ksiądz, co mówię?

Sidney myślał nad słowami Bena. Za oknem widział parę łabędzi lecących nisko nad rzeką, hen, daleko. Zastanawiał się, dokąd lecą.

Amanda zgodziła się piątego listopada przyjechać do Grantchester na doroczną imprezę z fajerwerkami. Na Meadows przygotowano olbrzymie ognisko, pokaz miał się rozpocząć o 18.30. W żar wsadzono ziemniaki zawinięte w folię aluminiową, w namiocie biesiadnym serwowano napoje. Większość mieszkańców uczestniczyła w tym wydarzeniu, a Sidney miał nadzieję, że ta sama liczba przyjdzie na jego koncert kolęd za miesiąc. Kusy, który bał się hałasu, ukrywał się pod łóżkiem Sidneya.

– Miło, że przyjechałaś, Amando, zwłaszcza tak w środku tygodnia.

– Cieszę się na każde spotkanie z tobą. I wiem, że wszyscy macie za sobą straszne chwile. Biedny Ben. I ty też...

– Chciałbym tylko, żeby ten rok już się skończył.

– Tyle się wydarzyło... Ale przynajmniej się bliżej poznaliśmy. To jest jakieś pocieszenie, nie sądzisz? Możemy powiedzieć sobie wszystko. Taką mam nadzieję...

– To prawda.

– Nieważne, czy to o Bogu, o zbrodni, czy o moim nowym futrze, no nie?

– Oczywiście, że nieważne, Amando. Czasami żałuję, że nie rozmawiamy więcej o błahostkach. A swoją drogą, skąd masz to futro? Od Eddiego Harcourta?

– Nie.

– A więc...

– Odrzuciłam go, tak swoją drogą.

– Świetnie, bardzo się cieszę.

– Tata się nie cieszy, ale już ma kogoś nowego.

– Stąd nowe futro?

– Właśnie. Ale ty tym wszystkim zupełnie nie musisz się martwić. Gdy tylko poznam kogoś na poważnie, będziesz miał prawo weta, i nie wyobrażam sobie, że kogokolwiek zaaprobujesz.

– Ktoś taki musi się w końcu znaleźć.

– Zapewne tak. Ale nie musimy teraz o tym myśleć, prawda? Dają tu piwo?

– Wydaje mi się, że jest cała beczka od The Green Man – odrzekł Sidney, zastanawiając się, jak nieograniczone mogą być zastępy zalotników Amandy.

– Sądzisz, że dadzą mi duże? To nie za bardzo przystoi damie.

– Ja ci przyniosę. Pewnie dostaniesz na koszt firmy. Stajesz się dość znana w okolicy.

– No, mam nadzieję, że ludzie gadają. Lubię budzić lekkie zainteresowanie.

Na niebie wybuchły pierwsze fajerwerki. Dwoje przyjaciół wyszło z piwem spod namiotu i patrzyło na pąsowo-srebrno-złotą nocną tęczę.

– Ale widok! – krzyknęła Amanda. – A jaki huk! W takim hałasie można by ukryć wszelkiego rodzaju morderstwa.

– Nie rób tego – odrzekł z uśmiechem Sidney.

– Co masz na myśli?

– Zaczynasz mówić jak ja.

Wsunęła mu rękę pod ramię, ciepłe światło fajerwerków rozjaśniło jej twarz.

– To dobrze czy źle?

– Bardzo źle, powiedziałbym. Zwłaszcza jeśli chcesz nadążyć za przyjaciółmi.

Pokrzepiająco ścisnęła jego ramię.

– Pamiętasz, jak zeszłej zimy przyjechałam na lunch? Wtedy myśleliśmy, że doktor wykańcza ludzi...

– Wtedy po raz pierwszy byliśmy sam na sam.

– Powiedziałeś wtedy coś, czego nigdy nie zapomnę. Pamiętasz, co to było?

Sidney zastanawiał się chwilę. Przed nimi biegały dzieci, wymachiwały zimnymi ogniami, krzycząc z uciechy. Ogniste koło syczało chaotycznie obok dębu. Na niebie wybuchały race.

– Radziłeś mi w kwestii małżeństwa. Powiedziałeś, że miłość jest niepodważalną przyjaźnią. Oczywiście my nie jesteśmy małżeństwem, ale czy sądzisz, że łączy nas właśnie coś takiego?

– Niepodważalna przyjaźń?

Znowu ścisnęła go za ramię.

– Jak myślisz?

– Mam nadzieję, że nas łączy.

– Ja też. – Pocałowała go lekko w policzek.

W czwartek Sidney siedział z Geordiem Keatingiem na zwykłych miejscach w The Eagle. Jeszcze nie opróżnili pierwszego kufla piwa, a partia tryktraka toczyła się w najlepsze. Inspektor był przekonany, że zwycięstwo ma już w kieszeni, podczas gdy Sidney roztrząsał następstwa ostatniej zbrodni.

– Bardzo skomplikowana ta cała sprawa z reputacją, nie sądzisz? – zastanawiał się. – Jest taka nieokreślona, a tak trudno się zorientować, czy ją masz czy nie.

– Czy to nie jest po prostu kwestia czystego sumienia? – spytał inspektor.

– Nie jestem pewien. Myślę, że warto pomyśleć o tym, jak widzą cię inni ludzie. Reputacja mężczyzny jest wątlejsza, niż on sądzi.

– Musisz po prostu żyć w zgodzie ze sobą – odrzekł inspektor. Wyrzucił trójkę i jedynkę. – To właśnie ja próbuję robić, chociaż czasami oczywiście dopada mnie zniechęcenie.

– Każdy ma chwile zniechęcenia, Geordie...

Inspektor popatrzył na tablicę.

– Twoja kolej.

– Przepraszam. – Sidney rzucił kośćmi. – O, świetnie. Podwójna szóstka.

– No i kiedy przychodzi to zniechęcenie – podjął Keating – czasami myślę, że cokolwiek robię, czy to w policji, czy w domu, dla żony, dla dzieci, czy na ulicy, dosłownie wszystko, to strata czasu. Nic, co robię, w skali globalnej nie ma żadnego znaczenia.

– Mogę cię zapewnić, Geordie, że wszystko ma znaczenie. Bez ciebie świat byłby gorszy.

Keating wyrzucił dwójkę i czwórkę.

– Nie wiem, Sidneyu. Rozwiązujesz zagadkę jednego przestępstwa i natychmiast setki innych pojawiają się w jego miejsce. To się nigdy nie kończy.

– Nie możesz tracić wiary.

– Myślę, że tobie łatwiej tak mówić niż mnie.

– Nie mam na myśli wiary w ujęciu religijnym. Raczej wiarę we własne

możliwości. Musimy się starać ile sił, wykorzystując swoje talenty, Geordie. Przyszłość jest tak nieprzewidywalna, że nie warto się nią niepokoić.

– Ale niepokoje same przychodzą.

– Skupmy się na grze. – Sidney wyrzucił piątkę i trójkę. – Widzę, że trzeba cię rozweselić.

– Nie mam szans się rozweselić, jeśli ty dalej będziesz wygrywał.

Sidney wychylił się ponad planszą.

– Chcesz, żebym dał ci wygrać? Na pewno uznałbyś to za obraźliwe.

Keating się uśmiechnął.

– Nie mam nic przeciwko, Sidneyu, w życiu zdarzają się gorsze rzeczy.

– To prawda. I musimy pamiętać, że jest na co czekać: Boże Narodzenie na przykład i twoje urodziny. Podwójne święto.

– Ja tak nie uważam. Lubię tę wrzawę, to podniecenie dzieci, ale Cathy zawsze się robi spięta, gdy przyjeżdża do nas jej matka. Cały czas czuje się oceniana.

– Nie sądź, a nie będziesz sądzony.

– Dobra, Sidneyu, to może zajdziesz powiedzieć to mojej teściowej? Jesteś mile widziany o dowolnej porze.

– To bardzo miło z twojej strony.

– A jak tam twoje plany? Umówiłeś się z Amandą?

– Tak sądzę. Chociaż o tej porze roku ma zajęte wszystkie terminy.

– Ty chyba masz pierwszeństwo.

– Niekoniecznie. Ona prowadzi naprawdę intensywne życie towarzyskie. Na pewno niedługo wyjdzie za mąż.

Inspektor Keating udawał, choć nieprzekonująco, że ponownie zainteresował się grą.

– Mówiłem ci już, co o tym myślę.

– Jesteśmy przyjaciółmi, nic poza tym.

– Moim zdaniem to dostatecznie dobry powód. A ty jak uważasz?

– A ja uważam, że nie. Myślałem o tym, jak wiesz aż za dobrze. Ale nie wydaje mi się, by to miało szanse. Jej świat zbyt się różni od mojego i oczywiście pod wieloma względami ja już wziąłem ślub ze swoją pracą.

– Ale nie możesz być kawalerem do końca życia, Sidneyu. Samotność jest straszna.

– Może to cena kapłaństwa?

– Bzdura! Jest mnóstwo żonatych księży. Wszędzie ich pełno.

Sidney czuł się już niezręcznie. Nie lubił mówić o sobie i zdał sobie sprawę, że o wiele łatwiej zadawać pytania niż odpowiadać na nie.

– Oczywiście jestem tego świadomy.

– Więc co zamierzasz?

Sidney niechętnie uznał, że nadszedł czas na małe wyznanie.

– Cóż, Geordie, prawdę mówiąc, tak sobie myślałem, żeby po Bożym Narodzeniu udać się na małe wakacje.

– A gdzież ty byś miał jechać o tej porze roku?

– Myślałem o Niemczech.

– Rozumiem. – Inspektor Keating patrzył na Sidneya jednym z tych swoich niewzruszonych spojrzeń. – Jakoś się nie chwaliłeś. Spotkasz się z Hildegard Staunton?

– Mam nadzieję.

– Amanda zna twoje plany?

– W tej chwili nie.

– Powiesz jej?

– Na pewno nie będzie miała nic przeciwko.

– A ja jestem pewien, że będzie miała. – Inspektor Keating dopił piwo. – No proszę. Będę milczał jak grób i nie wydam twojego sekretu.

– To nie jest żaden sekret, Geordie.

– A powinien być, moim zdaniem. Cicha woda brzegi rwie, co?

– Dawno nie byłem w Niemczech.

– Nie sadzę, żebyś miał w planach podziwianie widoków czy piwa. Przyznaj.

– Chyba nie chcę o tym rozmawiać – odrzekł Sidney. – Może to zły pomysł. Ale w Hildegard jest coś takiego... Nie wiem, jak to wyrazić... kiedy z nią jestem, czuję się jak w domu.

– Oczekuję wyczerpującego raportu.

– Chyba nie mogę ci go obiecać. Musimy mieć przecież przed sobą jakieś tajemnice, prawda?

– Już ci mówiłem, Sidneyu. Nie możemy mieć przed sobą żadnych tajemnic i nigdy nie jesteśmy po służbie.

Właściciel pubu dorzucił polano do kominka i ogień znowu rozbłysnął, rzucając pokrzepiający blask na twarze dwóch przyjaciół. Zaczęli nową partyjkę tryktraka i grali w niekrępującej ciszy, aż Sidney wyrzucił czwórkę i trójkę, by zdobyć kolejne nieprawdopodobne zwycięstwo.

– Nie wiem, jak ty to robisz – narzekał jego przyjaciel.

– Pomyśl, że to część gry, którą nazywamy życiem – odrzekł Sidney.

– Co to za gra, jeśli ty cały czas wygrywasz. – Geordie Keating opadł na oparcie i przyjął do wiadomości porażkę. – Czasami, Sidneyu, naprawdę myślę, że masz Boga po swojej stronie.

– No, mam nadzieję – odrzekł duchowny. – To co, jeszcze jedna kolejka, inspektorze?

PRZYPISY

[1] Por. R. Brooke, *Stara plebania Grantchester* (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] W przekładzie Stanisława Barańczaka.

[3] Edwin Fischer (1886–1960) – szwajcarski pianista i dyrygent.

[4] Org. *Das Wohltemperierte Klavier* – dwutomowy zbiór dwóch cykli preludiów i fug Johanna Sebastiana Bacha.

[5] „Od Bantry Bay aż po Derry Quay, od Galway po Dublin sam, każdej daleko do cud-dziewczyny poznanej w County Down" – irlandzka ballada *Star of the County Down*.

[6] Por. Koh, 10,11.

[7] Tylko trochę... Czy może pani pokazać mi drogę do następnego miasta? (niem.)

[8] Jest pani bardzo atrakcyjną młodą damą. Czy gra pani w piłkę nożną? (niem.)

[9] Czy lubi pan tańczyć? (niem.)

[10] Och, nie jestem tancerzem. (niem.)

[11] Jaka szkoda. (niem.)

[12] Por. 1 List św. Piotra 1,24.

[13] „Bo zemsta nigdy owoców nie rodzi!" – cytat z dramatu *Wilhelm Tell* Friedricha Schillera w przekładzie Alfreda Kowalkowskiego.

[14] Bohaterka powieści satyrycznej Maxa Beerbohma *Zulejka Dobson* (1911, wyd. pol. 1993 w przekładzie Joanny Mach) o życiu studentów Oxfordu; *femme fatale* i gwiazda salonów. Wszyscy się w niej kochają i pragną całować ślady jej stóp.

[15] Wiersz sir Johna Betjemana *How to Get On In Society* (późniejszy niż akcja książki, bo pochodzący z roku 1958) dworuje z powszechnie zauważalnego w latach pięćdziesiątych zjawiska – przedstawiciele klasy średniej, usilnie naśladując klasę wyższą, używali niezwykle wymyślnego słownictwa. Wyższe sfery rzeczywiście wysławiają się w sposób wytworny, wyszukany, czyli po angielsku *posh*, ale aspirujący do socjety nuworysze najczęściej osiągali efekt określany jako *posher than posh* (wytworniejszy niż wytworny). Co ciekawe, z porównania języka klasy wyższej, klasy średniej i klasy robotniczej wynikało, że słownictwu *posh* bliższa jest mowa klasy robotniczej niż średniej. „Noże do ryb" z wiersza to element, na którego przykładzie łatwo można oddać, a jednocześnie nieco wykpić ideę *posh* – jak powiadano, są to sztućce, które człowiek powinien odziedziczyć i których nigdy nie używa.

[16] Takie błogosławieństwa odmawiane po łacinie przed posiłkiem należą

do tradycji college'ów w Cambridge.

[17] Por. Horacy, *Pieśń III, 3, Aequam memento rebus in arduit*, przeł. Andrzej Lam.

[18] Fragment *Don Juana* w przekładzie Edwarda Porębowicza.

[19] W przekładzie Stanisława Barańczaka.

[20] John Keats, *Oda do jesieni*, przeł. Zofia Kierszys.

[21] Kenneth More (1914–1982) – angielski aktor.

[22] Marka jedzenia dla psów, popularna w Wielkiej Brytanii oraz Irlandii.

[23] W przekładzie Ignacego Matuszewskiego.

[24] Aluzja do serii podręczników dobrych manier i tradycyjnej brytyjskiej etykiety wydawnictwa Debrett's, nazwanego tak na cześć Johna Debretta, który zapoczątkował ich edycję.

[25] W przekładzie Stanisława Barańczaka.

[26] Postać kobieca w pantomimach o przygodach Aladyna, grana przez mężczyznę w przeciwieństwie do głównego bohatera granego przez kobietę.

[27] Tu i dalej fragmenty *Juliusza Cezara* w przekładzie Stanisława Barańczaka.

[28] John Bunyan (1628–1688) – angielski pisarz chrześcijański i protestancki kaznodzieja, autor *Wędrówki pielgrzyma*.

[29] Biblia w przekładzie księdza Jakuba Wujka.

[30] Uśmiechnijcie się, przyjaciele! (franc.)

[31] W przekładzie Leona Urlicha.